

BESTSELLEROWA AUTORKA  
„NEW YORK TIMESA”

JOY  
FIELDING

MORDERSTWA  
NAD  
SHADOW  
CREEK

Świat Książki

## **Spis treści**

Karta tytułowa Karta redakcyjna Prolog Rozdział 1 Rozdział 2 Rozdział 3  
Rozdział 4 Rozdział 5 Rozdział 6 Rozdział 7 Rozdział 8 Rozdział 9 Rozdział 10  
Rozdział 11 Rozdział 12 Rozdział 13 Rozdział 14 Rozdział 15 Rozdział 16  
Rozdział 17 Rozdział 18 Rozdział 19 Rozdział 20 Rozdział 21 Rozdział 22  
Rozdział 23 Rozdział 24 Rozdział 25 Rozdział 26 Rozdział 27 Rozdział 28  
Rozdział 29 Rozdział 30

**JOY  
FIELDING**  
**MORDERSTWA  
NAD  
SHADOW  
CREEK**

Z angielskiego przełożyła  
*Edyta Jaczewska*

  
**Świat Książki**  
wydawnictwo

Tytuł oryginału  
SHADOW CREEK

Wydawca  
*Grażyna Woźniak*

Redaktor prowadzący  
*Beata Kołodziejaska*

Redakcja  
*Urszula Okrzeja*

Korekta  
*Ewa Grabowska*  
*Marzenna Kłos*

Copyright © 2012 by Joy Fielding  
Copyright © for the Polish translation by Edyta Jaczewska, 2016

Świat Książki  
Warszawa 2016

Świat Książki Sp. z o.o.  
02-103 Warszawa, ul. Hankiewicza 2

Księgarnia internetowa: [swiatksiazki.pl](http://swiatksiazki.pl)

Skład i łamanie  
*Joanna Duchnowska*

Dystrybucja  
Firma Księgarska Olesiejuk Sp. z o.o., Sp. j.  
05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91  
e-mail: [hurt@olesiejuk.pl](mailto:hurt@olesiejuk.pl), tel. 22 733 50 10  
[www.olesiejuk.pl](http://www.olesiejuk.pl)

ISBN 978-83-8031-124-4

Skład wersji elektronicznej  
pan@drewnianyrower.com

## Prolog

– Noc była mroczna i wietrzna – odezwała się Ellen, cytując pierwsze słowa pewnej dawno zapomnianej powieści.

Zdanie to cieszyło się kiedyś wątpliwą sławą, uchodząc za najgorszy książkowy początek wszech czasów. Ellen wcale nie wydawało się aż takie złe. Gdyby się uparła, pewnie zdołałaby przypomnieć sobie zdecydowanie marniejsze, choć musiała przyznać, że jej nadzwyczajna kiedyś pamięć już nie działa tak samo sprawnie. No, ale z drugiej strony, co nie zmieniło się na gorsze? Roześmiała się.

Jak na osobę w tym wieku, śmiała się zadziwiająco młodzieńczo. Tak chichoczą nastolatki, a nie kobiety, które niedawno obchodziły siedemdziesiąte urodziny.

– Faktycznie jest paskudnie – zgodził się mąż, z którym przeżyła blisko pięćdziesiąt lat.

Stuart Laufer objął żonę zaskakująco muskularnym ramieniem – dobiegał przecież siedemdziesiątki piątki – i wspólnie wyjrzeni za okno starego domu z drewnianych bali, otoczonego drzewami, których gałęzie szarpał porywisty wiatr.

Padało od niemal pięciu godzin. Ulewa zaczęła się tuż po trzeciej po południu. Wał ciemnych i groźnych chmur napłynął znikąd, zasnuł niebo i szybko pokonał bezsilne słońce. Wielkie, ciężkie krople deszczu pojawiły się niemal natychmiast, jak pociski wystrzeliwane z jakiegoś niebiańskiego karabinu maszynowego. A potem nadszedł wiatr, któremu towarzyszyły głośnie eksplozje grzmotów i dzikie zygzaki błyskawic, kolejne pociski niebios. Piękne, zachwycała się Ellen. Ale też przerażające, co często towarzyszy pięknu.

Sama byłam kiedyś piękna, pomyślała.

– Za dużo w tym szalu, żeby miało długo trwać – zawyrokował wcześniej Stuart, jakby chcąc uspokoić ich oboje. – Chyba się pomyliłem – przyznał, kiedy popołudnie przechodziło w wieczór, pochłaniane przez coraz ciemniejsze niebo. Światła w niewielkim domu zaczęły migotać, rzucając dziwne, przypominające zwierzęce cienie na białe ściany. – Lepiej rozpalę w kominku, na wypadek gdybyśmy stracili prąd – stwierdził teraz.

– Chuchnę, dmuchnę, i twój domek się rozsypie – szepnęła do siebie Ellen, wspominając bajkę o trzech małych świnkach i wielkim złym wilku, którą matka czytywała jej w dzieciństwie.

Jej głęboko osadzone błękitne oczy zniemacka wypełniły się łzami. Niesamowite, pomyślała. Siedemdziesiąt lat na karku, a ona wciąż płacze za matką



utraconą niemal dwadzieścia lat wcześniej. Jakby ciągle była tą dziewczynką skuloną na matczynych kolanach i otuloną opiekuńczymi objęciami. Wciąż tak bardzo za nią tęskniła! Nieobecność matki okazała się równie dojmująca, jak kiedyś jej obecność. Ellen nadal czuła miękkość warg matki na swoim czole, nadal widziała dumę w jej oczach, ilekroć matka na nią spoglądała, nadal słyszała dramatyczne tony głosu, którym czytywała jej braci Grimm. Ellen zawsze zakładała, że te same baśnie przeczyta któregoś dnia własnym dzieciom, a potem wnukom, które na pewno kiedyś się pojawią. Niestety, żaden z jej dwóch synów nie wykazywał nigdy większego zainteresowania baśniami i rzadko zdarzało im się usiedzieć bez ruchu dość długo, by zdążyła dotrzeć daleko poza obowiązkowe: „Dawno, dawno temu...”. Ześlizgiwali się z jej kolan, na których próbowała ich przytrzymać, wołając samolociki od książek, a później dziewczyny bardziej niż cokolwiek innego. Obaj chłopcy (teraz już dojrzali mężczyźni, jeden w wieku czterdziestu trzech lat, drugi czterdziestoletni – czy to naprawdę możliwe?) ożenili się z kobietami poznanymi podczas studiów poza domem – na Berkeley w przypadku Todda, na Stanfordzie – Bena. A potem przenieśli się na stałe na przeciwległe wybrzeże. Żadne z małżeństw nie przetrwało dłużej niż kilka lat. Później synowie ożenili się ponownie, Ben nawet kilka razy, ostatnio z pochodzącą z Rosji tancerką egzotyczną. Z tych wszystkich związków urodziło się pięcioro dzieci: Mason, Peyton, Carter, Willow i Saffron – skąd oni brali te imiona? – a wszystkie wnuki wkraczały obecnie w dorosłość i nie wykazywały przywiązania do mieszkających na wschodnim wybrzeżu dziadków ze strony ojca. Ellen nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatnio spędziła z którymś z wnucząt trochę czasu. Całymi latami przesyłała im pieniądze na Gwiazdkę i urodziny. Czasem dostawała kartkę z podziękowaniem. Częściej nie, na co skarżyła się synom, ale ci twierdzili, że nie mają na to wpływu. „Byłe żony”, mawiał Ben ze wzruszeniem ramion, jakby to wszystko wyjaśniało. Ellen ostatnio próbowała kontaktować się z wnukami e-mailowo, ale krótkie wiadomości z pytaniami o zdrowie i samopoczucie przechodziły bez echa. Wątpiła, żeby któreś z nich pofatygowało się na przyjęcie z okazji pięćdziesięciolecia ślubu, które zaplanowali ze Stuartem na jesień. Zastanowiła się teraz, gdzie się podziały wszystkie bajkowe „i żyli razem długo i szczęśliwie”.

Usłyszała stęknięcie Stuarta. Strzyknęło mu w kolanie, gdy pochylony układał polana w starym kamiennym kominku i z trudem zapalał długą zapalkę. Przyjrzała się jego pełnej zmarszczek, ale wciąż przystojnej twarzy, ciemnym, zmrużonym w skupieniu oczom, szerokiemu, pofałdowanemu czole i palcom o artretycznie obrzmiałych kłykciach. Mimo swojego wieku ten mężczyzna nadal przyciągał wzrok. Nawet po wszystkich tych latach jej serce wciąż biło przy nim mocniej. Niesamowite, pomyślała Ellen, nie mogąc się nadziwić własnemu szczęściu i czując się winna, że nie potrafiła podobnego daru losu przekazać

synom.

Tyle że w małżeństwie ciężka praca jest równie ważna jak szczęśliwy traf, wiedziała to dobrze. I nie zawsze wszystko jest usłane różami, nie zawsze idzie jak z płatka. Bywały takie dni, a czasem nawet całe tygodnie z rzędu, kiedy myśl o Stuarcie znikającym pod kołami autobusu wcale nie była jakoś szczególnie przykra. Czasami zastanawiała się, czy od niego nie odejść. Już raz trzymała dłoń na słuchawce telefonu, a przed nią na kuchennym blacie leżała książka telefoniczna, otwarta na liście znanych nowojorskich adwokatów specjalizujących się w rozwodach.

Ale wtedy przypomniała sobie radę udzieloną przez matkę, że kiedy pojawią się kłopoty, ma sobie wyliczyć powody, dla których w ogóle za Stuarda wyszła. Pomyślała o jego słodkim uśmiechu i poczuciu humoru, o tym, jak te pocętkowane złotymi plamkami ciemne oczy rozświetlają się za każdym razem, gdy ona wchodzi do pokoju. Wkrótce zaczęła sobie przypominać, na jakie sposoby okazywał jej troskę, jego czułe gesty i ten nieodmiennie łagodny dotyk, bystry umysł i szczodre serce, wszystko co w nim kochała. I zaraz potem książka telefoniczna powędrowała z powrotem do szuflady, a ona ugotowała mu ulubiony obiad, makaron zapiekany z serem. I to właśnie w nim uwielbiała – że tak łatwo było sprawić mu przyjemność.

Udane i aktywne życie seksualne też raczej nie stanowiło przeszkody. Nawet teraz, w zaawansowanym wieku, wciąż kochali się często i z entuzjazmem. Akrobatyczne wyczyny czasów młodości może mieli już za sobą, ale umiejętność sprawiania przyjemności partnerowi nie zanikła. „Wiesz, jaką formę seksu najczęściej uprawiają emeryci?” – spytał ją kiedyś Stuart, unosząc wzrok znad czytanej właśnie porannej gazety. „Oralną”, dodał i mrugnął do niej. „Chcesz powiedzieć, że tylko o tym rozmawiają?” – odparowała Ellen. Ależ się zaśmiewali.

Teraz znów się zaśmiała, nie mogąc się nadziwić, że tak wielu spośród ich przyjaciół niemal zupełnie zarzuciło uprawianie miłości w późniejszych latach swoich małżeństw, czasem pozornie bez żalu.

Co prawda, nie mamy tych bliskich przyjaciół aż tak wielu, pomijając Wayne'a i Fran McQuakerów, pomyślała ze smutkiem. Kilku odebrał im rak, resztę inne idące z wiekiem przypadłości. Śmiech uwiązał jej w gardle.

Do braku życia towarzyskiego przyczyniła się też decyzja o przeprowadzce z miasta, do tego domu z bali, kupionego wiele lat temu jako inwestycja na rynku nieruchomości. Ellen zawsze uważała się za dziewczynę z miasta, kiedy więc Stuart po raz pierwszy podsunął myśl o zamieszkaniu w domu w leśnej okolicy, zaprotestowała. Gdy jednak osłabły jej wstępne zastrzeżenia – robactwo, dzikie zwierzęta, odludzie – odkryła ku własnemu zdumieniu, że w gruncie rzeczy podobają się jej cisza i spokój wiejskiego życia. Uwielbiała malowniczą trasę dojazdową przez Adirondack, drogi wijące się wśród gór, wrażenie, że drzewa



opiekuńczo pochylają się nad nimi podczas jazdy, gdy miejskie hałasy cichły, w miarę jak pieli się w górę, a potem zniknęły zupełnie, zastąpione śpiewem ptaków i odgłosem wody szmerzącej w pobliskich strumieniach. Myśl o przeznaczeniu tej nieruchomości na sprzedaż stawała się coraz mniej atrakcyjna, aż wreszcie zarzucili ją całkowicie i zamiast tego sprzedali dom w White Plains, a potem, dwa lata temu, na stałe osiedlili się w domu w lesie. Ich syn Ben gorąco im to odradzał. No, ale z drugiej strony Ben, choć prawnik, opuścił swoją drugą żonę, również prawniczkę, dla rosyjskiej tancerki egzotycznej poznanej w klubie ze striptizem pod nazwą Wiarołomni, więc jego osąd wydawał się nieco mało wiarygodny.

– Co zrobicie w razie jakiegoś nagłego wypadku? – wypytywał.

– Mamy telefon i komputer – przypominała mu Ellen. – To nie tak, że znajdziemy się z dala od cywilizacji.

– To chałowy pomysł – upierał się Ben, choć sam nigdy tego miejsca nie widział na oczy. – Wystarczy już ta dziwaczna nazwa. – Wzdrygnął się, nawiązując do Shadow Creek, wąskiego strumienia przepływającego za starym domem z drewnianych bali. – Zresztą Katarina nie cierpi komarów.

– W przeciwieństwie do nas wszystkich, którzy je uwielbiamy – mruknęła teraz do siebie Ellen.

To fakt – było tu mnóstwo komarów. Zwłaszcza teraz, w lipcu. I pajaków. I węży. I kojotów. A nawet niedźwiedzi, pomyślała, chociaż sama jeszcze żadnego nie widziała. W gruncie rzeczy najdokuczliwszym utrapieniem w górach Adirondack byli turyści, bo ciągnęli tu stadami podczas letnich miesięcy, a wielu gubiło się w lasach, wędrując pobliskimi szlakami. Niektórym zdarzało się nawet pukać do ich drzwi i pytać, czy mogą skorzystać z toalety. Ellen otwierała, grzecznie im odmawiała i odsyłała natrętów w dalszą drogę. Jeśli otwierał Stuart, człowiek o miękkim sercu, to czasami wpuszczał ich do środka.

– Mówiłaś coś? – spytał ją teraz mąż.

– Co? A nie, nic. Chyba po prostu myślałam na głos.

– O czym?

– Tak tylko się zastanawiam, ile czasu jeszcze potrwa ta burza.

Nie chciała wdawać się w dyskusję na temat Bena i jego najnowszej żony, bo nieuchronnie zbaczali wtedy w stronę niedociągnięć Ellen i Stuarta jako rodziców. Owszem, to prawda, że jeden syn został lekarzem, a drugi prawnikiem, więc najwyraźniej coś starszemu pokoleniu się udało. Ale tak samo ewidentne było to, że w równym stopniu sprawę zawałili. Ellen zmarnowała jednak już zdecydowanie zbyt wiele czasu, usiłując zrozumieć problem. Dzieci nie pojawiają się wyposażone w instrukcję obsługi, gdzieś kiedyś coś podobnego przeczytała, a fakt faktem, że ona i Stuart zrobili wszystko, jak tylko potrafili najlepiej.

Prawdę mówiąc, ona i Stuart zawsze istnieli jakby wewnątrz swojego prywatnego małego kokonu, nigdy tak do końca nie potrzebując nikogo poza sobą

nawzajem. A synowie byli tego w jakiś sposób świadomi. Co i tak jednak nie wyjaśniało, dlaczego żaden z nich nie był w stanie wytrwać w związku. Jeśli niemal półwieczne małżeństwo rodziców nie stanowiło dla nich wystarczająco solidnego przykładu, to Ellen już sama nie wiedziała, co takim przykładem mogłoby być. Poza tym, co było, to było, pomyślała. Za późno teraz, żeby coś zmieniać.

Prawda?

Ellen przeszła przez pokój dzienny w stronę kuchni i zdjęła z uchwyty czarną słuchawkę bezprzewodowego telefonu.

– Dzwonię do Bena – wyjaśniła mężowi, zanim zdążył zapytać.

Skinął głową, nie przerywając rozpalania w kominku. Przyjemny zapach płonącego cedrowego drewna szybko wypełnił sporą przestrzeń prostokątnego salonu połączonego z jasną, nowoczesną kuchnią. Na tyłach domu mieściły się trzy sypialnie i łazienka. W łóżkach w dwóch gościnnych pokojach nigdy nikt nie spał, chociaż McQuakerowie obiecywali, że przyjadą w ten weekend. Ellen nie mogła się już doczekać ich odwiedzin.

Wybrała numer młodszego syna i odczekała jeden, drugi i trzeci sygnał, zanim ktoś wreszcie odebrał.

– Halo? – usłyszała kobiecy głos. Proste słowo, zabarwione silnym akcentem, stało się niemal niezrozumiałe.

– Katarina, witaj – odezwała się Ellen pogodnym tonem. – Mówi...

– Kto mówi? – wpadła jej w słowo Katarina.

– Tu Ellen. Matka Bena.

– Przepraszam. Linia bardzo zła. Muszę prosić zadzwoń później.

Dopiero po paru sekundach do Ellen dotarło, że Katarina się rozłączyła.

– Chyba coś nam przerwało – powiedziała do Stuarta, starając się myśleć pozytywnie i postanawiając, że zadzwoni, dla odmiany, do Todda. Ale tym razem w słuchawce nie było sygnału. – Och. Chyba telefon nam padł.

– Naprawdę? Pokaż. – Stuart podniósł się z klęczek i podszedł do żony, wyciągając prawą rękę.

Wręczając Stuartowi słuchawkę, Ellen próbowała się nie najeżyć. Wcale nie chciał dać żonie do zrozumienia, że jej nie dowierza, ani w żaden sposób obwiniać jej za awarię telefonu, ale nawet mając tę świadomość, irytowała się, że czuł potrzebę sam wszystko sprawdzić.

– No i? – spytała.

– Rzeczywiście nie działa. – Oddał jej słuchawkę.

– Komputer też padnie?

– Nie, bateria jeszcze powinna być naładowana. Możesz sprawdzić, jeśli chcesz.

– Nie – odparła Ellen. Potrzeba rozmowy z synami już jej przeszła. –

W następnej kolejności pójdą pewnie światła.

Stuart mruknął coś potakująco.

– Masz ochotę na kieliszek wina? – zapytał.

Ellen uśmiechnęła się.

– Tak, czytasz mi w myślach.

Stuart obszedł sofę w wiśniowo-granatowe pasy, stanął przy szafce na wino pod przeciwległą ścianą. Kiedy sięgał po butelkę sauvignon blanc, usłyszeli głośne stukanie.

– Co to? – spytała Ellen, gdy stukanie przybrało na sile i napełniło cały pokój. – To do drzwi?

Stuart z wahaniem zrobił kilka kroków w stronę źródła dźwięku.

– Nie otwieraj – przestrzegła Ellen.

– Halo! – Usłyszeli wołanie. – Halo? Proszę! Czy ktoś tam jest?

– To chyba jakieś dziecko – szepnął Stuart.

– Co by tu robiło dziecko w taką pogodę? – odezwała się Ellen. Stuart sięgał już ręką do klamki. – Nie otwieraj – powtórzyła.

– Nie wygłupiaj się – skarcił ją Stuart i otworzył drzwi.

Za nimi stała dziewczyna, a wokół niej szalała burza. Woda spływała kaskadami z kaptura plastikowego przeciwdeszczowego płaszcza, którym się otuliła. Deszcz zalewał jej oczy i nos z taką siłą, że niemal zacierał rysy twarzy, ale widać było, że jest młodziutka. Niezupełnie dziecko, pomyślała Ellen, ale też nie osoba dorosła. Na pewno przed dwudziestką.

– No, uff – powiedziała dziewczyna i wtargnęła do środka, nie czekając na zaproszenie. Otrząsnęła wodę z dłoni i włosów niczym wielki, kudłaty pies. – Bałam się, że nikogo nie ma w domu.

– Skąd, na Boga, wzięłaś się tu w środku tego wariactwa? – spytał Stuart i zamknął drzwi przed szalejącą na zewnątrz burzą. Wiatr zawył, jakby chciał zaprotestować.

– Pokłóciłam się z moim chłopakiem. – Duże, ciemne oczy dziewczyny zlustrowały pokój.

– Z chłopakiem? – Ellen spojrzała w stronę drzwi. – Gdzie on jest?

– Pewnie dalej w tym przeklętym namiocie. Jest taki uparty. Nie chciał jechać do motelu, nawet kiedy zaczęło lać strumieniami. Ale ja chciałam. Powiedziałam, że pójde i znajdę sobie jakieś miejsce pod dachem. Tylko, oczywiście, zgubiłam się, dokładnie tak, jak mi to przepowiadał, i już bitą godzinę błędę w kółko. A potem zobaczyłam światła w waszym domu. Bardzo się cieszę, że ktoś jest w środku. Zmarzłam na kość.

– Och, biedactwo. Zrobię ci gorącej herbaty – powiedziała Ellen i ugryzła się w język, żeby nie dodać: „Co za brak rozsądku”. Kto wdaje się w kłótnię z chłopakiem w taki wieczór jak dzisiaj? Kto rusza przed siebie w mrok, w środku

burzy, żeby snuć się po lesie wśród grzmotów i błyskawic? Kto tak postępuje?

Nastolatki, pomyślała w następnej chwili, odpowiadając sobie na pytanie.

Ellen podeszła szybko do kuchennego zlewu i napełniła czajnik wodą.

– To potrwa tylko parę minut. – Obejrzała się przez ramię.

Dziewczyna stała w płaszczu, z którego ciekło na beżowy chodnik, rozglądając się i szacując wzrokiem otoczenie. Przypominała Ellen Czerwonego Kapturka.

– Pozwól, odwieszę to – zaproponował Stuart, i dziewczyna szybko zdjęła płaszcz, spod którego wychynęła szczupła sylwetka ubrana w białą trykotową koszulkę i dżinsowe szorty. Na jej ramieniu wisiała duża drelichowa torba.

Ellen dostrzegła długie nogi dziewczyny, jej pełne piersi i duże oczy. Te oczy zdecydowanie stanowią jej największy atut, pomyślała, bo reszta twarzy dziewczyny wydawała się dość nijaka: długi nos, wąskie usta. Oczywiście, trudno wyglądać znakomicie, kiedy ocieka się wodą. Ellen uznała, że jest wobec niej zbyt krytyczna. Obaj synowie czasami oskarżali ją o nadmiar krytycyzmu. Postanowiła przybrać życzliwszą postawę.

– Przyniosę ci coś do wytarcia.

Poszła do łazienki i wróciła z puszystym białym ręcznikiem kąpielowym.

Dziewczyna już siedziała skulona na sofie, gołe stopy podwinęła pod uda. Mokre sandały stały przed nią na podłodze, obok nich leżała drelichowa torba. Stuart zasiadł w krytym granatowym welwetem fotelu naprzeciw niej, oczy miał pełne typowo ojcowskiej troski. Z nas dwojga zawsze był sympatyczniejszy, pomyślała Ellen, zdając sobie sprawę, jak bardzo na nim polegała, kiedy podczas tych pięćdziesięciu spędzonych razem lat trzeba było łagodzić rozmaite sytuacje.

– Piękny ten domek – zagaiła dziewczyna, wysuwając stopy spod siebie i biorąc ręcznik z wyciągniętych dłoni Ellen. – Naprawdę ładnie go państwo urządzili. Bardzo mi się podoba ten kominek. – Zaczęła wycierać końcówki długich włosów. – Dziękuję.

Ellen próbowała nie zauważać, że dziewczyna stopami brudzi jej sofę i że pod cienkim białym podkoszulkiem nie nosi stanika. Jestem po prostu zazdrosną starą jędzą, upomniała się, wspominając, że kiedyś też miała takie pełne, jędrne piersi, jak te swobodnie tu teraz eksponowane.

– Nazywam się Ellen Laufer – wydusiła z siebie. Nie mogła powstrzymać myśli, że może gdyby była sympatyczniejsza w stosunku do Katariny, życzliwsza wobec wszystkich żon swoich synów, dzisiaj miałyby nieco bardziej zażyły kontakt z własnymi wnukami. – A to mój mąż Stuart.

– Proszę mi mówić Nikki. – Dziewczyna uśmiechnęła się i dalej wycierała ręcznikiem włosy. – Przez dwa k. Podoba mi się to imię. A wam? Nie macie państwo czasem suszarki do włosów?

– Nie, przykro mi – skłamała Ellen, ignorując pytające spojrzenie Stuarta.

Dać dziewczynie ręcznik i kubek herbaty to jedna sprawa, milcząco odpowiedziała wzrokiem Stuartowi, ale wystarczy tego dobrego. Poza tym, co ma znaczyć to: „Proszę mi mówić Nikki”? Ma tak na imię czy nie?

– Chce pani powiedzieć, że ten skręt jest naturalny? – spytała Nikki. – Wspaniałe loki.

– Dziękuję. – Ellen dotknęła jasnych włosów, nad którymi biedziła się dziś rano pół godziny za pomocą lokówki, i z miejsca ogarnęło ją poczucie winy. Trzeba było pozwolić jej skorzystać z suszarki, pomyślała. Co się ze mną dzieje?

– Ta woda chyba się już zagotowała? – dodała Nikki.

– O, tak. Na pewno tak.

Ellen zawróciła do kuchni. Dziewczyna najwyraźniej nie wstydzi się prosić o to, czego chce, pomyślała, wyjmując kubek z sosnowej szafki i w drugiej szafce szukając herbaty w saszetkach. Zastanowiła się, ile czasu przyjdzie im odgrywać rolę gospodarzy wobec tego najwyżej szesnastoletniego gościa. Gdzie jest jej matka, na litość boską? Co jej odbiło, puszczając córkę pod namiot w góry Adirondack z jakimś młodzieńcem, który najwyraźniej nie miał nawet tyle zdrowego rozsądku, żeby poszukać schronienia przed deszczem?

– Którą wolisz? English breakfast czy red rose? Mam obie.

– Nie ma pani jakiejś owocowej? – spytała Nikki.

– A i owszem. Żurawina i brzoskwinia. To moja ulubiona.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Może być.

Ellen wrzuciła torebkę herbaty do kubka z wrzątkiem, myśląc o tym, że jej matka byłaby przerażona. Ileż to razy powtarzała córce, że prawidłowy sposób parzenia herbaty to pozwolić jej naciągać w czajniczku przez przynajmniej pięć minut? No cóż... Matka przecież od dwudziestu lat nie żyje, a czasy się zmieniły.

Od dawna już nasiąkam tą myślą, jak woda w kubku zabarwiająca się herbatą, myślała Ellen. Czy to rzeczywiście całe dwadzieścia lat?

– No i co z tą herbatą? – spytał Stuart, a Ellen raptownie wróciła do teraźniejszości. – Biedactwo zaczyna szczełować zębami.

– Mogę dostać do niej mleka? – spytała Nikki.

– Do owocowej? Naprawdę, moim zdaniem to nie bardzo pasuje...

– Ja wolę z mlekiem. Odtłuszczonym, jeśli można.

– Obawiam się, że mamy tylko dwuprocentowe.

– Och. – Kolejne wzruszenie ramion. – Niech będzie. I cztery łyżeczki cukru.

Ellen posłusznie dodała dwuprocentowego mleka i cztery łyżeczki cukru do i tak już słodkiej owocowej herbaty, a potem wróciła do salonu i podała Nikki duży błękitny kubek.

– Ostrożnie, jest gorąca. – Usiadła w wiśniowo-beżowym, miękko

wyściełanym fotelu obok męża i patrzyła, jak dziewczyna unosi ostrożnie kubek do ust. – Nie mam pojęcia, jak to smakuje. Jak możesz pić aż tak słodką?

– Babcia zawsze mi to powtarza. – Nikki upiła łyk, potem drugi.

– Twoja babcia to na pewno rozsądna kobieta.

– To wiedźma – odparła Nikki. A potem dodała: – A nie mają państwo herbatników czy coś?

„Jak to wiedźma?” – chciała zapytać Ellen.

– Na pewno mamy. – Stuart poderwał się na nogi, zanim żona zdążyła zadać swoje pytanie.

– Przepraszam, że tak zawracam głowę – powiedziała Nikki – ale nie miałam nic w ustach od lunchu i umieram z głodu.

– No, w takim razie może uda nam się znaleźć coś konkretniejszego niż herbatnik – stwierdził Stuart. – Mamy jeszcze w lodówce trochę wędliny, Ellen, prawda?

– Tak mi się wydaje – powiedziała Ellen, chociaż myślała: Ta wędlina to nasz jutrzejszy lunch. Teraz będę musiała jutro rano pojechać do Bolton Landing, żeby jej dokupić. Zakładając, że do jutra ten cholerny deszcz ustanie. I jak długo ona w ogóle zamierza tu siedzieć, ta dziewczucha, która z podobnym brakiem szacunku wyraża się o swoich starszych wiekiem krewnych? Tak, wiem, raczej nie możemy wysłać jej z powrotem w tę burzę, odpowiedziała w myślach Stuartowi, choć przecież nic nie mówił. Ale jeśli będzie lało całą noc? Co, jeśli ulewa potrwa kilka dni?

– Może powinnaś zadzwonić do rodziców – odezwała się do Nikki. Na pewno dziewczyna w tej drelichowej torbie ma komórkę.

– Po co?

– Żeby dać im znać, że nic ci nie jest. Zawiadomić, gdzie jesteś, powiedzieć, dokąd mają po ciebie przyjechać – dodała Ellen, starając się nie podkreślać zbyt tonem głosu ostatniego fragmentu wypowiedzi.

Nikki pokręciła głową.

– Nie-e. Poradzę sobie.

– Mamy pieczeń wołową i trochę wędzonego indyka – powiedział Stuart, z głową zanurzoną w czeluści lodówki.

– Ja to w sumie jestem wegetarianką – poinformowała go Nikki.

Ellen musiała przysiąc na własnych dłoniach, żeby nie złapać nimi niewdzięcznej pannicy za gardło.

– To co powiesz na grillowaną kanapkę z serem? – spytał Stuart miłym tonem, chociaż leciutkie pulsowanie na skroniach zdradzało, że też zaczynał tracić cierpliwość do nieoczekiwanego gościa.

– Może być – odparła Nikki. – Pewnie nieczęsto miewacie tu państwo odwiedziny.



– Dość rzadko – zgodziła się Ellen. – Ten dom stoi trochę na uboczu od utartego szlaku.

– No przecież! I nie boicie się mieszkać tu tak całkiem sami?

– Kawalek dalej, niedaleko stąd, jest jeszcze parę innych domów – stwierdził Stuart.

– To i tak kawał drogi. Gdzie wasz telewizor? – spytała nagle Nikki, znów rozglądając się po przestronnym wnętrzu.

– Nigdy nie przepadaliśmy za telewizją – wyjaśniła Ellen. Pewnie to kolejny powód, że wnuki nie przejawiają najmniejszej ochoty do wizyt.

– Mamy radio – zaproponował Stuart, wyjmując z lodówki kawałek cheddara, a ze stojącego na blacie pojemnika na pieczywo dwie kromki chleba. Zaczął smarować chleb masłem z obu stron. – Zresztą, jeśli naprawdę nam zależy, zawsze możemy coś obejrzeć na komputerze.

– Ja bym nie umiała żyć bez telewizora. Strasznie by mi się nudziło – stwierdziła Nikki. – Macie państwo chociaż strzelbę?

– A po co, u licha, byłaby nam strzelba? – spytał Stuart.

– No wie pan, dla ochrony.

– Dlaczego mielibyśmy jej potrzebować? – spytała Ellen.

– Wyraźnie nie słyszeliście o tych ludziach, których w zeszłym tygodniu zamordowali w Berkshires – powiedziała Nikki jak gdyby nigdy nic.

Nóż do masła wyślizgnął się z dłoni Stuarta. Rykoszetem odbił się od blatu, a potem spadł na podłogę, gdzie potoczył się po szerokich drewnianych deskach i znikł pod kuchenką.

– Jakich ludziach? – spytali z Ellen równocześnie, niemal jednym głosem.

– Tacy starsi państwo z Berkshires – odparła Nikki. – Mieszkali sami, całe mile od sąsiadów, zupełnie jak wy tutaj. Ktoś ich zmasakrował.

Ellen zdała sobie sprawę, że wstrzymuje oddech.

– Posiekali ich na kawałki – ciągnęła Nikki. – Paskudna sprawa. Policja mówi, że dom wyglądał jak rzeźnia. Wszędzie krew. Było o nich we wszystkich gazetach. Nie czytaliście tego?

– Nie – powiedziała Ellen, zerkając na męża oczyma, które mówiły: „Pozbądź się tej dziewczyny z mojego domu, i to natychmiast!”.

– Straszna sprawa. Podobno ci mordercy, chociaż nie wiadomo kto to był, prawie odcięli tamtemu panu głowę. Proszę, chcą państwo o tym poczytać? – Dziewczyna podniosła z podłogi drelichową torbę i pogrzebała w niej, a potem wyjęła schludnie złożoną gazetę. Uważnie ją rozłożyła i wręczyła Ellen.

Ellen zerknęła na dramatyczny nagłówek: „Para emerytów brutalnie zamordowana w domu na odludziu!” i towarzyszące mu ziarniste czarno-białe zdjęcie, przedstawiające dwa worki ze zwłokami ułożone na noszach, w otoczeniu policjantów o ponurych minach.

– Po co ty coś takiego ze sobą nosisz? – zapytała.

Nikki wzruszyła ramionami.

– I co z tą kanapką, Stuart? Trzeba ci pomóc? – Podniosła się z sofy i ruszyła do kuchni.

Co się tutaj wyprawia? Ellen starała się nie wpadać w panikę.

– Moim zdaniem należałoby zadzwonić do twoich rodziców – usłyszała własne słowa, pełne nieoczekiwanej niepewności.

– Nie mogę. Nie mam tu zasięgu na komórce, a wasz telefon nie działa.

Zapadła chwila milczenia.

– Skąd wiesz, że nasz telefon nie działa? – spytała Ellen.

Nikki uśmiechnęła się słodko.

– Och. Bo mój chłopak przeciął kable. – A potem pomaszerowała zdecydowanym krokiem do drzwi i je otworzyła.

W drzwiach stanął młody człowiek. Jak na umówiony znak, zygzak błyskawicy przeciął niebo, oświetlając zimne spojrzenie jego oczu, okrutny uśmieszek na wargach i błyszczące ostrze trzymanej w ręku maczety.

– Cześć, kochanie – powiedziała Nikki i zachichotała, gdy młody człowiek bez wahania wszedł do domu. – Pozwól, że ci przedstawię jutrzejsze wycinki prasowe.

Stuart rzucił się w stronę szuflady, gdzie trzymali kuchenne noże, ale mimo lat regularnych treningów z łatwością uległ młodszemu mężczyźnie, którego maczeta cięła jego pomarszczony kark jednym płynnym, niemal eleganckim ruchem.

– Ellen... – zdążył powiedzieć Stuart. Temu jednemu słowu towarzyszyło bulgotanie z podciętego gardła. Osunął się na ziemię, a napastnik rzucił się na niego, tnąc bezwładne ciało maczetą jak popadnie. Oczy Stuarta, niegdyś takie żywe, wpatrzyły się nieruchomo w sufit.

– Stuart! – krzyknęła Ellen, okręcając się bezradnie wokół własnej osi.

Wiedziała, że nie ma dokąd uciec. Poczowała za sobą obecność dziewczyny, a potem jej ręce w swoich włosach. Nikki odciągnęła głowę kobiety w tył, eksponując żyły na szyi ostrzu kata. Ellen poczuła, że coś przecina jej gardło. Z przerażeniem patrzyła na strumień krwi, który trysnął z rany imponująco szerokim łukiem.

Pięćdziesiąt wspólnych lat, pomyślała. Taki szmat czasu. A potem nagle, bez ostrzeżenia, koniec. Za dużo w tym szalu, żeby miało długo trwać, przypomniała sobie wcześniejsze słowa męża na temat burzy.

Osunęła się na kolana, w duchu pożegnała się z synami, a potem pokój przewrócił się do góry nogami. Ostatnim, co zobaczyła, zanim nóż zadał jej pchnięcie, po którym już na wieczność zamknęła powieki, była ciepła i kochająca twarz matki.



# 1

– Brianne! – zawołała Valerie u stóp schodów. – Jak ci idzie tam na górze?  
Cisza.

– Brianne! – zawołała ponownie. – Już niemal jedenasta. Twój ojciec zaraz tu będzie.

Nadal żadnej reakcji. Valerie nawet się nie zdziwiła. Córka rzadko odpowiadała przed przynajmniej trzecim ponagleniem.

– Brianne! – Sumiennie dostosowała się do oczekiwań. – Jak ci idzie pakowanie?

Odgłos otwieranych drzwi, szybkich kroków w holu na górze, zamazana plama długich do ramion ciemnych włosów, długie i szczupłe nogi, a potem koronkowe, szokująco mocno wycięte majtki i biustonosz push-up do kompletu, całe połacie nagiej skóry niezastłoniętej bielizną i wreszcie widok zaciśniętych w pięści dłoni, opartych ze znajomym zniecierpliwieniem na szczupłych biodrach.

– Szłoby mi nieźle, gdybyś mi ciągle nie przerywała! – Głos Brianne potoczył się po wyłożonych zieloną wykładziną schodach, omal nie zbijając Valerie z nóg siłą wyraźnej pogardy.

– Nawet się jeszcze nie ubrałaś – wypaliła Valerie. – Twój ojciec...

– ...spóźni się – uzupełniła córka z tą mało uprzejmą pewnością siebie, jaką posiadają jedynie szesnastoletnie dziewczynki. – Zawsze się spóźnia.

– To długa droga – tłumaczyła Valerie. – Mówił, że chce dojechać na miejsce przed kolacją.

Ale Brianne już znikła ze szczytu schodów. Parę sekund potem Valerie usłyszała odgłos zatraskiwanych drzwi pokoju córki. – Nawet się jeszcze nie ubrała. Świetnie. Po prostu świetnie – szepnęła w stronę ścian barwy skorupki jajka.

Pakować się pewnie też jeszcze nie zaczęła. Teraz Valerie będzie musiała zabawiać swojego wkrótce byłego męża i jego nową narzeczoną, póki córka się nie wyszykuje. Co w sumie mogłoby zadziałać na jej korzyść, pomyślała, bo Evanowi zdarzało się dawać ostatnio do zrozumienia, że z kochaną Jennifer nie wszystko układa się jak trzeba, a on być może popełnił największy błąd swojego życia, odchodząc od Valerie.

Valerie pomyślała, że nie byłby to pierwszy raz, kiedy popełniał ten sam konkretny błąd. Podeszła do frontowych drzwi swojego nowoczesnego domu przy Park Slope, z cegły i szkła, otworzyła je i rozejrzała się w górę i w dół modnej brooklyńskiej ulicy, wypatrując nadjeżdżającego samochodu męża. Evan już raz

kiedyś ją zostawił. Uciekł z jedną z jej druzhen na kilka dni przed planowanym ślubem. Sześć tygodni później wrócił, zarzucił ją pokornymi przeprosinami i błagał, żeby dała mu jeszcze jedną szansę. Ta dziewczyna nic dla niego nie znaczyła, przysięgał. Po prostu zdenerwował się i stchórzył.

– Już nigdy nie popełnię takiego głupstwa – twierdził.

Tyle że, oczywiście, popełnił.

– Tylko jednej kobiety potrzebuję, ciebie – zapewniał.

Tyle że, oczywiście, potrzebował wielu.

W ciągu osiemnastu spędzonych wspólnie lat Valerie domyślała się przynajmniej tuzina romansów. Na wszystkie przymykała oko, w jakiś sposób zdoławszy sobie wmówić, że mąż nie kłamie, ilekroć dzwoni i uprzedza, że będzie pracował do późna, albo że pilne spotkanie zmusza go do odwołania lunchu, na który byli umówieni. Zaniepokojonym przyjaciółom, którzy poinformowali ją, że widzieli Evana w popularnej restauracji na Manhattanie, z nosem wtulonym w kark jakiejś młodej brunetki, wpierała nawet, że to nic takiego. „Znacie Evana – mawiała z pełnym przekonania śmiechem. – Po prostu straszny z niego flirciarz. To nic nie znaczy”.

Słowa powtarzane tyle razy, że sama niemal zdołała w nie uwierzyć.

Niemal.

A potem wróciła pewnego popołudnia do domu, zmęczona i przygnębiona po całym dniu użerania się z matką, która uparcie odmawiała zmierzenia się ze swoim alkoholowym problemem, i znalazła Evana w łóżku z pewną młodą kobietą, którą ostatnio zatrudnił, żeby zaprojektowała nową kampanię reklamową dla jego sieci modnych hoteli butikowych. Nogi dziewczyny, jędrne i zgrabne, unosiły się wysoko ponad jego szerokimi ramionami i oboje byli zupełnie nieświadomi niczego oprócz własnej dziarskiej gimnastyki. Ona zaś, raz na zawsze, wyleczyła się ze ślepoty.

Nawet wtedy to on zdecydował, że odejdzie.

Powinam go nienawidzić, pomyślała Val.

A jednak okropna, niewybaczalna prawda wyglądała tak, że nadal go kochała, że nadal się modliła, żeby Evan oprzytomniał, jak po tej ucieczce zaledwie parę dni przed ślubem. I żeby do niej wrócił.

Co jest ze mną nie tak?

To moja własna przeklęta wina, skarciła się teraz ostro. Wiedziałam, jaki jest, kiedy za niego wychodziłam. Od pierwszej chwili, kiedy dostrzegłam go w holu niewielkiego schroniska w Szwajcarii, opalonego, wysportowanego i brylującego przed buzującym kominkiem, otoczonego przez wpatrzone w niego narciarskie króliczki, wiedziałam, że ten facet oznacza kłopoty. Dokładnie taki typ mężczyzny, jakiego do tej chwili, przez całe swoje dwadzieścia jeden lat życia, starannie unikała. Mężczyzna zdolny do wielkich gestów i aktów małostkowego

okrucieństwa, równie czarujący jak mało subtelny. Dobrze znała ten typ, przecież przez takiego samego mężczyznę została wychowana.

– To nic nie znaczy – powtarzała przyjaciółom te same słowa, które kiedyś słyszała od matki.

No cóż, może dla mężczyzn takich jak jej ojciec, mężczyzn takich jak Evan, to nie miało żadnego znaczenia, Val nawet to rozumiała. Ale dla kobiet, które ich kochały, miało to znaczenie zasadnicze.

I wreszcie: dokąd je prowadziły ten cały hart ducha i wyrozumiałość?

Donikąd.

I tak zostawały porzucone.

Przyjaciele zbiorowo odetchnęli z ulgą po odejściu Evana.

– To debil – oświadczyła Melissa, najbliższa przyjaciółka Val.

– Nie zasługuje na ciebie – zgodził się ich wspólny kumpel James. – Wierz mi, tylko lepiej na tym wyjdiesz.

Matka była zbyt pijana, żeby powiedzieć cokolwiek.

Val nadal pamiętała zboląły wyraz twarzy matki, kiedy ojciec zakomunikował, że zostawia ją dla jednej ze swoich o wiele młodszych zdobyczy.

– To nic nie znaczy. On wróci – zapewniała matka Valerie i jej młodszą siostrę Alice.

Ale on nigdy nie wrócił. Ożenił się ponownie i spłodził jeszcze dwójkę dzieci, też dwie dziewczynki, które zastąpiły mu tak łatwo porzucone córki. Matka Val tymczasem stopniowo zmieniała się z pogodnej, ujmującej kobiety w pozbawioną radości życia, zgorzkniałą starą wiedźmę, której głównym źródłem pociechy stała się butelka. Czy tego Val chciałaby dla Brianne?

– Brianne, trzeba ci pomóc?! – zawołała, zamykając frontowe drzwi przed dotkliwym lipcowym upałem i zawracając do stóp schodów.

Evan w ramach rozwodu zaoferował jej w zasadzie wszystko, czego chciała – ten dom, białego półterenowego lexusa, pokaźne alimenty, bardziej niż szczodłą kwotę na utrzymanie dziecka. Już parę dni po wyniesieniu się z ich wielkiego domu na Brooklynie zadomowił się w niewielkim własnościowym mieszkaniu Jennifer na Manhattanie, na pozór bez najmniejszego dyskomfortu.

Powinnam go nienawidzić, znów pomyślała Val.

Odkryła jednak, że nie przestaje się kochać kogoś, kogo się kochało przez niemal pół swojego życia, tylko dlatego, że ten ktoś źle cię potraktował, niezależnie od tego, czy się powinno, czy nie. Mimo wszystko to niesprawiedliwe, żeby kobieta obchodząca czterdzieste urodziny schła z tęsknoty za mężczyzną, który otwarcie ją zdradził, zupełnie jak beznadziejnie zakochana nastolatka, płacząca za pierwszym lepszym chłopakiem, który sobie poszedł precz.

Choć przecież on żadnym pierwszym lepszym nie był. Był jej mężem od niemal dwudziestu lat, jej mężem jeszcze przez przynajmniej kolejny miesiąc, aż



przeprowadzą formalny rozwód, mimo że już zdążył się zaręczyć z kimś innym. Był miłością jej życia, mężczyzną, z którym wiele razy objechała świat, z którym skakała z nartami z helikoptera w szwajcarskich Alpach, z którym jeździła na spływy górskie do Colorado, z którym weszła na szczyt Kilimandżaro.

– Jedyna kobieta, która potrafi dotrzymać mi kroku – powtarzał. Ile razy?

To w trakcie pieszej włóczęgi po Adirondack ona nagle przyklęła na jedno kolano i zaskoczyła ich oboje oświadczynami.

– A co, u diabła! – zawołał i roześmiał się. – To będzie przygoda.

I z pewnością była to przygoda, pomyślała teraz Val, usiłując – bezskutecznie – nie poddawać się nostalgii. Kilka pierwszych lat przed narodzinami Brianne minęło w tak zawrotnym pędzie, że stosunkowo łatwo było nie zauważyć, jak Evan rzuca okiem na boki, łatwo wmawiać sobie, że coś jej się ubrdało, a kiedy to przestało działać, przypisywać sobie przynajmniej część odpowiedzialności za jego postępowanie, postanawiać, że będzie się bardziej starała, będzie bardziej godna pożądania, bardziej dostępna, bardziej... Taka, jaką najwyraźniej nie była. I przez cały czas tłumaczyła sobie, że nie liczy się nic poza tym, że on tylko ją jedną kocha naprawdę i nieważne, jak często i jak daleko skacze w bok, bo zawsze będzie do niej wracał.

Evan nie jest taki jak jej ojciec.

Ona nie jest taka jak jej matka.

A jednak Val z rozpaczą zdała sobie sprawę, że mimo wszystko wpadła w tę samą pułapkę co matka, więc z tym większą determinacją postanowiła reagować inaczej, nie poddawać się i walczyć o swojego mężczyznę wszystkimi siłami. Nie pozwoliła nawet, żeby ciąża ją w jakiś sposób ograniczyła, i dogadzała Evanowi w jego zamiłowaniu do podróży i niebezpieczeństwa. Nadal ściagała się z nim w dół najbardziej stromych stoków i na szczyty najwyższych wzniesień. Pierwsze urodziny córki przegapiła, żeby mu towarzyszyć podczas wyprawy w Himalaje. Usprawiedliwiała ten wyjazd, wmawiając sobie, że mąż stoi na pierwszym miejscu, że dla rocznego dziecka jeden dzień nie różni się od drugiego, że urzędzą Brianne urodziny po powrocie do domu. Napisała nawet o ich wyprawie artykuł, który został później opublikowany w dziale podróży w „New York Timesie”.

Okazał się on zaczątkiem niespodziewanej i niezwykle udanej kariery, która równie nagle i niespodziewanie utknęła w martwym punkcie tego dnia, gdy Val wróciła do domu wcześniej po trudnym dniu użerania się z matką i zastała Evana w łóżku, dzielnie sobie poczynającego z nadobną Jennifer.

To moja wina, powiedziała sobie wtedy Val. Zrobiłam się nieuważna, zbyt pewna swego. W miarę jak lata mijały, a Brianne rosła, z niemowlęcia stając się potrzebującą matki małą dziewczynką, Val coraz gorzej znosiła rozłąkę z córką. Dreszczyk niebezpieczeństwa przestał mieć ten sam urok, co kiedyś. Była teraz matką. Miała obowiązki. Miała nawet własną karierę. Tu już nie chodziło

wyłącznie o nią samą.

Tyle że nigdy o nią samą nie chodziło. Wszystko kręciło się wokół Evana.

Zawsze wokół Evana. Nawet teraz.

Jak do tego doszło?

Val nie była jakąś niemądrą dziewczyneczką. Nie narzekała, nie mazgiała się. Całkowicie kontrolowała każdy aspekt własnego życia, poza jednym – Evanem. No i może matką. No dobrze, zatem poza dwoma aspektami swojego życia. To znaczy trzema, poprawiła się teraz, myśląc o Brianne.

– Brianne! – krzyknęła w stronę schodów z nową energią, chcąc uciszyć własne myśli. – Rusz się!

Zadzwoił telefon.

Mam nadzieję, że dzwoni do mnie matka z urodzinowymi życzeniami, pomyślała Valerie, przechodząc przez frontowy hol w stronę kuchni na tyłach domu, całej w nierdzewnej stali. Czy to możliwe, że naprawdę pamiętała? Val pokręciła głową. Już raczej dzwoni z pytaniem, czy w drodze na Manhattan Val mogłaby jej podzucić kilka butelek merlota.

Słońce zdołało chwilowo przebić się przez ciężkie deszczowe chmury, które wisiały nad okolicą przez większość tygodnia, i świeciło teraz przez wysokie na dwa piętra okno, stanowiące całą zachodnią ścianę kuchni. Val miała nadzieję, że to nareszcie koniec deszczu. Góry Adirondack były niezaprzeczalnie piękne, ale biwakowanie pod namiotem w deszczu nie należało do wielkich przyjemności, a w przeciwieństwie do Val, Brianne w najlepszym wypadku biwaki ledwie tolerowała.

– I po co ja mam w ogóle jechać i łaźić po tych głupich górach? – jęczała od tygodni. – O wiele bardziej wolałabym jechać do miasta z tobą i twoimi przyjaciółmi, iść na zakupy, obejrzeć parę filmów...

– Ja też bym wolała, kochanie – odpowiadała Val szczerze.

Ostatnio Brianne tak rzadko wyrażała zainteresowanie robieniem czegoś wspólnie z nią. Była w tym wieku, w którym w najlepszym razie uważa się matkę za zło konieczne, a w najgorszym za wrzód na tyłku, i zdawało się, że już w ogóle nie spędzają wspólnie czasu. Te chwile zaś, które jednak ze sobą spędzały, były pełne nieprowadzących donikąd sprzeczek i wyczerpujących konfrontacji, po których Val z rozpaczą zastanawiała się, kim jest to dziwne i uparte stworzenie, i co zrobiło z jej córką. Brianne dorastała i odsuwała się od niej w tak szybkim tempie, że miło byłoby mieć ją przy sobie w ten weekend, kiedy będzie obchodziła swoje urodziny. Mogłyby obie wykorzystać ten czas, żeby się na nowo do siebie zbliżyć.

– Ja nadal nie rozumiem, dlaczego mam jechać na tę głupią wycieczkę – narzekała znów teraz Brianne.

– Bo twój ojciec chce cię zabrać na wędrowną w góry z...

– Z tą dziwką? – spytała Brianne z uśmiechem, czekając na reakcję matki. – Nie rób takiej zgorzzonej miny. Sama ją tak nazywasz.

Val w milczeniu obiecała sobie, że przestanie w ten sposób określać Jennifer. A przynajmniej wtedy, kiedy córka będzie w pobliżu.

– Halo? – odezwała się teraz, podnosząc słuchawkę i czujnie nasłuchując znajomego bełkotu matki. Zamiast tego usłyszała Evana.

– Cześć, ty – pozdrowił ją tak samo, jak to robił przez telefon od dwudziestu lat. Niezobowiązująco, a jednak intymnie. Intymnie, a jednak niezobowiązująco.

Jak ich małżeństwo w pigułce.

– Cześć – odparła Val, bojąc się dodać coś więcej. Wyobraziła sobie swojego wkrótce już byłego męża, siedzącego za kierownicą nowego czarnego jaguara, z miękkimi, ciemnymi włosami opadającymi na jasnoniebieskie oczy, z pełnymi wargami układającymi się w swobodny uśmiech, z jedną dłonią na kierownicy, a drugą wsuniętą pod spódnicę Jennifer. – Jakiś problem? – spytała, wypędzając ten obraz z myśli.

Roześmiał się.

– Jestem aż tak przejrzysty?

To część twojego uroku, pomyślała Val, ale tego nie powiedziała. Zamiast tego stwierdziła:

– Spóźniasz się.

– Jeszcze jakieś pół godziny.

Val natychmiast to podwoiła. Pół godziny według Evana oznaczało godzinę na zegarkach wszystkich innych ludzi.

– Dobrze. Powiem Brianne.

– Powiedz jej, że pojawił się pewien problem i...

– ...i musisz się z nim uporać – dokończyła za niego Val, wyuczywszy się tej roli na pamięć już wiele lat temu.

– Przyjadę, jak tylko będę mógł.

– Powiem jej.

– Dziwnie będzie – dodał głosem cichnącym do szeptu.

– Ale że co?

Westchnienie. A potem:

– Jechać tam bez ciebie. Nie obchodzić razem twoich urodzin.

Val nic nie odpowiedziała. Nie mogła mówić, po tych jego słowach zaparło jej dech.

– Val?

– Powiem Brianne, że będziesz tu za pół godziny. – Val rozłączyła się, zanim któreś z nich zdołało cokolwiek dodać. Co on chciał jej przez to powiedzieć?

– Co robisz? – spytała nagle Brianne.

Val obróciła się na pięcie. Córka stała przed nią, nadal ubrana wyłącznie

w bieliznę.

– Wszystko w porządku? – ciągnęła Brianne. – Coś stało się babci?

– Co? Jezu, skąd ci to przyszło do głowy?

– Bo coś jest wyraźnie nie halo. Stoisz tu od dziesięciu minut z ręką na telefonie i się nie ruszasz.

– Nieprawda.

– Tak, prawda. Obserwowałam cię.

Val chciała już ponownie gwałtownie zaprzeczyć, ale, zerknąwszy na zegarek, zdała sobie sprawę, że córka ma rację. Co to miało znaczyć? Że teraz Evan ma moc zatrzymywania czasu w miejscu?

– Twojej babci nic nie jest.

Brianne wzruszyła ramionami.

– No to kto dzwonił?

– Twój ojciec. On...

– ...już nie jest twoim problemem – przypomniała jej Brianne.

– Spóźnia się – ciągnęła Val, ignorując uwagę córki.

– Niech zgadnę. Pojawił się pewien problem...

– ...z którym trzeba się uporać. – Matka i córka dokończyły razem, a potem zaśmiały się, co zdarzało im się ostatnio coraz rzadziej. Przynajmniej jednocześnie.

– Będzie tu za pół godziny – dodała Val.

– Jasne.

– Powinnaś się ubrać, tak na wszelki wypadek.

Odezwał się dzwonek u drzwi. Val obróciła głowę w stronę tego dźwięku. Czyżby James i Melissa już się tu pojawili? Czy to może być Evan? Zerknęła na swoje odbicie w czarnej szybie piekarnika. Trzeba było umyć włosy, pomyślała. Trzeba było trochę się umalować.

– Dobrze wyglądasz – powiedziała Brianne, jakby czytając w myślach matki.

– Poza tym to tylko Sasha.

– Kto?

– Sasha – powtórzyła Brianne, ruszając z kuchni w stronę drzwi. Jej okrągły tyłeczek stanowił idealne koło przecięte na dwie cudownie wysoko sklepione połówki.

Ja się zastrzelę, pomyślała Val, ruszając jej śladem.

– Kto to jest Sasha?

– Moja przyjaciółka, która pracuje w Lululemon. Poznałaś ją parę tygodni temu. Nie, no serio, mamó. Nigdy nie pamiętasz żadnych moich przyjaciółek.

Val już miała zaprotestować, ale zdała sobie sprawę, że Brianne ma rację. Nie nadążała spałamiętywać koleżanek córki, bo zmieniały się równie często, jak jej nastroje. Jednego dnia jej najlepszą przyjaciółką była Kelly, następnego Tanya, potem Paulette, potem Stacey. A teraz ta jakaś Sasha pracująca w Lululemon. Val

jak przez mgłę przypominała sobie ładną dziewczynę z długimi do talii jasnymi włosami, która obsługiwała je parę tygodni wcześniej, kiedy pojechały na Manhattan kupować stroje na siłownię. Co ona tu teraz robi?

– Co ona tu teraz robi? – Val usłyszała własny głos.

– Oddaje mi mojego blackberry’ego.

– Ale dlaczego ona ma twojego blackberry’ego?

– Zostawiłam go któregoś dnia w sklepie.

– A co ty robiłaś na Manhattanie?

– Przymierzałam parę rzeczy.

– I posiałaś blackberry’ego? Czy ty masz pojęcie, ile on kosztuje? Nie możesz być tak beztroska.

– Ale po co tyle gadania? Zostawiłam telefon, Sasha go znalazła. I była na tyle miła, że zaproponowała, że mi go tu podrzuci w drodze do pracy. – Brianne otworzyła drzwi na oścież, skutecznie ucinając dalszą dyskusję.

Na widok Sashy pierwszą myślą Val było to, że dziewczyna jest i ładniejsza, i starsza, niż to zapamiętała. Miała na sobie limetkowej barwy koszulkę i czarne spodnie do jogi, podkreślające jej wyraźne krągłości. Przynajmniej osiemnaście lat, może nawet bliżej dwudziestu, oszacowała Val. Dlaczego miałyby chcieć się przyjaźnić z kimś, kto ledwie skończył szesnaście?

– Właż – powiedziała Brianne, wpuszczając ją do środka. – Jeja. To twój samochód? – Machnęła ręką w stronę jaskrawopomarańczowego mustanga z lat sześćdziesiątych, który stał zaparkowany tak daleko od krawężnika, że wyglądał, jakby go porzucono na środku jezdni.

– Czadowy jest, nie?

– Totalnie czadowy. Strasznie mi się podoba ten kolor.

– Może powinnaś go zaparkować nieco bliżej krawężnika – podsunęła Val.

– Nic mu nie będzie tam, gdzie stoi – odparła Brianne. A potem, z teatralnym westchnieniem, dodała: – Pamiętasz moją matkę.

– Cześć, Valerie – powiedziała Sasha, odrzucając za ramiona swoje długie, jasne włosy.

Val musiała przygryźć dolną wargę, żeby powstrzymać się od stanowczej uwagi, że woli, by zwracać się do niej „pani Rowe”. Napomniała się, że już wkrótce panią Rowe być przestanie, a potem naszła ją jeszcze bardziej niepokojąca myśl: to kim wtedy będzie?

– Witaj, Sasha. Miło cię znów widzieć.

– Jak wam się sprawdzają te stroje, które kupiłyście? Świetne są, nie?

– Tak, one...

Ale Sasha już zdążyła skupić pełną uwagę na Brianne.

– No popatrz tylko na siebie – mówiła. – Ależ ty masz ładne ciało.

– Skąd – zaprotestowała Brianne. – Muszę zrzucić trzy kilo.

– Co takiego? – ocknęła się Val.

– A poza tym zrobię sobie nos.

– Niczego nie zrobisz temu nosowi – oświadczyła Val z większą gwałtownością, niż zamierzała. Ile razy Melissa ostrzegła ją, że takie oświadczenia lepiej puszczać mimo uszu?

– Jest za długi. Nie pasuje mi do twarzy. – Brianne skinęła na Saszę, żeby poszła za nią na górę.

– Z twoim nosem wszystko jest w absolutnym porządku! – zawołała w ślad za dziewczyną Val.

– Jest za długi i za szeroki. Dam go sobie poprawić – powtórzyła Brianne, nawet się nie odwracając.

Val stała bez ruchu u stóp schodów. Usłyszała trzaśnięcie drzwi pokoju Brianne. Próbowwała zwalczyć chęć do płaczu. Kto napchał głowę jej córki tymi głupimi pomysłami?

Pewnie ta sama kobieta, z którą jej córka spędzi następne trzy dni na biwaku w Adirondack.

No cóż, niezupełnie na biwaku. Hotel w Shadow Creek raczej nie przypominał namiotowiska pod gołym niebem. Val westchnęła, wspominając czasy, kiedy zatrzymywała się tam z Evanem, i ten poranek, kiedy niespodziewanie przykłęknęła i poprosiła, żeby żyli razem długo i szczęśliwie.

„Dziwnie będzie jechać tam bez ciebie. Nie obchodzić razem twoich urodzin”, powiedział przez telefon Evan.

Co tak naprawdę mówił? Że chciałby wrócić i wymazać, co zrobił? Że wystarczy, żeby Val powiedziała jedno słowo, a on powie słodkiej, dziwkowatej Jennifer, że przykro mu, ale nie ma już dla niej czasu? Że mimo wszystko kocha żonę? Że żona jest jedyną kobietą, którą kiedykolwiek naprawdę kochał? Że nie może sobie wyobrazić wyjazdu do Shadow Creek bez niej? Że nigdzie nie chce już nigdy wyjeżdżać bez niej? Że chce wyłącznie wrócić do domu?

– I jeszcze co – powiedziała Val, zapożyczając od córki jedno z jej ulubionych wyrażonek. – Boże, ależ ty jesteś żalosna. – Mimo to, idąc na górę, postanowiła, że nieco się umaluje i przeczese włosy, zanim przyjedzie Evan.



– Twoja mama jest zabawna – mówiła Sasha, kiedy Brianne domykała drzwi.

– Taa, po prostu boki zrywać. – Brianne wskoczyła na swoje nieposłane, wielkie łóżko, obok pustej torby podróżnej. Kołdra w poszwie w kwiatki wzbija się wokół niej jak czasza spadochronu.

– Fajny pokój. – Sasha rozejrzała się z uznaniem po przestronnej, lawendowo-białej sypialni, wyposażonej w najnowsze technologiczne gadżety: komputer na nowoczesnym biurku ze stali i szkła, ustawionym przy oknie, telewizor wysokiej rozdzielczości powieszony na ścianie. – No cóż, schludny to może nie do końca właściwe słowo.

Roześmiała się, obrzucając wzrokiem jasną fioletowo-różową wykładzinę, niemal w całości zasłaną rozrzuconymi ubraniami, zapomnianymi butami i najnowszymi pismami o modzie i celebrytach. Sasha podniosła z podłogi mocno sczytany egzemplarz *Zabić drozda*, otworzyła go i znowu się roześmiała.

– Widzę, że ktoś tu jest winien szkolnej bibliotece całkiem niezły grosz.

Cholera, pomyślała Brianne. Zamierzała zwrócić tę książkę przed końcem roku szkolnego, ale jakoś nie zdołała się do tego zabrać.

– Przeczytałaś to chociaż?

– Jakiś czas temu widziałam film w telewizji – przyznała z zakłopotaniem Brianne.

– Gregory Peck to niezłe ciacho.

– Ale trochę stary.

Głos Sashy nabrał znaczących tonów.

– Myślałam, że lubisz starszych facetów.

Brianne poczuła, że twarz zaczyna ją palić, i spróbowała grzbietem dłoni zetrzeć niechciany rumieniec z policzków. Rumieńce są dla głupich, małych dziewczynek. A ona zdecydowanie taka nie jest. Już nie.

– Skoro mowa o starszych facetach, to twój tata jest naprawdę seksowny – powiedziała Sasha, z roztargnieniem przeglądając się w lustrze zawieszonym na ścianie naprzeciwko łóżka i biorąc do ręki oprawione zdjęcie ojca Brianne, ustawione na blacie ręcznie malowanej toaletki.

– Raczej tak.

– Czy ja ci mówiłam, że znów przyszedł któregoś dnia do sklepu?

– Naprawdę? Super. Mówiłam mu, że macie trochę świetnych rzeczy, na które powinien rzucić okiem.

– Trzyma się w świetnej formie.  
– Dużo ćwiczy.  
– To widać. – Sasha odstawiła zdjęcie na toaletkę i wzięła do ręki mały flakonik perfum Prady. – O co chodzi z nim i tą jego dziewczyną?  
– Narzeczoną – poprawiła Brianne.  
– Nieważne. Była jakaś taka przylepna. Wieszala się na nim, jakby chciała powiedzieć: „Wara, suki. On jest mój”. Znasz ten typ. Cały czas pytała: „Co sądzisz o tym stroju, kochanie?” albo „Który kolor wolisz, kotku?”. Niedobrze się robiło.

– Ona nazywa go kotkiem? – Brianne też zrobiło się nagle trochę niedobrze.  
Sasha wzruszyła ramionami, skupiając uwagę na własnym odbiciu i uśmiechając się z milczącą aprobatą. Powąchała flakonik perfum, a potem otworzyła go i skropiła sobie miejsca za uszami, nie pytając nawet, czy może.

– Mmm, pachnie smakowicie. Drogie?  
– Chyba tak. – Brianne miała nadzieję, że w jej głosie nie słyhać poczucia winy. To były perfumy matki. Pożyczyła je któregoś wieczoru bez pytania i jakoś tak zapomniała oddać.

– Noo iii? – spytała Sasha, przeciągając słowa. Obróciła się na pięcie, żeby spojrzeć wprost na Brianne. – Nie udało nam się pogadać, kiedy byłaś w sklepie, a przecież nie tłukłam się całą drogę na Brooklyn tylko po to, żeby ci to oddać. – Rzuciła w ręce Brianne jej blackberry’ego. – Czekam...

Brianne szybko sprawdziła wiadomości w telefonie i uśmiechnęła się, widząc przynajmniej dziesięć nieodebranych połączeń. Wszystkie od niego.

– Co chcesz wiedzieć?  
– Wszystko – odparła Sasha ze śmiechem. – Co do najmniejszego szczegółu.  
– No cóż, tak w sumie... – zaczęła Brianne i też zaczęła chichotać. – Ten jego wcale nie jest taki mały.

Sasha aż pisnęła z zachwytu.  
– Ty świnko. Zeznawaj.  
– Brianne! – zabrzmiał nagle głos matki, przenikając przez zamknięte drzwi i odbijając się echem od ścian. – Jak ci idzie pakowanie?

– Och, na litość boską. – Brianne przewróciła oczami w stronę oprawionego plakatu na wpół gołej Lady Gagi na ścianie nad łóżkiem. – Prawie skończyłam! – odkrzyknęła, niedbałym gestem wrzucając kilka bawełnianych koszulek do torby. – Nie mogę się już doczekać, aż się wyprowadzę – stwierdziła, doskonale wiedząc, że to nieprawda.

– Nie dziwię ci się – powiedziała Sasha. – Jestem w zasadzie na swoim, odkąd skończyłam piętnaście lat. Rodzice stwierdzili, że jestem niereformowalna, cokolwiek to znaczy. Wysłali mnie do babci, żebym mieszkała u niej. W Kansas. W pytę daleko. Nie umiem ci nawet powiedzieć, jak okropnie tam było. Zupełnie

jak w wojsku. Uciekałam chyba z pięć razy. Ale potem zagrozili, że oddadzą mnie do poprawczaka, jeśli „nie opamiętam się i nie wyprostuję swoich ścieżek”. Tak, ludzie w Kansas naprawdę tak mówią. Tak czy inaczej – ciągnęła, przerzucając fale jasnych włosów z jednego ramienia na drugie – wytrzymałam do osiemnastki, zrobiłam maturę i uciekłam na dobre. Przyjechałam do Nowego Jorku. Znalazłam paru przyjaciół. Często zdarzało mi się waletować u kogoś na podłodze. Zaczęłam pracować, odłożyłam kasę, wynajęłam mieszkanie. W sumie to zwykła dziupla, ale hej, przynajmniej kochana mamusia nie mówi mi, jak mam żyć.

– Ale z ciebie szczęściara. – Brianne zerknęła w stronę drzwi, spinając się i nasłuchując kroków matki na korytarzu. Pogięło ją w ogóle czy jak? Jakoś szczególnie jej zależało, żeby narobić Brianne obciachu przed przyjaciółką? Chociaż mogło być gorzej, pomyślała Brianne, wyobrażając sobie babkę tłukącą się w pijanym widzie po swoim małym mieszkaniu. – Ona po prostu wpada w paranoję, że nie zdążę się spakować na czas i będzie musiała zabawiać mojego ojca.

– Ja bym chętnie się tym zajęła – odezwała się Sasha ze śmiechem.

– Proszę pobrać numerek. Kolejka ustawia się z prawej.

– Może po prostu nie spotkał jeszcze właściwej kobiety.

– Och, spotkał ją – powiedziała Brianne i zaskoczył ją nagły smutek we własnym głosie. – Tyle że nie umiał jej zatrzymać.

Duże, zielone oczy Sashy otworzyły się szeroko.

– Mówisz teraz o swojej matce?

– O Boże. Nie gadajmy o niej – jęknęła Brianne. – Myślałam, że chcesz posłuchać o tamtej nocy.

– I całkiem dobrze myślałaś. No to mów. Jak było? Nadawał się do czegoś?

– Był... – powiedziała Brianne, pokrywając mimowolne skrzywienie się wybuchem śmiechu. – Był najlepszy.

– Serio? Bo czasami, kiedy takie z nich ciacha, wyobrażają sobie, że wystarczy, jak się położą, a ty odwalisz za nich całą robotę.

– Wierz mi. Wcale nie tylko leżał.

– Dobra, dawaj szczegóły. Szczegóły! Duży był? Wiedział, co z nim robić? Ile czasu mógł? Dopieścił cię najpierw?

O Boże, pomyślała Brianne. Nie spodziewała się takiego przesłuchania. Jak dalece mogła zaufać Sashy? Ile jej mogła powiedzieć? Spojrzała w stronę drzwi, z nagłą nadzieją, że usłyszy głos matki. Oczywiście nic z tego, pomyślała. Zawsze się tu czai, ale nie wtedy, kiedy rzeczywiście jest potrzebna. To nieprawda, pomyślała uczciwie w następnej sekundzie, mimo wszystko zirytowana.

– I co, zrobiłaś mu loda? – dopytywała się Sasha.

Brianne poczuła nagłe ukłucie dumy.

– Powiedział, że najlepszego w życiu.

Sasha pokręciła lekceważąco głową.

– Oni zawsze tak mówią.

Naprawdę? – zastanowiła się Brianne, żałując, że ma mniej doświadczenia niż Sasha.

– Co jeszcze powiedział? Powiedział ci, że cię kocha?

– Nie.

Prawdę mówiąc, kiedy było po wszystkim, nie powiedział w zasadzie nic.

– No to gdzie to zrobiliście? Chyba nie tu!

– Nie. Kpisz sobie? Mama dostałaby zawału, gdyby wiedziała, że umawiam się z kimś takim.

– No przecież się w zasadzie nie umawiasz – powiedziała Sasha, specjalnie podkreślając ostatnie słowo. – O Boże, żebyś zobaczyła swoją minę! – pisnęła. – Masz na twarzy wszystkie odcienie czerwieni. Przepraszam. Uraziłam twoje uczucia? Nie chciałam.

– Nie uraziłaś.

– Żartowałam tylko. Sama wiesz. Jestem pewna, że on naprawdę cię lubi.

– Mówił coś? – spytała Brianne. Przecież to w końcu Sasha ich ze sobą poznała.

– Nie. Od tygodni go nie widziałam. – Sasha rozsiadła się na łóżku Brianne.

– No to dawaj. Opowiedz mi. Dokąd poszliście?

– Do niego.

– Niegrzeczna dziewczynka. Co powiedziałaś mamie?

– Że będę nocowała u takiej jednej koleżanki ze szkoły.

– I uwierzyła ci?

– A czemu miała nie wierzyć?

– Może dlatego, że kłamałaś? – Sasha odpowiedziała pytaniem.

– Umiem być całkiem przekonująca.

– No, ja się założę. Założę się, że skrywasz w sobie bardzo wiele niespodzianek.

– Może. – Kolejny przypływ niespodziewanej dumy.

– Zawsze te, które wyglądają najniewinniej, okazują się tymi, na które trzeba uważać.

– Matki łatwo dają się ogłupić – odparła Brianne.

– Nie moja – skontrowała Sasha. – Zawsze potrafiła przejrzeć mnie na wylot. Moja babcia też. „Myślisz, że kogoś nabierzesz?” – mawiała do mnie. A potem wymachiwała mi palcem tuż przed nosem. Miałam ochotę jej go odgryźć. Człowiek by sądził, że babcie powinny być miłe. No wiesz, piec ciasteczka i rozpieszczać cię prezentami.

– Moja babcia jest alkoholiczką – oświadczyła Brianne.

Sasha przełknęła tę ostatnią rewelację bez komentarza.

– No to ile razy to zrobiliście?

Brianne poczuła, że z niechęcią zaciska usta. Naprawdę nie miała już ochoty na ten temat rozmawiać.

– Jakoś tak przestałam liczyć. Pięć... Może sześć.

– Sześć razy? Żartujesz sobie? Kto da radę sześć razy?

– No może to było tylko cztery – szybko wycofała się Brianne.

Sasha parsknęła śmiechem.

– Przestań się wydurniać. Ile razy? Poważnie.

– Trzy – skłamała Brianne, udając, że zbiera jakieś kłaczki z kołdry. Miała nadzieję, że Sasha nie odziedziczyła po matce i babce ich zdolności do tropienia kłamstw. – Trzy razy było.

– O rany! I tak nieźle. Nie masz otarć?

– Troszkę. – W sumie całkiem sporo, pomyślała Brianne, chociaż to były tylko dwa razy, a za pierwszym poszło tak szybko, że nie była pewna, czy to się w ogóle powinno liczyć.

– Zobaczysz się z nim znowu?

– Jasne.

– Kiedy?

– Mam nadzieję, że w ten weekend.

– Myślałam, że jedziesz z tatusiem na łażenie po Adirondack w ten weekend.

– Taki jest plan.

– A plany się zmieniają – stwierdziła Sasha.

– Zwłaszcza kiedy chodzi o mojego ojca – przyznała Brianne. Przy jej łóżku zadzwonił telefon. Brianne wyciągnęła rękę i złapała słuchawkę jeszcze przed drugim dzwonkiem. – Halo?

– Cześć – usłyszała ten głos. Niski. Głęboki. Niebezpieczny.

Taki jak on, pomyślała Brianne.

– Cześć – odparła, czując, że serce bije jej szybciej, i ścisząc głos do szeptu.

– Czy to on? – spytała podekscytowana Sasha, szeroko otwierając oczy.

Brianne pokiwała głową, żałując teraz, że Sasha w ogóle do niej przysła.

– Co u ciebie? – spytał. – Esemesuję jak wariat...

– Zostawiłam blackberry'ego w Lululemon. Sasha właśnie mi go odniosła.

Jest teraz u mnie.

– Poczcwiwa Sasha. Powiedz jej cześć ode mnie.

– Mówi ci cześć – powtórzyła posłusznie Brianne.

– Sam się cześć, byczku.

– Co ona powiedziała?

– Też mówi cześć – przekazała Brianne, opuszczając ostatnie słowo Sashy i schodząc z łóżka. Podeszła do okna i spojrzała na jaskrawopomarańczowego

mustanga Sashy. Jakiś srebrzysty sportowy samochód nagle skręcił w ulicę i zatrzymał się mniej więcej w jej połowie. Brianne oparła czoło o szybę, usiłując wypatrzeć osobę za kierownicą.

– Jak u ciebie? – spytał.

– Dobrze.

– Jesteś pewna?

– Tak.

– Myślisz o tamtej nocy?

– Tak.

– Było całkiem ostro.

– Tak...

– To jak, ustawiamy się na ten weekend? – zapytał.

W tej samej chwili Brianne usłyszała jakieś kliknięcie na linii i zdała sobie sprawę, że ktoś podniósł inną z domowych słuchawek.

– Jedną chwileczkę – ostrzegła. – Halo? Halo? Mamo? To ty?

– Przepraszam – odezwała się natychmiast Val. – Myślałam, że to może twoja babcia.

– Muszę kończyć. Napisz mi esemesa później – rzuciła spanikowana Brianne i rozłączyła się. Ile czasu matka słuchała? Ile usłyszała? – Cholera.

Sasha natychmiast poderwała się na nogi.

– Twoja matka słuchała z drugiego telefonu? Kurde.

– Co ja mówiłam? Co mówiłam?!

– Nic – odparła Sasha. – Przysięgam. „Dobrze. Tak. Tak. Tak”. Naprawdę, strasznie to było wkurzające. Byłabyś świetną tajną agentką.

– Cholera – powtórzyła Brianne, słysząc kroki matki zbliżające się do sypialni.

– Brianne? – odezwała się matka, cicho pukając do drzwi. – Mogę wejść?

Otworzyła, zanim Brianne zdążyła zaprotestować.

– Przepraszam. Naprawdę nie zamierzałam podsłuchiwać – przeprosiła z miejsca. – Ja tylko...

– ...myślałam, że to babcia. Nie ma sprawy.

– Kto to był?

– Taki facet, którego znam ze szkoły.

– Wydawało mi się, że coś wspominał o weekendzie... Boże, czy ty widzisz ten pokój?! – wykrzyknęła Val. – Jak możesz kogoś tu wprowadzać? Co za bałagan. I nawet nie skończyłaś się pakować. Ciągłe jesteś tylko w bieliźnie. – Rozejrzała się bezradnie po sypialni, przenosząc spojrzenie z łóżka na podłogę, a potem na toaletkę. – Czy to moje perfumy?

– Spóźnię się do pracy – wtrąciła szybko Sasha, już w połowie drogi do drzwi. – Nie przejmujcie się mną, wiem, którądy na dół. Zadzwoń do mnie zaraz

po powrocie. Na razie, Valerie. Miło było znów cię zobaczyć. – Palcami przesłała całusa Brianne i wyszła.

– Nie wstyd ci wpuszczać tu znajomych? – pytała Val, a Brianne patrzyła przez okno, jak Sasha wsiada za kierownicę swojego pomarańczowego mustanga i pędem mija srebrny sportowy samochód, stojący na wolnym biegu w głębi ulicy.

– Nie zwracają uwagi na takie rzeczy.

– Na całej podłodze walają się ciuchy. Ta ładna bluzka... – powiedziała Val, schylając się, żeby ją podnieść. – Ta, którą po prostu musiałaś mieć. Błagałaś mnie, żebym ci ją kupiła. I te buty...

– Dobra, dobra, rozumiem. Jestem niechlujem. Posprzątam.

– I te džinsy. Markowe džinsy za trzysta dolarów...

– Miałam je spakować.

– I ta koszulka... – Val nagle urwała, przyjrzała się trzymanemu w rękę T-shirtowi i zbladła jak ściana. – Dobry Boże, co się stało tej koszulce?

– O co ci chodzi? Nic się nie stało.

– To co to jest? Przecież to krew.

Brianne próbowała wyrwać biały niegdyś T-shirt z rąk matki.

– No przecież że nie. Nie wygłupiaj się.

– To wygląda jak krew – odparła matka, wachając spore plamy. – Mój Boże, coś ty zrobiła? Przewróciłaś się? Skaleczyłaś?

– Nie. – Brianne okręciła się na pięcie. – Widzisz? Żadnych skaleczeń. Żadnych siniaków. Nic mi nie jest. Nie szalej. To nie krew.

– No to co to jest?

– Nie wiem. Musiałam się o coś oprzeć. Może mokra farba.

– Brianne...

– Wiesz, że mamy gościa? – Brianne znów wyjrzała przez okno, chcąc odwrócić uwagę matki.

– Co? Kogo? – Valerie podeszła do okna i wyjrzała na ulicę.

Brianne wykorzystała ten moment, żeby wyrwać koszulkę z rąk matki. Jak mogła tak zgłupieć, żeby ją zostawić na wierzchu? Najpierw blackberry. Teraz to. Matka miała rację. Nie powinna zachowywać się tak nieostrożnie.

– Ten srebrny sportowy samochód. W połowie ulicy. – Patrzyła, jak matka przygarbiła ramiona. – Czy to osoba, o której myślę?

– Cholera.

– I co zrobimy?

– Ty się ubierzesz, a potem skończysz... Potem zaczniesz się pakować – poprawiła się Valerie, zerkając w lustro nad toaletką i sprawdzając, czy równo nałożyła szminkę. – A ja pójdę zobaczyć, co tu się, do diabła, wyprawia.

Ten dzień zalicza zjazd szybszy niż narciarz w Aspen, pomyślała Valerie, zbiegając z frontowych stopni domu na ulicę. Nagle otoczył ją lipcowy upał. Niech szlag trafi tę wilgoć, pomyślała, biorąc powolny, aż bolesny wdech i zbliżając się do drzwi samochodu. Zastukała w okno.

Kierująca spojrzała w stronę Val przez szybę, a potem uśmiechnęła się. Uśmiech ten wynikał raczej z niepokoju niż radości, już prędej oznaczał: „O Boże, a teraz co znowu?” niż: „Jak miło cię widzieć”. Całkowicie normalne w tych okolicznościach, pomyślała Val. Chociaż okoliczności do normalnych nie należały.

– Nie musisz czekać tutaj – powiedziała bez żadnych wstępów, kiedy szyba powoli się uchyliła.

– Nie szkodzi – dobiegła cicha odpowiedź. – Mam włączoną klimatyzację.

– Dobry sposób na rozładowanie akumulatora.

– Naprawdę wszystko w porządku. Dziękuję.

– Jak rozumiem, Evan prosił, żebyś tu się z nim spotkała – stwierdziła Val.

– Powiedział, że nieco się spóźni i byłoby szybciej, gdybym spotkała się z nim u ciebie.

Val pokiwała głową.

– No tak. Może jednak wejdiesz do środka? To się może przeciągnąć.

– Jestem pewna, że będzie tu lada chwila.

Val rzuciła młodej kobiecie spojrzenie, które mówiło: „Kpisz sobie ze mnie?”.

Nowa narzeczona jej wkrótce byłego męża westchnęła głęboko. Westchnienie zabrzmiało jak: „Chyba masz rację”.

– Naprawdę to nie jest konieczne.

– Wiem – zgodziła się Val.

Po co ja to robię? – zapytała samą siebie, gdy Jennifer otworzyła drzwi samochodu, a potem zaprezentowała w całości te długie, gołe nogi z jaskrawoczerwonymi paznokciami widocznymi w wycięciach sandałów na wręcz śmiesznie wysokich platformach. Ostatnim razem, kiedy widziałam te nogi, oplatały się wokół szyi mojego męża, pomyślała Val. Nie darowała sobie i, wskazując prawym ramieniem dom z kamienia i szkła w głębi ulicy, rzuciła:

– Zdaje się, że znasz drogę.

Val otarła grzbietem palców pot znad górnej wargi, zauważając, że mimo upału i wilgoci, Jennifer wygląda w swojej żółtej bawełnianej bluzeczce i białych



szortach równie świeżo jak szczypiorek na wiosnę. Złapała się na tym, że uważnie obserwuje swoją młodą następczynię, gdy ta szła przodem. Dlaczego ja nie potrafię tak chodzić? – zastanowiła się, żałując, że nigdy nie opanowała sztuki takiego subtelnego kręcenia tyłkiem. Czy w ogóle czegoś subtelnego, uściśliła.

- Ty nie chodzisz – powiedziała kiedyś do niej Melissa. – Ty kroczysz.
- Sadzenie susów moim zdaniem lepiej to oddaje – szybko poprawił James.
- Sadzę susy?
- Jak żrebak – dodał James.
- Chodzę jak koń?
- To naprawdę urocze – zapewniła Melissa.

Urocze. I co jeszcze? – pomyślała teraz Val, żałując spontanicznego odruchu altruizmu, gdy patrzyła, jak Jennifer z wdziękiem wchodzi po kilku betonowych stopniach pod frontowe drzwi. Jak ona w ogóle może poruszać się na tych niebotycznych platformach? – zachodziła w głowę, wyobrażając sobie, że Jennifer potyka się o jakiś głaz w Adirondack i wpada w odmęty Shadow Creek. Ten obrazek kazał jej się uśmiechnąć, a potem zmarszczyć brwi. I tyle tego twojego altruizmu, pomyślała.

Jennifer otworzyła frontowe drzwi, a potem weszła do klimatyzowanego wnętrza i przystanąła na szarym, złotawo nakrapianym marmurze holu.

Val wskazała salon po swojej lewej.

– Czuj się jak u siebie w domu – zachęciła ją i z nieznaczną dozą satysfakcji dostrzegła, że Jennifer lekko się wzdryga.

– Może jednak powinnam poczekać na zewnątrz? – bąknęła Jennifer, nie ruszając się z miejsca.

– Nie wygłupiaj się. Przecież cię nie ugryzę.

Jennifer skinęła głową, ale minę miała niepewną.

– Chcesz trochę mrożonej herbaty?

– Nie, dziękuję.

– Jesteś pewna? Bo ja się napiję.

– Dlaczego jesteś dla mnie taka miła? – spytała Jennifer.

Val wzruszyła ramionami. No bo dlaczego była taka miła?

– To tylko szklanka zimnej herbaty. Pij albo nie.

– No dobrze. Chętnie napiję się mrożonej herbaty. Jeśli jesteś pewna, że to nie kłopot.

– Absolutnie żaden. – Val wprowadziła młodą kobietę do swojego odnowionego salonu i podeszła do nowej, pokrytej fioletowym welwetem kanapy, stojącej przed oknem z oprawnych w ołów szybek. – Jak widzisz, od czasu twojej ostatniej wizyty wprowadziłam parę zmian.

Powiedziała to lekkim, niemal życzliwym tonem. Widziała, że Jennifer nie wie, czy ma się odprężyć, czy wiać, gdzie pieprz rośnie. No cóż, kto wie? Może

prawdziwym powodem zaproszenia tej młodej kobiety do domu była chęć ponapawania się tym, jak się będzie wić. To naprawdę może być zabawne, pomyślała i na głos rzuciła:

– Zaraz wracam.

Brianne czekała na nią w kuchni.

– Co ty wyprawiasz? – spytała.

– Szykuję naszemu gościowi mrożoną herbatę.

– Pogięło cię?

– Możliwe. Spakowałaś się?

Brianne jednocześnie uniosła oczy do sufitu i zgarbiła się.

– Co ty chcesz zrobić? Zaliczyć plusa u taty?

– Nie wygłupiaj się.

Czy to właśnie robię? – zastanowiła się Val.

– To nie ja się tutaj wygłupiam – powiedziała Brianne, a potem wymaszerowała z kuchni.

– I ubierz się! – krzyknęła jej śladem Val.

Co też ja miałam zrobić? – zastanowiła się. A, zanieść mrożoną herbatę ślicznej Jennifer.

Jennifer rzeczywiście jest śliczna, musiała przyznać Val. Zupełnie nie dziwkowata. Wysoka i szczupła, z dużym biustem, wąskimi biodrami i talią, jakiej można tylko pozazdrościć. Ciemnoblond włosy opadały jej na ramiona serią podcieniowanych u drogiego fryzjera fal, obramowując twarz w kształcie serca. Oczy miała duże i błękitne, kości policzkowe wydatne i ładnie zarysowane, wargi kusząco pełne. A nogi po prostu do nieba.

Do samego sufitu, pomyślała Val, znów widząc obraz tych nóg opartych na ramionach męża.

– Cholera – szepnęła, odganiając od siebie przykrą wizję i próbując nie dostrzegać własnego odbicia w ciemnej szybie mikrofalówki.

Kiedyś sama tak wyglądałam. A przynajmniej trochę, poprawiła się, wyjmując dwie szklanki z szafki i napełniając je mrożoną herbatą. Przy stu siedemdziesięciu centymetrach wzrostu była dość wysoka, choć pewnie z pięć centymetrów niższa niż Jennifer. Zawsze też była szczupła, chociaż ważyła jakieś pięć kilo więcej niż ta młoda kobieta, która cieszyła się jeszcze i tą przewagą, że była od niej dziesięć lat młodsza. Włosy miały podobne w odcieniu, chociaż u Val były nieco ciemniejsze i bardziej kręcone. I nie miała takich dużych ani tak błękitnych oczu jak Jennifer. Jej usta też nie układały się same w to naturalnie kuszące wydęcie. Wargi Val były węższe, zwyczajniejsze.

– Cholera – powtórzyła, tym razem nieco głośniej.

Poprawiła wysuwającą się z białych spodni capri zielono-białą pasiastą bluzkę i zrzuciła ze stóp najzwyczajniejsze i wygodne białe balerinki. Zobaczyła

niepomalowane paznokcie, które należałoby już przyciąć. Nie dla niej jaskrawoczerwony lakier. Nie mogła sobie nawet przypomnieć, kiedy po raz ostatni miała zrobiony pedicure.

Ale to się niedługo zmieni. Melissa wspominała o możliwości zorganizowania serii zabiegów spa na zakończenie tych trzech dni urodzinowych obchodów. Val początkowo protestowała na myśl o całym dniu masowania, rozpieszczania i malowania, kiedy to mogłaby biegać po Madison Avenue, a to do MoMA, a to do Met, starając się odwiedzić po drodze jeszcze jedną galerię sztuki, jeszcze jeden interesujący sklep. Nigdy nie należała do osób lubiących siedzieć w bezruchu.

– Jedyna kobieta, która umie dotrzymać mi kroku – mawiał Evan tonem pełnym zadowolenia i dumy.

A i tak zostawił ją dla młodej kobiety, która najwyraźniej lubiła siedzieć bez ruchu, nieważne czy w samochodzie zaparkowanym na ulicy, czy na nowej, fioletowej sofie w domu wkrótce będącej żony swojego narzeczonego.

W pewnym sensie to imponujące, stwierdziła Val, wracając do salonu ze szklankami mrożonej herbaty w dłoniach.

– Zapomniałam zapytać, czy słodzisz.

– Nie, dziękuję, nie używam cukru.

– Sama w sobie jesteś i tak dość słodka, prawda?

Jennifer znów drgnęła, a Val się uśmiechnęła. Podała Jennifer szklankę, a potem usiadła w jednym z dwóch ustawionych naprzeciw sofie, krytych beżowym lnem foteli.

– Podoba mi się, jak urządziłaś ten pokój – odezwała się Jennifer, upijając łyk herbaty i rozglądając się dokoła z roztargnieniem, byle tylko uniknąć patrzenia wprost na Val.

– Jak się cieszę, że salon przypadł ci do gustu – odparła Val, zanim zdążyła się ugryźć w język. – Przepraszam. Tak mi się wymknęło.

– Nie ma sprawy. Nie dziwię się, że mnie nienawidzisz.

– Nie nienawidzę cię. – Val ze zdziwieniem zrozumiała, że faktycznie tak jest.

– Naprawdę nigdy nie zamierzaliśmy cię zranić – powiedziała Jennifer słabym głosem, wbijając wzrok w wielokolorowe zawijasy na dywanie z jedwabiu i wełny pokrywającym drewniany parkiet.

– Po prostu nigdy nie przeszło ci przez myśl, że uprawianie seksu z moim mężem, w moim własnym łóżku, które również, przy okazji mówiąc, wymieniłam, może urazić moje uczucia – stwierdziła Val, nie zamierzając pozwolić Jennifer wykręcić się czymś tak banalnym jak zwykle przeprosiny, a szczególnie przeprosiny ewidentnie nieszczerze.

Być może jednak jej nienawidziła.

Jennifer spojrzała z miną winowajczyni na własne kolana. Wypiła łyk herbaty.

– Przepraszam – powiedziała jeszcze raz Val, myśląc jednocześnie, że jedne nieszczerze przeprosiny zasługują na drugie. – Ta sytuacja jest i tak niezręczna. Nie powinnam była tego mówić.

– Nie, masz rację. Zachowaliśmy się bezmyślnie.

Teraz to Val zamilkła.

– No dobrze – odezwała się po paru chwilach ciszy. – A tak przy okazji... To chyba nie najlepsze obuwie na pieszą wędrówkę. – Wskazała stopy Jennifer.

Jennifer zaśmiała się może nieco zbyt głośno.

– Och, mam w bagażu buty do biegania. A Evan kupił mi parę takich do chodzenia po górach... – Urwała, odchrząknęła i wypiła kolejny łyk herbaty.

Val skrzywiła się, słysząc imię swojego męża padające z ust tej kobiety.

– To twój pierwszy wyjazd do Adirondack?

– Wierz mi albo nie, ale tak.

– Och, wierzę.

– Nigdy specjalnie nie przepadałam za pieszymi wycieczkami. W ogóle za sportami, prawdę mówiąc. Pomijając tenisa. Całkiem nieźle gram w tenisa.

Val pokiwała głową. Co Evan robi z tą dziewczyną? – zastanowiła się. Nie cierpiał tenisa. To był jedyny sport, którego nie znosił. „Tenis jest dla tchórzy”, mawiał.

– Evan nigdy nie przepadał za tenisem – powiedziała teraz Val. – Woli sporty ekstremalne.

– Nie musisz mi mówić. – Jennifer roześmiała się. Wyraźnie ulżyło jej, że znalazły coś, w czym mogą się zgodzić. – Czasem przyprawia mnie o śmiertelny strach. Ryzyko, jakie podejmuje... Skoki na linie, wspinaczka wysokogórska, skoki z nartami z helikoptera. No cóż... sama rozumiesz.

– Tak, rozumiem.

– Ale ty też lubisz takie rzeczy, prawda?

– Owszem, lubię – powiedziała Val. A przynajmniej kiedyś lubiłam, dodała w myślach.

– Ja po prostu nie umiem sobie tego wyobrazić: skakać z nartami z helikoptera, żeby zjeżdżać w dół górskiego stoku.

Ona sobie żartuje? – zastanowiła się Val.

– Wiesz, z helikoptera nie skacze się tak naprawdę w przypiętych nartach – wyjaśniła.

– Nie?

– Nie. Helikopter podrzuca cię na sam szczyt góry, a potem stamtąd sobie zjeżdżasz.

– Och, super. No to bardzo mi ulżyło – powiedziała Jennifer bez śladu

zażenowania. – To znaczy nadal mnie to przeraża, ale już nieco mniej. Jak widać, żaden ze mnie narciarz.

– Jak widać.

– Nie lubię zimna.

– To zrozumiałe.

– W ogóle nie lubię niczego, przy czym nie mogę kontrolować własnych stóp.

Val natychmiast wyobraziła sobie stopy Jennifer podrygujące po obu stronach głowy swojego męża.

– Dwa razy złamałam sobie nadgarstek na lodowisku jako dziecko – paplała nerwowo Jennifer. – Jazda na rolkach jest tak samo okropna. Za pierwszym razem, kiedy próbowałam, wybiłam bark ze stawu. A na samą myśl o nartach wodnych zamieniam się w nerwowy wrak. Niezbyt dobrze pływam.

Val znów wyobraziła sobie, że Jennifer potyka się o jakiś głaz i wpada do wód Shadow Creek.

A potem zanurza się pod powierzchnią. Raz... Drugi...

– Zdaje się, że powinnaś zostać przy tenisie – powiedziała, zanim w jej myślach Jennifer znikła pod wodą raz na zawsze.

– Chyba masz rację. A Evan pobiera lekcje.

– Tak?

– Bardzo szybko łapie, o co chodzi.

– On za wszystko szybko się łapie – stwierdziła Val z uśmiechem. Po lekkim rozszerzeniu oczu Jennifer i uśmiechu, który zamarł na ustach dziewczyny, zorientowała się, że biedulka nie do końca wie, jak sobie poradzić z tą ostatnią szpilą. – Jak rozumiem, poznałaś mojego męża w pracy – ciągnęła Val słodko, zupełnie jakby rozmawiała z kandydatką na nianię do dziecka.

– Kiedy się poznaliśmy, nie wiedziałam, że jest żonaty – wyjaśniła szybko Jennifer.

– Złota obrączka na palcu ręki nie stanowiła wystarczającej wskazówki?

– Nie nosił obrączki.

– Doprawdy?

Czyżby Evan nabrał zwyczaju zdejmowania obrączki przed wejściem do biura?

Jennifer pokiwała głową.

– Pracowaliśmy wspólnie nad kampanią dla jego nowego hotelu...

– „Kiedy luksus kusi”... – Val zacytowała jedno z proponowanych haseł do reklamowej broszury.

– Tak. To hasło chyba sobie darowaliśmy.

– Jak i parę innych rzeczy.

Jennifer znów napiła się herbaty, a potem szybko opuściła szklankę na

kolana, jakby nagle zaczęła podejrzewać, że napój może zawierać truciznę.

– Mów dalej – zachęciła Val. Właściwie nie słyszała jeszcze tej historii ze wszystkimi jej niesławnymi szczegółami.

– Pracowaliśmy do późna – mówiła dalej Jennifer, spełniając jej prośbę. – A Evan zaproponował, żebyśmy zrobili sobie przerwę na kolację.

– A ty byłaś głodna. – Teraz to Val wbiła wzrok w dywan.

– Przy kolacji powiedział mi, że bardzo go pociągam i że to może stanowić problem, skoro tak blisko ze sobą współpracujemy. Ja mu powiedziałam, że on też mnie pociąga, więc jaki to może być problem? To wtedy powiedział mi, że jest żonaty. Powiedział, że chce, żeby wszystko było jasne i uczciwe.

– Poza tymi miejscami, gdzie chodziło jeszcze o mnie – uściśliła Val.

– Może nie powinniśmy na ten temat rozmawiać. – Jennifer zaczęła się wycofywać, niespokojnie zerkając przez ramię w stronę okna i ewidentnie modląc się o widok jaguara Evana.

– Możliwe – zgodziła się Val. Chociaż historia była ciekawa, jej zakończenie przecież знаła.

I nie brzmiało ono: „i żyli długo i szczęśliwie”.

A przynajmniej nie dla niej.

Tyle że...

„Dziwnie będzie pojechać tam bez ciebie”, powiedział wcześniej Evan.

– Ktoś parkuje na twoim podjeździe – odezwała się teraz Jennifer.

Val poderwała się na nogi.

– Evan?

– Nie. Dwie osoby. Mężczyzna i kobieta.

Melissa i James, dotarło do Val, już wychodzącej z salonu. Powinna była do nich zadzwonić, powiedzieć im, że Evan się spóźnia.

– Cześć – powiedziała, otwierając drzwi dwojgu swoim najlepszym – i jeśli chciała być uczciwa, jedynym – przyjaciółom. W większości zrezygnowała z damskich przyjaźni po tym, jak Evan uciekł z jedną z jej druzhen. No ale Melissa nigdy nie stanowiła żadnego zagrożenia, a James... No cóż, James to James.

– Gotowa na imprezkę, urodzinowa dziewczynko? – spytała Melissa, wypełniając cały niewielki hol swoją zwykłą żywiołowością.

Melissa miała czterdzieści sześć lat, ale w zaskakujący sposób wydawała się zarazem i młodsza, i starsza, niż wskazywała metryka – wiekowa dusza promieniejąca właściwym dziecku entuzjazmem. Nie miała nawet metra sześćdziesięciu wzrostu, ważyła wszystkiego ze czterdzieści trzy kilogramy, ale przypominała dynamo, pełna energii i dobrego humoru. Czarne, proste włosy nosiła obcięte równo na wysokości brody, z gęstą grzywką zakrywającą czoło i opadającą na czarne oprawki dużych kwadratowych okularów. Niewielkie oczy były równie czarne, a usta zawsze pokrywała warstwa charakterystycznej

koralewej szminki. Kiedy agencja turystyczna, którą założyła i prowadziła od piętnastu lat, zaczęła mieć kłopoty, nie marnowała czasu na łzy. Po prostu zamknęła interes i otworzyła nowy, zmieniając swoje wieloletnie hobby, czyli kolekcjonowanie sztucznej biżuterii, w kwitnący biznes. Jej zdobycze regularnie pojawiały się na stronach „Vogue’a” i innych pism o modzie, i regularnie fotografowano je, przyozdabiające wychudzone ciała celebrytek i salonowych bywalczyń na obu wybrzeżach.

Val pociągało w niej właśnie to zdroworozsądkowe podejście do życia, w którym wszystkie chwytaki są dozwolone. Melissa była też notoryczną zbieraczką, tworzącą imponujące kolekcje wszystkiego, począwszy od antycznych blaszanych zabawek, po szklane naczynia z epoki Wielkiego Kryzysu. Jej dom w Westchester był po brzegi zapchany modnymi niegdyś porcelanowymi lalkami, starymi aparatami fotograficznymi, świnkami-skarbonkami z lanego żelaza. Kolekcjonowała też mężów, trzykrotnie się rozwiódłszy i raz owdowiawszy. Trzy lata temu, kiedy jej ostatni „i najlepszy” mąż przegrał walkę z rakiem, Melissa przysięgła ubierać się wyłącznie na czarno.

– Przecież i tak nosisz tylko czerń – wytknął jej wtedy James.

Co ciekawe, jak na kobietę, która nie miała dzieci, Melissa bywała zadziwiająco macierzyńska – cecha, która niewątpliwie przyciągała Val, wciąż stęsknioną za opiekuńczymi objęciami matki i tym cmoknięciem w kolano, od którego „wszystko się zaraz zagoi”.

James z kolei był uosobieniem Piotrusia Pana, małym chłopcem, który nigdy nie dorósł. Preferował jasne, pastelowe barwy i nigdy nie związał się z nikim na stałe. „Nawet gdybym nie był gejem, też bym się nie ożenił”, dowodził wielokrotnie w ciągu lat znajomości z Val. James był jej wzrostu, ale ważył tyle samo, co Melissa, a przynajmniej tak twierdził. Żył kawą, owocami i surowymi rybami. Jego włosy tworzyły szopę nastroszonych pomarańczowych kosmyków, chociaż należało przyznać, że tych kosmyków było ostatnio nieco mniej niż kiedyś. Dawniej tancerz w broadwayowskich musicalach, popularny odkąd skończył osiemnaście lat, w wieku trzydziestu pięciu przeszedł na emeryturę po złamaniu nogi w kostce. Przez ostatnie kilka lat pracował dla Melissy, wyszukując dla niej wspaniałe staroświeckie broszki, bransoletki i naszyjniki na rozmaitych aukcjach staroci wzdłuż całego wschodniego wybrzeża.

Val poznała Melissę, kiedy razem z Evanem ponad dziesięć lat wcześniej skorzystali z usług jej agencji, rezerwując wycieczkę do Wielkiego Kanionu. Jamesa poznała przez Melissę, bo tych dwoje dorastało przy tej samej ulicy i kiedy on był mały, Melissa opiekowała się nim jako babysitterka. Val im obojgu przypisywała to, że ostatni rok przetrwała, zachowując w miarę zdrowe zmysły.

– Co jest? – spytał James, gdy tylko dostrzegł wyraz twarzy Val.

– Nic.

– Niech zgadnę – odezwała się Melissa, ruszając w stronę salonu. – Evan się nieco spóźnia. O mój Boże – dodała, przystając w drzwiach i gapiąc się na młodą kobietę usadowioną na środku fioletowej sofie. – Powiedz mi, że to nie ta pani, co mi się wydaje – szepnęła i z miejsca zasłoniła koralowe usta upierścienionymi palcami.

– To dziwka? – szepnął James, opierając brodę na ramieniu Val, żeby nieco stłumić własny głos.

– Nie nazywaj jej tak – odezwała się Brianne, zachodząc całą trójkę od tyłu i przepychając się między nimi, żeby wejść do salonu.

Val ulżyło na widok córki, tym bardziej że nareszcie ubranej.

– Cześć, Jen – powiedziała Brianne, przysiadając obok młodej kobiety na sofie.

Jennifer wyglądała tak, jakby miała rozplakać się z ulgi.

– Twój tata trochę się spóźnia.

– No, widzę. Masz świetne buty.

– Dziękuję. Te dzinsy są rewelacyjne.

Val zacisnęła zęby, obserwując swobodną zażyłość pomiędzy jej córką a narzeczoną męża. Kiedyś też takie byłyśmy, pomyślała i wydało jej się, że Brianne jeszcze bardziej się od niej oddała.

– To moi przyjaciele, Melissa i James – powiedziała, pokonując opór niechętnych ust. – A to jest Jennifer...

– Wiemy – przerwał James. – Fantastyczne buty. To Louboutin?

– Tak – powiedziała Jennifer. – Imponujesz mi.

– James ma świra na punkcie butów. – Brianne się roześmiała. – Jesteś strasznie stereotypowy – zwróciła się do niego tonem, który zdołał szpilę zamienić w czułe słówko.

– Sama jesteś stereotypowa – odparł James.

Odezwał się telefon.

– To pewnie moja matka – powiedziała Val, przeprosiła i szybko wyszła z salonu.

Idąc do kuchni, usłyszała jeszcze słowa Brianne:

– Mama mówi, że masz bilety na *Wicked* na jutrzejszy wieczór. Nie widziałeś tego już czasem ze trzynastu razy?

– Osiemnaście – odparł James. – Zmierzam do szczęśliwej liczby dwudziestu jeden.

– Rany, jaki banal! – Głośny śmiech Brianne wypełnił dom.

Val podniosła słuchawkę.

– Halo? – odezwała się.

– Cześć, ty – powiedział Evan.

Dwie minuty później Val wróciła do salonu.



– Siedzicie wszyscy? – spytała. – Zaszła mała zmiana planów.

– Daleko jeszcze? – Brianne spytała Val jakieś trzy i pół godziny później z przedniego pasażerskiego siedzenia zatłoczonego sportowo-użytkowego wozu.

– Jeszcze kawałek – odparła Val.

– Ile?

– Przynajmniej godzina. Może dłużej.

– Cholera. – Brianne wyciągnęła blackberry’ego ze swojej przepastnej skórzanej torby.

– Do kogo znów teraz piszesz? – spytała ją matka.

– Do Sashy.

– Dopiero co ją widziałas.

– Co z tego?

Val mocniej ścisnęła kierownicę, patrząc, jak bieleją kostki jej palców. To wszystko toczyło się inaczej, niż sobie wyobrażała, kiedy zgodziła się – wbrew własnym zastrzeżeniom – posłużyć jako szofer dla córki i narzeczonej męża, po czym jakimś cudem namówiła Melissę i Jamesa, żeby odłożyli na później wyprawę na Manhattan i pojechali z nią do Adirondack i hotelu w Shadow Creek.

Po pierwsze, zapomniała, jaka to długa podróż – pięć godzin po krętej, ruchliwej drodze – i chociaż pokonywała ją dziesiątki razy i mogłaby to robić z zamkniętymi oczyma, to zawsze jeździła nią w towarzystwie Evana, który upierał się, że przez lwią część czasu będzie prowadzić.

Po drugie, samochód Jennifer był za mały, żeby pomieścić córkę Evana, jego narzeczoną i bagaż ich obu, mogły więc po prostu odłożyć wyjazd do czasu, kiedy Evan pozalátwia swoje sprawy, jak to parokrotnie sugerowała Jennifer. Val naprawdę nie musiała zmieniać swoich planów, żeby wyświadczać przysługę wkrótce byłemu mężowi. Zatem po co to robiła?

Odpowiedź zajmowała siedzenie obok niej i ostentacyjnie ją ignorowała.

Niemądra jestem, pomyślała Val, niechętnie rezygnując z wcześniejszych wizji zacieśnienia więzi z córką. Brianne ledwie raczyła powiedzieć parę słów od wyjazdu z Brooklynu, przez większość czasu zajęta tą cholerną komórką. Czy Val naprawdę ludziła się, że zdoła choć trochę osłabić wpływ Jennifer na własną córkę, wdając się w jakieś konfrontacje? Może ona jest młodsza i ładniejsza, ale ja jestem inteligentniejsza i o wiele lepiej prowadzę. A może szukała sposobu, żeby tej drugiej kobiecie uświadomić, iż nawet zajmwszy jej miejsce w sercu Evana, nigdy go nie zajmie w sercu jego jedyne dziecko? Nadal jestem matką Brianne. Nikt mi tego nie zdoła odebrać.

– Wciąż mi się w głowie nie mieści, że to robimy – rzucił James z tylnego siedzenia, spoglądając przez szybę po swojej stronie na mijaną panoramę lasów, łąk i strumieni przy trasie 9N ku Prospect Mountain.

– A teraz na co znów narzekasz? – spytała Melissa, siedząca na przeciwnym krańcu siedzenia. – Nie możesz po prostu paść oczu scenerią?

– Scenerię to ja uznaję tylko na scenie na Broadwayu.

– No to wyobraź sobie, że zza tamtej grani wychodzi Julie Andrews i śpiewa: *Wzgórza ożywają...*

– Proszę cię... To było w filmie. Na Broadwayu tę rolę stworzyła Mary Martin. Julie, chociaż słodziutka, z Mary równać się nie może.

– Ile lat temu to musiało być, z pięćdziesiąt? – przypomniała mu Melissa. – Jeszcze cię na świecie nie było.

– Co z tego? Moja babcia była na premierze i mówiła mi, że była wspaniała.

– Tu widok też jest wspaniały, gdybyś tylko dał mu szansę – wtrąciła Val, znów zerkając na Brianne. – Natura w zapierającym dech w piersi wydaniu.

– Nienawidzę natury – stwierdził James. – Ona mnie denerwuje.

Brianne parsknęła śmiechem.

Czyli jednak słucha, pomyślała Val.

– Ty się śmiejesz, a w niej jest coś bardzo nienaturalnego – powiedział James. Teraz roześmieli się już wszyscy.

Wszyscy poza Jennifer.

Co ona o tym wszystkim myśli? – zastanowiła się Val i uznała, że biedna dziewczyna pewnie sama nie wie, jak się w to wszystko wpakowała. Minę ma taką, jakby miała wybuchnąć płaczem, pomyślała Val, niemal zaczynając jej współczuć. Może właśnie dlatego zgodziła się robić za szofera – żeby dać popalić młodej kochance swojego męża.

Jennifer nie mogła nie zauważyć, że to do Val Evan zadzwonił, a nie do niej, że nawet nie zadał sobie trudu, żeby najpierw z nią to skonsultować, i że pozostawił w rękach Val możliwość zaskoczenia jej zmianą planów jako faktem dokonany.

– Popatrzcie na ten wspaniały wodospad! – zawołała nagle Melissa. – Na Manhattanie tego nie ma.

– I trujący bluszcz, i komary. Tego na Manhattanie też nie uświadczysz – rzucił James.

– O Boże, czy to prawdziwa sarna? – spytała Brianne z zaskakującym entuzjazmem, wskazując dłonią poboczne drogi.

Val powstrzymała się przed wyciągnięciem ręki i przytuleniem córki.

– Faj! – odezwał się James. – Sarny mają kleszcze. Halo? Borelioza, mów mi to coś? Proszę, powiedzcie mi, że to się nie dzieje naprawdę!

Mam dokładnie te same odczucia, pomyślała Jennifer, ściśnięta na swoim

miejscu na tylnym siedzeniu pomiędzy Jamesem a Melissą. Nadal usiłowała zrozumieć, w jaki sposób coś, co początkowo zapowiadało się na weekendowy wypad z narzeczonym i jego córką, zaplanowany w tym celu, by wszyscy się do siebie zbliżyli, zamieniło się w tę przerażającą pyskówkę z wkrótce będą żoną narzeczonego i dwójką jej zdecydowanie dziwnych przyjaciół.

„Nic dobrego z tego nie będzie”, powtórzyła w myślach słowa swojego ojca.

– Nic dobrego z tego nie będzie – powiedział do niej dziś rano, kiedy zajrzała do jego mieszkania w Queens, by powiedzieć mu, że wyjeżdża na trzydniowy weekend z narzeczonym i jego córką.

W ogóle nie powinna była wspominać ojcu, że Evan z prawnego punktu widzenia jest nadal żonaty, choć sama nie zastanawiała się nad tą sprawą poważnie. Z całą pewnością zaś nie oczekiwała od ojca odpowiedzi. Siedzieli w dusznym, zatęchłym bezruchu jego zapuszczonego mieszkania na trzecim piętrze i wydawało się, że siedzą tak od wielu godzin, chociaż minęło najwyżej piętnaście minut. Ojciec nie cierpiał i hałasu, i światła, więc w jednopokojowym mieszkaniu było ciemno, a klimatyzator zainstalowany w niewielkim oknie wychodzącym na ulicę był wyłączony pomimo dokuczliwego letniego skwaru. Jennifer uparła się, żeby otworzyć okno, ale niewiele to pomogło. Nie było ani odrobiny wiatru, ani odrobiny ulgi. Ojciec tego nie zauważał albo go to nie obchodziło. A jeśli obchodziło, to tego nie okazywał. Odkąd przyszła, wypowiedział raptem parę słów.

– Cameron i Andrew mają nowy samochód – powiedział na dzień dobry, podsuwając suchy policzek do pocałunku. Sam usta trzymał uparcie zaciśnięte.

– Tak słyszałam. Widziałeś go?

Wrócił do swojego zniszczonego, rdzawego fotela z zagłówkiem w kącie saloniku, naprzeciwko niewielkiego telewizora, zawsze włączonego i zawsze ustawionego na Fox News. Białą koszulę miał upstrzoną starymi plamami po jedzeniu, podobnie rudoczerwony krawat. W dzieciństwie Jennifer czasem się zastanawiała, czy on w nim sypia. Nawet kiedy zmuszono go do rezygnacji z pracy kierownika w firmie dostarczającej puszkowane towary i przejścia na emeryturę, nadal codziennie nosił krawat. Teraz wyglądał w nim żałośnie.

Jennifer zauważyła, że rozporek grubych wełnianych spodni ma tylko do połowy zapięty. Nie chciała zastanawiać się nad pochodzeniem ciemnych plam po obu jego stronach.

Pytanie pozostało bez odpowiedzi. Uwagę ojca przykuł widok dwóch worków na zwłoki wynoszonych z drewnianego domu w jakichś zapadłych lasach przez grupę funkcjonariuszy policji o ponurych minach. „W sprawie krwawych morderstw z Berkshires pojawiły się nowe szczegóły”, powiedział komentator tonem nieledwie entuzjastycznym.

Jennifer podeszła do odbiornika i zmniejszyła głośność. Ojciec patrzył pustym wzrokiem w przestrzeń i nic nie mówił.

– Cameron i Andrew mają nowy samochód – oświadczył parę minut później.  
– I bardzo dobrze. Ale pewnie nie wstąpili tutaj, żeby zabrać cię na przejażdżkę tym nowym samochodem, prawda?

– Cameron jest bardzo zajęta.

– Naprawdę? Czym?

Prostowaniem włosów? Wybielaniem zębów? Kompletowaniem nowej garderoby na jesień? – myślała Jennifer, ale nic nie powiedziała.

– Jadłeś śniadanie, tato? Chcesz trochę kawy albo tost?

Ojciec pokręcił głową.

– Cameron i Andrew mają nowy samochód – powiedział parę chwil później.

– No cóż, skoro już o to pytasz... – odezwała się Jennifer, podchodząc do okna i chwytając haust dusznego powietrza. Spojrzała w dół, na staroświeckie sztachety parkanów z kutego żelaza, obrzeżające frontowe ogródki niskich domów po przeciwnej stronie ulicy. – W pracy idzie mi znakomicie. Dostałam awans na nowe stanowisko. Jestem teraz oficjalnie specjalistką do spraw kluczowych klientów, więc dostanę podwyżkę. Wiesz, niezbyt dużą. Ale i tak każda kwota się przyda. Tak, wiem – dorzuciła, zanim ojciec zdążył jej przerwać – Cameron i Andrew mają nowy samochód.

Ojciec uśmiechnął się. Pierwszy raz odkąd do niego przysła.

– Ja też mam nowy, tak się składa. Ta mała srebrna maszyna tam, dwoje drzwi dalej, widzisz? – Wskazała go ręką. Ojciec nawet nie ruszył się z fotela. – Evan zna takiego faceta, który prowadzi punkt dilerski. Załatwił mi naprawdę okazijną cenę. W każdym razie – ciągnęła Jennifer, bo ojciec nie zareagował – zajrzałam tu powiedzieć ci, że na parę dni wyjeżdżam. Do Adirondack, razem z Evanem i jego córką. Tato, czy słyszałeś, co mówiłam?

Ojciec spojrział na nią pustym wzrokiem.

– Powiedziałam, że wyjeżdżam do Adirondack, razem z Evanem i jego córką.

– Do Adirondack, oczywiście.

– Evan to mój narzeczony. Pamiętasz, opowiadałam ci o Evanie?

– Cameron ma śliczny pierścionek z brylantem – dodał ojciec, znacząco spoglądając na goły serdeczny palec lewej dłoni Jennifer.

– Tak, ma. – I śliczną ślubną obrączkę, i ślicznego męża, i dwoje ślicznych dzieci, a nawet jeszcze ślicniejszą nianię do opieki nad nimi, bo jak wszyscy wiemy, nasza śliczna Cameron jest szalenie zajęta. – Jestem pewna, że Evan kupi mi pierścionek, kiedy przeprowadzi rozwód.

– Rozwód?

– Sfinalizuje go w przyszłym miesiącu.

– On ma żonę?

– Już nie. Odszedł od niej...

– Do ciebie?

Tym razem to Jennifer zamilkła.

Teraz ojciec miał zagniewaną minę. Zaczął potrząsać głową i przytupywać stopą o porysowany parkiet podłogi – to był wyraźny znak, że coś go irytuje.

– Nic dobrego z tego nie będzie – powiedział i zaczął kołysać się w tył i w przód w swoim fotelu. – Jeśli zdradził żonę, to i ciebie zdradzi. Jestem mężczyzną, więc wiem.

Tylko co ten mój ojciec niby jeszcze wie? – zastanawiała się teraz Jennifer. Wczesny początek Alzheimera obrabował go z większości władz umysłowych, a w coraz rzadszych chwilach, kiedy zdarzało mu się klarownie myśleć, zawsze skupiał się na Cameron.

Jej starszej siostrze i swojej pierworodnej córce.

Jego wyraźnej faworytce.

Mimo że odwiedzała go rzadko. Mimo że to Jennifer wzięła na siebie obowiązek opieki nad nim, odkąd dwa lata wcześniej zmarła matka.

– Nie wiem, czy mogę po prostu tak wszystko rzucić i jechać do Queens tylko dlatego, że ty postanowiłaś się w ten weekend gdzieś szlajać – powiedziała do niej Cameron przez telefon parę wieczorów wcześniej.

– To żadne szlajanie się. Będzie z nami córka Evana.

– Nieważne.

– Słuchaj, to tylko trzy dni.

– No właśnie. Tacie nic się nie stanie przez trzy dni.

– Chyba że zapomni coś jeść.

– Nie zapomni jeść.

– Zapomina o wszystkim innym.

– Strasznie dramatyzujesz – oświadczyła Cameron, a Jennifer wyobraziła sobie, jak starsza siostra zakłada za prawe ucho pasmo świeżo potraktowanych prostownicą jasnych włosów.

– A ty jesteś strasznie samolubna – odpaliła Jennifer.

– To nie ja tutaj myślę o sobie.

– Co? Chcesz mi powiedzieć, że jestem w tej chwili samolubna?

– No ja nie wiem. Która z nas jest mężatką i ma dwoje dzieci poniżej czwartego roku życia? Która z nas ma świetną pracę w centrum miasta i jeździ nowym sportowym samochodem?

– Wóz ma dwa lata. Wzięłam go w leasing, bo Evan ma znajomego dilera.

– Coś mi to przypomina. Która z nas jest na tyle samolubna, że ugania się za żonatym mężczyzną, ani przez moment nie myśląc o istnieniu jego rodziny?

– Ej. To był cios poniżej pasa.

– Ja tylko mówię...

– A ja tylko proszę...

- Wiem, o co prosisz. Nie musisz tego powtarzać.
- I?
- Będę do niego codziennie dzwoniła.
- To nie wystarczy.
- Nie rozumiem dlaczego.
- A ja nie rozumiem tych przeszkód – powiedziała Jennifer, starając się nie okazać zniecierpliwienia. Czemu wszystko zawsze stawało się takim problemem? Dlaczego choć jedna rzecz w jej życiu nie mogła być prosta?
- Po prostu to nie jest łatwe – powiedziała Cameron po długiej pauzie, w trakcie której Jennifer zastanawiała się już, czy siostra się nie rozłączyła.
- Co nie jest?
- Oglądać go w takim stanie.
- A myślisz, że ja to lubię?
- Moim zdaniem po prostu lepiej to znosisz – powiedziała Cameron, obdarzając siostrę po raz pierwszy, odkąd Jennifer sięgała pamięcią, komplementem. – Chyba jestem od ciebie zwyczajnie wrażliwsza – dodała, natychmiast się z niego wycofując.
- Dobra, posłuchaj. Kręcimy się w kółko – odparła Jennifer. – Rzecz w tym, że wyjeżdżam na trzy dni, a nasz ojciec zostanie sam. Jest upał, a on odmawia włączania klimatyzacji. Może będzie pamiętał, żeby coś zjeść, a może nie. Ktoś musi do niego zajrzeć. Osobiście.
- Dobrze. Zobaczę, co da się zrobić.
- Dobrze – ustąpiła Jennifer, uznając, że na nic lepszego nie może liczyć.
- Ostrożnie – ostrzegł ją teraz James, teatralnym gestem dłoni odsuwając z twarzy kilka pasm jej włosów. – Te włosy to zabójcza broń.
- Przepraszam.
- A skoro jesteśmy przy zabijaniu – ciągnął James, zniżając głos do odpowiednio dramatycznego szeptu – czy możesz dać radio trochę głośniej?
- „Kolejne szczegóły związane z szokującymi zabójstwami w Berkshires z zeszłego tygodnia...” – mówił radiowy komentator.
- Biedni ludzie. – Melissa westchnęła. – Wyobrażacie sobie, dobiec niemal dziewięćdziesiątki i dać się zamordować...
- „Policja nie chce potwierdzić, czy narzędzia użyte do uśmiercenia Marie i Williama Carterisów to te same narzędzia, za pomocą których zabito jeszcze inne małżeństwo emerytów, Arlene i Franka Wallów, w ich wiejskim domu w Plainfield w ubiegłym tygodniu. Twierdzą również, że nic nie łączy tych zabójstw ze śmiercią Briana Griersona, turysty, którego rozczłonkowany tors odkryto w płytkim grobie kilka mil od domu Wallów zaledwie parę dni później” – ciągnął komentator.
- Halo? Czy ktoś to słyszy? – spytał James. – Góry, morderstwa,

rozczłonkowane zwłoki. Co my tu robimy, ludzie?

– To Adirondack, nie Berkshires – przypomniała mu Val i zachichotała.

– Żadna różnica.

– Dwa różne stany.

– Sąsiednie stany – powiedział z naciskiem James. – Słuchajcie, te wszystkie zabójstwa zostały popełnione w odludnych miejscach na drugim końcu świata, tylko tyle chcę powiedzieć.

– Hotel w Shadow Creek to raczej nie odludzie – odparła Jennifer głosem przepełnionym irytacją.

Co ja tu robię z tymi ludźmi? – znów spytała samą siebie. Dlaczego zgodziłam się spędzić niemal pięć godzin w samochodzie z byłą żoną Evana i jej znikowanymi przyjaciółmi, zmuszona do wysłuchiwania o morderstwach i ćwiartowaniu zwłok? Dlaczego po prostu nie odmówiłam?

Ale jeszcze nim skończyła zadawać te pytania, musiała sobie na nie uczciwie odpowiedzieć:

Była tu z tego samego powodu, co Valerie.

Dwie różne kobiety, ten sam powód.

Powód nawet miał imię.

Chodziło o Evana.

„Jeśli zdradził żonę, to i ciebie zdradzi”, znów usłyszała słowa ojca.

Ze swoją wkrótce byłą żoną?

Czy Valerie nadal hołubiła nadzieję, że ona i Evan jeszcze się zejdą?

Czy Evan tę nadzieję rozbudzał?

A jeśli tak, to dlaczego?

– Na litość boską, Brianne – odezwała się Val, zakłócając tok myśli Jennifer.

– Do kogo znów esemesujesz?

– Do nikogo. – Brianne ostentacyjnym gestem wrzuciła komórkę do torby. – Zdrzemnę się – oświadczyła reszcie pasażerów samochodu. – Obudźcie mnie, jak będziemy na miejscu.

Super, pomyślała Val, porzucając resztkę nadziei na to, że w drodze jakoś sensownie porozmawia z córką.

– I spróbujcie ograniczyć histerię do minimum – dodała Brianne, zerkając przez ramię na Jamesa.

W odpowiedzi James zaczął na cały głos śpiewać. Po pierwszych tonach *Wzgórza ozywają dźwiękami muzyki*, Val i Melissa szybko dołączyły do chóru.

Jestem w piekle, pomyślała naburmuszona Jennifer.

Jechali dalej trasą 9N w stronę Prospect Mountain.



Kiedy tylko przymknęła oczy, zobaczyła krew.

Sama jej ilość wtedy ją zaskoczyła, podobnie jak to, że dosłownie wytrysnęła ze swojego źródła jednym wielkim, żywiolowym pióropuszem. Zdumiewający był też ten głęboki, wyrazisty kolor. Jej usta ułożyły się w nieznaczący, ledwie zauważalny uśmiech. Zawsze spodziewała się, że krew będzie bardziej brązowa, ciemniejsza, mniej jaskrawa.

Jaskrawa, powtórzyła w myślach, przeżuając to słowo jak gumę do żucia. Żywiolowa.

Zabawne słowa na opisanie śmierci.

Pamiętała, że kiedy była młodsza i często cięła się brzytwą, obserwowała z fascynacją strumyczki krwi płynące po jej udach i łydkach. Ulga szybko górowała nad początkowym bólem zadawanych sobie ran.

– To nie boli? – spytała kiedyś jej koleżanka Molly.

– Nie. To cudowne uczucie – zwierzyła jej się z głębokim, pełnym satysfakcji westchnieniem, a potem zaczęła tłumaczyć przyjaciółce, że każde skaleczenie własnego ciała przypominało podrapanie nieznośnie swędzącego miejsca, że każde cięcie niosło ze sobą idący do głowy kop, niczym narkotyk, na jakiś czas uwalniając jej duszę, wyzwalał demony czające się tuż pod powierzchnią skóry. Urwała dopiero, gdy zauważyła wyraz rosnącego przerażenia na twarzy Molly. W tym momencie zdała sobie sprawę, że przyjaciółka nie potrafi zrozumieć, co ona czuje. Próby wyjaśniania nie miały sensu.

– Czy twoja matka wie? – spytała Molly przy innej okazji.

– Oczywiście, że nie.

– Ale przecież masz ślady na całych nogach.

– Nie zauważa ich.

– A jeśli zauważy?

– To powiem jej, że podrapałam się w krzakach.

– A jak ci nie uwierzy?

– To jej problem.

– Moim zdaniem powinnaś przestać – ostrzegła ją Molly, a potem zmieniła temat rozmowy na inny, bezpieczniejszy.

A ona faktycznie przestała, chociaż nie ze względu na tę chybioną troskę Molly, ani ze strachu, że matka mogłaby coś odkryć. Przestała z tego samego powodu, dla którego porzucała większość rzeczy, które kiedyś sprawiały jej przyjemność – czytanie, hobby, przyjaciółki. Znudziło jej się.

Poza tym znalazła coś, co było dużo lepsze niż uwalnianie własnych wewnętrznych demonów.

Poznała chłopaka.

Chłopaka, który nie tylko rozumiał, ale wspierał ją i zachęcał do tych mrocznych impulsów. Do tej „wyjątkowości”, jak lubił to nazywać.

Uśmiechnęła się szerzej. Kogoś w jego wieku nie nazywa się już chłopakiem, pomyślała, chociaż nie była do końca pewna, ile miał lat. Gdzieś między dwudziestką a trzydziestką. Unikał podawania konkretów. „A czy to ważne? – pytał. – Wiek to tylko liczba. Nie ma żadnego znaczenia”. Nie dodawał jednak: „Człowiek ma tyle lat, na ile się czuje”, za co mu była wdzięczna. Pamiętała, że babka powtarzała coś takiego z denerwującą częstotliwością.

Podobnie mało konkretnie mówił o własnym imieniu. „Nazywaj mnie Izmaelem”, powiedział przy jakiejś okazji, śmiejąc się razem z nią z tej aluzji do *Moby Dicka*. Książki, której oboje nie cierpieli w liceum. Przy innych okazjach nadawał sobie imię Jonasz albo Mojżesz, albo Eliasz. Uwielbiał te biblijne imiona. Raz kiedyś nawet powiedział, żeby go nazywała Jezusem, ale okazało się, że przy uprawianiu seksu to imię działa raczej deprymująco, więc szybko z niego zrezygnował. Potem przerwiał się na bardziej pospolite przydomki – Brad, Steve, Michael. „Nie zgadzam się na ograniczenia i bariery narzucane mi przez innych. Jestem tym, kim chcę być – powiedział, zachęcając ją, by poszła w jego ślady. – Jesteś tym, czym sama się stworzysz”.

Zatem pewnego dnia stworzyła Catherine, a w kolejnych dniach Veronikę, Clementine, Joanne.

Z tego wszystkiego jej ulubienicą na razie była Nikki. Nikki przez dwa k.

Nikki bawiła się najlepiej.

– Proszę mi mówić Nikki – poinstruowała tę niemądrą kobietę w domku nad brzegami Shadow Creek.

Niemądra kobieta, pomyślała teraz. I samolubna. Nie chciała mi nawet pozwolić skorzystać z suszarki, a przecież miała ją pod umywalką w łazience. Znalazła ją tam, kiedy poszła wziąć prysznic. Na tę myśl przestała się uśmiechać i nachmurzyła się. Niemal pół godziny trwało zmywanie krwi tej głupiej baby. Miała ją wszędzie – na ciuchach, we włosach, nawet na zębach.

– Dostała ci się do ust? – spytał Kenny z wyraźnym niepokojem. Od kilku tygodni mówił o sobie Kenny. Powiedział, że to imię przynosi mu szczęście, chociaż nie umiał wyjaśnić w jaki sposób. – Nie chciałabyś podłapać jakiegoś dziwnego wirusa.

– Nie dostała mi się do ust – odparła, tak wzruszona tą troską o jej zdrowie, że aż jej zaparło dech. Nikt nigdy wcześniej się nią nie przejmował. Nikt nie był wobec niej tak opiekuńczy. Nikt nigdy nie sprawiał, że czuła się równie niezwykła, równie kochana. Zrobiłaby wszystko, żeby go nie rozczarować.

Wszystko.

Przygotowali sobie obiad z tego, co zostało w lodówce. Poczęstowali się dwiema butelkami wina, a potem wiele razy uprawiali seks na zbyt miękkim łóżku swoich ofiar, nasłuchując nadal ulewnego deszczu, walącego w dach nad ich głowami.

- Cholernie silna burza – powiedział Kenny.
- Dobrze, że jesteśmy pod dachem – zgodziła się.
- Bezpiecznie i ciepło jak w uchu.
- W głowie mi się nie mieści, że oni nie mają telewizora.
- Skape bydlaki.
- Powinieneś był widzieć ich miny, kiedy powiedziałam, że poprzecinałeś kable. – Zaśmiała się. – Kiedy połapali się, że coś jest nie tak, że zginą... To był najlepszy moment.
- Szkoda, że mnie ominął.
- Następnym razem będziesz przy tym – obiecała. – Żeby nic cię nie ominęło.
- Myślisz o tym, co dla mnie najlepsze, prawda?
- Zawsze – odparła.

I mówiła prawdę. Od chwili, kiedy się poznali – „Mów do mnie Jason”, powiedział wtedy – nie myślała o niczym innym.

– Naprawdę nie wiem, co w ciebie ostatnio wstąpiło – stwierdziła raz jej matka. – Bujasz myślami w obłokach.

I nawet nie chodziło o to, że był jakoś szczególnie przystojny. Takie typy jej babka już raczej określała słowem: „interesujący”. Rysy twarzy miał dość grubo ciosane – nos szeroki, usta pełne, oczy nieokreślonej brązowej barwy. Mimo to było w nim coś takiego, co przyciągało uwagę. Może chodziło o to, jak się nosił, o te bezczelnie wyprostowane ramiona, o lekko wypchnięte w przód szczupłe biodra, o to, w jaki sposób zatykał kciuki o boczne kieszenie zbyt obcisłych dżinsów, o to, że jego oczy były jednocześnie nieobecne i skupione.

I ten sposób, w jaki zaglądał jej w oczy, a potem patrzył przez nie na wskroś, jakby mógł dostrzec najgłębsze zakamarki jej duszy, bez trudu przenikając do samego jej mrocznego dna.

Jej skrywanego dna.

– Nie mamy sekretów – zapowiedział. – Nie przed sobą nawzajem.

To wtedy opowiedział jej o licznych małżeństwach swoich rodziców, o tym, że rzucił się z nożem na macochę numer dwa po jakiejś szczególnie przykryj kłótni i został na prawie rok zamknięty w szpitalu psychiatrycznym dla dorosłych. O tym, jak spał na oddziale wśród psychotyków i schizofreników, o wiele starszych od niego, jedenastoletniego. I o tym, że zgwałcił go jeden z salowych, facet w średnim wieku, siwiejący i brzuchaty, którego oddech śmierdział czarną lukrecją, tak że

teraz nawet najlżejsza odrobina woni lukrecji przyprawia go o wymioty.

Powiedział jej, że kiedy był w szpitalu, jego matka wyszła za jakiegoś gościa z Teksasu i wyjechała z Nowego Jorku bez jednego słowa pożegnania, i że on został zwolniony ze szpitala prosto w niezbyt chętnie objęcia macochy numer trzy, która miała dwoje własnych dzieci i wiecznie jej się myliły ich imiona.

– Wtedy zrozumiałem, jak nieważne są takie rzeczy – opowiadał. – Mów mi Daniel, mów mi Frank, mów mi Izmael. To bez znaczenia, jak mnie nazwiesz. Nie jestem swoim imieniem.

Kocham cię, pomyślała, kimkolwiek jesteś.

– Jestem każdym – ciągnął, chociaż wcale nie pytała. – Jestem każdym i jestem nikim. Jestem tym, kim chcę być. Kim ty jesteś? – rzucił jej wyzwanie, wpatrując się głęboko w jej oczy i gładząc dłonią jej policzek. Ten dotyk przeszył ją falami elektrycznego prądu, kolana jej zmiękły, dłonie zadrżały.

– Nie wiem – odszepnęła, całkowicie poddając się jego urokowi. – Nie wiem, kim jestem.

– Jesteś, kim chcesz być – oświadczył uroczyście.

– Kim chcę być – przytaknęła.

I wtedy opowiedziała mu o swoich dziadkach.

– Kiedyś, kiedy byłam mała, matka zabierała mnie do nich do domu co sobota wieczór – zaczęła. – Żeby się mną opiekowali, kiedy ona gdzieś wychodziła z ojcem. Dziadkowie mieli takich znajomych, z którymi grali w brydża, państwa Farelli. Pan Farelli był dość przystojny, jak na takiego starucha, ale jego żona była naprawdę otyła i nieatrakcyjna. Miała pieprzyk na górnej wardze i zawsze wystawało z niego kilka włosów. Wierz mi, to nie był ładny widok. W każdym razie – ciągnęła ze śmiechem – którejś soboty wieczorem, kiedy miałam pięć czy sześć lat, byłam u dziadków w gościnnym pokoju, w łóżku, i próbowałam zasnąć, słuchając, jak dziadkowie i państwo Farelli drą się na siebie, jak zawsze kiedy grali w brydża. W sumie dorastałam przekonana, że wrzaski to jedna z reguł tej gry. – Znów się roześmiała. – No i pani Farelli strasznie się zdenerwowała czymś, co powiedział mój dziadek, i weszła do pokoju gościnnego, żeby się uspokoić. I siadła na brzegu tapczanu – chyba nawet nie zdawała sobie sprawy, że ja tam jestem – i zaczęła pleść coś sama do siebie, a mnie, rozumiesz, jakoś zahipnotyzował ten brzydki pieprzyk na jej wardze, który się poruszał w górę i w dół, kiedy mówiła, a te włoski kiwały się jak mysie wąsy, a ja nagle wyciągnęłam rękę i złapałam za jeden z nich. I wyrwałam to cholerstwo. Pół pieprzyka razem z nim. A pani Farelli zaczyna wrzeszczeć i szaleć, że ja specjalnie usiłowałam zrobić jej krzywdę czy coś. No rozumiesz, przecież jestem dzieckiem, nie? Co ja tam niby wiem? I w ogóle, co ona robi w moim pokoju? A potem nagle wszyscy są w tym pokoju, a z resztek tego przekłętą pieprzyka krew wali, jakby świat miał się zaraz skończyć. A ja patrzę, jak ta krew spływa jej spod nosa do ust, szeroko otwartych,

bo ona cały czas się drze, i jestem tym widokiem zafascynowana. Nie mogę oczu oderwać. A wszyscy na mnie krzyczą: „Co cię opętało? Czyś ty zgłupiała? Jak mogłaś zrobić coś takiego?”. Na co ja mówię: „Ale teraz jest lepiej. To tak brzydko wyglądało”. Na co moja babcia mówi: „Co ty sobie wyobrażasz, kretynko, że będziesz decydować, co jest brzydkie, a co nie?” i wyciąga mnie z łóżka, przekłada sobie przez kolano, i spuszcza mi lanie, mocne, na oczach wszystkich. A potem dzwoni do moich rodziców i każe im przyjechać i mnie zabrać, mówi, że ze mną jest coś bardzo nie tak, a rodzice są naprawdę wkurzeni, bo zepsułam im wieczór, wiesz. I to był ostatni raz, kiedy nocowałam w domu moich dziadków.

– No i co, jak uważasz, kim jesteś, kretynko? – spytał Kenny ze śmiechem.

– Proszę, nie mów tak do mnie – powiedziała, bo to słowo zabolalo ją nawet bardziej, kiedy padło z jego ust. – Nie jestem głupia.

– Nie, nie jesteś. Kim jesteś? – Znow ją sprawdzał.

– Jestem, kim chcę być.

– I co jeszcze?

– Mogę być każdym, kim chcę być – powiedziała z rosnącym przekonaniem.

– I kto to jest?

Zastanowiła się nad odpowiedzią.

– Zawsze podobało mi się imię Catherine.

– No to będziesz Catherine.

A potem, po tygodniu:

– Mów do mnie Veronica.

– Tak jak w *Betty i Veronica*?

– No, Betty to ja zdecydowanie nie jestem.

– Tego jestem cholernie pewien.

A wkrótce potem:

– Strasznie podoba mi się imię Nikki. Przez dwa k.

– No to jesteś Nikki przez dwa k.

– Proszę mi mówić Nikki – powiedziała do tej głupiej Ellen Laufer. Otwierać drzwi nieznanym w środku nocy? Podczas burzy? Co za idiotyzm.

Nie większy niż mieszkanie na odludziu, pomyślała. Nie większy niż nieposiadanie telewizora.

Zupełnie jak kiedyś powiedział jej dziadek: niektórzy ludzie są za głupi, żeby żyć.

– Jak to było, kiedy usiłowałaś zabić swoją macochę? – spytała Kenny’ego pewnego dnia. Siedzieli wtedy na podwójnym łóżku w wynajmowanym przez niego skąpo umeblowanym pokoju. – To znaczy, udało ci się chociaż zadać jej jakiś cios?

– Nie-e. Za mały byłem. Była dla mnie za szybka. Po prostu ganiałem za nią po kuchni z nożem do steków. Śmiertelnie ją nastraszyłem.

– No pewnie.  
– Fajnie było.  
– No pewnie – powtórzyła. A potem: – Kiedyś się cięłam.  
– Wiem.  
– Wiesz?  
– Te blizny na nogach. – Dotknął jej ud, rysując na dżinsach serię długich linii. – Nadal to robisz?

Pokręciła głową.  
– Przestałam.  
– Dlaczego?  
Wzruszyła ramionami.  
– Zaczęłabyś znowu, gdybym cię poprosił?  
– Tak – odparła bez chwili wahania. Czy nie wiedział, że zrobiłaby dla niego wszystko?

– Chcę, żebyś zrobiła to teraz – powiedział. – Chcę, żebyś mi pokazała, jak się tniesz.

Szybko ściągnęła dżinsy i rzuciła je na podłogę.  
– Potrzebna mi brzytwa.  
Kenny wstał z łóżka i zdecydowanym krokiem poszedł do łazienki, a potem wrócił z brzytwą i ręcznikiem.

– Patrz – powiedziała.  
Wiódl spojrzeniem za jej ręką, kiedy przysuwała ostrze brzytwy do nagiej skóry i rysowała nim linię po wewnętrznej stronie uda z taką wprawą, z jaką pisze się długopisem po papierze. Po kilku sekundach ranka otworzyła się i ukazała się krew, po chwili pojawił się ból, a potem znikł, zastąpiony przyjemnością. Rozchyliła wargi, rozluźniła mięśnie zuchwy, odrzuciła głowę w tył. Poczowała znajome uderzenie do głowy, zupełnie jakby ktoś właśnie wstrzyknął jej w żyłę dawkę heroiny.

A potem nagle jego głowa znalazła się między jej nogami, a on zlizywał krew z jej uda i jęczał razem z nią.

– Chcę, żebyś mnie też cięła – szepnął.  
– Nie. Nie umiałabym cię skrzywdzić.  
– Nie skrzywdzisz mnie. Tutaj – powiedział, wyjmując z jej dłoni brzytwę i ściągając dżinsy. Również rzucił je na podłogę. – Pokaż mi. Poprowadź mi rękę.

Położył jej dłoń na swojej i czekał. Kiedy docisnęła ostrze do jego skóry, kiedy przesunęła nim po jego nodze, zadygotał, a potem przyciągnął ją do siebie i pocałował głęboko, czule.

Nigdy jeszcze nie czuła takiej miłości.  
Kilka dni później zaproponował, żeby znaleźli kogoś, kogo potną.  
– Macocha numer jeden miała starych wujostwa, którzy mieszkali na

przedmieściu Plainfield – powiedział z entuzjazmem tym większym, im bardziej szczegółowy stawał się pomysł. – Arlene i Franka Wallów. Zawsze mieli do mnie słabość.

– Nazywają się Wall?

– No.

Roześmiała się, usiłując sobie przypomnieć, czy kiedyś była już taka szczęśliwa. Zrobiłaby wszystko, żeby zatrzymać tego mężczyznę, to uczucie. Wszystko. Wszystko, czego tylko on sobie zażyczy.

– W każdym razie mają drewniany dom w lesie, prawie tak stary, jak oni sami, i teraz mają już pewnie po osiemdziesiąt lat. Żadnych dzieci. Żadnych sąsiadów. Tylko oni dwoje. Nikt nawet nie zauważy, że ich nie ma.

– Mówisz serio? – spytała.

– Tak. Boisz się?

– Nie. A ty?

– Nie, cholera. Jestem nakręcony. Dwoje starych pierdzieli. Już dość się nażyli. Zrobimy światu przysługę, jak ich usuniemy.

– Zabijemy ich?

– No cóż, kretynko, przecież nie możemy ich pociąć i tak zostawić, żeby wszystkim powiedzieli, prawda?

Poczuła, że robi jej się przykro. Czemu zadała mu takie głupie pytanie? Rozczarowała go. Jeśli nie będzie uważać, on ją zostawi, znajdzie kogoś bystrzejszego, kogoś, kto nie zadaje takich durnych pytań. A co się z nią stanie wtedy? Kim byłaby bez niego? Nikim. Jak wtedy, zanim go poznała.

– Proszę, nie nazywaj mnie kretynką.

– Przepraszam – odparł, a jej serce wezbrało wdzięcznością. – Nie zrobię tego więcej. Obiecuję.

Zatem powiedziała matce, że weekend spędzi u koleżanki, i pojechali z Kennym do Plainfield, do domku Arlene i Franka Wallów.

– Tak? – odezwała się Arlene zza siatkowych drzwi i mrużąc oczy, przyjrzała się stojącej na stopniach domu parze młodych, uśmiechniętych ludzi.

– Ciociu Arlene? – odezwał się Kenny. – Nie poznasz mnie?

– Matthew? – spytała. – Mój Boże, to ty? Tyle lat. Ależ wysoki się zrobiłeś, wyrosłeś. Co tutaj robisz? – Otworzyła drzwi. – Frank! – zawołała w stronę saloniku. – Nigdy nie zgadniesz, kto tu jest. – Przeniosła wzrok z młodego człowieka, którego знаła pod imieniem Matthew, na stojącą obok niego dziewczynę.

– To moja przyjaciółka Nikki.

– Bardzo miło cię poznać, Nikki.

To były jej ostatnie słowa, zanim Kenny głęboko zatopił nóż w jej klatce piersiowej, a Nikki szybko poszła za jego przykładem, zadając cios swoim nożem.

Frank okazał się trudniejszy do zabicia. Trzeba było trzech ciosów, żeby powalić go na kolana, a potem brutalnego pchnięcia w szyję, żeby raz, a dobrze uciszyć jego jęki.

Potem splądrowali lodówkę i kochali się w łóżku Franka i Arlene.

– Śmierdzi starymi ludźmi – stwierdziła, zanim odpłynęła w sen.

Następnego dnia rano zjedli śniadanie, a zaszlachtowane zwłoki Franka i Arlene Wallów leżały im u stóp. Krew pokrywała sękatę sosnowe deski podłogi jak warstwa świeżej farby. Później zabrali całą gotówkę, jaką znaleźli, rozłączyli nowy szerokoekranowy telewizor i zanieśli go do chevroleta Kenny'ego.

– Pomóc wam z tym? – usłyszeli nagle czyjś głos i o mało nie upuścili telewizora na ziemię. – Przepraszam – dodał szybko młody człowiek. Był mniej więcej w wieku Kenny'ego, miał czarną bejsbolową czapkę, białą bawełnianą koszulkę, czarne spodenki z lycrą i białe buty do biegania, wszystko ze znanym zawijaszem Nike. – Nie chciałem was przestraszyć. Brian jestem.

– Przyda nam się pomoc, Brian – odezwał się Kenny.

Zabili go dopiero, kiedy telewizor znalazł się już bezpiecznie na tylnym siedzeniu samochodu.

– Nie możemy zostawiać świadków – powiedział Kenny i wzruszył ramionami.

Zanieśli go do domu i odrąbali mu ręce i nogi, a potem głowę, bo Kenny widział kiedyś w telewizji, jak ktoś tak zrobił, i uważał, że fajnie byłoby spróbować.

– Skrócić go o głowę! – Zachichotała, obserwując kochanka z uczuciem bliskim respektu.

Nawet przy jej pomocy trwało to parę godzin i byli oboje zmachani, kiedy skończyli. Wzięli więc prysznic i zdrzemnęli się trochę, a potem pochowali tors Briana kilka mil dalej, w płytkim grobie, resztę jego ciała rozrzucając w różnych miejscach w drodze powrotnej do domu. Zatrzymali się też na pchlim targu, gdzie Kenny kupił starą maczetę, która wpadła mu w oko.

– Nigdy nic nie wiadomo – powiedział. – Może się kiedyś przydać.

I rzeczywiście, przydała się w kolejnym tygodniu, w Berkshires, kiedy zrobili siekaninę z Williama i Marie Carterisów, chociaż Kenny używał jej oszczędnie.

– Muszę najpierw złapać dryg – wyjaśnił. Ale złapał go, zanim złożyli wizytę w Adirondack, w leśnym domu Ellen i Stuarta Lauferów.

Przyjemne chwile, pomyślała teraz, nie mogąc się doczekać następnej wspólnej przygody. Wszystkich następnych przygód. Nic nie miało znaczenia, póki są razem.

– Jestem gotów, kiedy ty będziesz gotowa – powiedział do niej.

Jestem gotowa, pomyślała teraz i otworzyła oczy.





– No cóż, nieźle sobie pospałaś – odezwała się Val, kiedy Brianne wyprostowała się na swoim fotelu i rozejrzała dokoła.

– Daleko jeszcze?

– Jesteśmy na miejscu.

– To ma być tu? – Brianne spojrzała na bezpretensjonalny budynek z kamienia i drewna stojący w środku gęstwiny wielkich sosen. – Mówiłaś, że podobno to luksusowy hotel!

Kiedy luksus kusi, pomyślała Val, zerkając przez ramię na Jennifer. Sądząc po minie, młoda kobieta myślała w tej chwili dokładnie o tym samym.

– W środku jest naprawdę ładnie – zapewniła Val córkę, która już sięgała do torby po blackberry’ego. – Rany boskie, do kogo znów chcesz pisać?

Brianne otworzyła drzwi samochodu i wysiadła na półkolisty podjazd pod hotelem, ignorując pytanie matki i śmigając palcami po miniaturowej klawiaturze telefonu.

Zbliżył się do nich jakiś młody człowiek. Plakietka przypięta do wyprasowanej białej koszuli informowała, że na imię ma Wesley. Był chudy i nieco niezgrabny, wydawało się, że ręce ma za długie w stosunku do reszty sylwetki.

– Witamy w Hotelu Shadow Creek – powiedział zadziwiająco głębokim głosem, gdy pozostali gramolili się z samochodu.

Melissa i James wysiedli każde po swojej stronie. Melissa zsunęła krótkie nogi na ziemię, a jej ciemne oczy za szklami w czarnych, dużych oprawkach lustrowały od niechcienia otoczenie, gdy tymczasem James zaczął się ostentacyjnie przeciągać, a potem zgiął w pasie tak, że łokciami dotknął własnych stóp.

– Jestem niezwykle rozciągnięty – zwrócił się do Wesleya z ukradkowym uśmiechem.

– Spokój – szepnęła Val, patrząc na zawzięcie esemesującą córkę. – Tutaj są dzieci.

– Nie jestem dzieckiem – oświadczyła Brianne, nawet nie obracając się w ich stronę.

Jennifer wysiadła z samochodu ostatnia, z ociąganiem, jakby chciała podkreślić własne obawy, ale wreszcie wystawiła na zewnątrz jedną, a potem drugą nogę, zupełnie jakby jechała na niewidocznym rowerze. Potem wyłoniły się jędrne piersi, zadziornie wypychające jej słonecznie żółtą koszulkę, i wreszcie gęsta burza jasnych włosów, która na chwilę przesłoniła jej twarz.

Stojącemu z boku i obserwującemu ją Wesleyowi opadła szczęka.

– Recepcja jest tuż za drzwiami. – Zdołał jakoś wskazać ręką rząd masywnych przeszklonych drzwi dokładnie za swoimi plecami. – Czy mogę pomóc państwu z bagażami?

Val szybko wskazała mu tylny bagażnik samochodu. – Tylko te dwie sztuki na górze – powiedziała, otwierając go. – Aha, i ta podróżna torba. To wszystko – potwierdziła, gdy Wesley zaczął wyjmować bagaż. – Reszta zostaje tam, gdzie jest.

– Jak długo zatrzymają się państwo u nas? – spytał Wesley, a jego spojrzenie znów powędrowało w stronę Jennifer.

– Nie wszyscy zostajemy – wyjaśniła Val. – Tylko moja córka i...

– ...ta dziwka – szepnął James kątem ust, przesłaniając je dodatkowo dłonią, żeby jego słowa można było wziąć za westchnienie.

– ...ona. – Val wskazała Jennifer ręką. – Będą tu trzy noce. My wracamy, kiedy coś przegryziemy.

– Zjecie tu kolację? – W głosie Jennifer odbił się przestrasz widniejący na jej twarzy.

– Prowadziłam niemal pięć godzin – przypomniała jej Val.

– Jasne. Nie chciałam sugerować...

– Przydałaby mi się chwila przerwy.

– Tak, rozumiem, to oczywiste.

– Ale chętnie zjemy przy osobnym stoliku, jeśli tak wolisz.

– Mamo, przestań – powiedziała Brianne, wrzucając blackberry'ego do torby i podchodząc do nich. – Nie do twarzy ci z cierpiętnictwem.

– Nie usiłuję udawać cierpiętnicy. Próbuję tylko wszystko wszystkim ułatwić.

– Dając popalić Jennifer?

– A niby jak ja jej daję popalić? – Val rozzłościło, że córka staje po stronie Jennifer, i chociaż usiłowała to ukryć, zdradzała ją szorstkość głosu.

– Zdaje się, że wszyscy jesteśmy trochę zmęczeni – wtrąciła Melissa, a znajomy dzwonek telefonu Brianne zasygnalizował, że dostała kolejną wiadomość.

– Czy to twój ojciec? – spytała Val. Jednak Brianne już odsuwała się od niej, z kciukami nad klawiaturą gotowymi do akcji.

– Cudownie – powiedziała Val, kierując się w stronę drzwi wejściowych hotelu; pozostali ruszyli za nią posłusznie gęsiego. – Brianne! – zawołała.

Brianne zareagowała lekceważącym machnięciem ręki.

– Nie martw się. Wie, gdzie ma nas szukać – powiedziała Melissa, kiedy wchodzili do środka.

– Nie wiem, do kogo ona tak bez przerwy pisze.

– Wiesz, jak to bywa, kiedy ma się nowego chłopaka – powiedziała

z roztargnieniem Jennifer.

– Jakiego nowego chłopaka? – Val zatrzymała się tak raptownie, że Jennifer na nią wpadła.

– Bardzo przepraszam – powiedziała natychmiast. Chociaż nie była pewna, czy bardziej żałuje, że nastąpiła na gołe palce u nóg Val, czy że zdradziła informację o nowym chłopaku matce Brianne, która ewidentnie nie miała o niczym pojęcia.

– Brianne ma nowego chłopaka? – spytała Val oskarżycielskim tonem. Obie kobiety rozumiały, że tak naprawdę pyta: „Dlaczego ty o tym wiesz, a ja nie? Dlaczego Brianne miałaby się zwierzać tobie, a nie mnie? Czy nie wystarczy ci, że ukradłaś mi męża? Córkę też mi musisz ukraść? Po co tu jesteś? Po co w ogóle istniejesz?”.

– Nie wiem – odparła szybko Jennifer. – Po prostu założyłam, że musi chodzić o chłopaka... Ale nic nie wiem na pewno. Tak tylko zgadywałam – dodała nieprzekonująco.

– Czy tu nie jest wspaniale? – odezwała się głośno Melissa, obracając się powoli wkoło i szeroko rozpościerając ramiona, jakby chciała nimi objąć całe wnętrze. – Spójrzcie tylko na ten sufit. Przecież to pomieszczenie ma z piętnaście metrów.

Przesadny entuzjazm Melissy zmusił wszystkich do zerknięcia w stronę szerokich drewnianych belek stropu. Rzeczywiście jest wspaniały, zgodziła się w myślach Val, usiłując nie wyobrazać sobie nóg Jennifer wyciągniętych w jego stronę.

– I ten fantastyczny kamienny kominek – ciągnęła Melissa. – I te chodniki...

– I ten kryształowy żyrandol – dodała Jennifer, wdzięczna Melissie za interwencję.

– I ten konsjerż – dorzucił James, opuszczając głowę i zerkając spod oka na młodego człowieka za kontuarem recepcji. – Popatrzcie tylko na te usta.

– Zrobię sobie usta – oświadczyła nagle Brianne, dołączając do niewielkiej, stojącej pośrodku holu grupki.

– Jak to zrobisz sobie usta? – spytał James.

– Są za wąskie. Powiększę je sobie.

– Po moim trupie – powiedziała Val.

– Val... – ostrzegła Melissa.

– Moja koleżanka powiększyła sobie usta – powiedziała Jennifer. – Miała takie piękne wargi, zupełnie jak twoje, Bri, a potem je powiększyła. Teraz wygląda jak spuchnięta, jakby ktoś jej przyłożył pięścią.

– Ja nie chcę robić niczego drastycznego – szybko wycofała się Brianne. – Tylko żeby były troszeczkę wydatniejsze. O tutaj. – Wskazała palcem miejsce na górnej wardze. – I może tutaj.

– Ona też tak mówiła, ale kiedy już raz zaczniesz coś robić z ustami, nigdy potem nie wyglądają naturalnie.

Val czekała na protest Brianne, ale córka powiedziała tylko:

– Naprawdę uważasz, że moje usta są ładne?

– Żartujesz sobie? Są prześliczne.

– Dzięki – powiedziała Brianne.

Super, pomyślała Val, rozdarta między chęcią uściskania Jennifer i wdania się z nią w zapasy na kamiennej posadzce holu.

– To samo jej mówię – szepnęła do Melissy. – Mnie nie słucha.

– A kiedy ty po raz ostatni posłuchałaś tego, co mówi ci matka? – odszepnęła Melissa.

Pewnie jak byłam mniej więcej w tym samym wieku, pomyślała Val, ale potem uznała, że było właściwie odwrotnie. To matka przestała słuchać jej. Val zobaczyła ją w myślach, leżącą w łóżku, z na wpół opróżnioną butelką wina ustawioną chybotliwie obok głowy, przy poduszce. Najpierw zrejterował ojciec, a potem matka – dzieci odczuły porzucenie przez nią tym bardziej, że nadal była obecna. Przynajmniej fizycznie.

Ona pewnie nawet nie pamięta, że w ten weekend są moje urodziny, pomyślała Val, próbując nie uzalać się nad sobą nadmiernie. Postanowiła, że równie dobrze sama może do matki zadzwonić i jej o tym przypomnieć. Nie ma sensu wdawać się w ceremoniał. Może powinna nawet zaprosić matkę, żeby dołączyła do niej na niedzielnej kolacji.

– Czy mogę w czymś pomóc? – spytała ich teraz młoda kobieta z za polerowanego drewna długiego recepcyjnego kontuaru. Na jej plakietce widniało imię: Tori.

– Tak, z pewnością – odezwała się Val głośniejszym głosem, niż zamierzała. Młoda kobieta aż cofnęła się o krok. – Mamy tu pokój zarezerwowany na trzy kolejne noce. Na nazwisko Rowe.

Tori wklepała nazwisko do komputera.

– Pan Evan Rowe z żoną i córką? – Przeniosła wzrok z Val na Jennifer, a potem na Melissę i Jamesa, jakby usiłując się połapać, kto jest kim.

– Ja się tym zajmę – powiedziała Jennifer, a Val aż zeszywniała. Poczowała łagodny dotyk dłoni Melissy na ramieniu, jakby przyjaciółka doradzała jej zachować spokój. – Jestem panią Rowe – oświadczyła Jennifer, nieco przedwcześnie, zdaniem Val. Rozwód nie został przecież sfinalizowany. Evan mógł jeszcze zmienić zdanie.

– Czy to pani pierwszy pobyt w naszym hotelu? – spytała Tori.

– Tak – odparła Jennifer. – To również pierwszy pobyt Brianne.

– No to mam nadzieję, że będzie się paniom miło u nas mieszkało. – Tori zdołała objąć uśmiechem całą grupę. – Mamy wszystko. Fantastyczne spa, basen

rozmiarów olimpijskich, poza tym można się wybrać na przejażdżkę łódką lub rozmaite interesujące piesze wycieczki, wystarczy się tylko zapisać. Będę potrzebowała jeszcze podpisu na tym formularzu oraz poproszę dane pani karty kredytowej...

– Oczywiście.

Val patrzyła, jak Jennifer podpisuje się na formularzu rejestracyjnym z ostentacyjną wprawą, a potem wręcza recepcjonistce kartę kredytową, którą niewątpliwie finansował Evan.

– Mają państwo pokój trzysta trzysta na trzecim piętrze, w zachodnim skrzydle. – Tori wsunęła trzy karty do niewielkiej kopertki i wręczyła ją Jennifer. – Dla niepalących, dwa podwójne łóżka.

– Co? Zaraz. Mieliśmy mieć dwupokojowy apartament.

– To jest nasz standardowy apartament – wyjaśniła Tori. – Salonik i sypialnia z dwoma podwójnymi łóżkami. Naprawdę bardzo ładny.

– A przy okazji z pieprzykiem – szepnął James. – Tata, nastoletnia córeczka i seksowna młoda narzeczona.

Val skrzywiła się, niepewna, czy mierzi ją sam obrazek, czy fakt, że James określił Jennifer mianem seksownej.

– Nie mają państwo żadnych apartamentów z dwiema sypialniami? – nalegała Jennifer. – Może dwa połączone pokoje...

– Obawiam się, że jesteśmy w pełni zabukowani. Może udałoby się nam znaleźć jakiś tapczanik...

– Nie śpię na żadnym tapczaniku – zaznaczyła szybko Brianne.

Jennifer wzięła głęboki oddech, ułożyła wargi w kształt uspokajającego uśmiechu.

– Pozwolimy twojemu ojcu załatwić tę sprawę, kiedy tu dojedzie. Pokój trzysta trzysta, mówiła pani?

– Prosto tym holem, a potem w prawo – szybko odparła Tori. – Windy są z lewej. Bagaż zostanie państwu wkrótce przyniesiony. I jeśli możemy jeszcze czymś służyć, proszę od razu nas zawiadamiać.

– Czy nie ma dla nas żadnych wiadomości? – spytała Val, zaznaczając swoją obecność.

Tori sprawdziła w komputerze.

– Nie. Żadnych.

– Mam nadzieję, że to znaczy, że on jest w drodze – powiedziała Jennifer, ruszając przodem. – Jestem pewna, że Bri i ja dalej damy sobie radę same – powiedziała, gdy Val nacisnęła przycisk windy.

– Chciałam skorzystać z waszej łazienki – powiedziała Val, jeżąc się na to łatwe zdrabnianie imienia jej córki i machając dłonią na Jamesa i Melisę. – Na pewno wszyscy chętnie odświeżylibyśmy się odrobinę przed posiłkiem.

– Oczywiście – powiedziała Jennifer, podejrzewając, że Val chce po prostu obejrzeć pokój, bo z łazienek można też było skorzystać w holu. Była jednak za bardzo zmęczona, żeby się o to spierać.

Drzwi windy otworzyły się i wymaszerowała z nich zamaszystym krokiem jakaś młoda dziewczyna z opuszczoną głową i długimi, prostymi włosami opadającymi na twarz. Val musiała uskoczyć na bok, żeby nie zostać stratowana.

– To słowo brzmi: „Przepraszam państwa”! – zawołał jej śladem James.

– To dwa słowa – poprawiła go Melissa, a dziewczyna tymczasem uniosła wysoko środkowy palec i szła dalej przed siebie, nawet się nie obejrzała.

– Czy ona mi właśnie pokazała palec? – spytał James.

– I to szalenie emfaticznym gestem – stwierdziła Melissa, znów zerkając na Val. – Nic ci nie jest?

– Nie. Chyba się śpieszyła. Och, na litość boską – sarknęła, słysząc, że córka dostała kolejnego esemesa. – Mogłabyś wyłączyć tę komórkę.

– A jeśli to jest od taty? – odparła Brianne, gdy wchodzili do windy.

– A jest? – spytały Val i Jennifer jednocześnie.

Brianne przewróciła oczami i nic nie odpowiedziała. W milczeniu wjechali na trzecie piętro, przy akompaniamencie klikania, bo Brianne pisała kciukami odpowiedź. Nadal jeszcze klikała, kiedy wyszli z windy i długim korytarzem barwy kości słoniowej skierowali się do apartamentu.

Jennifer wyjęła z koperty jeden z kluczy i przesunęła go w szczelinie przy drzwiach, a Brianne wrzuciła komórkę do torby. Drzwi nie chciały się otworzyć, mimo kilku prób.

– Co się dzieje z tą głupią kartą?

– Może ja spróbuję. – Val wyjęła kartę z ręki Jennifer i delikatnie przesunęła ją wzdłuż szczeliny zamka. Natychmiast zapaliła się zielona kontrolka i drzwi można było otworzyć.

– O rany! – zawołał James, kiedy weszli za próg. – Nie jest źle.

Val poczuła lekki nacisk ręki Melissy na ramieniu, kiedy wchodziły do środka.

– Oddychaj – poradziła przyjaciółka.

Wziąwszy jeden głęboki oddech, a potem drugi, Val rozejrzała się po słonecznym salonie apartamentu, który miał niemożliwie wysoki sufit i piękną tapetę w białe i złote paski. Wyremontowali go od czasu jej ostatniego pobytu, unowocześnili i podnieśli standard. Zupełnie jak Evan w kwestii żon, pomyślała, chwytając własne znużone odbicie w oprawnym w ozdobne ramy lustro zawieszonym nad przesadnie miękką welwetową beżową sofą. Szklany stolik do kawy wsparty na mosiężnych nóżkach stał przy sofie, a po obu stronach gazowego kominka pod przeciwległą ścianą stały wysokie fotele z zagłówkami, obite kwiecistą materią. Ściany ozdabiała wiszące w równych odstępach fotografie

miejscowej przyrody. Butelka szampana chłodziła się w wiaderku z lodem na okrągłym szklanym stoliku przed wielkim, panoramicznym oknem wychodzącym na Shadow Creek. Val zastanowiła się, czy ten szampan to pomysł Evana, czy gest ze strony hotelu.

Na pewno dobrze by mi akurat teraz zrobiła odrobina alkoholowego odprężenia, pomyślała w stylu swojej matki, idąc śladem córki obok wykładanej marmurem łazienki, do sypialni w barwach złota i kości słoniowej. Tutaj ten kwiecisty materiał z foteli w saloniku powtarzał się zarówno na zasłonach, jak i narzutach dwóch podwójnych łóżek. Zdjęcia miejscowej fauny zostały zastąpione przez kilka akwarelowych pejzaży ukazujących okoliczne krajobrazy. Nad zagłówkiem każdego z łóżek był udrapowany złotawy baldachim, pasujący do złotawej tapicerki krzesła umieszczonego przy misternie rzeźbionym mahoniowym biureczku stojącym przy oknie.

– Mój Boże, to chyba autentyczny chippendale? – spytała Melissa, porzucając na chwilę Val i podchodząc do biurka.

– Nie musisz czasem skorzystać z łazienki? – przypomniała matce Brianne.

– Racja.

– No to kto będzie spał z kim? – Val usłyszała pytanie Brianne, kiedy już wychodziła z sypialni.

I gdy Val zamykała za sobą drzwi, Brianne jeszcze czekała na odpowiedź.

Val myślała ręce, gdy przypomniała sobie wcześniejsze postanowienie, że zadzwoni do matki. Biedna kobieta bez wątpienia usiłuje się do mnie dodzwonić przez cały dzień, żeby złożyć życzenia urodzinowe, pomyślała, wyciągając z torebki komórkę i sprawdzając, czy ma zasięg. Matka pewnie się zamartwia. Taa, i co jeszcze, dodała w myślach, naśladując styl Brianne, a potem wrzuciła telefon z powrotem do torby, bo zasięgu nie miała żadnego. Kiedy matka po raz ostatni pamiętała o jej urodzinach? Kiedy ostatni raz martwiła się o coś innego niż o to, czego się napije?

– Czy mogłabym skorzystać z waszego telefonu? – zapytała, wróciwszy do sypialni. – Komórka nie łapie mi zasięgu, a naprawdę powinnam zadzwonić do mamy.

– Teraz? – spytała Brianne. – A po co?

– Po prostu sprawdzić, czy wszystko w porządku.

– Znaczący, czy jest trzeźwa.

Val podeszła do aparatu obok łóżka stojącego dalej od okna, spojrzała na instrukcje uzyskiwania zewnętrznego połączenia i wybrała numer matki.

– Damy ci nieco prywatności – usłyszała słowa Melissy, a w słuchawce jeden długi dzwonek, potem drugi, trzeci, czwarty...

– Moja kolejka do łazienki – powiedział James, wychodząc z sypialni.

Telefon został odebrany w połowie ósmego dzwonka, ale po drugiej stronie



nikt się nie odezwał.

– Mamo? Jesteś tam?

– Allison? – spytała matka.

– Nie, mamo. Tu Valerie.

– Valerie, kochanie. Z każdym dniem brzmisz bardziej jak twoja siostra. Jak się masz?

Val zastanowiła się, kiedy jej matka po raz ostatni rozmawiała z Allison, która przeprowadziła się na Florydę dwa lata wcześniej, głównie po to, żeby odnowić kontakt z ich ojcem.

– Dobrze. A ty?

– Wszystko w porządku, kochanie. Chociaż złapałaś mnie w nie do końca dogodnym momencie. Właśnie miałam wziąć kąpiel.

Val przygryzła dolną wargę. Jej matka zawsze albo miała zaraz wejść do wanny, albo właśnie z niej wyszła. Oznaczało to, że albo zaraz padnie bez świadomości, albo chce nalać sobie kolejnego drinka.

– Chciałam ci tylko dać znać, że weekend spędzę na Manhattanie. Zamierzałam zadzwonić wcześniej, ale... Coś mi wypadło. – Odczekała kilka chwil, ale matka nie spytała, co się stało. – Tak czy inaczej, będę w hotelu Plaza – ciągnęła, nie doczekawszy się komentarza. – Gdybyś potrzebowała się ze mną skontaktować.

Znów żadnego zaciekawienia tym, dlaczego podczas weekendu zamierza nocować w Plaza. Tylko milczenie.

– To prezent na czterdzieste urodziny od Jamesa i Melissy – podsunęła Val.

Kolejna przydługa cisza. A potem:

– Planowałam do ciebie zadzwonić później, kochanie.

– Jasne.

– Chyba nie sądziłaś, że zapomniiałabym o czterdziestych urodzinach swojej córki, co?

– Miałam nadzieję, że nie.

– No to baw się znakomicie, kochanie – dodała matka po kolejnej długiej i niezręcznej pauzie. – Teraz naprawdę muszę już kończyć. Woda w wannie mi stygnie.

Val pokiwała głową.

– Jeśli będziesz rozmawiała z siostrą, to nie zapomnij jej ode mnie pozdrowić.

– Będę pamiętać. – Val wątpiła, żeby Allison sobie przypomniwała o jej urodzinach albo zadzwoniła, jeśli by nawet pamiętała. Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni wymieniały takie zwykłe uprzejmości. A z ojcem nie rozmawiała od wielu lat.

Skoro mam urodziny, a moja rodzina o nich nie pamięta, to czy ja w ogóle

istnieję?

– To na razie, kochanie.

– Może mogłybyśmy w niedzielę zjeść razem kolację... – zaczęła Val, ale matka zdążyła się już rozłączyć.

Brianne stanęła w drzwiach łączących oba pokoje.

– Bardzo była pijana tym razem?

Val odstawiła słuchawkę na podstawkę.

– Proszę, nie mów w taki sposób o własnej babce.

– Dlaczego nie? Przecież to prawda.

– To nie takie proste.

– Owszem, proste – powiedziała Brianne.

– Wszystko w porządku? – zapytała Jennifer, stając obok Brianne.

– Jasne, że tak. Dlaczego miałyby być nie w porządku? – Val poderwała się na nogi. Ostatnia rzecz, jakiej w tej konkretnej chwili potrzebowała, to współczucie Jennifer. Potrzebowała za to drinka. Cholera, jej matce to pomagało. Pomaszerowała do saloniku. – No to co, wszyscy głodni?

– Ja chyba zaczekam z jedzeniem na przyjazd Evana – powiedziała Jennifer.

– Ja poczekam z Jennifer – odezwała się Brianne, zanim ktokolwiek ją spytał.

– Twój ojciec może tu dojechać dopiero za parę godzin – przypomniała jej Val. James i Melissa ruszyli do drzwi.

– Nie szkodzi. I tak za wcześnie na jedzenie.

– Jak sobie chcesz. – Val już wychodziła na korytarz, kiedy nagle zadzwonił telefon, a jego zaskakująco ostry dzwonek odbił się od ścian pokoju niczym stalowa kulka w maszynie flippera.

– Halo? Evan? No, dzięki Bogu – mówiła Jennifer. – Dotarliśmy tu kwadrans temu. Gdzie jesteś? Jesteś już w... Co takiego?

Val za drzwiami czekała na nieuniknione.

– Nie, proszę nie mów mi tego. Chyba nie dopiero jutro? – odezwała się Jennifer.

– A to ci niespodzianka – mruknęła Val.

– No po prostu super – powiedziała Brianne.

„Naprawdę mi przykro – wyobrażała sobie słowa Evana Val – ale ten cholerny kontrakt stanął nam tutaj na głowie. Nijak nie uda mi się w tej chwili wyjechać”.

– Ale jak oni mogą grozić zerwaniem rozmów? – pytała Jennifer. – Klient grozi odejściem od stołu – wyjaśniła w następnej chwili córce Evana. – Będą musieli pracować całą noc. Ojciec ma nadzieję, że wszystko im się wyjaśni do jutra rana...

„Uwierz, jest mi równie przykro, jak tobie – Val niemal słyszała kolejne

słowa Evana. – Postaram się wyrwać stąd jak najszybciej się da”.

– Oczywiście – odparła Jennifer. – Rozumiem. I uda ci się wyruszyć jutro z samego rana? – Jej głos zadrżał, jakby miała się rozplakać. – Tak, rozumiem, że będziesz się starał. Jestem tylko trochę rozczarowana, to wszystko. Nie, naprawdę rozumiem. Co? Hm... Tak, owszem, nadal tu jest. Dobrze, jasne. Jedną chwileczkę, zobaczę. Val? – zawołała. – Jesteś tu jeszcze?

Val szybko wróciła do pokoju.

Jennifer stała przy sofie. Bez słowa wyciągnęła w jej stronę słuchawkę.

– Halo? – odezwała się cicho Val do telefonu.

– Cześć, ty – nadeszła zwyczajowa odpowiedź Evana.

Val słuchała, a Evan znów wyjaśniał, jak wygląda sytuacja, a potem dodał:

– Chciałem ci tylko podziękować za wszystko, co zrobiłaś.

– Nie trzeba.

– Posłuchaj... A może zostałabyś tam na noc? Na pewno jesteś wykończona.

Nie sprzeczasz się ze mną – dodał, wyczuwając, że ma zamiar się sprzeciwić. – W ten sposób ty i twoi przyjaciele wyśpicie się porządnie przed powrotną drogą. Nie chciałabyś spowodować wypadku, a ja nie darowałbym sobie, gdyby stało ci się coś złego.

Na to już za późno, pomyślała Val.

– Możecie skorzystać ze spa, iść na zakupy, cokolwiek chcesz. Ja stawiam.

– Nie mogę...

– Wszystko wskazuje na to, że nie dojadę tam przed jutrzejszym popołudniem – ciągnął. – Proszę cię, zostań. Potraktuj to jako część swojego prezentu urodzinowego – dodał, chcąc ją przekonać.

To miała być jeszcze jakaś inna część? – zainteresowała się Val, usiłując się domyślić, co tak naprawdę Evan znów chce jej powiedzieć.

– Zastanowię się. – Oddała słuchawkę Jennifer.

– Co się dzieje? – spytała Brianne.

A żeby to ja wiedziała, pomyślała Val. Ale odparła tylko:

– Powiedzmy, że teraz pójdziemy wszyscy na kolację.

Przy sąsiednim stoliku w dyskretnie, ale też elegancko urządzonej jadalni siedziała młoda i przystojna para, sprzecząc się, odkąd tam weszli.

– Jesteś strasznie uparta – mówił właśnie młody człowiek przez wyraźnie zaciśnięte zęby.

– A ty wprost śmieszny – z miejsca odpaliła młoda kobieta, obracając na palcu pierścioneł wysadzany diamentami i odgarniając z zarumienionych policzków kasztanowe włosy.

– Nie mów mi, że jestem śmieszny.

– To ty mi nie mów, że jestem uparta.

– Nowożeńcy – szepnął kelner do Val, po raz trzeci napełniając jej kieliszek winem.

Val patrzyła na ciemnoczerwony płyn wlewający się do kieliszka. Co ja wyprawiam? – zastanowiła się. Ze względu na te nieszczęsne skłonności matki nigdy nie piła więcej niż jeden kieliszek wina, nigdy sobie nie pozwalała na luksus nawet odrobiny rauszu. Ale co tam, okoliczności są niezwykle, uznała i pokazała gestem kelnerowi, żeby nalał do pełna. Za dwa dni przypadały jej czterdzieste urodziny i nikt w rodzinie w ogóle się tym nie przejmował. Matka była zbyt pijana, ojciec zajęty czymś innym, z siostrą kontakty się rozluźniły, a córka za bardzo koncentrowała się na sobie. Jedynie jej wkrótce były mąż, miłość jej życia, zaledwie za parę tygodni mający przestać stanowić część tego życia, w ogóle o nich wspomniał.

„Potraktuj to jako część swojego prezentu urodzinowego”, powiedział.

O co mu chodziło?

Dzięki Bogu za Jamesa i Melissę, westchnęła, zabraniając sobie myślenia o Evanie. Uśmiechnęła się do dwójki swoich najbliższych przyjaciół. Nie tylko pamiętali o jej urodzinach, ale i bezinteresownie odłożyli na bok swoje własne plany ich uczczenia, żeby dostosować się do niej. I po co? Dla czegoś takiego?

Cała nieszczęsna grupka siedziała teraz wokół okrągłego stołu pod oknem wychodzącym na Shadow Creek, a w dalszej perspektywie na jezioro George. Nad ich głowami ciężka atmosfera zawisała niczym całun. Na zewnątrz nadal było jasno, ale zmrok miał przyjść za jakąś godzinę. Noc w górach zapadała o wiele szybciej niż w mieście; Val wiedziała o tym i pożałowała teraz, że nie poszła wzorem Jennifer i nie wzięła prysznic przed zejściem na kolację. Przynajmniej powinna była przed jedzeniem zmienić ubranie. Chociaż i tak nie mogła konkurować z jak zawsze śliczną Jennifer, w jej modnie pogniecionych lnianych spodniach i świeżej

koszuli w białe i czerwone wąskie paseczki.

Konkurować? – pomyślała teraz, pijąc sporymi łykami wino. Konkurs już się zakończył. Jennifer wygrała.

– Hej, mam. Nie szalej tak z tym winem, co?

– Czy coś jest nie tak z twoim łososiem? – spytała Val, zamiast odpowiedzieć. Brianne rozgrzebywała jedzenie na talerzu i od początku posiłku niewiele zjadła.

– Nie jestem specjalnie głodna.

– Może chciałabyś trochę mojej cielęciny? Jest wspaniała.

– To krowie dziecko. Uważam, że to obrzydliwe.

– Nie, jest naprawdę pyszna.

Żując z przesadnym entuzjazmem, Val zerknęła jeszcze raz na talerze pozostałych. James i Jennifer zamówili świeżego tuńczyka, a Melissa kończyła swoją miseczkę makaronu primavera. Nawet nowożeńcom klóącym się przy sąsiednim stoliku udało się uzgodnić, że wezmą rybę. Czy jestem już jedynym mięsożercą na tej planecie? – pomyślała Val.

– W zasadzie przestałam jeść mięso w wieku jedenastu lat – powiedziała Jennifer, jakby Val swoje pytanie zadała na głos. – Matka codziennie musiała szykować dwa różne obiady.

Brianne rzuciła własnej matce spojrzenie, które mówiło: „I co? Można? Można”.

Och, dodaj to do wciąż wydłużającej się listy moich niedociągnięć, pomyślała Val, czując, że sala wkoło niej wiruje. Zdawało jej się, że rozpoznaje młodą dziewczynę, która prawie wpadła na nią wcześniej, a potem pokazała jej środkowy palec. Siedziała teraz kilka stolików dalej, pogrążona w poważnej rozmowie z siedzącym naprzeciw niej młodym człowiekiem, chociaż Val nie była do końca pewna, czy to ta sama. A, do diabła, niczego już nie była pewna.

– Wszystko, naprawdę dosłownie wszystko było dla mojej matki problemem – mówił teraz James. – Z całego serca nienawidziła gotowania. Chociaż, co zadziwiające, uwielbiała piec ciasto czekoladowe. I muszę przyznać, że lepszego do tej pory nigdzie nie jadłem.

– Moja matka gotowała wyłącznie z puszek – stwierdziła Melissa, nie chcąc dać się usunąć w cień. – Miałam dwadzieścia jeden lat, kiedy zorientowałam się, że istnieje coś takiego jak świeże warzywa.

– Zastanawiam się, czy nie zostać wegetarianką – oświadczyła Brianne.

Val zachodziła w głowę, kim jest ta dziewczyna, wpatrując się uważnie w twarz córki i widząc, jak na jej oczach ta twarz rozdziela się na dwie zamazane połowy.

I co ona zrobiła z moją Brianne?

Blackberry Brianne zapisał, sygnalizując, że dostała kolejnego esemesa.

- Nie odpisuj – ostrzegła ją Val.
- Co?
- Odpisz na tego esemesa, a komórka wyląduje w śmietniku.
- O co ci znowu chodzi?

O ciebie, chciała krzyknąć Val. O ciebie i tę lalunię, która obok ciebie siedzi. Nie wspominając o tym, że moja matka jest pijaczką, która zapomniała o moich urodzinach, że twój ojciec bombarduje mnie sprzecznymi sygnałami, że ta sala wiruje, a mnie się zdaje, że istnieje spore prawdopodobieństwo, że zwymiotuję. Ale powiedziała tylko:

– Moim zdaniem niegrzecznie jest esemesować, siedząc przy wspólnym posiłku, to wszystko.

– No to przejdę do holu. – Brianne natychmiast podniosła się z krzesła.

– Wybij to sobie z głowy. Siadaj. Ale już.

– O w mordę jeża. – Brianne klapnęła z powrotem na krzesło i w mało atrakcyjny sposób odęła wargi. – A tak w ogóle, to kiedy sobie pojedziecie?

– Coś mi mówi, że twoja mama prowadzić teraz nie bardzo może – odezwała się miękkiem tonem Melissa.

– To prowadź ty. Albo James – znalazła rozwiązanie Brianne.

– Niestety, mała. Jestem zbyt zmęczona, żeby dziś wieczorem jechać do Nowego Jorku – powiedziała Melissa.

James zgodnie pokiwał głową.

– Wygląda na to, że zanocujemy tutaj, bączku.

– Co? Nie, za godzinę dojdę do siebie – zaprotestowała Val.

– Nie dojdiesz – stwierdził James.

– Nie będziesz dziś prowadziła – oświadczyła Melissa.

Brianne spiorunowała matkę wzrokiem.

– Zrobiłaś to specjalnie.

Val zastanowiła się, czy Brianne nie ma racji. Czy z premedytacją wypła zbyt wiele, żeby nie mieć wyboru i musieć skorzystać z propozycji Evana i zanocować tutaj? A może zrobiło jej się bardziej przykro, niż gotowa była się przyznać, bo matka zapomniała o jej urodzinach? Oparła się o tył krzesła, walcząc z rosnącymi zawrotami głowy.

– Mówiłem ci o tej wycieczce parę miesięcy temu – usłyszała słowa mężczyzny siedzącego przy sąsiednim stole i przez chwilę wydawało jej się, że on się zwraca bezpośrednio do niej.

– Nie, David, nie mówiłeś – upierała się jego żona. – Po raz pierwszy słyszę o jakiejś wycieczce.

– Bo mnie nie słuchasz.

– Nie wmawiaj mi, że nie słucham.

– Gdybyś słuchała, to pamiętałabyś, co mówiłem. Że jadę na ryby ze

Scottem i Peterem na długi wrześniowy weekend.

– Ale ja już zapowiedziałam rodzicom, że pojedziemy do ich domku letniskowego na ten weekend.

– Przecież możesz jechać.

– Sama?

– Twoje siostry tam będą.

– Jasne. Z mężami. I dziećmi.

– No to będziesz miała przyjemne spotkanie.

– Dzięki wielkie. Te dzieci są nieznośne.

– I dokładnie dlatego wybieram się na ryby.

– Nie jedziesz na żadne ryby.

– Owszem, jadę.

Nie jedziesz, jadę, powtarzała w myślach Val.

– Nie bądź śmieszny, David.

– A ty nie bądź suką, Alicia.

No to teraz jedziemy, pomyślała Val, słysząc w wyobraźni gong sygnalizujący początek drugiej rundy.

– Tylko bez wyzwisk.

– A co? Nie masz na imię Alicia?

– Nie bądź taki cwany. Nazwałeś mnie suką.

– Nieprawda. Powiedziałem, żebyś się nie zachowywała jak suka. To różnica.

– Wielka jak cholera. Nie odezwę się do ciebie ani słowem, dopóki mnie nie przeprosisz.

– Za co?

– Za to, że jesteś dupkiem.

– I kto tu kogo wyzywa?

– Ja mówię jak jest. Dupek! – Z tymi słowami Alicia poderwała się od stołu, rzuciła brzoskwińowej barwy serwetkę na biały lniany obrus i zamaszystym krokiem wymaszerowała z jadalni.

Czy w ogóle ktoś na tej sali dobrze się bawi, myślała Val, dopijając resztkę swojego wina.

– Przepraszam za to wszystko – nieśmiało mruknął David w stronę Jennifer.

Jakbym ja w ogóle nie istniała, skonkludowała Val, przyglądając się własnemu odbiciu w lżyeczce do kawy.

– Ktoś chce deser? – spytał James.

– Jak to nie macie wolnych pokoi? – Val z trudem opanowywała histerię, która zaczynała pojawiać się w jej głosie. Za nią stała Jennifer.

– Szalenie mi przykro – przeprosiła młoda kobieta z recepcji. Miała wielkie piwne oczy i słodki uśmiech, który utrudniał Val złość na nią. Plakietka

przy uniformie wskazywała, że na imię ma Kathy. – Mamy komplet rezerwacji aż do wrześniowego długiego weekendu włącznie.

– No cóż, to po prostu cudownie. I co my mamy teraz zrobić? – spytała Val, nie zwracając się do nikogo w szczególności.

– Mogę obdzwonić inne hotele w okolicy, jeśli państwo sobie życzą – zaproponowała Kathy i sięgnęła do telefonu.

– Bardzo proszę. – Val obróciła się do pozostałych, czując jednocześnie, że hol przechyla się w prawo. – Zdaje się, że mamy mały problem.

– Coś takiego przytrafiło mi się we Włoszech – powiedział James. – Zarezerwowałem nocleg w takim cudnym małym hoteliku tuż pod Florencją z wyprzedzeniem pełnego roku. Ale kiedy tam dojechaliśmy, powiedzieli nam, że nie mają żadnego śladu po naszej rezerwacji, i musieliśmy jechać gdzie indziej. Byłem tak wściekły, że więcej do Włoch nie pojechałem.

– Wymyślasz to – stwierdziła Melissa.

– No cóż, owszem – przyznał James. – Zdawało mi się, że to właściwa chwila na wspierającą anegdotę.

Val westchnęła w przypiływie nagłego, nieodpartego znużenia. Miała nadzieję na długą, gorącą kąpiel i może nawet na masaż. Na pewno nie miała ochoty jeździć po okolicy i szukać noclegu. Zresztą i tak nie nadawała się do jazdy. Czy Brianne miała rację? Że Val zrobiła to specjalnie?

Tylko po co?

– Przepraszam – odezwała się Kathy po paru minutach. – Nie poszcęściło mi się. Wygląda na to, że wszystkie hotele w okolicy mają komplet.

Brianne jęknęła.

– A może coś w okolicy Fortu Ticonderoga...

– Zdecydowanie mi się nie podoba, jak to brzmi – oświadczył James.

Val pokręciła głową. Fort Ticonderoga leżał ponad godzinę jazdy stąd.

– Próbowałam wszędzie...

– A nie może pani spróbować jeszcze raz? – spytała błagalnym tonem Jennifer.

– Przykro mi, kochanie – zwróciła się Val do córki, kiedy dalsze poszukiwania nie przyniosły informacji o jakichkolwiek wolnych miejscach – ale wygląda na to, że...

– Nie mów mi tego – odparła Brianne.

– Chyba będziemy musieli zanocować razem – dokończyła Val mimo wszystko.

– Szczyt wszystkiego – mruknęła Jennifer.

– Posłuchajcie. Mogło być gorzej – powiedział James. – Mamy dwa podwójne łóżka i sofę w salonie.

– Nie śpimy wszyscy razem – oświadczyła Brianne głośno. – Nie ma mowy.



Wykluczone.

– Chyba przyszła pora na kolejną anegdotę – odezwała się Melissa do Jamesa.

– Musi istnieć jakieś inne rozwiązanie – powiedziała Jennifer.

– Ja mogłabym spać w samochodzie – zaproponowała Val.

– Jasne – parsknęła Brianne.

– No dobra – zgodziła się Jennifer, obejmując ramieniem Brianne. – W końcu to apartament. I chodzi tylko o jedną noc. To jeszcze nie koniec świata.

James uśmiechnął się.

– Nie byłbym taki pewien.

– No dobrze, to może być ciekawe – powiedziała Melissa, spoglądając na dwa podwójne łóżka. – To co robimy? Ciągniemy losy?

– Z minuty na minutę robi się coraz bardziej perwersyjnie – oświadczył James.

– James, ty zajmiesz sofę – usłyszała Val słowa Jennifer, a sama skoncentrowała się na poduszkach sofy, usiłując je zmusić, żeby przestały się kołysać. Rozpaczliwie chciała się położyć i nie była pewna, ile czasu jeszcze zdoła utrzymać się na nogach. – Melissa i Val mogą spać na tamtym łóżku. Brianne, ty będziesz spać ze mną.

– Dla mnie w porządku – powiedziała Brianne, wypakowując kosmetyczkę i ruszając do łazienki.

– Nie siedź tam długo. Cztery inne osoby czekają! – zawołała za nią Melissa.

– I żadnego esemesowania! – dorzuciła Val.

W odpowiedzi usłyszały trzaśnięcie drzwi, a potem odgłos wody płynącej z kurków do wanny.

– Zdaje się, że to będzie długa noc – rzuciła z westchnieniem Melissa.

Val patrzyła, jak Jennifer wyciąga z walizki ładną różową koszulkę nocną. No, ja się przy tej kobiecie za nic nie rozbiorę, pomyślała, podchodząc do własnej drelichowej torby przyniesionej niedawno przez boya hotelowego i ustawionej przy łóżku. Za nic nie będę się przebierać w moją złachaną, starą nocną koszulkę, kiedy ona tu jest. Za nic, za nic, za nic, powtarzała w myślach słowa Brianne.

Jennifer wydawała się podobnie wytrącona z równowagi, bo usiadła na krawędzi łóżka, przyciskając zwiniętą koszulkę do piersi.

Nie masz co się tak krygować, pomyślała Val. Ja ciebie już nago widziałam.

James włączył telewizor.

– O, nie. Popatrzcie – powiedział na widok uśmiechniętych twarzy Franka i Arlene Wallów, objętych nawzajem ramionami i zajmujących cały wielki ekran telewizora pomiędzy łózkami.

– „Coraz częściej spekuluje się na temat możliwego związku zabójstw Franka i Arlene Wallów oraz turysty Briana Griersona” – mówił spiker. Zdjęcie

państwa Wall znikło, zastąpione zdjęciem młodego człowieka o rzadkich zębach i wijących się ciemnych włosach, z wypchanym plecakiem na szczupłych ramionach.

James przysiadł w nogach drugiego łóżka, a Val i Melissa usiadły po obu stronach przyjaciela.

– „Policja nadal nie chce potwierdzić, że te dwa przypadki są ze sobą powiązane, ale mamy informacje, że DNA pobrane ze wszystkich zwłok może pochodzić z tego samego źródła. I chociaż władze nadal zaprzeczają, by zabójstwo Marie i Williama Carterisów miało związek z zabójstwem Briana Griersona albo państwa Wallów, to nie są w stanie zaprzeczyć istnieniu niepokojących podobieństw: wszystkie ofiary zginęły od licznych ciosów ostrym narzędziem, Carterisowie i Wallowie to dwa małżeństwa w podeszłym wieku, zamieszkujące na odludziu, i podczas gdy Grierson do profilu pozostałych ofiar nie pasuje, to jego zadźgane i rozczłonkowane zwłoki zostały znalezione niedaleko domu Wallów, co zmusza śledczych do wzięcia pod uwagę, że niechcący mógł natknąć się na zabójcę. Albo zabójców – ciągnął poważnym tonem spiker – ponieważ nasze źródła informują, że policja jest już stosunkowo pewna, iż w te brutalne morderstwa zamieszanych jest więcej osób niż jedna”.

– Cudownie. – James wyłączył telewizor i podniósł się z łóżka. – Śpijcie wszystkie smacznie – dodał, wychodząc z pokoju. – Miłych snów.

Jennifer gapiła się na cyfrowy budzik na stoliku pomiędzy dwoma łózkami, a wyraźne, krwawoczerwone cyfry gapiły się na nią, jakby prowokowały, żeby spróbowała ich odczytowi zaprzeczyć – wyświetlały dwunastą trzydzieści pięć. Bite pół godziny po północy. Mniej niż kwadrans, odkąd ostatni raz sprawdzała godzinę.

Przekręciła się na prawy bok, w stronę okna, usiłując ułożyć się wygodnie i bojąc się, że nijak nie zdoła zasnąć. Noc nie zapowiadała się dobrze, zdecydowała, czując, że Brianne rzuca się obok niej niczym ryba wyjęta z wody. Czy ta dziewczyna nigdy nie przestaje się wiercić? Kusiło ją, by złapać Brianne za nogę i zmusić, żeby przestała nią ruszać, albo przytrzymać palce dłoni i zabronić im podrygiwać. Nigdy jeszcze nie dzieliła posłania z kimś, kto spałby równie niespokojnie. Brianne co kilka sekund zmieniała pozycję, ściągając kołdrę to tu, to tam, to zakrywając się z głową, to po chwili skopując ją w nogi. A co gorsza, kiedy już w miarę się uspokajała, wzbudzając w człowieku złudne poczucie, że może się odprężyć, a nawet zacząć odpływać w sen, po chwili znów zaczynała się kręcić. Jakby ta dziewczucha miała wbudowany jakiś czujnik. Jakby robiła to specjalnie.

Nie, pomyślała Jennifer, postanawiając zdobyć się na wielkoduszność. Brianne nie jest taka jak Val. Nie bywa wredna. Nie jest apodyktyczna ani zaborcza. Nie ma żadnych ukrytych zamiarów. To zwyczajna nastolatka. A nastolatki znane są z tego, że śpią niespokojnie. Prawda? Jennifer wzruszyła ramionami. Ledwie pamiętała własne nastoletnie czasy, większość tego okresu spędziwszy w jakiejś mgle po tym, jak u matki zdiagnozowano raka piersi.

Jennifer miała zaledwie czternaście lat i jej własny biust dopiero zaczął się wypełniać i przyciągać męskie spojrzenia, kiedy matka musiała się poddać podwójnej mastektomii. Po operacji nastąpiły liczne serie chemii, którym towarzyszyły znużenie, mdłości i utrata pięknych włosów. A potem terapia naświetleniami, które poparzyły jej skórę i pozbawiły reszty energii i godności. „Na szczęście, udało się pozbyć wszystkiego”, powiedział lekarz.

I jakimś cudem te różne terapie jakby poskutkowały. Po pięciu latach wstrzymywania oddechu rodzina wreszcie nabrała głęboko powietrza w płuca, kiedy lekarz oświadczył, że matka Jennifer jest „wolna od raka”.

A później rak nagle wrócił. Samorzutny, niezapowiedziany, nieproszony. Matka znosiła kolejną chemię, kolejne naświetlania, kolejne operacje, a rak rozprzestrzeniał swoją truciznę jak powolny naciek, ostatecznie atakując płuca, wątrobę, trzustkę, kręgosłup, kości, a wreszcie nawet i mózg. Nieoperacyjny.

Niereagujący na terapię. Nieuleczalny.

Przez ostatnie siedem lat Jennifer patrzyła, jak matka po trochu znika, a szczęśliwa kiedyś rodzina znikała razem z nią: Jennifer, zatapiając się w pracy i licznych niezobowiązujących romansach, Cameron coraz głębiej zaabsorbowana sobą, ojciec pogrążający się w coraz gęstszej mgłę sklerozy.

Wyobraziła sobie teraz ojca samego w tym jego dusznym mieszkaniu w Queens, pustą skorupę po mężczyźnie, którym kiedyś był, pozbawionego oparcia choćby w serdecznych wspomnieniach. Czasami śmierć potrafi być błogosławieństwem, pomyślała, stwierdzając, że te okropne morderstwa, o których słyszeli, choć tak brutalne, to jednak szybkie i bezwzględnie skuteczne, może były lepsze niż taka powolna i bolesna śmierć na raka, jakiej musiała zaznać jej matka, czy równie powolny i przejmujący upadek ojca.

Co się ze mną dzieje, do diabła? – pomyślała Jennifer, zastanawiając się, skąd jej się biorą takie mroczne myśli. Znów się ułożyła na prawym boku, podparła głowę, opierając łokieć na łóżku, i spojrzała przez mrok na uśpione sylwetki na sąsiednim posłaniu, na miarowo unoszące się ramię Val. Co ty tu robisz? Jak do tego doszło?

– Coś nie tak? – spytała sennym głosem leżąc obok niej Brienne.

– Nie, kotku. Przepraszam, jeśli cię obudziłam. Śpij dalej.

Jennifer opadła z powrotem na poduszki, modląc się o błogosławioną nieświadomość. Czy o to modlili się ci biedni ludzie, kiedy ich szlachtowano? Walczyli o życie czy może mieli tylko nadzieję na szybki koniec udreki? Myśleli o swoich rodzinach czy panika wypierała wszelkie ich myśli? Czy wierzyli w życie po śmierci, a jeśli tak, to czy ta wiara przyniosła im ulgę?

Jennifer nie wierzyła w życie pozagrobowe, chociaż próbowała. Kiedy matce postawiono pierwszą diagnozę, modliła się często. Modliła się, żeby lekarze się mylili, modliła się, żeby naukowcy odkryli jakiś lek, modliła się, żeby matce się polepszyło albo żeby chociaż tę resztkę życia, która jej pozostała, mogła przeżyć we względnym spokoju i bez niedogodności. Ale jeśli istniał jakiś Bóg, to nie zwracał na te modlitwy uwagi. A może po prostu nie miał czasu odpowiadać na wszystkie modlitwy bez wątpienia zanoszone do Niego codziennie przez rodziny chorych i umierających. Jakikolwiek był powód, jej modlitwy pozostały bez odpowiedzi, a tego dnia, kiedy matka umarła, Jennifer przestała się modlić raz na zawsze.

A potem przestała wierzyć.

Tak było łatwiej. Miało się mniej oczekiwać, a mniejsze oczekiwania oznaczają mniej rozczarowań.

Pamiętała, jak powiedziała do siostry: „Jeśli jest jakiś Bóg, to w żaden sposób nie wpływa On na moje życie”.

„Bóg da ci za te słowa popalić”, odpowiedziała wtedy ze śmiechem

Cameron.

A teraz Jennifer dzieliła łóżko z córką swojego narzeczonego, nasłuchiwała poświstywać cicho pochrapującej, wkrótce byłej żony tegoż narzeczonego i zachodziła w głowę, czy to nie jest Boża zemsta. Za brak wiary. Za nieprzestrzeżenie Jego przykazań. Za romans z żonatym mężczyzną.

„Nic dobrego z tego nie będzie”, znów usłyszała słowa ojca.

Zamknij się, tato, pomyślała i zorientowała się, że powiedziała to na głos, dopiero wtedy, kiedy poczuła jakiś ruch i, otworzywszy oczy, zobaczyła twarz Brianne zaledwie parę centymetrów nad swoją twarzą.

– Czy ty właśnie kazałaś mi się zamknąć? – spytała Brianne. Jej ciepły oddech pachniał miętową pastą do zębów.

– Nie, oczywiście, że nie.

– Bo to brzmiało, jakbyś powiedziała „zamknij się”.

– Nie.

– Cii – odezwała się Val z sąsiedniego łóżka. – Tu są ludzie, którzy próbują spać.

– Myślałam, że śpisz – powiedziała Brianne.

– Próbuję.

– Ale chrapiasz dość głośno.

– Nie chrapię.

– Chrapiesz. Prawda? – zwróciła się Brianne do Jennifer.

– Naprawdę nie ma o czym mówić – powiedziała Jennifer.

– Bardzo łaskawa – rzuciła Val.

– Na litość boską, mamó. Ona stara się być uprzejma.

– Nie potrzebuję jej uprzejmości.

– Czy można prosić o ciszę? – spytała rozszpana Melissa zza pleców Val.

– Co się tam dzieje?! – zawołał James z saloniku. – Coś mnie ominęło?

– Czy nikt tu nie śpi? – jęknęła Brianne.

– Ja nie chrapię – upierała się Val.

– No to dlaczego tata zawsze mówił, że twoje chrapanie przez pół nocy nie daje mu zasnąć?

– Nie wiem – odparła Val, cedząc słowa przez zęby. – Ale to chyba dobrze, że ten problem już go nie dotyczy. – I po tych słowach rzuciła się na poduszkę tak energicznie, że zatrzęsły się oba łóżka.

„No to dlaczego tata zawsze mówił, że twoje chrapanie przez pół nocy nie daje mu zasnąć?”.

To pytanie wwiercało się w czaszkę Val niczym młot pneumatyczny. Cholera, pomyślała. Tak, Evan czasami narzekał na jej chrapanie, ale co z tego? Chrapanie raczej nie należy do siedmiu grzechów głównych.

Val nagle złapała się na tym, że próbuje sobie przypomnieć, jakie to

konkretnie grzechy. Duma, pomyślała. Obżarstwo. Gniew.

Z pewnością każdy z nich popełniłam przy więcej niż jednej okazji.

Co jeszcze?

Nieczystość.

No fakt, pomyślała, wspominając ostatni raz, gdy się kochali z Evanem. Od tamtego czasu nie spała z żadnym mężczyzną. W ogóle nie miała takiej potrzeby. I tyle tego grzeszenia. Chociaż to raczej wstyd niż grzech.

Zazdrość.

No dobra, tak, owszem. Bywam zazdrosna jak diabli.

Lenistwo.

Pewnie i to dałoby mi się zarzucić.

Co jeszcze? Duma, obżarstwo, gniew, nieczystość, zazdrość, lenistwo. To sześć. Jaki był siódmy?

– Melissa? – szepnęła w stronę pleców przyjaciółki obleczonej w jedwabną piżamę. – Melissa, spisz?

Poczuła, że Melissa przekręca się do niej twarzą i też chowa głowę pod wspólną kołdrę.

– Mówiłaś coś?

– Przypomnij mi siedem grzechów głównych.

Nawet po ciemku i pod kołdrą Val widziała zdumienie na twarzy przyjaciółki.

– Porąbało cię?

– Przypominam sobie tylko sześć.

– Duma – powiedziała sennie Melissa. – I gniew.

– Te mam. I jeszcze zazdrość, nieczystość, obżarstwo i lenistwo.

– Słyszę szepty – odezwał się James z sąsiedniego pokoju.

Melissa zrzuciła kołdrę z głowy i usiadła na łóżku.

– Robimy listę siedmiu grzechów głównych.

– No nie, w pale się nie mieści – odezwała się Brianne z sąsiedniego łóżka, podkreślając swoje niezadowolenie głośnym jękiem.

– Nieczystość – powiedział szybko James. – Gniew. Obżarstwo. Zazdrość.

– Duma i lenistwo – dodały Val i Melissa z miejsca, niemal jednym głosem.

– Jak to lenistwo? – spytała Brianne.

– Nie umiemy sobie przypomnieć siódmego – powiedziała Melissa.

Chwila ciszy, a potem ze swojego miejsca obok Brianne Jennifer cicho dodała:

– Pożądliwość.

– No jasne – potwierdził James. – Jak w „nie będziesz pożądał żony bliźniego swego...”. – Urwał nagle.

Jakie to trafne, że akurat ten pamiętałaś, pomyślała Val.

- I co teraz? – spytała Brianne. – Dwadzieścia pytań? Szarady?
- Uwielbiam szarady – stwierdził James.
- A może byśmy wszyscy pospali? – jęknęła Brianne. – Proszę?
- Przepraszam, kochanie. Dobranoc wszystkim.
- Dobranoc – powiedziała Melissa.
- Dobranoc – powtórzyła Jennifer.

James roześmiał się.

- Zupełnie jak *Waltonowie*.

– A co to *Waltonowie*? – spytała Brianne, po czym szybko dodała: – Nieważne. Nie mówcie mi. Tylko błagam was, spróbujmy trochę pospać.

Brianne zawzięcie wystukiwała słowa kciukami pod kołdrą. „W pale się nie mieści”, pisała gniewnie na klawiaturze komórki. „Oni jeszcze nie śpią”. Przekręciła się na bok. W ten sposób będzie widzieć, kiedy Jennifer wyjdzie z łazienki. „Poczekaj jeszcze trochę – pisała dalej. – Postaram się przyjść jak najszybciej”.

Było po pierwszej. Dlaczego nikt jeszcze nie spał? Dlaczego wszyscy tak zawzięcie przedłużali tę mękę, nie pozwalając sobie zasnąć jak ludzie?

Zupełnie jakby wiedzieli.

Tylko niby skąd?

A poza tym, co im odbiło z tymi grzechami głównymi? Musieli je wszystkie wymyślić, stwierdziła Brianne. Mogła sobie wyobrazić znacznie gorsze grzechy niż te, które wymienili. Gniew i zazdrość? Wielkie meczyje. Jeśli to mają być grzechy główne, to cała ludzkość będzie się smażyć w piekle. A już pożądlivość? Czy popełnienie czynu nie jest o wiele gorsze niż samo pragnienie popełnienia go? I o co chodzi z tą dumą? Duma z pracy, z własnego wyglądu, z osiągnięć? Przecież to podobno dobre rzeczy?

A jeśli chodzi o obżarstwo, no cóż, owszem, o wiele za dużo jest na świecie grubasów, ale czy to gorsze być obżartuchem niż złodziejem albo człowiekiem molestującym dzieci?

A co z napadami z bronią w ręku? Gwałtami? Torturami?

I niby w jakim to pogiętym wszechświecie lenistwo jest gorsze niż morderstwo? Widać morderstwo nie jest wystarczająco śmiertelne, pomyślała z uśmiechem.

Jennifer wróciła z łazienki.

– Moja kolej – powiedziała Brianne, gramoląc się z łóżka, kiedy Jennifer z powrotem się położyła. Przynajmniej w łazience będzie mogła esemesować bez przeszkód. Poza tym było jej za gorąco, kiedy tak leżała w ubraniu pod piżamą.

Znalazłszy się w łazience, zamknęła drzwi, odkręciła kurki nad wanną i ściągnęła piżamę. Wstrzymując oddech, żeby się nie udusić od ciężkiego zapachu perfum Jennifer, przysiadła na krawędzi wanny i zaczęła pisać. „Przepraszam Cię,

kochanie. Ci kretyni usiłują zatruć mi życie. Obiecuję, że Ci to wynagrodzę. Dziś w nocy będzie super. Nie zaczynaj beze mnie”.

Parę minut potem do drzwi łazienki ktoś zastukał.

– Brianne? – szepnęła matka. – Nic ci nie jest?

Brianne spięła się ze złości.

– Wszystko dobrze, mamó.

Cisza, a potem:

– Ale chyba nie siedzisz tam, żeby pisać esemesa, prawda?

Brianne natychmiast ukryła komórkę pod pachą.

– Wracaj do łóżka, mamó. – Odczekała, by się upewnić, że matka już nie stoi pod drzwiami, i napisała jeszcze jedną, ostatnią wiadomość: „Teraz nie mogę więcej pisać. Mam nadzieję, że zaraz wszyscy padną. Potem zaczniemy zabawę”.

Z powrotem włożyła piżamę, spuściła wodę w toalecie, zakręciła kurki i wyszła z łazienki.

– Wszystko dobrze, bączku? – spytał James, kiedy na palcach mijała sofę, na której się wyciągnął.

– Tak. – Cholera. Czy nikt tu nie śpi?

Kolejna godzina upłynęła, zanim Brianne nabrała pewności, że wszyscy wreszcie mocno śpią. Jej matka i Melissa pochrapywały zgodnym unisono, a Jennifer od dwudziestu minut nawet nie drgnęła. Powoli i ostrożnie podniósłszy się z łóżka, Brianne na palcach ruszyła do saloniku. Zobaczyła, że James leży na brzuchu, z jedną stopą opadającą na podłogę, głową zwróconą do ściany i otwartymi ustami, najwyraźniej śpiąc jak zabity.

Szybko zsunęła piżamę, jak wąż zrzucający skórę, wcisnęła ją do płóciennej torby razem z jedną z kart do drzwi zwiniętą z blatu biurka. Miała nadzieję, że wróci, zanim ktoś się połapie, że znikła. Ale jeśli ktoś faktycznie się obudzi i zorientuje, że jej nie ma, po prostu powie, że wcześniejsze zamieszanie za bardzo wybiło ją ze snu i nie chcąc nikomu przeszkadzać, postanowiła się przejść.

Bo taka już jestem, pomyślała, otwierając drzwi i wychodząc na korytarz. Zawsze myślę o innych.

Siedział sam na leżaku obok opustoszałego basenu.

– Cześć – zagaiła, podchodząc powoli i spoglądając przez ramię, żeby się upewnić, czy nikt nie patrzy.

Uniósł wzrok. W jego smutnym spojrzeniu dostrzegła zakłopotanie.

– Nie możesz spać? – spytała.

Pokiwał głową.

– Jedna z tych nocy.

– U mnie też. Mogę z tobą posiedzieć?

– Mnóstwo wolnych leżaków – powiedział.

Nie brzmiało to szczególnie zachęcająco, ale mimo to uznała, że on nie



próbuję się jej pozbyć.

– Widziałam cię wcześniej. W jadalni. David, tak?

Przechylił głowę. Jak zaskoczone szczenię, pomyślała. Nigdy nie przepadała za szczeniakami.

– Słyszałam, że żona mówi do ciebie David – wyjaśniła, udzielając odpowiedzi na niewypowiedziane pytanie.

– Wśród innych wyszukanych epitetów.

– Tak. Była nieźle zdenerwowana.

– Przepraszam za to.

– Nie musisz przeproszać.

Uśmiechnął się.

– A ty jesteś...?

Obdarzyła go swoim najśłodszym, niemal zniewalającym uśmiechem.

– Nicole – powiedziała cicho. – Ale możesz mówić do mnie Nikki.

– Dobra, śpiochu. Pora wstawać.

Brianne jęknęła i przewróciła się na brzuch, zakrywając głowę kołdrą.

– No już, kochanie. Umieramy z głodu. Dochodzi dziewiąta. Wszyscy na ciebie czekają.

Brianne nic nie powiedziała. Dziewiąta oznaczała, że śpi zaledwie od czterech godzin. Była wykończona. Wszystko ją bolało. Chciała tylko spać dalej i śnić o ostatniej nocy. Może jeśli nie będzie reagować, matka sobie pójdzie i da jej spokój.

– O dziesiątej kończą podawanie śniadania – odezwała się jednak Val.

– W głowie mi się nie mieści, że w ogóle chce ci się jeść.

– Dziś rano czuję się o wiele lepiej. Zresztą nie możemy iść w góry o pustym żołądku.

– W góry? – Brianne niechętnie wystawiła głowę spod kołdry i zmrużyła oczy w silnym słońcu, którego promienie wlewały się do pokoju od strony okna przy łóżku. Kto rozsunął zasłony? I o czym w ogóle matka gada? – Chyba sobie ze mnie żartujesz.

– To żaden żart – odezwała się Melissa z drugiego końca pokoju. – Twoja matka zdecydowała, że zabiera nas wszystkich na wycieczkę w góry. Zaraz po jedzeniu idziemy sobie kupić odpowiednie ciuchy.

– O dniu radosny – westchnął James.

– Zapomnij. Nigdzie nie idę.

– Porozmawiamy o tym przy śniadaniu – powiedziała Val.

– Wy sobie o tym możecie przy śniadaniu rozmawiać.

– No już, Brianne... – Val zaczęła ściągać z niej kołdrę. – Będzie fajnie.

– Kim ty jesteś? Strażniczką obozową z piekła rodem? – Brianne podparła się na łokciach i, mrużąc oczy, zobaczyła matkę i jej przyjaciół, świeżo wypucowanych i ubranych. Wyciągnęła szyję, szukając wzrokiem narzeczonej ojca. Jennifer na pewno nie zgodziła się na udział w podobnym szaleństwie. – Gdzie Jennifer?

– Poszła na siłownię – odparł James. – Szkoda, że jej nie widziałas w tym słodkim różowym ubranku z Lululemon.

– Powiedziała, żebyśmy sami o sobie zadbali i nią się mamy nie przejmować – dodała Melissa.

– Niezły plan. – Brianne znów opadła na łóżko i naciągnęła kołdrę na głowę.

Val natychmiast z niej tę kołdrę ściągnęła.

– Boże, wobec taty też byłaś taka apodyktyczna? – zapytała Brianne. – Nic dziwnego, że...

– Dobra, dosyć tego – powiedziała Val, doskonale wiedząc, jakie jest zakończenie tej miłej uwagi. – Ustalmy sobie coś jasno od razu, dobra? Twój ojciec nie odszedł dlatego, że byłam apodyktyczna. – Czy rzeczywiście? – I nie odszedł dlatego, że chrapię. – Prawda? – Odszedł, bo jest idiotą.

Wszyscy głośno westchnęli, a najgłośniej sama Val. Czy naprawdę właśnie nazwała Evana idiotą? Nigdy jeszcze tego nie zrobiła, nie pozwoliła sobie nawet na luksus określenia go tak w myślach.

– Brawo, koleżanko – powiedział James, a Melissa energicznie pokiwała głową.

– Ten weekend to nie był mój pomysł – ciągnęła cicho Val. – Ale skoro twój ojciec dojedzie tu później, uznałam, że warto ten czas wykorzystać i...

– I co? Próbować bratać się z córką?

Czy naprawdę jest aż tak łatwa do przejrzenia?

– Może jestem godna pożałowania, ale czy to taki okropny pomysł? Pamiętam, że kiedyś lubiliśmy nawzajem swoje towarzystwo.

Brianne nic nie powiedziała, co Val postanowiła interpretować na swoją korzyść.

– Zatem teraz podnieś swój śliczny tyłeczek z łóżka i za dwadzieścia minut zejdź do nas na dół na śniadanie. Brianne? Słyszałaś mnie?

W odpowiedzi Brianne głośno jęknęła.

– Dobrze. Czekamy na ciebie na dole w jadalni za dwadzieścia minut.

Z tymi słowami Val okręciła się na pięcie i wymaszerowała z pokoju, a Melissa i James szybko poszli za nią.

– Dobra robota. – Brianne dobiegły słowa Melissy, gdy drzwi apartamentu otwierały się i zamykały.

– Brawo – zawtórował James.

– Taa, jasne – szepnęła Brianne. A potem rzuciła się z powrotem na poduszkę i schowała głowę pod kołdrę.

– Myślisz, że się pojawi? – spytał James, kiedy wychodzili z windy do głównego holu.

– Pewnie nie – przyznała Val.

– No i co wtedy?

– A nie wiem, cholera.

Mijając recepcję po drodze do sali jadalnej, Val zauważyła tę młodą kobietę, która przy kolacji poprzedniego wieczoru sprzeczała się ze swoim nowo poślubionym mężem. Miała na sobie dzinsowe szorty i luźną szarą bawełnianą bluzę. Val oceniała jej wiek na poniżej trzydziestki i dostrzegła, że dziewczyna dziś rano jest najwyraźniej w równie złym humorze, jak wczoraj wieczorem. David

prawdopodobnie nie przeprosił.

– Mówię pani, że coś mu się stało – przekonywała recepcjonistkę. – Wyszedł wczoraj w nocy koło drugiej i nie wrócił.

– Pani Gowan, proszę mi dać chwilę, skontaktuję się z kierownikiem.

– Zdaje się, że nasz hotelowy dupek wybrał się na ryby wcześniej, niż początkowo zamierzał – mruknęła Val do swoich towarzyszy, zapędzając ich w stronę jadalni.

– Przepraszam! – zawołał ktoś za nimi.

Val obejrzała się i zobaczyła, że młoda kobieta szybko zmierza w ich stronę. Kiedy podeszła bliżej, okazało się, że twarz ma obrzmiałą, a czerwona opuchlizna wokół oczu pasuje do dwóch sporych czerwonych wypieków, znaczących jej policzki plamami wielkości ćwierćdolarówek. Kasztanowe włosy zaczesła w koński ogon i podpięła z boków sporymi wsuwkami, wyraźnie preferując wygodę ponad modę.

– Przepraszam – powtórzyła. – Nie chciałabym państwu zawracać głowy, ale...

– Tak? – odezwała się Val.

– Nazywam się Alicia Gowan. Wczoraj wieczorem przy kolacji siedzieliśmy z mężem przy sąsiednim stoliku.

Val udała, że się nad tym zastanawia.

– Och, owszem. Chyba tak.

– Czy państwo go widzieli? Mojego męża? To znaczy, od tamtej pory?

– Nie, obawiam się, że nie. – Val zerknęła na Jamesa i Melissę, czekając na ich potwierdzenie.

– Nie – powiedziała Melissa.

– Czy coś się stało? – spytał James.

– Pokłóciliśmy się. – Nowe łzy napłynęły do oczu Alicii i potoczyły się po jej policzkach. – Nawet nie tyle pokłóciliśmy, ile po prostu nie mogliśmy dojść w pewnej sprawie do porozumienia. No cóż, na pewno państwo coś słyszeli...

– Nie – zaprzeczyli jednym głosem Val, Melissa i James, może odrobinę zbyt szybko.

– Zapowiedziałam, że nie odezwę się do niego, póki mnie nie przeprosi. Głupio, nie? To znaczy, po co komu przeprosiny kogoś, komu nie jest przykro?

Val pokiwała głową, ale wolała nie komentować. Pomyślała, że nic, co powie, nie zdoła tej kobiecie poprawić nastroju.

– Tak czy inaczej – ciągnęła tamta, mimo że nikt jej do tego nie zachęcił – naprawdę się pogniewał, powiedział, że narobiłam mu wstydu przed całą jadalnią gości, i od tego zaczęliśmy się kłócić na nowo, a potem on wyszedł z pokoju. Tak gdzieś koło drugiej nad ranem. Czekałam na jego powrót, ale nie wrócił i wreszcie chyba zasnęłam, bo nagle zrobiło się rano, a jego nadal nie było. Czekałam

i czekałam. A potem pomyślałam, że może pojechał z powrotem do miasta. Ale jego kluczyki do wozu nadal tu są i sprawdziłam na parkingu, że samochód stoi tam, gdzie go zostawiliśmy. Zajrzałam nawet na tylne siedzenie, w razie gdyby tam zasnął. – Pokręciła głową. – No i potem pomyślałam, że może pojechał do Nowego Jorku jakąś okazją. Ale znam Davida. Nigdy by czegoś takiego nie zrobił. Nie wyjechałby, nie mówiąc mi ani słowa, nieważne jak rozzłoszczony. I nie odbiera komórki. A konsjerż go nie widział. Recepcjonistka też nie. Nikt z kelnerów go nie widział. Wy go nie widzieliście – dodała na koniec, jakby to stanowiło ostateczny dowód, że jej mąż naprawdę zaginął.

– Jestem pewna, że w końcu się pojawi – powiedziała Val, chociaż nie miała takiej pewności.

– Może poszukał miejsca w jakimś motelu – podsunęła Melissa.

Val pomyślała, że to wysoce nieprawdopodobne, skoro obie wiedzą, że w okolicy nigdzie nie ma wolnych noclegów.

– A może przysiadł na którymś z leżaków na terenie hotelu i tam usnął – wtrącił James.

– Ma pan rację – powiedziała Alicia. – Pewnie przesadzam. Ale gdyby go państwo gdzieś zobaczyli...

– To natrzemy mu uszu i każemy *pronto* brać tylek w troki, i wracać do żony – dokończył James.

Alicia próbowała się uśmiechnąć, ale nic z tego nie wyszło, tak mocno drżały jej wargi.

– Jestem pewna, że niedługo się pojawi – powiedziała znów Val, chociaż nie była tego w tej chwili ani trochę pewniejsza, niż kiedy mówiła to poprzednim razem.

– Pani Gowan? – odezwał się ktoś w pobliżu.

Wszyscy obejrzeni się w stronę, skąd nadbiegł głos.

Stał za nimi kierownik hotelu, niski i okrągły mężczyzna nazwiskiem Edward Cotton, ze współczującym uśmiechem na przeciętnej twarzy.

– Rozumiem, że zaistniał jakiś problem?

– Mój mąż nie wrócił wczoraj w nocy do pokoju – zaczęła natychmiast Alicia.

– Może powinniśmy omówić tę sprawę u mnie w biurze.

– Proszę nam dawać znać, co się dzieje – powiedziała Val, a kierownik odprowadził zdenerwowaną kobietę w głąb hotelu.

Kiedy Val i jej przyjaciele wracali ze śniadania, w holu zastali strażników leśnych, zadających pytania Alicii Gowan.

– Wygląda na to, że on nadal się nie pojawił – skomentowała Melissa.

– Myślicie, że dopadł go jakiś niedźwiedź? – szepnął James, kiedy mijali całą grupkę.

– Już prędzej dopadł go jakiś bar – stwierdziła Melissa. – Pewnie spił się do nieprzytomności, a teraz gdzieś odsypia.

Val próbowała – bezskutecznie – nie wyobrażać sobie matki rozciągniętej bezwładnie na ziemi w alejce za swoim apartamentowcem. W duchu przysięgła sobie, że już nigdy nie napije się alkoholu.

– Stawiam dziesięć dolarów na to, że nasza Śpiąca Królowna jeszcze nie wstała – powiedział James, kiedy wchodzili do apartamentu.

Na sofie w saloniku siedziała Jennifer i przeglądała najnowszy egzemplarz „New York”. Nadal była ubrana w swój ładny różowy strój na siłownię, a długie jasne włosy miała ściągnięte w wysoki kucyk i spięte różową puchatą gumką.

Jak można po siłowni wyglądać tak ślicznie? – pomyślała Val.

– Gdzie Brianne?

– Zakładałam, że jest z wami.

– Ile czasu tu jesteś?

– Z dziesięć minut.

– Pewnie poszła na dół na śniadanie – powiedziała Melissa.

– Musieliśmy się z nią minąć – dodał James.

Jennifer odłożyła magazyn.

– Może spróbuję jej poszukać? – Wyraźnie chciała trzymać się od nich jak najdalej.

– Będę ci bardzo wdzięczna – powiedziała Val, a Jennifer wyszła z pokoju.

Kilka minut później w powietrzu rozległ się znajomy dzwonek. Val poszła za tym dźwiękiem do sypialni, poszukała na łóżku Brianne i po chwili wyciągnęła spod kołdry blackberry’ego córki.

– Słowo daję, czasem wydaje mi się, że zgubiłaby głowę, gdyby nie była przymocowana do ciała... – Zerknęła na otrzymaną wiadomość.

„Wczorajsza noc była inna – przeczytała. – Nie mogę się doczekać, aż to powtórzymy”.

Co to miało znaczyć, do cholery?

– Czy to od Evana? – spytał James od drzwi.

– Nie. Nie ma nadawcy. Tylko jakiś numer.

Drzwi apartamentu otworzyły się nagle i do sypialni wpadła Brianne, jakby ktoś ją gonił. Przystanęła raptownie, widząc swoją komórkę w rękach matki.

– Zapomniałaś czegoś? – spytała Val.

– Oddaj mi to – powiedziała Brianne. – To moje.

– „Wczorajsza noc była inna. Nie mogę się doczekać, aż to powtórzymy” – wyrecytowała Val z pamięci.

– Nie masz prawa czytać moich wiadomości.

– Co to znaczy: „Wczorajsza noc była inna”?

– Nic nie znaczy. Sasha poszła do klubu, o którym jej opowiadałam.

Widocznie dobrze się bawiła. O co tyle hałasu?

– Sasha?

– Tak, Sasha. Ta, która pracuje w Lululemon i jeździ pomarańczowym mustangiem. – Brienne sięgnęła po swoją komórkę, Val szybkim ruchem schowała ją za plecami. – Co robisz? Oddaj mi to.

– Dlaczego? Nie pilnujesz jej zbyt uważnie.

– To twoja wina, że jej zapomniałam – odpaliła Brienne. – Kazałaś mi się śpieszyć.

Val pokręciła głową.

– No, świetnie. To moja wina. Ale esemesowania już ci na jedną wycieczkę wystarczy. Komórka zostaje u mnie, dopóki nie przyjedzie tu twój ojciec.

– Och, do diabła ciężkiego. Może jednak wyluzujesz? Weź sobie jeszcze jednego drinka, babciu – powiedziała z kpiną w głosie.

– Dobrze, Brienne. Myślę, że już tego wystarczy.

– A chcesz wiedzieć, co ja myślę? – rzuciła Brienne. – Myślę, że tata zwiął w samą porę.

Val nie była pewna dokładnej sekwencji wydarzeń, które nastąpiły potem. Poczula, że obie jej ręce poruszają się niezależnie od woli. Jedna cisnęła komórką w przeciwległą ścianę w tej samej chwili, w której do pokoju wróciła Jennifer, a druga solidnie trzepnęła Brienne po buzi.

– Nie ma jej w jadalni – mówiła właśnie Jennifer, kiedy blackberry przeleciał obok jej ucha, mijając je zaledwie o centymetry.

A potem wszyscy naraz zaczęli krzyczeć.

– No dobrze, to jakbyś to opisała, gdybyś miała coś o tym napisać dla „New York Timesa”? – spytał James, kiedy we trójkę wędrowali po stromych, porośniętych lasem zboczach Prospect Mountain.

Val przystanąła na wielkim płaskim głazie, spojrzała na dolinę i poprawiła szerokie rondo kapelusza, który wcześniej kupiła w hotelowym sklepie z pamiątkami.

– Pewnie napisałabym coś w rodzaju: „Wspaniały widok obejmuje pięćdziesięciokilometrowe pasmo kryształowo czystych, połyskliwych wód Lake George, leżących bite sześćset metrów poniżej szczytu, oraz wiele kilometrów pachnących, wiecznie zielonych lasów iglastych, a także rozmaitych drzew liściastych, które porastają zbocza okolicznych wzniesień, przypominając barwami strzeliste fajerwerki”.

James zdjął swój również nowy kapelusz i zaczął nim chłodzić twarz jak wachlarzem.

– Wyjęłaś mi to prosto z ust.

– Widok jest naprawdę wspaniały. – Melissa ogarnęła wzrokiem horyzont spod daszka swojej czarnej bejsbolowej czapeczki z czerwonym napisem: „Witamy w Adirondack!”. – Tylko zdziwiona jestem, że tak tu gorąco.

– To dlatego że się ubrałaś w czarną koszulkę – powiedziała Val. – Wiesz przecież, że czerń magazynuje ciepło. A jak te buty?

Val zabrała wcześniej przyjaciół do licznych hotelowych sklepików, żeby nabyć odpowiednie ubrania i buty na wycieczkę wokół Prospect Mountain, i wszystkie zakupy zrobiła na rachunek pokoju. Uznała, że przynajmniej tyle może zadośćuczynić jej Evan po tej obrzydliwej scenie z ich córką, do której doszło dzisiaj rano.

– Buty są super – powiedziała Melissa. – Tylko nogi już mnie strasznie bołą.

– A mi zaczynają dokuczać skurcze łydek – włączył się z własnym narzekaniem James.

– Jesteś tancerzem – przypomniała mu Val. – Nie nawykłeś do ćwiczeń fizycznych?

– Przywykłem tańczyć, nie wspinać się po górach. A poza tym jestem emerytem, pamiętasz? W tych dniach moje jedyne ćwiczenia to wyszukiwanie pięknych egzemplarzy sztucznej biżuterii.

Melissa zgodziła się z nim:

– Przy sztucznej biżuterii zbyt wiele gimnastyki nie ma.



– No to opowiedz nam coś więcej o fascynującym świecie flory – poprosił James, przysiadając na wielkim skalistym bloku i usiłując ułożyć się wygodnie.

– Chcesz tylko sobie posiedzieć.

– To prawda. Zastrzel mnie. Te nogi potrzebują odpoczynku.

– Moje też – dorzuciła Melissa. – Może zrobimy sobie pięć minut przerwy?

– Łazimy już bite dwie godziny. Gej mieszcuch ma dość odludzia. Może zawrócimy do hotelu? Przecież to tam dzieją się fajne rzeczy.

– Na razie fajnych rzeczy mam po kokardę – odezwała się Val.

– Aha. Byłaś jednak wielka. Prawda, Melisso? – zapytał James. – I jak pięknie blackberry przeleciał przez ten pokój...

– O mało nie ucinając głowy Jennifer – dodała tęsknie Melissa.

– A ona rozdarła się nie gorzej niż Brianne...

– Tak głośno jak Brianne nikt nie umie się drzeć – powiedziała Val, usiłując nie wspominać tych paskudnych dźwięków. – W głowie mi się nie mieści, że naprawdę ją uderzyłam.

– Zapracowałam sobie na to – powiedziała Melissa. – Sama jej o mały włos nie przyłożyłam.

– Ona mnie nienawidzi.

– Ona ma szesnaście lat – przypomniała Melissa. – Wręcz powinna cię nienawidzić.

– Nie powinnam była zostawiać jej samej. Trzeba było ją zmusić, żeby poszła z nami.

– I wtedy wycieczka byłaby jeszcze przyjemniejsza – dorzucił James.

– Poza tym nie jest sama – przypomniała Melissa. – Jest z Jennifer.

– Super. Ze swoją nową najlepszą przyjaciółką. I od kiedy przestaliśmy nazywać ją Dziwką?

– A, przepraszam. Wolałabyś, żeby miała jej nienawidziła?

– Lepiej jej niż mnie.

– No to będziesz musiała zrezygnować z ironii i zacząć ją zapieszczać życzliwością – stwierdziła Melissa. – Tak się pozbyłam teściowej numer dwa.

Val przyjrzała się pytająco przyjaciółce, czekając na dalszy ciąg.

Melissa szybko wyjaśniła:

– Była z niej okropna stara hetera. Znienawidziła mnie od pierwszej chwili. Na początku nie pozostawałam jej dłużna, ale to tylko ją zachęcało. Zupełnie jakby to był jakiś konkurs na to, kto w najkrótszym czasie wyprowadzi najwięcej ciosów. Ale potem, pewnego dnia, postanowiłam, że po prostu już nie będę dłużej w to grała. Zamiast tego zamierzałam być najśłodsza, najmiłsza synową, jakiej każda teściowa mogłaby sobie zażyczyć. Zamierzałam zadusić starą wiedźmę życzliwością. I tak zrobiłam. Dwa miesiące potem dostała ataku serca i zmarła. Bardzo się ucieszyłam. – Uśmiech Melissy rozświetlił całą dolną, widoczną połowę

jej twarzy.

– Mówisz to tylko po to, żeby mnie pocieszyć.

– I udało mi się?

– Taa. – Val się roześmiała. – Boże, kiedy stałam się takim okropnym człowiekiem?

– Zawsze byłaś okropna – wtrącił James.

– On ma rację – zgodziła się Melissa. – Że już byłaś.

– Dzięki, moi mili. Teraz o wiele mi lepiej.

– Zawsze do usług.

– No to powiedz nam teraz, gdzie tak dokładnie, do diabła, jesteśmy, żebyśmy mogli się stąd, do diabła, ewakuować. – James wskazał leżącą poniżej dolinę. – Masz pięć minut.

Okej, pomyślała Val, próbując sobie przypomnieć wystarczająco dużo geograficznych szczegółów związanych z okolicą, żeby oderwać umysł od tego, co zaszło w hotelowym pokoju.

– Park Adirondack jest największy w kontynentalnych Stanach Zjednoczonych – zaczęła, myśląc o tym, jak z Evanem wspólnie schodzili wszystkie okoliczne szlaki. – Jest kształtu wielkiego owalu i ma obszar większy niż Yellowstone, Yosemite, Glacier i Wielki Kanion razem wzięte. Ponad dwadzieścia cztery tysiące kilometrów kwadratowych, wyobraźcie sobie tylko. Jest w sumie większy niż wiele sąsiednich stanów. To istny kobierzec łąk, jezior, strumieni, lasów, górskich szczytów i maleńkich wiosek.

– Istny kobierzec – powtórzył James. – Brzmi nieźle.

– O ile pamięć mi służy, w samym rejonie Lake George jest ponad pięć tysięcy publicznych i prywatnych pól namiotowych – ciągnęła Val, przeglądając w myślach niewidzialne teczki z dokumentacją, gdzie przechowywała podobne strzępy informacji. Razem z Evanem nocowali na przynajmniej sześciu takich kempingach. Znała te lasy tak dobrze, jak ulice swojego miasta.

– I przynajmniej tyle samo much ślepaków – stwierdziła Melissa, odganiając od twarzy i karku kilka namolnych owadów.

– No dobra, na razie wystarczy mi już tych leśnych wspaniałości – odezwał się James. – Czas jechać z powrotem do hotelu i powylegiwać się wokół cywilizowanego betonu z chlorowaną wodą. Chyba pozwolę nawet Evanowi sprawić mi słodkie kąpielówki, które widziałem rano w sklepie, te ze skaczącymi delfinami.

– Och, ludzie, dajcie spokój, chyba nie chcecie jeszcze wracać...

– O tak, chcemy – powiedział James. – Prawda, Melisso?

Melissa pokiwała głową.

– Jak to się mówi? Za dużo tego dobrego?

Czy naprawdę można mieć za dużo dobrego? Val postanowiła jednak nie

protestować. Przyjaciele i tak zachowali się solidarnie, rezygnując z własnych planów po to, by jej towarzyszyć w wyjeździe, a teraz zgodzili się iść na wycieczkę, żeby tylko zabrać ją jak najdalej od Jennifer i Brianne, by wszyscy mogli trochę ochłonać. Wspierali ją, kiedy zachowywała się jak idiotka, czyli ostatnio chyba przez większość czasu, i ciągle starali się podtrzymać ją na duchu i nie dać jej zwariować.

No, na to już za późno, pomyślała Val.

– Dobra. To wracajmy.

I wtedy usłyszeli jakieś szelesty wśród pobliskich drzew.

– Proszę, powiedzcie mi, że to żaden niedźwiedź – wystraszył się James.

– Jeśli to niedźwiedź – ostrzegła Val – macie stać bez ruchu, a potem ewentualnie zacząć się bardzo powoli cofać. Tylko pod żadnym pozorem nie uciekać biegiem.

– Żartujesz sobie? Ona sobie żartuje? – James zwrócił się do Melissy.

– I nie wspinać się na drzewo. Niedźwiedzie świetnie łążą po drzewach.

Szelesty się zbliżały.

– To się nie może dziać naprawdę – powiedział James, a potem krzyknął ze strachu, kiedy liście się rozstąpiły.

Przed nimi stanął młody człowiek. Wysoki i umięśniony, o gładkiej cerze. Miał na sobie kraciatą koszulę i spodnie khaki, a długie ciemne włosy spięte w kucyk u podstawy karku.

– Och! – odezwał się, wyraźnie tak samo zaskoczony, jak oni. – Przepraszam. Nie wiedziałem, że ktoś tu jest.

– Myślałem, że jesteś niedźwiedziem – powiedział James.

Chłopak zaśmiał się.

– Tylko kiedy jestem głodny.

Val złapała się na tym, że obserwuje dołeczki, które utworzyły się na jego policzkach. Ja skądś znam te dołeczki, pomyślała, usiłując się połapać, jak to w ogóle możliwe. Czy to jakiś znajomy Brianne? Wyglądał na starszego od niej, ale może chodzi o tę samą szkołę albo razem występowali w jakiejś szkolnej sztuce.

– Czy my się znamy? – zapytała, zaglądając mu głęboko w piwne oczy.

Chłopak przyjrzał jej się równie uważnie.

– Nie, nie wydaje mi się.

– Ale może znasz moją córkę, Brianne. Brianne Rowe?

Pokręcił głową.

– Nie. Nic mi to nazwisko nie mówi.

– Ona chodzi do Erasmus High w Brooklynie.

– Ja mieszkam w Connecticut.

Connecticut? Val nie знаła nikogo stamtąd.

- Przepraszam. Po prostu wydałeś mi się jakoś znajomy.
- Hayden! – dobiegł z oddali czyjś głos. – Gdzie jesteś, do licha?
- Tutaj, tato! – odkrzyknął chłopak.

Zaszeleściły rozsuwane gałęzie, patyki zachręściły pod czyimiś butami.

Parę chwil później kolejna postać wyłoniła się spomiędzy listowia. Mężczyzna ciężko oddychał, a jego czoło połyskiwało kroplami potu od niedawnego wysiłku.

– Stary, musisz zwolnić. Twój ojciec nie jest już tak młody jak kiedyś. O, witam – dodał, dostrzegając pozostałych.

No to chyba niemożliwe, pomyślała Val. Przecież jakie jest prawdopodobieństwo?

– Gary? – spytała. – Gary Parker?

– Przepraszam? – Mężczyzna mrużył oczy przed słonecznym blaskiem. – My się znamy?

Val zerwała z głowy kapelusz i szybkim ruchem wzburzyła przygniecione włosy.

– Valerie. Valerie Marcus. A przynajmniej kiedyś nosiłam to nazwisko. Chodziłam do Lincoln High. Byliśmy razem w drużynie pływackiej.

– O mój Boże – powiedział Gary Parker. – To już... Ile lat?

– Będzie ze dwadzieścia pięć.

– Valerie Marcus – powtórzył, kręcąc głową. – Mój Boże, co u ciebie?

– Wszystko dobrze. To niesamowite, jak bardzo twój syn przypomina ciebie w tamtym wieku.

– A mnie się nie chce wierzyć, że pamiętasz.

Mnie też trudno w to uwierzyć, pomyślała Val. Mimo że byli razem w pływackiej drużynie i na część zajęć uczęszczali wspólnie, w czasie wszystkich tych lat w Lincoln High zamienili ze sobą ledwie parę zdań. W sumie Gary Parker powiedział do niej teraz chyba więcej niż przez całą ich maturalną klasę.

– To moi przyjaciele, James i Melissa.

– Miło mi was poznać – powiedział Gary, a Melissa i James odpowiedzieli natychmiast w podobnym tonie. – Jak rozumiem, już poznaliście mojego syna Haydena.

– Myśleli, że jestem niedźwiedziem.

– Zrozumiała pomyłka. – Gary z czułością pociągnął syna za kucyk, a potem znów skupił uwagę na Val. Żartobliwie zmrużył piwne oczy. – Często tu przyjeżdżasz?

Val uśmiechnęła się.

– Owszem. To znaczy, kiedyś tak. Teraz minęło parę lat. A ty?

– Kiedy tylko mogę. Super, prawda?

– Tak. Twój syn wspominał, że mieszkacie w Connecticut.

– Już niemal od dwudziestu lat. Przeprowadziłem się tam zaraz po studiach.  
– Jeśli dobrze pamiętam, miałeś pełne sportowe stypendium do Duke – powiedziała Val.

– Masz imponującą pamięć.

– Dziękuję, ale nigdy nie byłam pewna, czy to błogosławieństwo, czy klątwa.

– Pewnie po trosze i to, i to.

– Pewnie tak – zgodziła się Valerie. – I dlaczego zdecydowałeś się na Connecticut?

– Poznałem dziewczynę.

– No tak. – Przypomniała sobie coś jeszcze, Gary nigdy nie miał problemów z zapewnieniem sobie towarzystwa dziewczyn. Dostrzegła, że jakoś w trakcie tej wymiany zdań Melissa i James oddalili się dyskretnie i wciągnęli syna Gary'ego w jakąś niezobowiązującą rozmowę.

– Oboje robiliśmy magisterkę z zarządzania. Ojciec Ruthie pracował na giełdzie i miał swoją firmę brokerską w Connecticut. Pobraliśmy się, dołączyłem do rodzinnego biznesu, pojawił się syn, a potem córka. A później, muszę przyznać z przykrością, dość paskudny rozwód. – Ściszył głos. – To było pięć lat temu. Odszedłem z firmy, ale zostałem w Connecticut, żeby być blisko dzieci.

– I w jakiej branży pracujesz teraz? – spytała Val, choć nie o to wcale chciała go zapytać. Naprawdę chciała spytać: dlaczego rozwód był paskudny? I zaraz potem uściślić: jak bardzo paskudny?

– W tej samej – powiedział Gary w odpowiedzi na jedyne zadane głośno pytanie. – Tym razem mam bardziej wyrozumiałego szefa – siebie samego.

– Miło jest być swoim własnym szefem – zgodziła się Val.

– A ty? Mężatka? Rozwódka? Dzieci? Kariera?

– Wszystko powyższe razem – powiedziała Val. – Mężatka. Rozwódka. Albo prawie, w każdym razie. Jedna córka. Jedna przerwana kariera.

– Jaka kariera? I dlaczego przerwana?

– Pisałam trochę podróżniczych tekstów dla „New York Timesa” i paru innych magazynów.

– Tak? I dlaczego przestałaś? Na pewno byłaś w tym świetna.

– Skąd ci to przyszło do głowy?

– Bo wszystko zawsze świetnie robiłaś.

– Skąd ci to przyszło do głowy? – zapytała znowu, zwalczając niespodziewaną ochotę, żeby wybuchnąć płaczem.

– Bo nie znałaś strachu.

– Ja?!

Już raczej cały czas byłam przerażona, pomyślała.

– Żartujesz sobie? Pamiętam cię z zawodów pływackich. Byłaś taka

szczuplutka, same ręce i nogi, jeszcze się wtedy nie wypełniłaś. – Urwał, odkaszlnął z zażenowaniem w zaciśniętą pięść. – Ale zawsze byłaś taka siup do przodu. Stylem motylkowym pływałaś niekonwencjonalnie, łagodnie mówiąc. Miałaś o wiele więcej entuzjazmu niż techniki. A jednak wygrywałaś każdy wyścig, w którym startowałaś.

Val uśmiechnęła się. To za namową matki zaczęła pływać. Matka nadal miała w jednej z szaf pudełko po butach pełne jej medali, chociaż pewnie zapomniała już w której.

– Na bieżni i na boisku to samo. Niełatwo było z tobą wygrać.

– Tylko do czasu – powiedziała Val, myśląc o Jennifer.

– Ale nadal jesteś w niezłej formie, jak widzę.

– Chyba tak. A ty?

– No, nie bardzo. Trochę jeżdżę na nartach. Głównie na biegówkach. Ty to pewnie wyłącznie zjazdówki.

Tak, już od dawna zaliczam jeden wielki zjazd, pomyślała Val.

– Kiedyś skakałam z nartami z helikoptera, wierz lub nie.

„Ja po prostu nie umiem sobie tego wyobrazić: skakać z nartami z helikoptera, żeby zjeżdżać ze stoku – usłyszała w myślach słowa Jennifer, a zaraz potem: – W ogóle nie lubię niczego, przy czym nie mogę kontrolować własnych stóp”. Co Evan widzi w tej dziewczynie?

– Och, wierzę. – Gary pokręcił głową z podziwem. – Nieustraszona.

– No, może i kiedyś taka byłam.

– Rozwód naprawdę potrafi namieszać człowiekowi w głowie – stwierdził Gary. – Nie przejmuj się. Twoja odwaga wróci.

Val zerknęła w stronę przyjaciół i pochwyciła wyraz udreki i zniecierpliwienia na twarzy syna Gary’ego.

– Hayden chyba chce już ruszać dalej – powiedziała.

– Ach, młodość. – Gary się uśmiechnął. – Zawsze jej się wydaje, że gdzieś dalej będzie fajniej niż tu i teraz.

– Powinniśmy mu powiedzieć, że im dalej, tym gorzej?

– I zepsuć sobie frajdę obserwowania, jak sam do tego dochodzi? – Gary otarł pot, który znów wystąpił mu na czoło. – To całe starzenie się jest przereklamowane.

– Człowiek by oczekiwał, że chociaż z czasem będzie przystojniał – powiedziała Val.

Gary się roześmiał.

– Ty wyprzystojniałaś.

Teraz to Val się zaśmiała.

– No cóż, nie wydaje mi się, żeby to była prawda, niemniej dziękuję. Miło coś takiego usłyszeć.

– Nigdy nie mówię czegoś, czego nie myślę.  
– O, to niedobrze. – Val wyciągnęła do niego rękę. – No cóż, do zobaczenia,  
Gary. Naprawdę fajnie było tak na ciebie wpaść.  
Przytrzymał jej dłoń przez dłuższą chwilę, a ona poczuła niespodziewaną iskrę.  
– Na ciebie też.  
Podszedł Hayden, a za nim Melissa i James.  
– Tato, musimy iść, bo nie zostaną tam żadne namioty.  
– Dałem mu się namówić na spanie dzisiejszej nocy na kempingu – wyjaśnił Gary.  
– Na kempingu? – spytał James i w widoczny sposób wzdrygnął się. – Znaczący, siedzenie przy ognisku i spanie na ziemi?  
– To nie twoja bajka?  
– James ceni sobie cywilizowane wygody – stwierdziła Melissa.  
– I nie lubię istot pełzających – dodał James.  
Wszyscy się zaśmiali.  
– My zatrzymaliśmy się w hotelu. Nad Shadow Creek – dorzucił James. – Większego prymitywu nie toleruję.  
– Świetne miejsce – powiedział Gary. – No cóż, miłego pobytu. Może znów kiedyś na siebie wpadniemy.  
– Trzymaj się – powiedziała Val.  
– Tato... – niecierpliwił się Hayden.  
– Pamiętaj – szepnął Gary do Val. – Nieustraszona. – Pozostałym pomachał dłonią na pożegnanie, a potem zawrócił i ruszył śladem syna.  
– No cóż, niezły byczek – podsumował James. – I to w tym stylu nieokrzesanego drwala. Nieoszlifowanego diamentu. Nie sądzisz, Val?  
– Chyba jestem już gotowa wracać – odparła.  
– Zauważyłaś, że nie odpowiedziała mi na pytanie? – spytał James.  
– Tak, zauważyłam – przytaknęła Melissa.  
– Idziecie czy nie?  
– Prowadź – rzucili Melissa i James jednym głosem.

Wrócili ze stoków Prospect Mountain w samą porę na lunch, zdecydowawszy się podjechać samochodem do hotelu, żeby zaraz po posiłku ruszyć w drogę powrotną na Manhattan. Najpierw zjeść, potem zapakować bagaże do samochodu, pożegnać się z Brianne i Jennifer – tak uzgodnili. A potem wynosić się stamtąd czym prędzej. Val nie chciała nawet myśleć o żadnych więcej konfrontacjach. Miała powyżej uszu nawiązywania więzi z córką.

– Sprawdzę, czy są wiadomości – rzuciła.

Podchodząc do kontuaru recepcji, objęła wzrokiem hol. Strażników leśnych z parku narodowego już nie było widać. Zaginionego męża Alicii Gowan najwyraźniej znaleziono odsypiającego przykrości w jakiejś ukrytej kępie wypielęgnowanej trawy gdzieś na terenie otaczającym hotel. A życie toczy się dalej, zanuciła pod nosem Val i uśmiechnęła się do recepcjonistki o wystających zębach i włosach natapirowanych w wysoki kok, która stała za kontuarem wyprostowana jak struna.

– Cześć, Alexandra – przywitała dziewczynę, odczytując jej imię z plakietki przypiętej do wyprasowanego granatowego żakietu. – Nazywam się Rowe. Z pokoju trzysta trzynaście. Czy są dla mnie jakieś wiadomości?

Zaglądając do komputera, Alexandra zrobiła lekko stropioną minę.

– Nie, nie ma nic nowego, odkąd ta druga pani Rowe sprawdzała mniej więcej godzinę temu.

Val poczuła, że opuszczone dłonie zaciska w pięści. Bardzo ją korciło wyjaśnić, że jest tylko jedna pani Rowe, przynajmniej na razie.

– Dziękuję. – Urwała, zawróciła, a potem znów obróciła się w stronę recepcji. – Proszę mi powiedzieć, czy znaleziono Davida Gowana?

Alexandra niespokojnie obejrzała się przez ramię, jakby wcześniej ją ostrzegano, że ma z nikim na ten temat nie rozmawiać.

– Ciągle jeszcze przeszukują teren – szepnęła. – Na razie bez śladu. Osobiście uważam, że dał nogę.

– A pani Gowan?

Alexandra wzruszyła ramionami.

– Nie widziałam jej od rana. Była mocno roztrzęsiona. Jak rozumiem, jej rodzice jadą już tutaj z Maine.

Val pokiwała głową.

– No cóż, mam nadzieję, że on się pojawi, zanim tu dojadą. – Chociaż mógłby tego żałować, pomyślała. – Jeśli będą jakieś telefony do mnie przez



następną godzinę, czy może je pani przełączać do sali jadalnej?

– Naturalnie.

– Coś nowego? – spytała Melissa, kiedy hostessa prowadziła ich w stronę stolika pod oknem.

– Nic. Dziwne, że Evan do tej pory nie zadzwonił.

– Bo zwykle jest taki troskliwy i solidny? – spytała Melissa słodkim głosem, gdy kelnerka wręczała każdemu z nich otwarte, przesadnie wielkie menu.

– Niech tylko pomyślę – odezwał się James. – Moim zdaniem troskliwy i solidny Evan na pewno chciałby, żebym zafundował sobie tę szokująco drogą sałatkę z homara i kieliszek chardonnay.

– Troskliwy, solidny i szczodry – zgodziła się Melissa, zamawiając to samo.

Val uśmiechnęła się do przyjaciół.

– Poprosimy trzy razy to samo – zwróciła się do kelnerki.

\*

– Brianne?! – zawołała Val, kiedy wchodzili do apartamentu jakąś godzinę później. – Brianne, kochanie...

– Daruj sobie to „kochanie” – powiedział James. – Wygląda na to, że nikogo nie ma w domu.

– Pewnie są przy basenie. – Melissa zerknęła do łazienki, a Val zajrzała do sypialni.

– Równie dobrze mogę się spakować. – Val zaczęła zbierać swoje rzeczy, zastanawiając się, czy nie mogliby sobie darować formalnego pożegnania, po prostu zostawiając jakąś karteczkę. I tyle tej mojej nieustraszoneści, pomyślała, słysząc, że drzwi apartamentu się otwierają. – Brianne?! – zawołała, przechodząc do saloniku.

– To tylko ja – powiedziała Jennifer, zdejmując kapelusz z wielkim rondem i narzutkę, a potem rozpuszczając długie jasne włosy, które opadły idealnymi falami na jej ramiona.

Oczywiście, pomyślała Val. Próbowała nie zwracać uwagi na diamentowy kolczyk w pępku Jennifer, pomiędzy górą a dołem skąpego różowego bikini. Czy to Evan kupił ten diament? Czy to się liczy zamiast zaręczynowego pierścionka?

– Gdzie jest Brianne? – zapytała.

Jennifer wzruszyła ramionami.

– A nie ma jej tutaj?

No to znów się zaczyna, pomyślała Val.

– Powiedziała, że ma dosyć słońca, i miała wrócić do pokoju, żeby umyć włosy – wyjaśniła Jennifer, niepytana.

– Kiedy to było?

Jennifer zerknęła na zegarek.

– Jakieś pół godziny temu. Może czterdzieści minut. Zjadłyśmy lunch przy basenie, a potem powiedziała, że idzie na górę myć głowę.

– I pozwoliłaś jej tak po prostu odejść?

– A co miałam zrobić, Val? Zakazać jej mycia włosów?

– Mogłaś wrócić razem z nią.

– A dlaczego miałabym to robić?

– Bo byłaś za nią odpowiedzialna.

– Ona ma szesnaście lat, Val. Raczej nie potrzebuje niańki, która będzie patrzeć, jak myje sobie włosy.

– Tyle że ich nie umyła, prawda?

– Nie wiem. Może skończyła myć i gdzieś wyszła.

Val zajrzała do nieskazitelnie czystej łazienki, gdzie świeże białe ręczniki wisiały schludnie poskładane na ogrzewanych prętach suszarki. W powietrzu nie unosiła się ani odrobina wilgoci czy zapachu szamponu. Nikogo nie było w łazience od wizyty pokojówki dziś rano.

Jennifer popatrzyła w stronę Melissy i Jamesa. „Ratunku”, prosiło jej spojrzenie.

– Cholera – mruknęła Val. A potem głośniej: – Cholera!

– Ale o co ci chodzi? – Jennifer zrzuciła z nóg espadryle. – Nie jestem pewna, czy rozumiem, czemu się tak denerwujesz.

– Bo moja córka znikła.

– Nie znikła – sprzeciwiła się Jennifer. – Po prostu nie ma jej tutaj.

– No to gdzie jest?

– Nie wiem. Wiem jednak, że reagujesz przesadnie. Znowu.

Val przysiadła w najbliższym fotelu, czując początki bólu głowy.

– Posłuchaj. Nie jesteś matką. Nie oczekuję, że zrozumiesz.

– Ja zaś rozumiem, że nie powinnaś była jej uderzyć. Rozumiem, czemu może nie mieć ochoty być tutaj, kiedy wrócisz.

– Tak, jesteś istną krynicą zrozumienia – rzuciła Val.

– Val... – rzuciła ostrzegawczo Melissa przez nieruchome wargi, zasłaniając usta palcami dłoni. – Życzliwość – szepnęła. – Masz ją wykończyć życzliwością, zapomniałaś?

Val wzięła głęboki oddech, ogarnęła ją wielka fala poczucia winy.

– Czy ona coś ci powiedziała... o tym... o tym, co zaszło?

Jennifer pokręciła głową.

– Nie. Ale jeśli to ma jakieś znaczenie, ja jej powiedziałam, że moim zdaniem powinna cię przeprosić.

Val się najeżyła.

– A po co to zrobiłaś?

– Sama nie wiem. – Jennifer wzruszyła ramionami. – Uważam jednak też, że

dobrze by się stało, gdybyś i ty ją przeprosiła.

– Że co proszę?

– Życzliwość – szepnęła Melissa przez mocno zaciśnięte zęby.

– Posłuchaj, jeśli naprawdę się martwisz, to czemu nie spróbujesz zadzwonić do niej na komórkę? – spytała Jennifer.

Val sięgnęła do kieszeni, wyjęła z niej poobijanego blackberry'ego i zaprezentowała rywalce.

– Bo jej to cholerstwo skonfiskowałam. Zapomniałaś?

– A owszem, skonfiskowałaś – powiedziała Jennifer. – No dobra, skończyły mi się argumenty. Jeśli nikt z obecnych nie ma nic przeciwko, pójdę wziąć prysznic, zanim pojawi się tu Evan.

– Dzwonił? – Val nieporadnie próbowała ukryć zdziwienie.

– No cóż, nie. Jeszcze nie. Ale jestem pewna, że pojawi się już lada chwila.

– No tak.

– Wiem, co sobie myślisz – odezwała się Jennifer obronnym tonem. – Ale naprawdę nie znasz go aż tak dobrze, jak ci się wydaje.

– No jasne. Przecież jestem jego żoną od zaledwie osiemnastu lat, a ty się z nim pieprzysz od... zaraz, ile to miesięcy dokładnie minęło?

– To może pójdziemy na dół i zobaczymy, czy nie uda nam się znaleźć Brianne? – powiedziała szybko Melissa, popychając Val w stronę drzwi.

– Tak – odezwała się lodowatym tonem Jennifer. – Może idźcie.

– Zobaczę przy basenie – ofiarował się James, już wychodząc do holu.

– Ja sprawdzę sklepy – dodała Melissa.

– A ja rozejrzę się po terenie – oświadczyła Val.

– No to do zobaczenia później, moi przemili państwo. – Z tymi słowami Jennifer kopniakiem zatrzaskała za nimi drzwi.

\*

Val siedziała w holu na jednej z dwóch przesadnie miękkich, obitych zieloną skórą sof przed olbrzymim kamiennym kominkiem naprzeciwko hotelowej recepcji już bite pół godziny, kiedy go zobaczyła. Miał na sobie schludne czarne spodnie i koszulę w fioletowo-białą kratkę, i wyglądał raczej jak klejnot, a nie nieoszlifowany diament, co zasugerował wcześniej James. Chociaż nadal ma w sobie tę surowość urody, pomyślała Val i nieco jej zapało dech, kiedy skierował się prosto w jej stronę.

– Gary – powiedziała i zerwała się na równe nogi, zaskoczona tym, jak silnie i instynktownie reaguje na jego obecność. Od dwudziestu lat zwracała uwagę wyłącznie na jednego mężczyznę – Evana. Zastanowiła się, co się z nią teraz dzieje. – Skąd się tu wziąłeś?

– Nie spodziewałaś się, że tak szybko mnie znów zobaczysz?

– No, zdecydowanie nie. Co ty tu robisz?  
– Zdaje się, że zapraszam cię na kolację.  
– Co takiego?  
– To znaczy, o ile twoi przyjaciele obejdą się bez ciebie przez jeden wieczór.  
– Co? – powtórzyła Val.  
– Ale mogą też do nas dołączyć, jeśli tak wolisz.  
– Nie rozumiem.  
– To nie jest jakaś skomplikowana sprawa. Nie jesteś przecież jedną z tych kobiet, co to nigdy nic nie jedzą?  
– Jak mnie znalazłeś? – spytała Val, ignorując pytanie, które uznała za retoryczne.  
– Twój przyjaciel James wspominał, że tu się zatrzymaliście.  
Val przypomniała to sobie i pokiwała głową. Zerknęła za plecy Gary’ego.  
– Twój syn...?  
– Jest na kempingu. Spotkał jakichś chłopaków i chyba mają własne plany na dzisiejszy wieczór, więc pomyślałem, że zaryzykuję i sprawdzę, czy nie jesteś wolna...  
– Nie mogę.  
– Aha. No dobrze, to ja...  
– Moja córka gdzieś znikła.  
– Co takiego?  
– Szukamy jej wszędzie. Tkwię tu od pół godziny – wyjaśniła Val z oczyma pełnymi łez. – Siedzę i czekam, że może wejdzie do środka.  
Gary podprowadził ją z powrotem do sofy i usiadł obok niej.  
– No dobra. To teraz od początku.  
Val szybko wyjaśniła sytuację, opowiadając mu wszystko: o Jennifer i awanturze, którą zaliczyła rano z Brianne.  
– Czekaj chwilę – powiedział Gary. – Chcesz mi powiedzieć, że nocowaliście wszyscy w jednym pokoju?  
– We wspólnym apartamencie – uściśliła Val.  
Pokiwał głową, jakby usiłował wyobrazić sobie tę scenę.  
– Tak czy inaczej...  
– Myślisz, że po prostu potrzebowała odrobiny prywatności? – spytała Val z nadzieją. Przez ostatnie dwie godziny usiłowała w taki sposób przekonać samą siebie.  
– Musisz przyznać, że sytuacja jest dość niezwykła.  
– Tak, to prawda. I w zwykłych okolicznościach może nie robiłabym takiej afery ze wszystkiego. No wiesz, pokłóciłyśmy się... – Val ściszyła głos do zażenowanego szeptu. – I ja ją uderzyłam. To oczywiste, że jest wściekła. Więc owszem, nie ma teraz ochoty na moje towarzystwo. Dała to bardzo wyraźnie do

zrozumienia. Jennifer to w jej oczach piękna księżniczka, a ja jestem złą wiedźmą. Rozumiem to. Ale są granice. Za parę godzin zrobi się ciemno, a ja tu siedzę i wyobrażam sobie wszystkie straszne rzeczy, które mogły ją spotkać, i myślę o tym, że jedna osoba już tutaj zaginęła...

Gary przerwał jej:

– Co? Ktoś jeszcze zaginął?

Val znów opisała sytuację, dostrzegając zdeprimowane spojrzenie, które wkradło się w łagodne piwne oczy Gary'ego.

– Tak, wiem, jestem śmieszna, a ten David Gowan pewnie po prostu pojechał do domu i nie odpowiada na telefony, bo chce dać nauczkę żonie. A przynajmniej takiego zdania są chyba parkowi strażnicy.

– Rozmawiałaś z nimi?

– Nie, ale rozmawiałam z kierownikiem hotelu jakąś godzinę temu. Biedny facet prawie mnie błagał, żebym nie angażowała znów straży leśnej do pomocy.

– Moim zdaniem nie on powinien o tym decydować.

– Chce uniknąć atmosfery paniki. A ja rozumiem jego obawy. Naprawdę. Nie zamierzam robić niepotrzebnej afery. Chcę tylko, żeby moja córka już wróciła.

– Val spojrzała na drzwi, które właśnie otworzyła wchodząca do holu nastoletnia dziewczyna.

– Czy to ona? – zapytał Gary.

Dziewczyna podeszła bliżej. Długie włosy kołysały się wokół jej ramion w takt kroków. Miała na sobie odsłaniającą ramiona białą bluzkę chłopkę i postrzępione dżinsowe szorty, których długie nitki opadały na opalone uda. Val rozpoznała ją jako tę dziewczynę, która omal jej nie stratowała poprzedniego wieczoru, po czym na dodatek potraktowała ją wulgarnym gestem.

– Nie. – Skuliła ramiona, rozczarowana.

Dziewczyna, mijając ich, uśmiechnęła się do Gary'ego.

Odezwała się komórka Val. Wyciągnęła ją z kieszeni i szybko otworzyła klapkę, uniosła do ucha, usłyszała jakieś trzaski.

– Halo?

– To tylko ja – powiedziała Melissa przy akompaniamencie zakłóceń połączenia. – Jak rozumiem, jeszcze jej nie widziałaś?

Ponieważ Val nalegała, Melissa i James wrócili wcześniej do apartamentu, w razie gdyby Brianne miała tam zadzwonić.

– Nie – odparła Val. – Na górę nie dzwoniła?

– Nie.

Val wyczuła w głosie przyjaciółki wahanie.

– Ale...?

– Evan dzwonił.

– Dzięki Bogu. Jest już w drodze?

– Najwyraźniej nadal wyjazd mu się odwleka – powiedziała Melissa. – Zdaje się, że nie zdoła tu dotrzeć przed jutrem.

– Czy Jennifer mówiła mu o Brianne?

– Nie. Stwierdziła, że on ma w tej chwili wystarczająco wiele spraw na głowie i że nie ma sensu niepotrzebnie go niepokoić.

– Nie, tego byśmy przecież za nic nie chcieli.

– Obiecał, że będzie tu przed południem, nawet gdyby musiał się zerwać o świcie. Biedactwo. – Melissie udało się wypowiedzieć to słowo tonem obelgi. – Chcesz, żebyśmy z Jamesem zeszli dotrzymać ci towarzysztwa? – Sygnał komórki słabł, głos Melissy to pojawiał się, to zanikał.

– Nie. Wszystko w porządku. Gary tu jest.

– Kto?

– Gary Parker. Spotkaliśmy go dziś przed południem.

– Aaa, Gary nieoszlifowany diament? Gary Parker jest tam z nią. – Val usłyszała, że Melissa informuje Jamesa wśród coraz większych zakłóceń na linii.

– Proszę, powiedzcie mi, że wreszcie ktoś ją przeleci – natychmiast zareagował James.

– Zastanawiam się, czy nie zadzwonić do strażników leśnych, jeśli Brianne nie wróci w ciągu dziesięciu minut – powiedziała Val.

– Jeśli Brianne nie wróci za dziesięć minut, Val dzwoni do straży leśnej – przekazała Melissa Jamesowi.

– Co? No nie, to śmieszne! – Val usłyszała okrzyk Jennifer, a potem połączenie kompletnie się urwało.

Val schowała komórkę do kieszeni.

– Wygląda na to, że zdaniem dziewczyny mojego męża to nie jest najlepszy pomysł – powiedziała do Gary'ego.

– A niech się pieprzy.

– Dziękuję, ale mój mąż już chyba zajmuje się tym dość energicznie.

Gary zaśmiał się.

– Przepraszam, nie chciałam zabrzmieć tak zgorzkniale.

– Moim zdaniem to normalne stwierdzenie. Czy mogę jakoś pomóc?

– Już to robisz. Dziękuję. – Kilka minut później Val poderwała się na nogi. – Dobra, dosyć tego. Dość się naczekałam.

Gary poszedł z nią przez hol do biura kierownika.

– Moment! – usłyszeli za plecami znajomy głos.

Val określiła się na pięcie i zobaczyła Jennifer, która szybko zmierzała w jej stronę. Jasne, długie włosy podskakiwały wokół ładnie zarumienionej twarzy. Tuż za nią szli Melissa i James.

– Dokąd idziesz? – spytała ostrym tonem Jennifer. – Co chcesz zrobić?

– Posłuchaj, Jennifer – powiedziała Val, powstrzymując się przed tym, by

złapać tę kobietę za gardło i pchnąć prosto do kominka. – Wiem, że uważasz, że jestem szalona, ale mam wszelkie prawo się niepokoić. Brianne to moja córka, nie twoja, i znikła już na zbyt długo.

– Brianne nic nie jest.

– Naprawdę nie mam na to czasu.

– To go znajdź – powiedziała stanowczo Jennifer.

Val spojrzała w chłodne błękitne oczy Jennifer.

– Co ty mi chcesz powiedzieć?

Jennifer głęboko zaczerpnęła powietrza, a potem wypaliła jednym tchem:

– Mówię, że Brianne absolutnie nic nie jest. Mówię, że wiem, gdzie ona jest.

– Uniosła spojrzenie w stronę sufitu, jakby wzywała pomocy jakichś sił wyższych.

– Mówię, że powinnaś chyba usiąść.

Jej się to nijak nie spodoba, myślała Jennifer, siadając na sofie naprzeciwko Val. Nie spodoba jej się to ani trochę. Ona już mnie nienawidzi, i nie bez powodu, a po tym po prostu dostanie szału i mnie się też oberwie. Będę miała szczęście, jeśli wyjdę z tego żywa.

Jak ja się wplątałam w tę awanturę? – pomyślała, nerwowo rozprostowując zagniecienia beżowych lnianych spodni, w które się przebrała, wzięwszy prysznic. Strumień gorącej wody przyniósł jej parę bardzo potrzebnych minut spokoju, ale potem znów znalazła się w środku całej tej zawieruchy. Ledwie zdążyła wysuszyć włosy na szczołce, kiedy do apartamentu wrócił tamten Dynamiczny Duet, na szczęście, bez swojej ukochanej liderki.

Jennifer zebrała odwagę i spojrzała na wkrótce już byłą żonę Evana, jak zwykle piorunującą ją spojrzeniem stanowiącym połączenie zaciekawienia i pogardy. Jennifer poprawiła zawieszkę naszyjnika w kształcie topazowego serduszka, kupioną jej niedawno przez Evana. Starła się nie zaciągnąć żadnej nitki w beżowej jedwabnej bluzce, którą również Evan dla niej wybrał. Zastanawiała się, co mężczyzna równie elegancki jak Evan powiedziałby na te luźne drelichowe szorty i krzykliwą pomarańczową koszulkę, które rano kupiła sobie Val na górską wycieczkę. Nie wspominając o skarpetach w pomarańczowo-białe romby, wywiniętych nad nowo nabytymi butami. Jezu, te skarpety...

– No i? – spytała niecierpliwie Val. – Gdzie ona jest?

– Brianne nic się nie stało.

– To już mówiłaś, ale ja nie pytałam, jak ona się miewa. Pytałam cię, gdzie ona jest.

– A co to za różnica, póki nic złego jej się nie dzieje? – Jennifer wiedziała, że tylko opóźnia wybuch, który nieuchronnie nastąpi.

– Nie zmuszaj mnie, żebym cię zabiła – powiedziała Val.

Stojący za jej plecami mężczyzna roześmiał się.

Kto to niby jest? – zastanowiła się Jennifer.

Melissa, siedząca u prawego boku Val, szepnęła coś kątem ust – jakieś słowo, które zabrzmiało, co dziwne, jak „życzliwość” – a James przysiadł na drugim krańcu sofy i pochylił się w pozie wyczekiwania. Czworo na jedną, pomyślała Jennifer. Nie podobał jej się ten rachunek. Gdyby tylko Evan tu był, żeby wyrównać szanse... Chociaż, gdyby Evan tu faktycznie był, nic podobnego by się nie działo.

A niech cię szlag trafi, Evanie Rowe, pomyślała Jennifer. To Evan wszystko



to zaaranżował, to on przekonał ją, że taka mała wycieczka bardzo pomogłaby scementować rodzące się porozumienie między nią a jego córką. Ile razy powtarzał, że nie może się doczekać, aż jej pokaże jeden z jego najbardziej ulubionych zakątków świata?

Zapomniał tylko wspomnieć o tych wszystkich poprzednich wyjazdach nad Shadow Creek w towarzystwie Val i o tym, że ona również to miejsce bardzo lubiła. Oraz o tym, że może się to skończyć tak, że będą spały na sąsiednich łóżkach! Chociaż, mówiąc uczciwie, tego to nikt nie mógł przewidzieć.

I w ogóle, kto to jest ten facet, który się tu znikąd pojawił? Jennifer zerknęła na niego, przystojnego na swój szorstki sposób i wiek. Co on tutaj robi? Czy Val zawiadomiła już jakieś władze? Czy to strażnik leśny? A może ktoś jeszcze inny? „Proszę, powiedzcie mi, że wreszcie ktoś ją przeleci” – to powiedział na górze James. Czy to możliwe, że Val jest związana z tym facetem uczuciowo?

Daj Boże, pomodliła się w duchu Jennifer ulubionym zwrotem własnej matki. Czy to wszystko jest w stanie doprowadzić mnie do tego, że znów wrócę na ścieżkę wiary? Czy wystarczy, że Val znajdzie sobie jakiegoś innego faceta? Pokręciła głową.

Na pewno w znacznym stopniu pomogłoby to jej samej pozbyć się wyrzutów sumienia. Mogłaby powiedzieć własnej siostrze: „Tak, może i ukradłam mężczyznę innej kobiecie, ale popatrz tylko, o ile Val jest szczęśliwsza teraz”. Co by z kolei oznaczało, że mogłaby przestać oglądać się przez ramię, wiedząc, że gdzieś w cieniu czai się duch Valerie i tylko czeka, aż ona zrobi jakiś błąd. Nie musiałyby ciągle dostrzegać we wstecznym lusterku protekcyjnego spojrzenia Valerie. Evan mógłby przestać czuć się winny, mógłby przestać się martwić o to, jak ona sobie radzi, mógłby przestać czuć się za nią odpowiedzialny, mógłby przestać wreszcie wspominać jej imię przynajmniej trzy razy dziennie.

Czy on w ogóle zdaje sobie sprawę z tego, jak często o niej mówi?

Zatem tak, owszem, byłoby naprawdę cudownie, gdyby w życiu Val faktycznie pojawił się jakiś inny mężczyzna.

„Kres taki byłby celem na tej ziemi najpożądańszym”, wyrecytowała w myślach frazę zapamiętaną z *Hamleta*[\*]. Zabawne, przypomnieć to sobie teraz, pomyślała, smakując na języku słowo „najpożądańszym” i wracając myślami do tego popołudnia, kiedy Val wróciła do domu wcześniej, niż zapowiadała i zastała ją w łóżku z Evanem, z nogami opartymi na jego szerokich ramionach.

Evan za bardzo był pochłonięty swoją własną przyjemnością, żeby dosłyszeć otwieranie drzwi i kroki żony na schodach. Przez moment zastanawiała się, czy go nie ostrzec – no bo, jeśli to Brianne? – ale potem przypomniała sobie, że Brianne jest na próbie szkolnej sztuki i do domu wróci znacznie później. To więc musiała być Valerie, wydedukowała poprawnie, obróciła głowę w bok i, leciusięko otwierając oczy, przygotowała się na fajerwerki, gdy żona jej kochanka stanęła

w drzwiach.

Zamiast eksplozji zapadła cisza. Val wycofała się spod drzwi bez jednego słowa.

– Obawiam się, że słyszałam, jak ktoś wchodzi – szepnęła Jennifer, kiedy skończyli. – Może powinieneś sprawdzić.

– Nie – powiedział Evan chwilę później, wracając do łóżka. – Nie ma tu nikogo.

Kilka następnych tygodni przyniosło wyłącznie dalszą ciszę. Jennifer zaczęła wreszcie podejrzewać, że całą tę scenę tylko sobie wyobraziła.

– Jaka kobieta wpada na męża kochającego się z inną i nic nie mówi? – zapytała własną siostrę.

– Taka, która kocha męża i nie chce go stracić – odparła Cameron.

„Nic dobrego z tego nie będzie”, usłyszała w myślach słowa ojca.

– No dobra, wystarczy tego – powiedziała teraz Val, podrywając się na nogi.

– Dzwonię do straży leśnej.

– Ona jest ze swoim chłopakiem – rzuciła szybko Jennifer.

Val natychmiast usiadła z powrotem.

– Co?

– Jest ze swoim chłopakiem – powtórzyła Jennifer, wiedząc, że Val świetnie ją słyszała za pierwszym razem, ale że musiała usłyszeć te słowa jeszcze raz, by w pełni do niej dotarły.

– Co ty wygadujesz? – Szok Val ustępował miejsca gniewowi.

Jennifer dostrzegła, że Melissa, James i ten nowy facet, kimkolwiek był, zgodnie nachylili się, czekając na jej odpowiedź.

– Nazywa się Tyler Currington.

– Tyler Currington? Pierwsze słyszę.

– Chodzą ze sobą mniej więcej od miesiąca.

– Od miesiąca?

– Nie denerwuj się – ostrzegła Val Melissa.

– Słuchaj, ja naprawdę niewiele o tym wiem...

– A mimo to wiesz znacznie więcej niż ja – przerwała jej Val.

– Jak się zdaje, poznała go przez znajomą, która pracuje w Lululemon.

– Saszę?

– Sasha, tak, to ona. W każdym razie ta cała Sasha ich sobie przedstawiła i oni teraz, rozumiesz, widują się.

– Kiedy?

– Tak w sumie to kiedy tylko mogą.

– Dlaczego ja nic o tym nie wiem?

Jennifer wiedziała, że tak naprawdę Valerie ją pyta: „Dlaczego ty o tym wiesz, a ja nie?”.

- Bała się, że będziesz przeciwna.
- A dlaczego miałabym się sprzeciwiać?
- Bo on jest od Brianne nieco starszy.
- O ile starszy?
- Nie jestem pewna.
- To spróbuj zgadnąć – powiedziała Val głosem bez wyrazu.

Jennifer głęboko odetchnęła, wypuściła powietrze z płuc.

- Cztery, może pięć lat.

Krótką chwilą ciszy, a potem Val zmrużyła oczy.

– Chcesz mi powiedzieć, że moja szesnastoletnia córka umawia się z dwudziestojednoletnim mężczyzną?

- Nie jestem pewna, czy on ma dwadzieścia jeden lat.

– Ale za to wiesz, że Brianne ma tylko szesnaście – powiedziała Val oskarżycielskim tonem. – I co Evan na to?

- Nic – powiedziała Jennifer.

Val rzuciła się na tę odpowiedź jak pies na kość.

- Jak to on nic na to? Chcesz mi powiedzieć, że nic o tym nie wie?

- Wie, że ona ma chłopaka.

- Ale nie wie, ile on ma lat?

- Nie wiem. Nie wiem, co Brianne mu powiedziała.

– A co ty mu powiedziałaś? – spytała Val, najwyraźniej tej kości nie zamierzając wypuścić.

Jennifer zawahała się. Och, do diabła. Jak to kiedyś mawiał jej ojciec? Jak się powiedziało A, to trzeba powiedzieć B.

- Nic mu nie powiedziałam.

- Nic mu nie powiedziałaś? – powtórzyła Val.

- Zgadza się.

– Pozwól, że się upewnię, czy dobrze rozumiem. Nie powiedziałaś swojemu narzeczonemu, że jego szesnastoletnia córka spotyka się z dwudziestojednoletnim facetem?

- Nie powiedziałam.

- Czy mogę cię spytać, dlaczego, do cholery?

- Bo uważałam, że mi nie wypada.

– Interesujące – stwierdziła Val. – Nigdy nie miałaś takich zastrzeżeń, kiedy pieprzyłaś się z moim mężem.

Jennifer postanowiła zignorować tę osobistą wycieczkę Val. Zresztą, co miała na swoją obronę?

– Brianne zwierzyła mi się w zaufaniu – powiedziała. Usłyszała drzenie we własnym głosie. Tylko nie waź się rozplakać, przykazała sobie, dostrzegając, że kilka osób przechodzących przez hol zwolniło kroku i zatrzymało się w pobliżu,

nasłuchując. – Nie chciałam zdradzić tego zaufania – dokończyła cicho.

– Rozumiem. Czyli raz zdradzasz, a raz nie, jak cię najdzie. Tak?

Jennifer usiłowała zachować panowanie nad sobą.

– Chciałabym, żebyś trochę zniżyła głos. Nie całe Adirondack musi słuchać tej wymiany zdań.

I Jennifer, i Val zerknęły w stronę gapiów, którzy szybko się rozproszyli. Tylko jedna osoba nie ruszyła się z miejsca, ta młoda dziewczyna, która poprzedniej nocy pokazała Val środkowy palec. Uśmiechnęła się teraz do Jennifer, jakby chciała dać znać, że rozumie sytuację i ją w niej wspiera.

Jennifer skupiła spojrzenie na Val.

– Posłuchaj. Wiem, że mnie nienawidzisz, ale...

– Nie nienawidzę cię – zaprzeczyła szybko Val. I dodała: – No może jednak. Nienawidzę cię, ale to nie ma nic do rzeczy.

– A o co tak konkretnie ci chodzi?

– Chodzi mi o to, że szesnastolatka w żadnym razie nie powinna się widywać z dwudziestojednoletnim facetem. A ty powinnaś zdawać sobie z tego sprawę. I powinnaś była powiedzieć o tym mnie. Albo przynajmniej Evanowi. Będzie wściekły, kiedy się o tym dowie.

– Co cię powinno niewymownie uszczęśliwić.

– Myślisz, że cokolwiek w tej całej aferze mnie uszczęśliwia? – spytała ostro Val.

– Myślę, że rozdmuchujesz to wszystko ponad wszelką miarę. Tak właśnie uważam. Pięć lat różnicy wieku to nie jest koniec świata.

– Owszem, jest, kiedy dziewczyna ma szesnaście lat. Boże, w głowie mi się nie mieści, że muszę ci to tłumaczyć.

– Nie musisz tłumaczyć mi niczego, Tak samo, jak ja nie mam obowiązku niczego ci mówić – ciągnęła Jennifer, teraz już równie zła, jak zażenowana. – Wiem, że tego nie rozumiesz, ale jestem tutaj w nieco niezręcznej pozycji...

Val przerwała jej:

– Sądziłam, że lubisz niezręczne pozycje.

Jennifer potrząsnęła głową, wiedząc, że obie mają teraz przed oczyma jej nogi na ramionach Evana.

– Ja naprawdę nie widzę powodu, żeby dalej na ten temat dyskutować.

– Powód jest taki, że chcemy ustalić, gdzie w tej chwili przebywa Brianne. – Siedzący obok Valerie mężczyzna ujął to w prostych słowach.

– A pan kim jest? – spytała Jennifer.

– To nie twoja sprawa – rzuciła Val.

– Jest pan ze służby leśnej? – spytała Jennifer Gary'ego.

– Nie – odparł Gary. – Jestem po prostu starym znajomym Val.

Super, pomyślała Jennifer, zastanawiając się, co miał na myśli, mówiąc

„stary znajomy”.

– A pana nazwisko to jakaś tajemnica państwowa?

Mężczyzna uśmiechnął się i na pokrytych popołudniową szpeciną policzkach utworzyły się przyjemne dołeczki.

– Na imię mam Gary.

– No cóż, jestem pewna, że w normalnych okolicznościach miło byłoby cię poznać, Gary.

Val przerwała jej:

– Powiesz mi w końcu, gdzie jest moja córka, czy nie?

– Ja nie wiem, gdzie dokładnie ona jest.

– No to powiedz mi, gdzie jest w przybliżeniu.

– Jest gdzieś w okolicy. Tylko tyle wiem.

Val wyrwał się jakiś odgłos pomiędzy westchnieniem a krzykiem.

– Chcesz powiedzieć, że nie masz bladego pojęcia?

– Chcę powiedzieć, że się umówili, że spotkają się na parkingu.

– Kiedy zdążyli się tam umówić?

– Nie wiem, zakładam, że to dlatego tak często do niego esemesowała.

– I ty wiedziałaś, że ona pisze esemesy do niego?

– Zakładałam, że pisze je do niego. – Jennifer patrzyła, jak Val usiłuje przetrwać ten ostatni okrucieństwo informacji.

– No to kiedy się umówili? – Val odgarnęła włosy z czoła dłonią, która wyraźnie drżała.

Ona naprawdę chętnie by mnie zabiła, pomyślała Jennifer.

– Napisała do niego zaraz po tym, jak dziś rano wyszliście.

– Ale jakim cudem? Mam jej komórkę.

– Skorzystała z mojej.

Val pokiwała głową, jakby chciała powiedzieć: „no przecież, oczywiście”.

– A więc jest z tym mężczyzną niemal cały dzień.

– Dwadzieścia jeden lat to jeszcze nie mężczyzna – zaprotestowała Jennifer.

– Tak naprawdę to nadal dzieciak.

– Rozumiem. Widziałaś go, tak?

– No nie. Nie widziałam.

– Czy on studiuje? Czy ma jakąś pracę? Gdzie mieszka? Zażywa narkotyki?

Zaliczył odsiadkę w więzieniu?

– No dobrze, dobrze, rozumiem, o co ci chodzi.

– Czy wiesz o nim coś jeszcze poza tym, że nazywa się Tyler Currington, co, mówiąc szczerze, nawet mi nie brzmi jak prawdziwe nazwisko?

– Wiem, że Brianne za nim przepada.

– A nie, no jak tak, to przecież wszystko w porządku.

Na kilka chwil wszyscy umilkli.

– No to co teraz robimy? – spytał James.

– A co możemy zrobić? – odparła Val, spoglądając w stronę frontowego wejścia. Wszyscy skierowali spojrzenia w to samo miejsce. – Czekamy.

Jakąś godzinę później Val z przerażeniem zobaczyła, że drzwi frontowe otwierają się i dwóch strażników leśnych w mundurach – obaj wysocy i gładko ogoleni – wchodzi do środka z Brianne w ubraniu w wyraźnym nieładzie i z równie rozchełstanym i potarganym towarzyszem. Val natychmiast poderwała się z sofy i podbiegła do nich. Jej przyjaciele zrobili to samo.

Jennifer zwlekała, bo dostrzegła, że czarny T-shirt chłopaka, przyozdobiony motywem czaszki i skrzyżowanych piszczeli, jest częściowo wyciągnięty z obcisłych džinsów o obniżonym kroku. Cholera, pomyślała, niechętnie idąc za resztą. Czy Brianne nie mogła sobie wybrać kogoś choć trochę lepiej się prezentującego?

– Co się dzieje? – już pytała Val, głosem wibrującym od ledwie opanowywanej hysterii. – Brianne, nic ci nie jest?

– Zna pani tę młodą osobę? – spytał młodszy z dwóch strażników leśnych, a Jennifer dostrzegła, że w ich stronę zmierza szybko kierownik hotelu.

– To moja córka Brianne. Kochanie, nic ci się nie stało?

– Obawiam się, że znaleźliśmy pani córkę i jej towarzysza w dość kompromitującej sytuacji w lesie, w pobliżu Bolton Landing.

– Co takiego?!

Cholera, pomyślała znowu Jennifer, nabierając złych przeczuć. No to teraz wszystkim nam się dostanie.

– Właścicielka pewnego domu zauważyła tych dwoje, kiedy brali się do dzieła na polance, dokąd przyszła na spacer ze swoimi pięcioletnimi bliźniakami. Nie muszę chyba wspominać, że nie była uszczęśliwiona.

– Co to znaczy: brali się do dzieła? Chce pan powiedzieć, że się całowali?

– Działo się coś więcej.

– Co, tak konkretnie, więcej?

Starszy z dwóch strażników wyjaśnił sytuację tak taktownie, jak tylko umiał. Mimo to nie pozostawił wątpliwości co do sensu swoich słów: Brianne i jej towarzysz zostali znalezieni nadzy w trakcie uprawiania seksu na terenie publicznie dostępnym.

– Coś niebywałego. – Na twarzy Val widniał szok przemieszany z przerażeniem. Serce waliło jej bardzo mocno. Bała się, że zaraz zemdleje. – Uprawiałaś seks w miejscu publicznym? Byłaś tam naga?

– Może powiesz o tym jeszcze głośniej – odezwała się Brianne obronnym tonem. – Chyba na Florydzie jeszcze nie wszyscy cię słyszeli.

– Jak mogłaś zrobić coś takiego? Coś ty sobie w ogóle myślała? Brianne! Odpowiedz mi.

Brianne zacisnęła wargi i spojrzała w stronę Jennifer. Cholera, pomyślała Jennifer. Teraz już po mnie.

– Nie patrz na nią – warknęła Val. – Patrz na mnie.

– A po co? – Brianne obróciła się na pięcie i stanęła twarzą w twarz z matką.

– Żebyś znów mogła mnie uderzyć?

Val cofnęła się o krok, niemal tak, jakby sama została właśnie uderzona.

Minę ma tak przybitą, że niemal mi jej żal, pomyślała Jennifer, zdając sobie sprawę, że zdołali przyciągnąć uwagę wszystkich osób obecnych w hotelowym holu.

– Bardzo mi przykro. – Val przeprosiła strażników, choć nie było rzeczą jasną, czy przeprasza ich za zachowanie córki, czy własne.

– Proszę posłuchać. Nie pierwszy raz coś takiego się tu zdarza – odezwał się strażnik, a potem dodał: – I nie ostatni. Nie mamy ochoty narobić kłopotów tym młodym ludziom, nie chcemy stawiać formalnych zarzutów...

– Bardzo panom dziękuję – mruknęła Val. Po jej policzkach spływały łzy.

– Ale jeśli to się powtórzy...

– Nie powtórzy się – obiecała szybko Val.

Po paru chwilach dalszej rozmowy strażnicy wyszli z hotelu.

– Dupki – mruknął pod nosem Tyler Currington.

– A ty nie waż się już dodać ani słowa więcej – syknęła do niego Val.

– Pani Rowe? Przepraszam – odezwał się kierownik hotelu, kiedy cała grupa szykowała się do opuszczenia holu. Val i Jennifer jednocześnie obróciły się w jego stronę. – Musimy porozmawiać – powiedział.

\* William Szekspir, *Hamlet, królewicz duński*, przeł. Józef Paszkowski, PIW, Warszawa 1970.

Brianne patrzyła na matkę i usiłowała sobie wyobrazić, jak wyglądałaby martwa. Może z nożem w sercu albo gardłem poderżniętym od ucha do ucha. Jak ci ludzie w Berkshires, pomyślała, natychmiast potem wymazała nieprzyjemną myśl. Tak, była na matkę wściekła. Tak, chciała, żeby matka znikła i dała jej spokój. Tak, czasem nawet chciała, żeby matka po prostu znikła z powierzchni ziemi. Ale czy naprawdę chciała jej śmierci?

Znów zerknęła w stronę matki, obserwując ją, pogrążoną w cichej rozmowie z jakimś dawnym szkolnym znajomym, na którego podobno wpadła w trakcie chodzenia po górach. Gary Jakiśtam. Czy to ich przypadkowe spotkanie rzeczywiście było tylko szczęśliwym zbiegiem okoliczności, czy też może od początku planowali, że się tu zobaczą?

Jaka matka, taka córka, pomyślała Brianne, zbierając włosy dłonią w luźny koński ogon u podstawy karku, a potem puszczając je i czując, jak rozsypują się wokół ramion niczym wachlarz. Nie, pomyślała. Już prędzej jaki ojciec, taka córka. To on był specjalistą od spraw pokrętnych i od ukrywanych w sekrecie spotkań. Matka za nic nie umiałaby utrzymać czegoś w tajemnicy. Ona po prostu nie miała w sobie dość przebiegłości, żeby coś podobnego zaplanować z góry. Była o wiele zbyt uczciwa. O wiele zbyt oczywista.

A poza tym nadal usychała z miłości do swojego niestałego w uczuciach męża. Było boleśnie widać, że ona nadal go kocha i że nadal hołubi nadzieję, że on zrozumie swój błąd i wróci do domu, więc co to za różnica, czy jej spotkanie z Garym Jakimśtam było zaplanowane, czy nie? Facet pewnie długo się przy niej nie będzie kręcił. Wystarczy, żeby jej ojciec skinął małym paluszkiem, a matka pobiegnie za nim w podskokach. Był jej ulubionym narkotykiem.

Co za katastrofa robi się z tego weekendu! Nic nie dzieje się tak, jak powinno.

Kiedy ojciec po raz pierwszy rzucił pomysł wyrwania się z miasta na weekendową wycieczkę, zaprotestowała. Nie zamierzała spędzać trzech dni i nocy w górach z tą idiotką, która rozbiła jej rodzinę. Nie miała zamiaru słodzić śliczniutkiej dziwce, która przysporzyła jej matce tyle bólu.

Tylko że Jennifer nie okazała się ani idiotką, ani dziwką. Była w gruncie rzeczy dość czadowa. Wcale nie jakaś apodyktyczna czy osądzająca. Wydawała się szczerze zainteresowana opiniami Brianne i w przeciwieństwie do matki, naprawdę słuchała tego, co ona miała do powiedzenia. Czasem Jennifer nawet prosiła ją o radę. Kiedy ostatni raz zdarzyło się to matce?



Przeciwnie, matka wycofywała się coraz bardziej. W ostatnich miesiącach była wyjątkowo niecierpliwa, wręcz lekceważąca. Może dlatego, że zbliżał się rozwód. Może dlatego, że kończyła czterdzieści lat. Może dlatego, że jej własna matka była beznadziejną pijaczką. Nieważne z jakiego powodu, ale łatwo z nią w ostatnich dniach nie było. Brianne wreszcie zaczęła myśleć o ucieczce spod czujnego oka matki z przyjemnością, a potem z entuzjazmem.

Tyler też ucieszył się z tej nowiny.

– Nie rozumiesz? – spytał, kiedy mu powiedziała o planowanym wyjeździe.  
– To idealna okazja.

Plan miał prosty: on pojedzie ich śladem do Shadow Creek, zatrzyma się w jakimś motelu albo będzie spał choćby i w samochodzie, jeśli będzie trzeba. Zorganizują niby przypadkowe spotkanie, a potem ona przekona ojca, żeby pozwolił Tylerowi dołączyć do ich wycieczki. Sądziła, że nie będzie z tym większego problemu. Przy całym swoim wyrafinowaniu Evan Rowe wyjątkowo łatwo poddawał się manipulacji.

Niestety, bywał również niesolidny.

Nie zdziwiła się więc ani nawet niespecjalnie rozzłościła, kiedy zadzwonił i powiedział, że się spóźni. Spodziewała się czegoś podobnego. Ostrzegła nawet Tylera, żeby szykował się na przynajmniej dwugodzinne opóźnienie, ale Tyler, jak zwykle pewien swego, i tak wyruszył o ustalonej porze.

– Najwyżej będę tam trochę wcześniej i rozejrzę się po okolicy – powiedział ze śmiechem.

A potem ojciec poinformował, że opóźnienie się wydłuży. A jeszcze potem matka zgodziła się robić za szofera...

A potem... I jeszcze potem...

Brianne spojrzała na matkę i poczuła smagnięcie jej dłoni na swoim policzku, jakby to się stało przed chwilą.

– Wszystko w porządku? – zapytała matka, pochwyciwszy jej spojrzenie.

Brianne odwróciła się od niej bez słowa.

Jak się okazało, ta ich kłótnia to było błogosławione w skutkach nieszczęście, bo dała jej uzasadniony pretekst, żeby unikać reszty grupy. Matka wybrała się na pieszą wycieczkę ze swoimi przyjaciółmi, chcąc nieco ochłonąć, i stosunkowo łatwo było przekonać Jennifer, żeby pozwoliła jej spotkać się z Tylerem na parę godzin.

Co się okazało potężnym błędem. Nijak nie powinna była dać się przekonać Tylerowi do kochania się na otwartej przestrzeni. Owszem, to było trochę podniecające, i nie, nie chciałyby się nikomu wydać pruderyjna, ale – tak w sumie – co jej odbiło? Gdzie się podział jej zdrowy rozsądek, jej wycucie sytuacji? Czy naprawdę aż tak jej zależało na zaimponowaniu jakiemuś chłopakowi, że dała mu się przekonać, choć własny instynkt ją przed tym ostrzegął?

Usłyszała ich, zanim jeszcze ich zobaczyła: dwóch wielkoludów w policyjnych – jak jej się w pierwszej chwili zdawało – mundurach, którzy podkradli się do nich, a potem kazali zaprzestać tego, co właśnie robią, ubrać się i iść z nimi.

„Czy zdajecie sobie sprawę, że to miejsce publiczne? Nie wiecie, że w okolicy przebywają dzieci? Rozumiecie, że to, co zrobiliście, jest wbrew prawu?”. A potem: „Proszę podać swoje nazwisko. Miejsce zamieszkania. Miejsce tymczasowego pobytu. Datę urodzenia”.

Dzięki Bogu, okazało się, że są parkowymi strażnikami, a nie prawdziwymi gliniarzami. Zamiast ich aresztować, zrobili im tylko niekończący się wykład w trakcie jazdy powrotnej do hotelu. Brianne miała nadzieję, że uda im się wejść tam po cichu, ale oczywiście, tak się stać nie mogło. Matka czekała na nich w holu, bo Jennifer zawiodła zaufanie Brianne i wygadała się o Tylerze.

Człowiek naprawdę w tych czasach nikomu nie może ufać, myślała Brianne, wspominając słowa kierownika hotelu: „Nie możemy sobie pozwolić na podobne sceny w naszym holu. Świadczymy usługi dla ekskluzywnej klienteli, która nie życzy sobie nieodpowiednich zachowań ze strony naszych innych gości. W zwykłych okolicznościach nigdy nie pozwolilibyśmy pięciu osobom przebywać w jednym apartamencie. I tak naszą intencją było zezwolić na taką sytuację wyłącznie na jedną noc. Bardzo mi przykro, ale obawiam się, że muszę państwa prosić o opuszczenie naszego hotelu w możliwie jak najkrótszym czasie”.

– Dość tego. Natychmiast wracamy do domu – oświadczyła gwałtownie jej matka.

– Ja jadę z Tylerem – powiedziała Brianne, doskonale wiedząc, że przeciąga strunę, ale spróbować zawsze warto.

– Nigdzie nie jedziesz z Tylerem. Tyler już stąd wyjeżdża – poinformowała ją matka tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Chyba że Tyler chce mieć postawiony zarzut uwiedzenia nieletniej.

– Co takiego? – Uśmiezek samozadowolenia z miejsca znikł z twarzy Tylera.

– Czy moja córka poinformowała cię, że ma zaledwie szesnaście lat?

– Co?! – powtórzył Tyler.

– Do widzenia, Tyler – dodała matka.

– Zadzwoń później – szepnęła do niego kątem ust Brianne, a on szybko wyszedł z hotelowego holu.

I to wtedy Gary zaproponował, żeby wszyscy przenocowali na kempingu, gdzie zatrzymał się z tym swoim durnowatym synalkiem.

– Popołudnie było pełne wrażeń – powiedział. – Moim zdaniem, nikt z was nie ma ochoty tkwić w samochodzie przez bite pięć godzin. Możecie wynająć parę namiotów, upieczemy sobie kiełbaski nad ogniskiem...

- Nie jem mięsa – wtrąciła się Brianne.
- To nie będziesz jadła – ucieła jej matka, błyskawicznie zgadzając się na propozycję Gary’ego.
- Ja chyba się wymiksuję – powiedziała Jennifer.
- Jak sobie chcesz – stwierdziła Val. – Powodzenia w szukaniu noclegu.
- Cholera – westchnęła Jennifer, dostrzegając własną porażkę.

I w ten sposób – znów wszyscy razem – znaleźli się na kempingu Starbright Campsites, w odległości zaledwie parunastu kilometrów krętą drogą za hotelem nad Shadow Creek, u brzegów jeziora George. Wynajęli tam ostatnie trzy, jak się okazało, namioty – dwa duże i jeden mniejszy. Brianne kategorycznie odmówiła dzielenia namiotu z matką albo z Jennifer, więc ostatecznie ustalono, że Melissa i Val będą spały w jednym, a James zajmie drugi duży z Brianne. Dla Jennifer został ostatni, najmniejszy namiot.

– Dlaczego ja nie mogę zająć tego namiotu? – dopytywała się Brianne, ale w gruncie rzeczy nie zdziwiła się, że nikt nie raczył odpowiedzieć.

Właśnie tak to wygląda, kiedy człowiek się starzeje, pomyślała Brianne. Traci nie tylko urodę, ale i poczucie humoru. Lepiej umrzeć młodo.

Tylko co miała zrobić teraz?

Brianne powędrowała spojrzeniem przez teren kempingu do miejsca, gdzie dziewczyna jej ojca siedziała samotnie i udawała, że pograżyła się w lekturze książki. Tyle że światło latarki padało na ziemię zamiast na jej stronicę, a księżyc, chociaż w pełni, był prawie zupełnie zasłonięty drzewami i na pewno nie dawał dość światła do czytania. Mimo tych wszystkich gwiazd mrok jest taki trochę straszny, pomyślała Brianne i zadygotała. Przyciągnęła kolana pod brodę i objęła je mocno rękoma, wyobrażając sobie, że to objęcia Tylera.

Jak ona tu, do diabła, trafiła? I siedzi teraz na twardej, zimnej ziemi, przed wielkim ogniskiem, otoczona wszelkich rozmiarów i kształtów namiotami z żaglowego płótna, w towarzystwie ekologicznie nawiedzonych obcych ludzi, których miała nadzieję nie zobaczyć już nigdy, póki żyje? Jak do tego doszło?

Brianne wiedziała, że on nadal jest w okolicy, pewnie gdzieś niedaleko, i czeka, aż ona się z nim skontaktuje. Musiała tylko dorwać się do jakiegoś telefonu. Nie takie to łatwe, jak się wydaje, pomyślała, wiedząc, że mimo pozornego zainteresowania tym całym Garym, matka obserwuje ją czujnie niczym jastrząb.

Wiedziała, że matka się na nią gniewa. Wiedziała też, że ma poczucie winy za to, że ją wcześniej spoliczkowała, i że być może obwinia samą siebie za późniejsze zachowanie córki. Brianne wyobrażała sobie, że matka myśli tak: „Gdybym jej nie uderzyła, to może ona nie rzuciłaby się w ramiona tego chłopaka”. Niemal słyszała, jak matka sobie wmawia, że to wszystko jej wina.

Czemu by nie wykorzystać tego poczucia winy? Dlaczego nie pozwolić

matce wziąć tego na siebie?

Brianne powoli wstała. Zachwiała się mocno, usiłując zachować równowagę na wyboistym gruncie w butach na siedmiocentymetrowym obcasie. Sama wiedziała, że to mało stosowne obuwie na kemping, ale Tyler lubił ją na obcasach, a sama też nie miała ochoty dawać matce satysfakcji z tego, że ją zmusiła do zmiany obuwia na sensowniejsze.

– Mnie w nich wygodnie – uparła się, kiedy matka sugerowała, że może jednak lepiej byłoby włożyć adidas. Zignorowała też uwagę matki, że powinna zmienić swoje białe szorty na dżinsy, i w efekcie było jej teraz i niewygodnie, i zimno.

– Czy mogę z tobą porozmawiać? – odezwała się do matki.

Val natychmiast podniosła się na nogi i zostawiła Gary’ego, odchodząc z Brianne kawałek dalej, żeby miały odrobinę prywatności.

– Chcę przeprosić – zaczęła Brianne.

– Dobrze. – Matka zaplotła ręce na piersi. – Słucham.

Nie takiej reakcji Brianne oczekiwała. Była pewna, że matka z miejsca jej przerwie i sama zacznie przeproszać: „Nie, kochanie, to ja jestem ci winna przeprosiny”.

– Jest mi przykro za to, co zaszło z Tylerem.

– I powinno ci być przykro.

Że co?

– Byłam po prostu strasznie przygnębiona tym, co się stało dziś rano – ciągnęła Brianne. – Nigdy jeszcze mnie nie uderzyłaś.

Cisza.

Ależ nie krępuj się, możesz mi w każdej chwili przerwać, pomyślała Brianne.

– Nie żałujesz, że mnie uderzyłaś? – spytała, bo matka najwyraźniej nie zamierzała jej przerywać.

– Szczerze mówiąc, nie jestem pewna – odparła matka.

Co takiego?

– Było mi przykro. Ale teraz...

– Teraz co?

– Teraz, szczerze mówiąc, sama nie wiem.

– Ale z Tylerem do niczego takiego by nie doszło, gdybyś mnie wcześniej nie uderzyła.

Długa cisza.

– Rozumiem – powiedziała matka.

No nareszcie, pomyślała Brianne i kontynuowała:

– Zresztą w sumie do niczego takiego nie doszło. Znaczący, między mną a Tylerem – skłamała. – Nic się nie stało.

– Nic się nie stało – powtórzyła matka.  
Brienne obdarzyła ją swoim najbardziej czarującym uśmiechem.

– Wiem, że tym parkowym strażnikom wydawało się, że coś widzieli...  
– Zostałaś znaleziona praktycznie nago – przypomniała jej matka zimnym głosem.

– Tak, ale to nie jest tak, jak myślisz.  
– Rozumiem – znów powiedziała matka, chociaż Brienne coraz bardziej wątpiła, czy ona faktycznie rozumie.

– W każdym razie przykro mi, że źle rozumiałaś...  
– Źle rozumiałam?  
– Tyler to naprawdę miły chłopak, mamo. Mogłabyś go polubić.  
– Śmiem wątpić. Poza tym to mężczyzna, Brienne – poprawiła matka. – Nie chłopak.

– Ma tylko parę lat więcej niż ja. To nic takiego. Tata też jest od ciebie starszy.  
– Ale nie zaczęłam się z nim spotykać w wieku szesnastu lat. Poza tym nie mówimy o mnie i twoim ojcu.  
– No fakt – zgodziła się szybko Brienne. Co tej matce znów odbiło? Dlaczego tak jej to utrudnia? – W każdym razie chciałam po prostu powiedzieć, że mi przykro.

– Okej.  
Brienne znów odczekała, czy matka wystąpi z własnymi przeprosinami. I znów się nie doczekała.

– Chcesz coś jeszcze? – spytała matka.  
– Czy możesz mi oddać mojego blackberry’ego?  
Matka uniosła wzrok w stronę rozgwieżdżonego nieba.

– Nie ma mowy.  
– Chcę tylko sprawdzić, czy u Tylera wszystko w porządku.  
– A więc te całe przeprosiny to tylko podstęp, żeby odzyskać komórkę – stwierdziła matka.

– Nie, no skąd.  
Ale matka już zawracała w stronę środka obozowiska.

– Ja nie skończyłam! – zawołała Brienne.  
– O, wręcz przeciwnie, skończyłaś.  
– Musimy o tym porozmawiać.  
– Nie przejmuj się. Będzie mnóstwo czasu po powrocie do miasta.

Cholera, pomyślała Brienne, podchwytyjąc spojrzenie obserwującej je z oddalenia Jennifer. Brienne zrobiła krok w jej stronę.

Ani mi się waży, ostrzegła ją mina Jennifer i Brienne zatrzymała się jak wryta. Zawracając, zaczepiła obcasem o niewielką wypukłość ziemi i przewróciła

się.

– Au! – stęknęła głośno i obejrzała się, czy matka zauważyła, co się stało.

Miałaby za swoje, gdybym złamała nogę w kostce, pomyślała, doskonale wiedząc, że tylko lekko ją sobie skręciła. Parę chwil posiedziała, kołysząc się przesadnie w przód i w tył, obejmując kostkę dłońmi. Czekwała, aż matka wróci do niej biegiem, chwyci ją w objęcia i zacznie pocieszać, powtarzając, że wszystko będzie dobrze. Ale matka nie nadbiegła.

– Szlag by to – mruknęła Brianne, puściła stopę i zaczęła rozcierać gołe ramiona.

– Nic ci nie jest? – usłyszała czyjś głos za plecami.

Brianne obejrzała się.

– Nie – odpowiedziała chłopakowi, który przysiadł na ziemi obok niej.

– Hayden – przypomniał jej. – Poznaliśmy się wcześniej.

– Wiem, jak się nazywasz.

– Boli cię?

– Nie bardzo.

– To raczej kiepskie buty na kemping.

– Co ty powiesz?

– Pomóc ci wstać?

– A kto powiedział, że chcę wstawać?

– Aha. No dobra. Przepraszam, że ci przeszkodziłem. – Wstał i wyprostował się.

– Nie, czekaj. Przepraszam. Byłeś po prostu miły, a ja zachowuję się jak suka.

Hayden natychmiast znów obok niej przykucnął, kucyk opadł mu na lewe ramię.

– Gdzie się podziali twoi kumple? – spytała.

– Postanowili pojechać do Bolton Landing.

– Dlaczego nie pojechałeś z nimi?

– Pomyślałem, że pójdę wcześniej spać. Tata i ja planujemy iść jutro na Mount Marcy, to poważny szlak.

Boże, naprawdę idiota z niego, pomyślała Brianne. Wysoki, nawet przystojny. Ale i tak idiota.

A może idiota z telefonem komórkowym?

– Ty naprawdę lubisz takie rzeczy? – spytała.

– Uwielbiam. Te góry, jezioro, to czyste powietrze. – Wziął głęboki oddech, jakby dla podkreślenia swoich słów. – Jak tego nie lubić?

– Och, sama nie wiem. Może dlatego, że to tylko góry, jezioro i świeże powietrze?

Roześmiał się.

- Chyba nie mam w sobie turystycznej żyłki – dodała Brianne.
- Domyśliłem się po butach.
- Nie podobają ci się moje buty? – Znowu posłużyła się jednym ze swoich najładniejszych uśmiechów, w nadziei że na niego podziała skuteczniej niż na jej matkę.
- Nie, buty są super. – Wbił wzrok w ziemię, najwyraźniej usiłując ukryć zażenowanie.
- Ach, to wręcz za łatwe, pomyślała.
- To co, chciałbyś pokazać mi jezioro?
- Szybko na nią zerknął.
- Jasne. To tylko kawałek w tamtą stronę. – Wskazał kierunek prawą ręką, a lewą pomógł jej podnieść się na nogi.
- Nie masz czasem przy sobie komórki? – spytała, kiedy już nikt nie mógł usłyszeć ich rozmowy.
- Mam – odparł. – A co?
- Gdybyśmy się zgubili.
- Nie martw się. Jesteś ze mną bezpieczna.
- Brianne obejrzała się na matkę, która rozmawiała z Garym i nie zauważyła, że odchodzą. Uśmiechnęła się i sięgnęła po dłoń Haydena.
- Nie martwię się – powiedziała.

– No to opowiedz mi szczegółowo o swoim rozwodzie – powiedziała Val.

Gary się roześmiał.

– Poważnie mówię. Chcę poznać wszystkie paskudne szczegóły.

A co mi tam, pomyślała Val. On mieszka w Connecticut. Pewnie nigdy więcej go nie zobaczę. Co mi szkodzi uprzyjemnić sobie trochę ten wieczór.

– Sam mówiłeś, że był paskudny.

– No bo był.

– Dlaczego? I proszę, nie mów mi, że to nie moja sprawa. Tyle to i tak wiem.

Gary znów roześmiał się tym serdecznym śmiechem, który głośno rozbrzmiewał w cichym nocnym powietrzu.

– A więc ta pani życzy sobie posłuchać o wszystkich brzydkich szczegółach.

Val pokiwała głową, dostrzegła odrobinę rumieńca na ogorzałych policzkach Gary'ego. Choć może to tylko odbłask z ogniska, pomyślała z nadzieją, że płomienie i jej cerze dodają podobnie korzystnej różowości.

– Zakładam, że w grę wchodzi jakaś strona trzecia.

– Przynajmniej trzy, o których wiem – odparł Gary.

– Twoja żona miewała romanse?

– Jesteś zdziwiona?

– Tylko że zwykle...

– ...niewierny bywa mąż. – Gary zerknął w stronę Jennifer. – Czy tak wygląda twoje doświadczenie?

– Ale mówimy teraz o tobie, zapomniałeś?

– A, no tak. Zaraz, przy czym ja byłem?

– Przy romansach swojej żony.

– Pierwszy miała ze swoim osobistym trenerem. Drugi z pewnym niepracującym tatą, który mieszkał przy naszej ulicy.

– Nigdy nic nie podejrzewałeś?

– Zupełnie nic. A ty?

– Nigdy nie podejrzewałam – powiedziała Val. Bo wiedziałam, dodała w myślach.

– Mnie się nawet wydawało, że jesteśmy ogromnie szczęśliwi. Nigdy się nie kłóciliśmy. Właściwie to nawet nie zdarzały nam się różnice zdań. Pożycie seksualne układało się fajnie, życie towarzyskie mieliśmy bogate. Zbyt bogate, jak się okazało. Przynajmniej z jej strony.

– Przykro mi.



– Prawda wygląda tak, że nigdy bym się nie dowiedział o zdradach mojej żony, gdyby nie wygadała się jej siostra.

– Siostra twojej żony ci powiedziała?

– Była mocno zła.

– Ale na co?

– Bo trzeci romans moja żona nawiązała z mężem swojej siostry.

– Poważnie?

– Moim zdaniem to tutaj zaczyna się ta brzydka część – powiedział Gary.

Val pomyślała o własnej siostrze Allison, trzy lata od niej młodszej. Nigdy nie były sobie jakoś szczególnie bliskie, ale na miłość boską, siostra to jednak siostra. Pewnych granic się nie przekracza. Nawet Evan wzdragałby się przed nawiązaniem romansu z jej siostrą. Prawda?

– Czy żona powiedziała ci kiedykolwiek, dlaczego upatrzyła sobie akurat męża siostry?

– Bo był pod ręką? – odparł Gary pytaniem.

– To mocno wrogi gest. Jej siostra musiała być zdruzgotana.

– Istotnie.

– Nadal jest w tym małżeństwie?

– Nie. Wszystko się posypało.

– A twoja była żona widuje się z kimś teraz?

– Syn mówi mi, że aktualnie zadaje się z jednym z moich dawnych partnerów w firmie.

Val przetrawiła ten ostatni skrawek informacji. Najwyraźniej była pani Parker lubiła nawiązywać romanse jak najbliżej domu. Val zastanawiała się, czy ona przyprowadzała ich wszystkich do domu, wzorem Evana.

– A jak ty się z tym wszystkim czujesz?

– Częściowo jest mi żal tego biednego durnia. A częściowo uważam, że ma, na co zasłużył. Nigdy gościa nie lubiłem.

– A co o tym wszystkim sądzi Hayden? – Val rozejrzała się wokół ogniska za synem Gary’ego, ale go nie dostrzegła.

– Rozwód mocno nim wstrząsnął. Nie spodziewał się go. – Gary wzruszył ramionami. – No ale ja się też przecież nie spodziewałem.

– Czy on wie...?

– O matce i własnym wuju? Nie wydaje mi się. Przynajmniej ja mu o tym nie mówiłem. Ale dzieci mają swoje sposoby i umieją wywęszyć wszystko, co chce się przed nimi ukryć.

Val pokiwała głową.

– Wydaje się dość zrównoważony – powiedziała.

– Możliwe. Z Haydenem to tak trochę trudno stwierdzić. Jest spokojny, woli różne rzeczy w sobie dusić. Wciąż czekam na jakiś jego wybuch.

Znów zapadło milczenie, jakby Gary czekał jeszcze na wybuch jakiegoś innego rodzaju. Ognisko zdobyło się jednak na ledwie parę rozprysków iskier, nieco przypominających wystrzał z karabinu maszynowego.

– Co my wszyscy robimy naszym dzieciom? – odezwała się Val.

– Nic gorszego niż nasi rodzice nam – odparł Gary rzeczowo. – A jakoś udało nam się przetrwać.

– Naprawdę?

I znowu milczenie. Znów trzaski, znów iskry i strzelanie płonącego, słodko pachnącego drewna. Val zauważyła, że James i Melissa dołączyli do niewielkiej grupki obozowiczów, którzy podpiekali pianki przy ognisku, a James ich wszystkich poprowadził chórem w zadziwiająco melodyjnej interpretacji *Moich ulubionych rzeczy*. Wyteńczyła wzrok, chcąc dostrzec, czy jest wśród nich Brienne.

– I kiedy to wszystko się wydarzyło? – spytała Val, uznawszy, że jej córka prędzej da się zabić, niż weźmie udział w takim wspólnym śpiewaniu wokół ogniska. Przeleciał ją nagle zimny dreszcz i mocniej objęła ramionami kolana.

– Mniej więcej cztery lata temu. Czasem mam wrażenie, że to było wczoraj. Albo znów wydaje mi się, że w innym życiu. Czyimś innym życiu. Drżysz. Zimno ci?

– Trochę.

– Możemy przysunąć się bliżej ognia.

– Nie, jest dobrze. Nikogo innego nie poznałeś?

– Prawdę mówiąc, właśnie poznałem pewną uroczą kobietę.

– Aha.

– Tak właściwie to znałem ją już wcześniej.

– Och?

– Okazuje się, że chodziliśmy razem do liceum.

Val się uśmiechnęła.

– Naprawdę?

– Owszem. Taka z niej była kiedyś zadziorna dziewczyna. Zawsze się w niej trochę podkochiwałem.

– Naprawdę? – powtórzyła Val.

– No, nie – przyznał Gary. – Ale to tylko dlatego, że byłem takim wielkim, głupim kołkiem. Co ja wtedy wiedziałem?

Val parsknęła śmiechem.

– Ale chyba teraz się w niej podkochuję – powiedział Gary.

Val zaśmiała się. I wtedy on się nagle pochylił i ją pocałował. A ona w tej samej chwili też się pochyliła i mocno ten pocałunek oddała. I zrobiło się bardzo przyjemnie. Cholera, zrobiło się fantastycznie. Niemal zapomniała, jak miło jest całować się z mężczyzną.

To jakieś szaleństwo. Co ja wyrabiam? – pomyślała w następnej chwili,

rozpaczliwie usiłując wyprzeć takie myśli, nie myśleć o niczym, istnieć tylko w tej jednej, bieżącej chwili. Ale nie mogła. Co, jeśli Jennifer na to patrzy? Albo, co gorsza, Brianne? Czy nie zgromiła jej niedawno za uprawianie seksu publicznie? Jaki przykład jej teraz dawała? Nagle przekręciła głowę w bok, rozejrzała się za córką. W efekcie usta Gary'ego przesunęły się po jej policzku i zanurzyły we włosach na skroni.

Roześmiał się, a jego oddech połaskotał ją w szyję.

– To było ciekawe.

– Przepraszam.

– Coś nie tak?

– To chyba nie jest dobry pomysł.

– Okej – powiedział i odsunął się od niej.

– No bo ja po prostu...

– Nie musisz mi nic wyjaśniać.

– To nie tak, że to było niemiłe i mi się nie podobało. Było miłe... I podobało mi się... Bardzo...

– W takim razie może kiedyś jeszcze to powtórzymy.

– Kiedy? – To słowo wymknęło się z ust Val, zaskakując ich oboje.

– Może później? – zaproponował, a oczy mu lśniły. – Jak wszyscy zasną.

Val skinęła głową.

– Może się uda.

Co ona wygaduje? Czy naprawdę planowała nocną schadzke z facetem, którego prawie nie zna, pomijając ich znajomość sprzed lat?

Wzięła głęboki oddech, rozejrzała się po skrajach obozowiska. Melissa i James nadal śpiewali, Jennifer ciągle udawała, że czyta książkę, Brianne nadal nigdzie nie było widać.

– Nie widzę nigdzie mojej córki. A ty?

Gary wyciągnął szyję i rozejrzał się po obozowiczach.

– Może poszła do namiotu.

– Powinnam sprawdzić.

Gary natychmiast poderwał się na nogi i wyciągnął w stronę Val pomocną dłoń. Poszli szybkim krokiem w stronę skupiska namiotów.

– Brianne?! – zawołała Val, zbliżając się do skraju namiotowiska. Pochyliła się, żeby zajrzeć do pierwszego z trzech namiotów, które wcześniej dla siebie zajęli. Przeczynała, że Brianne tam nie będzie.

Jej córki nie było także w drugim ani w trzecim ze sprawdzonych namiotów.

– Gdzie ona, u diabła, jest? – Val stanęła na palcach i rozglądała się w mroku.

– Może jest z moim synem.

– Skąd taka myśl?

– Tylko przeczucie. Zauważyłem, jak wcześniej rozmawiali, a żadnego z nich nie widziałem już później.

– Naprawdę sądzisz, że mogą być razem?

– To niewykluczone.

Ale co Brianne robiłaby z Haydenem? – zastanawiała się Val.

– Czy Hayden ma komórkę? – spytała i sprawa nagle stała się jasna.

– Oczywiście.

– Ja ją zabiję – powiedziała Val.

Gary zaśmiał się.

– Jak się pewnie orientujesz, zasięg w tych górach jest w najlepszym razie przypadkowy. Możliwe, że z nikim nie uda jej się połączyć. I nie musisz się martwić Haydenem. To dobry dzieciak. Dopilnuje, żeby nie narobiła sobie kłopotów.

Val uznała, że Gary ma pewnie rację. Nawet jeśli Tyler faktycznie kręci się jeszcze po okolicy, dziś wieczorem nie ma żadnych szans na skontaktowanie się z jej córką. Nie było powodu zamartwiać się o nią ani pozwolić jej zepsuć tego, co zapowiadało się na szalenie interesujący wieczór.

– Ale i tak ją zabiję.

Patrzyła, jak wargi Gary’ego układają się w uwodzicielski uśmiech, kusząc ją niewypowiedzianymi możliwościami. Była tą chwilą, pomyślała Val ze smutkiem, wspominając słowa ulubionej piosenki, a teraz ta chwila minęła.

Ale chwila jeszcze nie minęła. Chwila stała dokładnie na wprost niej.

Nieustraszona. Tak ją określił Gary.

Niemniej brak strachu to nie to samo co posiadanie rzeczywistej odwagi. Zresztą, prawdę mówiąc, wcale nie jest nieustraszona. Nigdy taka nie była. Przez całe życie ciągle się czegoś bała: obawiała się, że nie jest warta miłości, bo porzucili ją wszyscy najbliżsi, najpierw ojciec, potem matka, potem siostra. Evan był ostatni w tej długiej kolejce.

Zastanawiała się, kiedy zaczęła siebie samą traktować wyłącznie jako dodatek do innych – córkę swojej matki, matkę Brianne, żonę Evana. Kiedy zaczęła – aż zbyt gorliwie, jak teraz jej się zdawało – rezygnować ze swojej niegdyś znacznej autonomii? Tam, gdzie kiedyś istniało kwitnące sedno jej istoty, teraz pojawił się rodzaj dzikiej puszczy, pozarastanego i mylącego krajobrazu, przez który brnęła na ślepo od lat. Gdzieś w środku tej dziczy tkwiła zagubiona dziewczynka, dziewczynka, którą ona sama tam porzuciła.

I chociaż romanse męża są przynajmniej częściowo odpowiedzialne za tę powolną, lecz stałą erozję jej dumy i poczucia własnej wartości, to nie mogła całej winy zrzucić na Evana. Nie mogła też za wszystko obwiniać ojca, który odszedł, ani matki, która zaczęła pić. Na litość boską, ma czterdzieści lat! Czy to czasem nie pora dorosnąć i wziąć odpowiedzialność za własne czyny? Ile czasu zamierzała

jeszcze zmarnować?

Val spojrzała Gary'emu głęboko w oczy, wiedząc, że jutro ich drogi na pewno się rozejdą – ona wróci na Brooklyn, on do Connecticut. A chociaż odległość między tymi dwoma miejscami nie jest nie do pokonania, to i tak jest spora. Och, on na pewno obieca, że będzie się odzywał, ale po paru e-mailach kontakt się urwie. Wkrótce będzie stanowiła tylko osobliwy dodatek do jego szkolnych wspomnień. „Nigdy nie zgadniesz, na kogo wpadłem parę tygodni temu. Pamiętasz Valerie Marcus? Tę małą zadziórę? Nie umiałyby popłynąć poprawnym motylem, nawet gdyby od tego zależało jej życie, ale całuje się całkiem nieźle”.

Jak tak, to mogę mu chyba dostarczyć ciekawszych wspomnień, pomyślała teraz Val, przysuwając się bliżej. No dobrze, Evanem nie był. Ale w tej chwili miał jedną zdecydowaną przewagę nad jej wiarołomnym mężem – był pod ręką.

Tym razem to ona zainicjowała pocałunek.

– Chodź – szepnęła zaraz potem, wysuwając się z jego ramion i pociągając go w stronę swojego namiotu.

Zawahał się.

– Teraz?

– A czemu nie teraz?

Na jego twarz stopniowo wypłynął uśmiech.

– Tak samo nieustraszone jak zawsze – powiedział i z podziwem pokręcił głową.

– Tak samo jak zawsze – zgodziła się z nim.

– Val! Val! Chodź tutaj! – wołał James, kiedy wrócili z Garym do centrum obozowiska jakieś pół godziny później. Zamaszyście machając chudymi ramionami, zapraszał ich bliżej ogniska. – Chodźcie i siadajcie. Zaraz zaśpiewamy *Everything's Coming Up Roses*.

– Jest w swoim żywiole – powiedziała Melissa.

– Kto mógł wiedzieć, że biwaki pod namiotem to taka frajda? – spytał retorycznie James.

– Czy ktoś z was widział Brianne?

Val z niepokojem odkryła, że córka nadal nie wróciła, i zaczynała po fakcie żałować swojej schadzki z Garym. Może to jednak nie był najmądrzejszy pomysł, myślała, ale potem stwierdziła, że jednak wręcz odwrotnie. Kochanie się z Garym to był jej najlepszy pomysł od lat.

Melissa pokręciła głową, a James zmrużył powieki, zerkając przez mrok w stronę Jennifer.

– Może ona wie, gdzie jest mała.

Val podeszła szybko do narzeczonej męża.

– Widziałaś Brianne? – spytała, gdy młoda kobieta niechętnie podniosła wzrok znad książki, ostentacyjnie zaznaczając palcem miejsce, w którym

przerwano jej lekturę.

– Ostatni raz widziałam ją z tym chłopakiem... Chyba twoim synem. – Jennifer spojrzała na Gary’ego i skinęła głową, wyraźnie zaintrygowana.

Val zastanowiła się, czy ona coś podejrzewa. Czy widziała ich wcześniejszy pocałunek, a może patrzyła, jak razem odchodzą, i liczyła minuty, dopóki się znów nie pokazali? Czy planowała opowiedzieć Evanowi o swoich podejrzeniach? Jak on zareaguje? Czy będzie zazdrosny? Czy to dlatego Val rzuciła się w ramiona faceta, którego nie widziała, odkąd była nastolatką?

A może jej motyw były jeszcze żałośniejsze? Czyżby oddała się Gary’emu po prostu dlatego, że był dla niej miły? Bo odpowiadało jej, w jaki sposób na nią patrzył? Bo wyraźnie mu się podobała? Zatem to wystarczy?

– A widziałas, dokąd poszli? – spytała, ignorując ten grad własnych wątpliwości.

– Nie, ale nie mogła odejść nigdzie daleko. Nie martwiłabym się.

– Nigdy się nie martwisz.

– Moim zdaniem Val po prostu lepiej by się czuła, wiedząc, gdzie jest jej córka – powiedział Gary, jakby wyczuwał nadchodzące kłopoty.

– Moim zdaniem powinna dać sobie spokój. – Jennifer wróciła do swojej książki.

Val zawróciła w miejscu i pomaszerowała w stronę ogniska.

– Przepraszam – powiedziała do Gary’ego, który próbował za nią nadążyć. – Mogłam albo natychmiast odejść, albo ją udusić.

– Moim zdaniem wykazałaś się imponującym opanowaniem. Jeśli cię to pocieszy, ja udusiłbym ją już w hotelu.

– Jesteś naprawdę słodki.

Gary roześmiał się.

Val obejrzała się w stronę Jennifer.

– Ona jest bardzo piękna. Nie sądzisz?

Wzruszył ramionami.

– Moim zdaniem ty jesteś ładniejsza.

Teraz to Val się zaśmiała.

– Ty tylko uważasz, że jestem łatwa.

– Moim zdaniem jesteś cudowna.

Val uśmiechnęła się, rozumiejąc, że to wypytywanie Gary’ego opiera się na błędnym założeniu. On mnie uważa za kogoś, kim wcale nie jestem. Myśli, że jestem nieustraszona, gdy tymczasem jestem śmiertelnie wystraszona. Chociaż może nie aż tak bardzo wystraszona jak pół godziny temu.

– Val... Gary! – zawołał James, a jego słowa odbiły się echem w mroku. Poklepał ziemię obok siebie. – Chodźcie no tu. Postanowiliśmy opowiadać niesamowite historie. Ja zaczynam.

- Stworzyłaś potwora – odezwała się Melissa do nadchodzącej Val.
- Pójdę i zobaczę, może znajdę Haydena – zaproponował Gary.
- Pójdę z tobą.
- Nie, lepiej zostań tutaj, posiedź z przyjaciółmi. Ja się tym zajmę.

Val pokiwała z wdzięcznością głową.

- Co się dzieje? – spytała Melissa, gdy Val obok niej przykucnęła.
- Sądzimy, że Brianne może być gdzieś z jego synem...
- Nie mówię o Brianne. Mówię o tobie i tym błysku w twoim oku.

Val zaprotestowała:

- Nie wygłupiaj się. Nic mi nie błyska.
- Widzę wyraźny błysk.
- Zwariowałaś.

– Val i Gary, narzeczonych para – zanucił James pod nosem. – Całowali się...

– Widzieliście to?

– Chyba wszyscy widzieli – potwierdziła Melissa.

– Włącznie z Jennifer?

– Zdecydowanie włącznie z Jennifer.

– Myślałem, że oczy jej wyjdą z orbit – stwierdził James.

– Cholera.

– No a potem, rzecz jasna, zniknęliście oboje – dodał. – Na... ile to było dokładnie?

– Trzydzieści trzy minuty – powiedziała Melissa.

– Liczyliście?

– No jasne, że liczyliśmy. Od czego są przyjaciele?

– Uwierzylibyście mi, gdybym wam powiedziała, że po prostu szukaliśmy Brianne? – spytała Val.

– Oczywiście, że tak.

– Jasne – powiedział James. A po chwili milczenia zapytał: – No to jak poszło? Znaczą poszukiwanie?

Val uśmiechnęła się. Na trzydzieści trzy minuty naprawdę udało jej się zapomnieć o Brianne, zapomnieć o Jennifer, zapomnieć o matce, zapomnieć o Evanie.

– Było super – odparła, nie umiając już ani chwili dłużej ukryć swojej radości. – Najlepsze. Poszukiwanie. Wszech czasów.

Melissa westchnęła z zadowoleniem.

– Amen, proszę pani. Najwyższa pora.

– Amen – zawtórował James, z uznaniem ściskając kolano Val.

– Amen – powtórzyła Val.

Odkryła, że podoba jej się brzmienie tego słowa. Pozwoliła Melissie objąć

się ramieniem, a James wziął głęboki oddech i zaczął snuć swoją opowieść.

– Nosi tytuł „Hak” – oświadczył widowni, składającej się w większości z twarzy w średnim wieku, bo młodszy mieszkańcy kempingu zrejterowali jeszcze w trakcie mieszanki piosenek z *Dźwięków muzyki*.

– O Boże – jęknęła Melissa. – Tylko nie ten stary gniot. Nie słyszałam jej, odkąd skończyłam dziesięć lat.

James zaczerpnął powietrza i ciągnął niezrażony, zniżając głos do konspiracyjnego szeptu:

– Przez cały dzień w wiadomościach było pełno doniesień o jakimś szaleńcu, który uciekł z pobliskiego domu wariatów. Nazywali go Człowiekiem-Hakiem, bo w jakimś dziwnym wypadku stracił jedną rękę i zastąpiono mu ją hakiem, którym teraz posługiwał się, żeby zabijać i ćwiartować niewinnych mężczyzn, kobiety i dzieci. – James rozejrzał się po ludziach przy ognisku błyszczącymi oczami. – No i była też taka dziewczyna. Nazwijmy ją Sjena.

– Sjena? – spytały Val i Melissa jednocześnie.

– Dostosowuję do naszych czasów – wyjaśnił James. – Tak czy inaczej, Sjena miała szesnaście lat i w ogóle nie przejmowała się Człowiekiem-Hakiem ani ludźmi, których zamordował. Interesowało ją wyłącznie, w co się ubierze na wieczorną randkę z Bryce'em, kapitanem drużyny futbolowej.

– Bryce'em?

James przewrócił oczyma.

– No, w każdym razie wreszcie wybrała mocno wyciętą bluzeczkę od Tory'ego Burcha, wytarte džinsy rurki od Dolce & Gabbany i fantastyczne buty od Manolo Blahnika, we wzór lamparcich cętek, na dwunastocentymetrowym obcasie.

– Dobrze powiedziane – dodała Melissa.

James uśmiechnął się i z bardzo zadowoloną miną ciągnął opowiadanie:

– Bryce przyjechał po Sjenę srebrnym porsche. Pojechali w ustronną Aleję Kochanków, gdzie zaparkował i zaczęli się całować. Nagle usłyszeli jakieś skrobanie do drzwi samochodu. „Co to?” – spytała Sjena, wysuwając się z objęć Bryce'a i rozglądając wokół siebie. „Nic nie słyszałem – zaprotestował Bryce. – Coś ci się tylko wydawało”. Piosenka w radiu nagle się urwała i usłyszeli komunikat, że Człowiek-Hak może być w tej okolicy. „Zabierz mnie natychmiast do domu”, zażądała Sjena, a tymczasem samochód zaczął się nieprzyjemnie kołysać na boki, zupełnie jakby ktoś próbował go przewrócić. Bryce natychmiast wrzucił bieg i wyjechał z Alei Kochanków z piskiem opon. Kiedy znaleźli się pod domem Sjeny, dziewczyna wyskoczyła z samochodu. A potem stanęła jak wryta i zaczęła krzyczeć. „Co się dzieje?” – spytał Bryce, szybko wysiadając i podchodząc do niej. I wtedy to zobaczył. Z klamki drzwi po stronie pasażera zwisał okrwawiony hak! – James usiadł prosto i napawał się oklaskami, które otrzymał za swoje opowiadanie.



Val przeszedł dreszcz, który wcale nie został wywołany tą historyjką, w najlepszym razie niemądrą, a w najgorszym bezsensowną. Opowiadanie Jamesa po prostu w przykry sposób przypomniało jej o niedawnych morderstwach w Berkshires. Rozejrzała się po obozowisku, szukając jakiegoś śladu Brianne. Przecież nie ma powodu do obaw, znów uspokajała samą siebie. Nie trzeba się od razu bać. W tych gęstych zaroślach nie czai się żaden potwór, pragnący posiekać jej córkę na kawałki. Poza tym w razie konfrontacji Człowieka-Haka i Brianne, bez wahania postawiłaby kasę na własną córkę.

Człowiek-Hak nie miałby szans.

– A tak w ogóle, to jak daleko jest do tego głupiego jeziora? – spytała Haydena Brianne, nawet nie usiłując ukryć zniecierpliwienia.

Krażyli w kółko, jak jej się wydawało, chyba już parę godzin, komary żarły ją żywcem, a jej niegdyś śliczne sandały na wysokich obcasach od Jimmy’ego Choo, dorwane w H&M po odstaniu paru godzin w długiej kolejce wśród setek podobnych do niej młodych kobiet, rozpychających się, żeby wdrzeć się za drzwi jako pierwsze, kiedy sklep zostanie otwarty, a nowa linia butów od znanego projektanta, dostępnych w rozsądnej cenie, stanie się osiągalna – otóż, te buty w tym nierównym terenie zaczynały żegnać się z życiem, bo ich niedawno jeszcze miękką skórę porysowały niesforne gałązki, a cienkie, siedmiocentymetrowe obcasy oblepiły brzydkie, tłuste grudy błota. Nie wspominając o tym, że już dwa razy potknęła się i uraziła sobie prawą kostkę, która zaczynała ją teraz wyraźnie pobolewać. Powinna była włożyć adidas, tak jak sugerowała matka. I dzinsy, i bluzę. Te białe szorty i koszulka bez rękawów, które miała na sobie, były w porządku, dopóki nie zaszło słońce, ale temperatura spadła o dobre pięć stopni tylko przez ostatnią godzinę. Trzeba było posłuchać matki.

Tylko że wtedy matka by wygrała.

Ale co by wygrała? – zastanowiła się teraz Brianne, machnięciem dłoni odganiając komara od lewego ucha i uchylając się, żeby nie oberwać po twarzy jakąś gałęzią.

Przystanąła, by pomasować bolącą kostkę, a Hayden znikł za zakrętem ścieżki. Cholera, to wszystko przez matkę.

– Super – rzuciła, wypatrując go w mroku, ale nic nie zobaczyła. No i gdzie on się podział? Ciągłe powtarzał, że jezioro jest już za następnym drzewem, i ciągle go tam nie było. Dokąd on ją włókł?

Wszystko się chrzani, pomyślała Brianne, walcząc ze łzami. Miała spędzać ten czas z Tylerem, a zamiast tego utknęła na jakimś zadupiu, marnując połowę wieczoru z głupkowskim synalkiem dawnego kolegi matki z klasy. A do tego jego komórka nie działała – abonament nie zezwalał mu na esemesowanie. Jak można nie móc esemesować z komórki?

– Może przy jeziorze będzie lepszy zasięg – uspokoił ją, kiedy bezskutecznie próbowała złapać sygnał po odejściu od pola kempingowego.

Tylko że jeziora jakoś nigdzie nie było. Były tylko drzewa i robale, a potem jeszcze więcej drzew i robali.

– Do diabła – zaklęła, zastanawiając się, czy za tą małą wycieczką nie kryje

się matka, czy nie ona czasem wykoncypowała tę intrygę, żeby dać jej jakąś nauczkę: „Po prostu podejdź i spytaj, czy nie miałyby ochoty iść na spacer, a przy okazji wspomnij, że masz komórkę”. Brianne niemal słyszała, jak matka podpowiada coś takiego Haydenowi. „A potem zabierz ją na długi, miły spacer donikąd”.

No, ale to ja zaproponowałam ten spacer, oprzytomniała Brianne. To ja zapytałam Haydena, czy nie ma komórki. On tylko miło ze mną rozmawiał i był gotów wysłuchać moich żali. Oczywiście, znając sposób myślenia Brianne, matka mogła zasugerować, że tak będzie mu najłatwiej ją podpuścić.

Tylko że ona przecież nie zna mojego sposobu myślenia, buntowniczo pomyślała Brianne. Ona uważa, że mnie zna, ale nie zna. Nie ma pojęcia, co ja czuję. W ogóle nic o mnie nie wie. Czasem Brianne zastanawiała się, czy jej matka kiedykolwiek była młoda.

Brianne usłyszała szelest i trzaskanie gałązek. Obejrzała się czujnie przez ramię. James wspominał przecież, że mogą się tu trafiać niedźwiedzie...

– Brianne?! – Od głosu Haydena aż zatrzęsły się liście na okolicznych drzewach. – Brianne, gdzie jesteś, psiakrew?

– Tu, z tyłu! – zawołała, a jej głos odbił się od pobliskiej sterty głazów.

– Dlaczego się zatrzymałaś? – zapytał. Nagle zobaczyła przed sobą jego twarz.

– Czy tu są niedźwiedzie? – spytała, ignorując jego pytanie.

Hayden wzruszył ramionami.

– Moim zdaniem niedźwiedziami nie musisz się martwić.

O co mu chodziło? Dawał jej do zrozumienia, że powinna się martwić czymś innym?

– Gdzie jest jezioro? – spytała go tak, jakby podejrzewała, że je gdzieś przeniósł.

– Zaraz za następnym zakrętem.

– Powtarzasz to od godziny.

Hayden spojrzał na zegarek i roześmiał się.

– Idziemy niecałe piętnaście minut.

– Kpisz sobie.

– Nie. – Wyciągnął rękę, żeby jej pokazać szwajcarski zegarek na swoim szczupłym nadgarstku. – Sama zobacz, jak mi nie wierzysz.

– Wierzę ci – powiedziała, chociaż, prawdę mówiąc, nie była do końca przekonana. – Ale mam wrażenie, że idziemy od zawsze.

Hayden spojrzał znacząco na jej stopy, ale nic nie powiedział. Nie musiał.

– Jesteś pewien, że twój telefon będzie miał lepszy zasięg nad jeziorem?

– Nie – przyznał. – Posłuchaj, możemy zawrócić, jeśli chcesz.

Po całym tym łażeniu? – pomyślała Brianne. Po tym, jak zniszczyłam sobie

nowe buty? – Nie. Już tak daleko doszliśmy, że równie dobrze możemy sprawdzić, czy ten głupi telefon zadziała.

– A do kogo chcesz dzwonić, tak w sumie?

Brianne zmarszczyła brwi. Znow ruszyli przed siebie.

– Jakbyś nie wiedział.

– Nie wiem.

– Ojciec ci nie powiedział?

– A miał coś powiedzieć?

Brianne raptownie przystanęła.

– Ty mi chcesz serio wmawiać, że twój tata nic ci nie powiedział o tym, co się stało dziś po południu?

Hayden wzruszył ramionami.

– Tylko tyle, że było jakieś zamieszanie w hotelu z waszym pokojem i że spędzicie wszyscy tę noc na kempingu.

– I tylko tyle powiedział?

– Jak rozumiem, coś pominął.

– Nie chcę o tym mówić. – Wysunęła się przed niego i przyśpieszyła kroku.

A potem nagle, tuż przed nimi ukazało się jezioro z gładką powierzchnią czystej wody połyskującej w świetle księżyca niczym jakiś pocztówkowy obrazek.

Hayden uśmiechnął się.

– Piękne, nie?

Brianne w milczeniu uznała, że faktycznie.

– O ile ktoś lubi takie rzeczy.

– A ty nie?

– Nigdy się nad tym nie zastanawiałam.

– No, a ja bym pomyślał, że pewnie lubisz pływać. – Uniósł kamyk i zręcznym gestem cisnął go do jeziora. Kamyk odbijał się od szklistej tafli, rysując na niej serię powiększających się zmarszczek, jak pęknięcia na powierzchni lustra.

Brianne patrzyła na te koncentryczne drobne fale, które znikły, zanim zdążyły dotrzeć do brzegu.

– A dlaczego tak byś myślał?

– Twoja mama była przecież w drużynie pływackiej z moim tatą w liceum.

– Nie muszę pływać tylko dlatego, że moja matka pływała. Czy ty robisz wszystko to, co kiedyś twój ojciec?

– Chciałem tylko podtrzymać rozmowę.

– Nie musisz. Mogę jeszcze raz spróbować z twoim telefonem?

Hayden sięgnął do kieszeni džinsów i wręczył Brianne komórkę.

– Cholera – powiedziała Brianne, znow nie złapawszy zasięgu. – Ta głupia komórka jest do niczego. – Zaczęła chodzić wzdłuż brzegu jeziora, potrząsając małym telefonem tak, jakby to była solniczka. – I skąd ty w ogóle wygrzebałeś

tego dinozaura? Przecież ona jest ze średniowiecza.

– Hej. Ostrożnie. Zepsujesz ją.

– Ona już jest chyba zepsuta.

– Czasami to trwa parę minut.

– Kurde.

– No ale skąd ta nagła potrzeba? – spytał Hayden.

– Nie twoja sprawa. – Brianne przygarbiła ramiona. Co jeszcze dziś wieczorem się nie uda? – Obiecasz, że nie powiesz mojej matce?

– Ale czego mam jej nie mówić? I po co miałbym coś jej w ogóle mówić?

Długie westchnienie Brianne wyrażało na równi znużenie i poczucie porażki.

– Usiłuję się skontaktować z moim chłopakiem.

Hayden pokiwał głową ze zrozumieniem.

– Chłopakiem, którego twoja matka nie lubi?

– Nie cierpi go.

– Dlaczego?

– Bo uważa, że on jest dla mnie za stary. – I może dlatego, że jacyś wścibscy strażnicy leśni znaleźli nas bez ubrań w centrum publicznego terenu w biały dzień, dodała w myślach.

– To ile on ma lat?

– No, aż taki stary nie jest... – Brianne uznała, że może lepiej uniknąć szczegółów. Znów sprawdziła komórkę. Znów nic.

– Możemy pójść jeszcze kawałek. Shadow Creek jest zaraz tam dalej. – Hayden wskazał ręką.

– Żartujesz sobie, prawda?

Brianne oddała mu telefon i przysiadła na ziemi. Z miejsca poczuła wilgoć przesączającą się przez szorty. Do diabła, buty są już do niczego, pomyślała. Równie dobrze mogę zniszczyć resztę ciuchów. Widziała wyraźnie, że z Tylerem dziś wieczorem się nie spotka. Parę chwil potem Hayden usiadł obok niej, utrzymując stosowną odległość.

– Tylko nic sobie nie wyobrażaj – rzuciła.

– Co?

Z tonu Haydena Brianne nie mogła wyczuć, czy jej aluzja wywołała jego zdziwienie, czy niechęć. O co mu chodzi? – zastanawiała się.

– No a ty? Masz dziewczynę?

Pokręcił głową.

– Chłopaka? – Z rozmysłem prowokowała go i była zła, że otaczająca ich ciemność nie pozwala jej dokładnie obserwować jego reakcji.

– Myślisz, że jestem gejem?

– A jesteś?

– Nie. Dlaczego tak myślisz?

– Wiesz, jeśli jesteś, to dla mnie nie problem.  
– Nie jestem.  
– Ten kumpel mojej matki, James, to gej.  
– Uhm, jakoś się domyśliłem.  
– Subtelność nie należy do jego zalet. Ciągłe go ochrzaniam za to, że jest taki stereotypowy, ale on mówi, że został wychowany na broadwayowskiego tancerza przez ekscentryczną samotną matkę, więc nie powinnam się dziwić. – Roześmiała się.

– Mnie się wydaje, że jest dość sympatyczny.  
– Dość sympatyczny do czego?  
– A co to miało znaczyć? – spytał Hayden.  
– Nic. Czemu nagle zrobiłeś się taki drażliwy?  
– Nie jestem drażliwy.

Brianne wzruszyła ramionami.

– Nieważne.

– A ta kobieta w czarnym? – zapytał Hayden po paru chwilach milczenia nieco wymuszonym tonem.

– Melissa. Ona zawsze ubiera się na czarno. To taka jej cecha rozpoznawcza.

W sumie jest całkiem czadowa.

– Więc tylko własnej matki nie lubisz – podsumował Hayden.

Brianne najeżyła się, słysząc tę uwagę.

– Co ty wygadujesz? Kocham moją matkę.

– Kochasz ją. Tylko lubić, nie lubisz.

– O co ci chodzi? – powtórzyła Brianne.

– No i kto teraz jest drażliwy?

– Nie jestem drażliwa.

– Nie ma sprawy. Ja swojej matki też za bardzo nie lubię.

– Nie lubisz? Dlaczego?

– Bo to dziwka – odparł bez ogródek.

– No nie... Czyś ty właśnie nazwał swoją matkę dziwką?

– Tak, chyba tak. Tak mi się jakoś wysnęło. Przepraszam.

– Nie, nie przepraszaj. – Brianne znowu się roześmiała.

– Myślisz, że to zabawne, że moja matka jest dziwką?

– Nie. Jasne, że nie. Tylko że moja matka tak właśnie mówi na Jennifer. Na narzeczoną mojego ojca. Tę...

– ...z nogami – dokończył Hayden.

No dobra, gejem nie jest, pomyślała Brianne. Mimo wszystko Hayden okazywał się ciekawszy, niż początkowo sądziła. Może to idiota, ale zbuntowany idiota. Idiota z problemami wokół mamusi. Co sprawiało, że stawał się odrobinę bardziej interesujący.

– To jak, powiesz mi, dlaczego uważasz swoją matkę za dziwkę?  
– Bo zdradzała mojego tatę z połową tej planety. Nic nie mów – dodał szybko. – Tata myśli, że ja nie wiem.

– A jak się dowiedziałeś?  
– Jeden z moich kumpli widział, jak wychodziła pewnej nocy z motelu z facetem, który nie był moim ojcem. Powiedział mi o tym.

– Ja raz widziałam, jak mój ojciec całował się z Jennifer w swoim samochodzie. Jak dwójka napalonych małolotów. Dość obrzydliwe.

Hayden pokiwał głową.

– Zdaje się, że mamy ze sobą coś wspólnego.

– Ona naprawdę przespała się z połową planety? – spytała Brianne.

Nie bardzo podobała jej się sugestia, że może mieć coś wspólnego z kimś równie mało luzackim jak on. Pomyślała o swoim ojcu i zastanowiła się, ile jeszcze miał innych romansów. Wiedziała, że Jennifer nie była pierwsza.

Zdarzyło się raz, że przechodziła obok jego gabinetu i słyszała, jak szeptał do telefonu, a potem szybko pożegnał się i uśmiechnął nieco zbyt entuzjastycznie, kiedy ją zobaczył. A potem ten inny raz, kiedy wstąpiła do niego do pracy, ale drzwi jego gabinetu były zamknięte, a nowej asystentki nie było przy biurku. Miała już wyjść, kiedy usłyszała jakieś zduszone odgłosy – chichoty, westchnienia, ciche szepty – dochodzące z wnętrza gabinetu, więc ostrożnie podeszła i przyłożyła ucho do matowej szyby w drzwiach, a potem cicho zapukała. „Tato? – zawołała i ośmieliła się, słysząc, że ktoś w środku się porusza. – Tato, jesteś tam?”. Dopiero po paru minutach drzwi się otworzyły, a jego nowa asystentka, niejaka Jacqueline Gum, wyszła, nieco zarumieniona i wyraźnie podenerwowana. „No proszę, Brianne – powiedziała. – Jak się dzisiaj miewasz?”. Ojciec szybkim ruchem ręki zaprosił Brianne do środka, znów się uśmiechał tym zbyt pogodnym uśmiechem. „No, no, co za niespodziewana przyjemność”, powiedział. Następnym razem, kiedy Brianne odwiedziła ojca w biurze, odkryła, że panna Gum już tam nie pracuje. „Dlaczego tak często zmieniasz asystentki?” – zapytała go. Roześmiał się tylko i pokręcił głową, jakby chciał powiedzieć, że sam nie wie.

– Słyszałem, jak tata rozmawiał przez telefon ze swoim prawnikiem – mówił Hayden w odpowiedzi na jej pytanie, o którym już zdążyła zapomnieć. – Powiedział prawnikowi, że było trzech facetów, o których wie, w tym, teraz uważaj, mój wujek.

– O ja cię...

O rety, pomyślała Brianne. Ten chłopak musi być niezłe pokręcony.

– Od czasu rozwodu było przynajmniej czterech, o których ja wiem – ciągnął. – Teraz z takim jednym umawia się od sześciu miesięcy. Zdaje się, że ten zostanie na dłużej.

– I jak ty się z tym wszystkim czujesz?

Roześmiał się.

– Brzmisz jak mój terapeuta.

– Chodzisz do psychoanalityka?

– Przez jakiś czas chodziłem. Tata uważał, że to dobry pomysł. Żeby mi pomóc jakoś się uporać z tym rozwodem...

– Jak długo chodziłeś?

– Ze dwa lata. – Wzruszył ramionami. – Nie ma o czym gadać – dodał, ale wyraz jego oczu świadczył o czymś przeciwnym.

– Twój tata sprawia wrażenie całkiem przytomnego gościa.

– Świetny jest. Sól tej ziemi, jak mawiał mój dziadek.

– Sól tej ziemi? – powtórzyła Brianne. – A co to znaczy?

– To tylko takie powiedzenie.

– Mogę jeszcze raz zobaczyć twój telefon?

Hayden podał jej komórkę. Brianne spróbowała znaleźć sygnał, ale się nie udało.

– Cholera – powiedziała.

– Może będziemy mieli więcej szczęścia, jeśli pochodzimy trochę. – Hayden podniósł się z ziemi. – Daj mi go.

Brianne patrzyła, jak wcisnął parę klawiszy, stojąc bliżej brzegu jeziora.

– I co?

Hayden zaczął chodzić wzdłuż brzegu.

– Nic. Hej, chcesz się dowiedzieć, skąd się wzięło powiedzenie „leje jak z cebra”?

– Nie – odparła Brianne. Boże, to naprawdę idiota.

– Dawno temu do noszenia wody używało się takiego dużego, okrągłego naczynia z drewnianych klepek z obręczami. Kiedyś te obręcze też robiono z drewna, potem ze stalowej taśmy. Tylko że w takich starych, zużytych czy źle zrobionych cebrach między klepkami powstawały szczeliny, więc łatwo się przez nie wszystko wylewało. I jak z takiego cebra woda lała się, gdzie popadnie, to człowiek, który go niósł, wyglądał potem, jakby go zlał ulewny deszcz.

Brianne z trudem zdobyła się na słaby uśmiech. Ten biedny gość jest żaloszny, pomyślała.

– No dobra, wystarczy tego. – Podniosła się z ziemi. – Wracajmy.

– Czekaj – powiedział nagle Hayden. – Chyba coś mam.

Brianne natychmiast znalazła się obok niego i wyrwała mu z ręki komórkę.

– Słaby ten sygnał – powiedziała, odsuwając się od niego, i wystukała numer komórki Tylera. – Dzwoni... Halo? Halo, Tyler? Cholera – powiedziała, bo połączenie zaczęło się zrywać i, chcąc nie chcąc, musiała podejść bliżej do Haydena. – Tyler? Słyszysz mnie? Nie wiem, czy on mnie słyszy – jęknęła.

– Brianne? – odezwał się ledwie słyszalny głos.



– Tyler? Tyler, dzięki Bogu. Gdzie jesteś? – Jego odpowiedź była niedosłyszalna. – Nieważne. Słuchaj, jesteśmy na kempingu Starbright Campsites koło Lake George. Która jest godzina? – syknęła do Haydena.

Spojrzał na zegarek.

– Prawie dziewiąta.

– Spotkamy się przy frontowej bramie obozowiska o północy – powiedziała, niepewna, czy Tyler w ogóle jeszcze jest na linii. – Słyszałeś mnie? Tyler? – Znów tylko zakłócenia na linii. A potem cisza. – Cholera. Zdechło. Nie jestem pewna, czy mnie słyszał.

– Naprawdę myślisz, że to dobry pomysł?

– Że co jest dobrym pomysłem?

– Spotkanie z twoim chłopakiem. Twoja mama się wkurzy.

– Moja mama będzie smacznie spać.

– Taa, jasne.

– Chyba że planujesz jej wygadać...

– Nie, no pewnie, że nie.

– Bo wtedy musiałabym wrócić i cię zabić – powiedziała Brianne bez cienia uśmiechu. – Wiesz o tym, prawda?

– Przerazająca z ciebie laska – powiedział Hayden.

Brianne roześmiała się, z nieco większym optymizmem myśląc o tym wieczorze. Była prawie dziewiąta. Wszyscy są wykończeni. Jeszcze godzina i najprawdopodobniej posną, włącznie z Jamesem, z którym miała dzielić namiot. Będzie się skarżyła na pęcherz i co godzina biegała do toalety, więc gdyby, choć to mało prawdopodobne, obudził się, będzie miała gotową wymówkę. Łatwizna. Bułka z masłem, pomyślała i zastanowiła się złośliwie, czy pochodzenie i tego wyrażenia Hayden umiałby jej wyjaśnić.

– Chodźmy – zarządziła, nie mogąc się teraz doczekać powrotu na kemping.

I wtedy usłyszeli szelest liści, trzask gałązek i zorientowali się, że nie są tu sami. Ktoś ich obserwował. Ktoś podsłuchiwał całą ich rozmowę.

Niedźwiedź? Matka? Brianne wstrzymała oddech, nie bardzo wiedząc, co z dwojga by wolała.

– Przepraszam, nie chciałem was przestraszyć – usłyszeli czyjś głos i z mroku wyłonił się mężczyzna.

Brianne niemal natychmiast rozpoznała znajome umundurowanie leśnego strażnika: wyprasowaną beżową koszulę, mosiężną odznakę, rewolwer w kaburze.

– No, jak cię mogę – jęknęła.

– Czy mogę prosić was oboje o podanie nazwisk? – odezwał się strażnik.

– A po co? – postawiła się Brianne.

– Hayden Parker – odparł Hayden, wpadając jej w słowo i odruchowo prostując plecy, jakby kazano mu stanąć na baczność. – A to jest Brianne Rowe.

Z kempingu Starbright Campsites.

– Henry Voight. Miło mi was poznać – powiedział strażnik z zażenowanym uśmiechem. – Słuchajcie, wierzcie mi lub nie, ale kiedyś byłem w waszym wieku i naprawdę mi przykro, że muszę to zrobić, ale obawiam się, że powinniście wracać na kemping. To nie jest dobry pomysł, żebyście tu przebywali o tej porze. Jest ciemno, są zwierzęta...

– Właśnie mieliśmy wracać – przerwała Brianne, myśląc, że tak po ciemku to ten strażnik wcale nie wydawał się wiele starszy od Haydena. I nie mogła nie zauważyć, że był o wiele seksowniejszy.

– Pozwólcie zatem, że was odprowadzę – powiedział.

– Nie, naprawdę nie trzeba.

Uśmiech strażnika nieco pochłódniał. Mężczyzna wyraźnie dawał do zrozumienia, że nie do niej należy decyzja.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

Brianne zacisnęła zęby. Z doświadczenia wiedziała, że opór w niczym nie pomoże.

Jennifer wyłączyła swoją małą latarkę i zamknęła książkę, nad którą spędziła cały wieczór, udając, że czyta, i zastanawiając się, czy ktoś się na to nabierze. Pokręciła głową, uznawszy, że niewiele się różni od pozostałych: wszyscy spędzili ten wieczór, coś udając. Melissa i James zachowywali się tak, jakby rewelacyjnie się bawili, wyśpiewując stare piosenki i dzieląc się z uczestnikami ogniska historiami o duchach, chociaż na pewno woleliby być na Manhattanie, we wspólnym luksusowym apartamencie w hotelu Plaza. Brianne odgrywała rolę grzecznej córki, chociaż przez cały czas jej spojrzenie ciskało niewidzialne sztylety w stronę matki. Val znikła z jakimś gościem, którego znała z liceum, chociaż dla każdego choć odrobinę myślącego człowieka ewidentne było, że nadal ma bzika na punkcie swojego już niedługo byłego męża. Nie wspominając nawet o tym idiotycznym pocałunku. Na oczach wszystkich. O co jej chodziło? Czyżby Val rzucała jej w ten sposób wyzwanie, żeby się przekonać, czy ona o tym doniesie Evanowi? Czy naprawdę uważała, że to może wzbudzić jego zazdrość? Naprawdę sądziła, że jego to obchodzi?

A obesłoby? – zastanowiła się Jennifer, usiłując odegnąć te myśli.

No już, idź i zrób z siebie idiotkę, powiedziała w duchu do Val, zerkając w stronę ogniska spod opuszczonych powiek, gdzie w tej chwili Val tkwiła niezbyt wygodnie usadowiona pomiędzy dwójką swoich przyjaciół. Ja nie będę tą osobą, która doniesie Evanowi o twoich infantylnych manewrach. To, co robisz, nijak mnie nie dotyczy. Ani jego.

Miała nadzieję, że dostał wiadomość, którą mu zostawiła, kiedy byli zmuszeni ewakuować się z apartamentu. Poinformowała go, gdzie będą, i poprosiła, żeby kontaktował się z nią przez biuro kempingu, bo tutaj jej komórka nie nadawała się w zasadzie do niczego. Jak na razie, bez odzewu. Jennifer spojrzęła w stronę wjazdu na kemping, modląc się o widok idącego w jej stronę energicznym krokiem Evana, z szerokim uśmiechem na przystojnej twarzy, z rozpostartymi ramionami, żeby ją do siebie przygarnąć, ale zobaczyła wyłącznie Val pogrążoną w rozmowie z Melissą i Jamesem. No dalej, udawaj, że mnie ignorujesz, pomyślała. Udawaj, że nie jesteś boleśnie świadoma każdego mojego ruchu. Udawaj, że nie cieszy cię moje skrępowanie. Udawaj, że nie napawasz się każdą pieprzoną minutą tego idiotycznego, pełnego żalosnych atrakcji dodatkowych weekendu.

Jennifer wbiła wzrok w ziemię. Nie są lepsi od tych krnąbrnych dzieci, które wcześniej wieczorem uganiały się wokół ogniska, wymachując długimi kijkami

i pokrzykując: „Pif! Paf! Już nie żyjesz!”, udając, że się nawzajem powybiły z karabinów maszynowych. Odetchnęła z głęboką ulgą, kiedy rodzice wreszcie, na szczęście, powysyłali je spać, chociaż jedna dziewczynka w regularnych odstępach czasu nadal popłakiwała głośno za matką ze swojego namiotu.

Niespodziewane łzy zmąciły wzrok Jennifer, całkowicie ją zaskakując. Czy nigdy nie przestajemy potrzebować naszych matek? – zastanowiła się, niemal widząc na tle mrocznego nieba obraz swojej kiedyś tak pełnej życia matki, obraz stopniowo zamazujący się i rozplywający w nocnym powietrzu, kurczący się i rozpraszający. Twarz matki o coraz bardziej wychudłych policzkach, z oczyma spoglądającymi w głąb siebie, jakby widziały już tylko ból.

To niesamowite, że ostatecznie i tak wszystko sprowadza się do matek, pomyślała.

Czy przestajemy kiedyś za nimi tęsknić? Czy kiedyś przestajemy płakać za nimi, choćby tylko w duchu? Czy wyrastamy z tej potrzeby, żeby skulić się w ramionach matki, przytulić głowę do jej piersi, zanurzyć się w to nieporównywalne z niczym ukojenie, jakim jest jej bezwarunkowa miłość?

Czy kiedykolwiek dorastamy? Czy w ogóle kończymy średnią szkołę życia? – pomyślała, uśmiechając się. Jakie to trafne, że ten Gary napatoczył się tu akurat w ten weekend. Jennifer udała, że ziewa i odgarnia pasmo włosów z twarzy, zerkając znów ukradkiem w stronę Val.

Przez całe życie prześladowały ją różne Valerie. Choć to ją stale wybierano na czirliderkę i regularnie dostawała tytuł Najpiękniejszej, w efekcie i tak triumfowały różne Valerie tego świata. Jakoś udawało im się zdobywać dobre stopnie i facetów bez zrażania do siebie kogokolwiek. Były na tyle ładne, żeby przyciągać uwagę, ale nie aż tak atrakcyjne, by je uważać za poważne zagrożenie. Były na tyle bystre, żeby się z tą bystrością zbytnio nie rzucać w oczy. Tym dziewczynom nikt nie miewał za złe, gdy któraś zostawała Królową Balu albo Najpewniejszą Kandydatką do Przyszłego Sukcesu, nie dlatego, że czymś zdaniem jakoś szczególnie zasługiwały na te honory, ale dlatego, że wydawały się najmniej niebezpiecznymi kandydatkami do nich.

Ale ty jesteś niebezpieczna, prawda? – pomyślała Jennifer w chwili, w której Val spojrzała przez nocny mrok w jej stronę, podchwytyjąc spojrzenie rywalki i wytrzymując je. Twoją ulubioną bronią jest pewność siebie i władasz nią bez miłosierdzia.

Jennifer poczuła, że traci kontenans pod natarczym spojrzeniem Val, i odwróciła wzrok. Wstała i ruszyła przed siebie, nie bardzo wiedząc, dokąd się kieruje. Czowała, że Val śledzi ją wzrokiem.

– Ostrożnie! – dobiegł ją czyjś głos, gdy potknęła się o własne stopy i o mały włos nie runęła na kolana. Niepewnym krokiem poszła dalej w głąb kempingu. – Trochę za dużo wypila – usłyszała czyjeś pełne dezaprobaty mruknięcie.

Dopadł ją nagły impuls – potrzeba, by rzucić się biegiem, biec przed siebie jak najdalej, jak najszybciej. Uciec z tego kempingu, z tych gór, od wszystkich Valerie tego świata. Wyobraziła sobie, że, uciekając, woła do nich: „Poddaję się! Wygrałyście. Jestem zmęczona próbami rywalizacji. Jestem zmęczona tym, że nigdy wam nie dorównuję. Jestem zmęczona tą waszą pogardą, udawaniem, że jestem kimś, za kogo mnie uważacie, udawaniem, że jestem kimś, kim chcecie mnie widzieć”.

– Jestem po prostu zwyczajnie zmęczona – powiedziała na głos, przystając raptownie przed rzędem przenośnych toalet na skraju obozowiska.

– No to idź spać – dobiegł z ciemności czyjś głos.

Jennifer obróciła się na pięcie.

– Brianne? – spytała.

Zobaczyła, jak dziewczyna wychodzi z za linii gęsto rosnących drzew, a tuż za nią dwóch młodych ludzi. Jednym z nich był Hayden. Drugiego nie знаła.

– Gdzieś ty była? Twoja matka zaraz zacznie dzwonić po pomoc. Znowu.

– Za późno! Pomoc już tu jest. – Brianne wskazała umundurowanego nieznajomego. – To Henry – przedstawiła jej leśnego strażnika. – A to jest Jennifer.

– Miło mi. – Henry wyciągnął rękę, objął jej sylwetkę jednym, pełnym uznania spojrzeniem.

Jennifer zauważyła, że uścisk jego dłoni był zaskakująco delikatny, chociaż spojrzenie miał bezpośrednie i przenikliwe.

– Jest jakiś problem? – spytała z rezerwą, żałując, że nie uciekła stąd, kiedy miała po temu okazję.

– Żadnego – odparł. – Pomyślałem tylko, że jest trochę za późno i trochę za ciemno, żeby ta dwójka sama chodziła po lesie.

– Jeśli pytasz, czy znowu mnie przyłapano bez spodni – odezwała się Brianne, powtarzając użyte przez Jennifer słowo z takim samym naciskiem – to odpowiedź brzmi: nie.

Jennifer starała się nie zrobić zaszokowanej ani gniewnej miny, chociaż, szczerze mówiąc, ogarniały ją obie te emocje po trosze.

– Chyba powinnaś iść uspokoić matkę.

– Nie, no serio – powiedziała Brianne, przewracając oczami. – Można by pomyśleć, że mam dwa latka. – Spojrzała na strażnika. – To jak, chce pan iść ze mną i poznać mamusię?

– Nie, dziękuję. Moja rola już chyba skończona.

– Cykor – rzuciła Brianne przez ramię, zawracając i odchodząc.

– Świetne buty! – zawołał Henry jej śladem.

Brianne wyciągnęła nad głowę jedną gołą rękę i pomachała nią, ale się nie obejrzała.

– Miło było pana poznać – powiedział Hayden, wyciągając rękę do strażnika.

– Hej, spokojnie – odezwał się Henry, kiedy chłopak entuzjastycznie potrząsał jego prawicą. – Niezły masz ten uścisk.

– Przepraszam, nie chciałem...

– Nie ma sprawy. Silny uścisk dłoni to zwykle wskazówka, że człowiek nie ma nic do ukrycia.

Haydena chyba zdziwiła ta uwaga.

– Okej. No to ja... Znaczy, chyba nie mam nic do ukrywania.

– Jesteś tego pewien? – zażartował strażnik.

Teraz Hayden miał taką minę, jakby go złapano z ręką w słoju pełnym cukierków.

– Hej, stary, ja tylko żartowałem – uspokoił go strażnik.

Hayden odszedł szybkim krokiem.

O co tu chodziło? – zastanawiała się Jennifer, spoglądając na Henry'ego patrzącego na Haydena, który już zniknął im z widoku. Z profilu strażnik leśny wydawał się starszy niż en face, nos wydawał się szerszy, a podbródek wydatniejszy, silniej zarysowany. Pewnie jest w moim wieku, uznała. Wydawał się bardzo zmęczony, może nawet tak samo zmęczony jak ona.

– Trochę późna pora na patrol, nieprawdaż?

– Zazwyczaj tak. Ale poproszono nas, żebyśmy trochę popracowali po godzinach.

– Z jakiegoś szczególnego powodu?

W oczach strażnika mignął cień niepokoju.

– Nie musi mi pan nic wyjaśniać – natychmiast wycofała się Jennifer.

– Nie, to żaden problem. – Urwał i wyraźnie zastanawiał się, czy powinien mówić dalej. – Zgłoszono zaginięcie pewnego człowieka.

– Chodzi panu o Davida Gowana?

Henry zrobił zdziwioną minę.

– Tak. Zna go pani? Widziała go pani?

– Nie – odparła szybko Jennifer. – Tyle tylko że wszyscy wczoraj nocowaliśmy w tamtym hotelu, a dziś rano słyszeliśmy, że znikł. Jeszcze go nie znaleźliście?

– Jeszcze nie – przyznał Henry. – Ale jeśli jest gdzieś w tych lasach, to prędzej czy później się pojawi. Chociaż pewnie nie dziś w nocy. – Spojrzał na zegarek. – Właściwie miałem się zwijać, kiedy wpadłem na Brianne i Haydena. I, żeby panią uspokoić, oboje byli w pełni ubrani.

Jennifer uśmiechnęła się ze znużeniem.

– Prawdę mówiąc, to nie mój problem.

Teraz to Henry się uśmiechnął. Przystąpił z nogi na nogę. Jakoś nie śpieszył się z odejściem.

– Czy mogę spytać, co zatem łączy panią z Brianne? Oczywiście nie musi

pani mi niczego wyjaśniać – dodał z porozumiewawczym uśmiechem. – To znaczy, nie pytam jakoś tak z urzędu. Tylko... Boże, jaka pani jest piękna – dorzucił jednym tchem. – Przepraszam, jeśli gadam jak głupek. Na pewno ciągle pani to słyszy.

Jennifer spuściła wzrok, usiłując opanować uśmiech. Przywykła do takich reakcji ze strony mężczyzn. Mimo to po ostatnich dwudziestu czterech godzinach dobrze było poczuć, że ktoś ją postrzega pozytywnie.

– Proszę mi wierzyć, nie można się zmęczyć słuchaniem takich rzeczy. Właściwie jestem panu wdzięczna. Chyba czegoś takiego potrzebowałam.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

– Brianne jest córką mojego narzeczonego – wyjaśniła Jennifer, uznając, że lepiej będzie pozbawić leśnego strażnika złudzeń, zanim narobi sobie zbyt wiele nadziei. Jeśli rzeczywiście chodziło mu po głowie obściskiwanie się przy ognisku, to lepiej jak najszybciej wybić mu z niej takie myśli.

Pokiwał głową.

– Czuję, że powie mi pani coś takiego. – Spojrzał z roztargnieniem w stronę ogniska, marszcząc czoło z ewidentnym zakłopotaniem. – Ale czy nie powiedziała pani, że matka Brianne też tutaj jest?

– No właśnie. Akcja się zagęszcza. Owszem, matka Brianne również tutaj przebywa.

– Mają państwo jakiś układ w rodzaju *Wielkiej miłości*? – spytał, odnosząc się do niegdyś popularnego serialu telewizyjnego o mężczyźnie, który miał kilka żon.

Jennifer parsknęła głośnym śmiechem.

– Nie, obawiam się, że zbyt wiele miłości nie lata tu w powietrzu, ani wielkiej, ani nawet małej.

– To się robi coraz ciekawsze.

– Nie bardzo.

– Ale to naprawdę nie moja sprawa.

– Nie tak to wszystko miało wyglądać. – Jennifer ze zdziwieniem usłyszała, że to mówi, i z jeszcze większym zdziwieniem przekonała się, że chce powiedzieć więcej. – To miała być taka przyjemna wycieczka na długi weekend: ja, mój naręczony i jego córka, okazja, żeby spędzić ze sobą trochę czasu, lepiej się poznać, rozumie pan... Zbliżyć się do siebie i tym podobne głupoty. Ale potem Evanowi coś wypadło... Kontrakt, nad którym pracuje, zaczął mu się rozłazić. Musiał zostać w mieście, a jego żona – jego już wkrótce była żona – zdecydowała, że zabawi się w Superwoman i nas wszystkich wyratuje z opresji, mimo że przedtem planowała spędzić ten weekend na Manhattanie z dwójką swoich zbzikowanych przyjaciół, Złą Czarownicą z Zachodu i Toto. I tak przyjechaliśmy tu wszyscy razem – ciągnęła, nie umiejąc już przerwać, nawet gdyby Henry miał ją

zakneblować. – I wie pan co? Ta radosna, opętana trójca postanowiła zostać tu na noc i skończyło się na tym, że mieliśmy jeden pokój... Niech pan nawet nie pyta – uprzedziła, a potem mówiła dalej: – A później Evan dzwoni i mówi, że jeszcze się spóźni, a Val postanawia wybrać się na pieszą wycieczkę, ja się staram jak mogę być niewidzialna i schodzić wszystkim z drogi, bo moim zdaniem tak będzie najbezpieczniej, a wtedy Brianne znika gdzieś ze swoim chłopakiem i dwóch leśnych strażników znajduje ich w lesie nagich...

Henry próbował opanować uśmiech, ale mu się nie udało.

– Tak, chyba słyszałem jakieś plotki na ten temat. Nie zdawałem sobie sprawy, że Brianne i Hayden to para, o którą chodziło.

– Hayden to nie jej chłopak. Brianne była tam z Tylerem... Och, nieważne. Ważne jest to, że wywalili nas z hotelu. A potem jakiś facet, którego Val zna ze szkoły średniej, a zarazem ojciec Haydena, pojawił się tu znikąd i wpadł na genialny pomysł, że powinniśmy wszyscy spędzić noc tu, na tym zadupiu. I tak trafiliśmy w sam środek tego piekielnego kempingu, oganiając się od komarów i odmrażając sobie tyłki. A ja zaczynam dochodzić do wniosku, że David Gowan miał jednak niegłupi pomysł. W głowie mi się nie mieści, że właśnie to wszystko panu powiedziałam... – zakończyła i zniecierpliwiona wybuchnęła płaczem.

I z miejsca znalazła się w ramionach Henry'ego, z twarzą wtuloną w sztywną bawełnę jego koszuli.

– Przepraszam – powiedziała i odsunęła się, chociaż niezbyt daleko. – Zmoczyłam panu tę ładną koszulę.

Potarła wilgotny teraz materiał, opinający imponujące mięśnie torsu strażnika. Ktoś tu chyba przesadza z siłownią, pomyślała. On zaraz rozsadzi guziki tej koszuli.

– Nie ma sprawy – powiedział Henry głosem nieco bardziej zduszonym niż przed chwilą.

– Pewnie mnie pan uzna za wariatkę.

– Tylko troszeczkę.

– Naprawdę nie wiem, jakim cudem łąduję się w takie sytuacje.

– Nie brzmi to tak, jakby miała pani jakąś kontrolę nad tym wszystkim.

– Jest pan zbyt wyrozumiały.

Wbił wzrok w ziemię i parę chwil milczał, a potem się odezwał:

– Wie pani... nie musi tu pani tkwić.

– Niestety, owszem, muszę. – Jennifer bardzo nie podobał się płaczliwy ton własnego głosu. Czowała, że znów jej się zbiera na łzy. – Wszystkie hotele w okolicy mają komplet gości.

– U mnie jest miejsce – zaproponował Henry. – Nic specjalnego, ale ma tę zaletę, że to blisko. Jest nawet pokój gościnny. I nic nie knuję, słowo leśnego strażnika.



– Och. Nie, nie mogłabym. To znaczy, bardzo pan miły i tak dalej, Doceniam propozycję. Naprawdę doceniam. Ale ja... No bo... Po prostu nie mogę.  
– Jennifer cofnęła się o kolejny krok i opuściła rękę.

– Rozumiem. – Henry szybkim ruchem sięgnął do kieszeni wyprasowanych czarnych spodni i wyjął z niej niewielki notes oraz długopis. – Proszę posłuchać, dam pani swój numer – powiedział, zapisując go i wyrywając kartkę z notesu. – Proszę zadzwonić, jeśli zmieni pani zdanie. To specjalny telefon, mamy tu takie, działają przez satelitę, więc nie będzie pani miała problemu z dodzwonieniem się. Proszę dzwonić o dowolnej porze. Nieważne jak późnej. I proszę się nie martwić, że mnie pani obudzi. Dobrze? Jeśli nie będzie pani mogła spać albo będzie chciała jeszcze porozmawiać, albo... Cokolwiek. Proszę dzwonić. Okej?

Jennifer wsunęła kartkę do kieszeni dzinsów.

– Okej.

– Na pewno wszystko w porządku?

– Na pewno.

– Nic się nie stanie, jeśli już pójdę? – Zupełnie jakby prosił ją o pozwolenia na odejście, skoro już stało się jasne, że ona z nim nie pójdzie.

– Proszę się nie martwić – odezwał się ktoś i zza jednej z przenośnych toalet wyłoniła się szczupła sylwetka zwieńczona szopą nastroszonych pomarańczowych kosmyków. – Toto się nią dobrze zajmie.

Cholera, pomyślała Jennifer, widząc Jamesa, przystającego w kręgu światła latarni.

– Ile czasu się tam chowałeś?

– Nie chowałem się. Po prostu czekałem na odpowiednią chwilę. – James wyciągnął rękę do Henry'ego. – Posterunkowy Krupke, jak miemam?

Henry nie przyjął wyciągniętej dłoni, a na jego twarzy odbiła się konsternacja.

– Że co?

– Mój Boże! Niech mi pan nie wmawia, że nigdy nie widział *West Side Story*. Proszę powiedzieć, że to nieprawda.

– A pan się nazywa? – Zniecierpliwienie intruzem zagłuszyło w głosie strażnika uprzednią troskę o Jennifer.

– James Milford, ostatnio znany również pod pseudonimem Toto. Stereotypowy homoseksualny przyjaciel Melissy Atkins, czyli Złej Czarownicy z Zachodu. Oraz Valerie Rowe, znanej jako była Evana. Ale na razie jeszcze jednak żona, my tak wolimy o niej mówić. – Spojrzał znacząco na Jennifer. – Wcześniej wspomniana opętana trójca. No, widzę, że poznał pan już Jennifer, zwaną w niektórych kręgach pieszczotliwym określeniem...

– Dobrze, moim zdaniem przezwisk na dzisiejszy wieczór całkowicie już wystarczy – przerwała mu stanowczo Melissa, wdzierając się w sam środek

niewielkiej grupki.

– Mój Boże – jęknęła Jennifer. – Wszyscy tu jesteście?

– Wierz albo nie, ale widzieliśmy, że odchodzisz, i zaczęliśmy się martwić, bo nie wracałaś. Tacyśmy niemądrzy.

– Słuchajcie, przepraszam, jeśli was uraziłam tym, co wcześniej powiedziałam – zaczęła Jennifer.

– Ale, żebyśmy mieli jasność, nie jest ci przykro, że to powiedziałaś? – upewnił się James.

– Jestem wytrącona z równowagi. Na pewno potraficie to zrozumieć.

– A co? Jestem gejem, co nie znaczy, że muszę być jakoś szczególnie wrażliwy.

– Tak w gruncie rzeczy to on w ogóle nie jest wrażliwy – stwierdziła Melissa.

– Dziękuję ci – powiedział James.

– Na dobrą sprawę jest po prostu gruboskórny.

– Och, tylko tak mówisz!

– Czy to ma być zabawne? – Henry’emu najwyraźniej wyczerpała się cierpliwość. – Znaczący, o co tu, do licha, chodzi?

– Wszystko w porządku – uspokoiła Jennifer. – To moja wina. Należało mi się.

– To nie jest pani wina – sprzeciwił się Henry.

– A owszem, jest. To jest jej wina – upierał się James. – W każdym razie ja muszę się wysikać. Więc, państwo wybaczą... – Znikł w najbliższej toalecie.

– Ten wieczór robi się coraz ciekawszy – zauważyła Melissa.

– Ja chyba już pójdę spać – powiedziała Jennifer.

– Moim zdaniem to znakomity pomysł. – Melissa obróciła się do Henry’ego.

– Dziękujemy za pańską pomoc. Dalej na pewno sami damy sobie radę.

– Dziękuję panu, Henry – odezwała się Jennifer, zanim zdołał zaprotestować.

– Zadzwoń pani do mnie w razie problemów?

Jennifer poklepała się po kieszeni dżinsów.

– Mam pana numer – odparła.

– Żartujesz sobie? Nazwała cię Złą Czarownicą z Zachodu? – Val nie wiedziała, czy ma się czuć urażona w imieniu przyjaciółki, czy po prostu głośno się roześmiać.

– Usiłowała wyjaśniać, że odniosła się tylko do mojego upodobania do czerni, ale ja jej powiedziałam, że się na to nie nabiorę.

– Naprawdę powiedziała, że „odniosła się tylko do twojego upodobania do czerni”? – spytała Val, zaskoczona. – Użyła takich słów?

– Nie, oczywiście, że nie. To moje słowa. Parafrazowałam. Ale chyba umyka ci najważniejsze.

– A Jamesa nazwała Toto?

– Myślałam, że oczy wyjdą mu z orbit. Powinnaś była widzieć jego minę. Powinnaś była go usłyszeć. „Pies? – powtarzał. – Ona mnie uważa za jakiegoś cholernego psa? Przecież byle półgłówkę zauważyłby, że jestem Dorotką, na litość boską”. A potem zaczął postukiwać obcasami i śpiewać: „Nie ma to jak w domu. Nie ma to jak w domu”. To było niemal warte ceny wejściówki na przedstawienie.

Tym razem Val musiała się już roześmiać.

– No cóż, naprawdę podchodzicie do tego szalenie wyrozumiale. Jestem wam za to ogromnie zobowiązana.

– Proszę cię, nijak nie jesteś nam zobowiązana. Moim zdaniem to może być jedna z najciekawszych wycieczek, jakie udało nam się zorganizować.

Val rozejrzała się po klaustrofobicznym wnętrzu namiotu z ciężkiego drelichu, który dzieliła z Melissą, wyobrażając sobie wysoki sufit i barokowe wnętrza w odcieniach błękitu w apartamencie, który mógł na nie czekać w hotelu Plaza. Królestwo za wypełniony puchem materac, pomyślała, usiłując umościć się wygodniej w śpiworze, który kemping udostępniał każdemu klientowi, i zastanawiając się, jak to możliwe, że kiedyś lubiła wślizgiwać się pod taką cienką warstwę flaneli i wyczuwać kształt ziemi pod plecami.

– Myślisz, że oni je czasem piorą? – spytała, wachając brązową wyściółkę śpiwora, przez moment wyczuwając zapach Gary’ego i zastanawiając się, czy i Melissa go czuje.

– Nie pytaj mnie – odparła Melissa. – To ty w tej grupie jesteś turystką. Myślałam, że będziesz w swoim żywiole.

– Czasy się chyba zmieniły.

– Zawsze się zmieniają. A tu nie jest jakoś specjalnie tragicznie.

– Tylko tak mówisz.

– Owszem, mówię. Ale trzeba grać takimi kartami, jakie przychodzą z rozdania.

– A jeśli będę chciała parę podmienić?

– To musisz zagrać z kimś innym. Ja jestem zbyt zmęczona na złożone metafory. Tak czy inaczej – powiedziała Melissa i z jękiem przetoczyła się w śpiworze na drugi bok – zamierzam zamknąć teraz oczy i śnić o tych wszystkich dobrach, które przyniesie nam jutro.

– O Boże. Aż strach pomyśleć.

– Nie bój się, tylko śpij.

– Melisso?

– Hm?

– Gdzie ty w ogóle kupujesz czarne piżamy?

Melissa odpowiedziała swoim charakterystycznym chichotem, który Val zawsze uważała za dźwiękowy odpowiednik korkociągu, i nie powiedziała ani słowa. Parę chwil później namiot wypełniło jej ciche chrapanie.

– Dobranoc – szepnęła Val, słysząc, jak jej słowa rozplývają się w nocnej górskiej ciszy.

Przymknęła oczy, chociaż wątpiła, czy tej nocy w ogóle zaśnie. Zbyt wiele myśli krążyło jej po głowie. Po pierwsze, Brianne i ten głupi chłopak – nie, ten facet. Tyler. Dzięki Bogu, że jej córka jest bezpieczna, a komórka Haydena nie zdołała jej zapewnić połączenia ze światem zewnętrznym. Potem Jennifer i ta triumfująca minka na zadowolonej buzi. Nie wspominając już o tych głupich, ciągnących się aż do nieba nogach. Kobiety takie jak Jennifer zawsze sprawiały, że Val wydawała się sobie niezdarna i nijaka, co przynosiło bolesne wspomnienie skrępowania odczuwanego przez wszystkie lata spędzone w szkole średniej. A skoro już mowa o liceum, jak tu zapomnieć o Garym i ich nieoczekiwanych, ale także nieoczekiwanie cudownych igraszkach w stogu siana, czy też raczej w śpiworze, mówiąc ściśle? Wyrwał jej się odruchowy jęk, kiedy wspomniała ich oboje tarzających się po ciasnym wnętrzu namiotu. Przygryzła dolną wargę, żeby znów nie jęknąć, nadal go w sobie czując. Dobry Boże, co jej odbiło? Czy zupełnie zwariowała? I dlaczego akurat teraz? Akurat tu? W tych okolicznościach?

Po odejściu Evana inni mężczyźni robili jej awanse, a ona bez najmniejszego trudu je odrzucała. Prawdę mówiąc, nawet jej to ani odrobinę nie kusilo, tak bardzo była zdruzgotana decyzją Evana, że ją zostawi. Dlaczego więc teraz się poddała – do diabła, nawet nie poddała, sama to przecież zainicjowała – właśnie w momencie, kiedy Evan zaczął rzucać jakieś mało subtelne aluzje, jakoby chciał wrócić?

Czy sama tego powrotu chciała? To zaskakujące pytanie sprawiło, że szeroko otworzyła oczy. Czy życie pełne kłamstw i zwątpienia w siebie jest naprawdę lepsze od życia samotnego i pełnego żalu? I czy to są jedyne dwie

dostępne skrajności?

A skoro już mowa o wiarołomnych mężach, to gdzie tak konkretnie podział się David Gowan i czy się kiedyś dowiedzą, co mu się stało?

Sporo zatem było jeszcze do przemyślenia. Val przewróciła się w śpiworze na plecy i pogodziła z myślą, że to będzie bardzo długa noc.

Chwilę potem mocno spała.

– Żartujesz sobie ze mnie? – spytała Brianne, usiłując nie śmiać się z teatralnie zbolącej miny, zniekształcającej już i tak przesadnie ekspresyjną twarz Jamesa. – Powiedziała, że jesteś jak Toto?

– Pies – powiedział, ściągając szarą bluzę i mierzwiąc przy tym pomarańczowe włosy. – Pieprzony pies.

– Czy ona nie widzi, że o wiele bardziej przypominasz Dorotkę? – spytała Brianne.

– Dokładnie. Dziękuję ci, dziecko. Chociaż ktoś mnie rozumie.

– O Boże. Jesteś chodzącym stereotypem – powiedziała Brianne, tak jak wiele razy wcześniej. Przysunęła się do niego i mocno go uściskała.

– To samo da się powiedzieć o tobie. – James uniósł swój śpiwór. – Popatrz tylko na tę głupią rzecz. I co ja właściwie mam z tym zrobić?

– Masz się wsunąć do środka.

– Nie, no proszę cię. Bóg raczy wiedzieć, ilu ludzi już się tam wepchnęło.

– Zabawne. Słyszałam, że o tobie mówią podobnie.

James aż sapnął, z udanym oburzeniem pomachał rękoma przed własną twarzą.

– Paskudne dziewczusko. Doniosę na ciebie twojej matce.

Brianne zachichotała uradowana z własnej bezczelności. Mimo kwaśnych min i głośno deklarowanego obrzydzenia wobec sposobu, w jaki toczył się ten ich wspólny długi weekend, tak prawdę mówiąc, zaczynała się całkiem nieźle bawić. Może dlatego, że niedługo miał się skończyć. Spojrzała na zegarek. Dochodziła dziesiąta. Jeszcze tylko dwie godziny. A potem wielka ucieczka, pomyślała z przejęciem.

– Muszę iść do łazienki – oświadczyła, decydując, że pora na kolejny wypad do toalety.

– Znowu?

– Mam mały pęcherz.

– Od kiedy to?

– Od dziecka. Matka ci nie opowiadała, że kiedy byłam malutka, musiałam biegać do łazienki chyba co dziesięć minut, ale mi się nie chciało, więc po prostu sikałam w majtki?

– Czarujące.

– Podobno sikałam w majtki aż do siódmego roku życia – ciągnęła

niezrażona Brianne. – Matka stwierdziła, że zwariujemy obie, jeśli zacznie robić z tego wielki problem. Powiedziała, że jej zdaniem powinnam się nauczyć korzystać z łazienki, zanim przyjdzie pora, by poprowadzić mnie do ołtarza, i po prostu wysyłała mnie do szkoły z wielką torbą ubrań na zmianę.

– Tyle tolerancji i zrozumienia. Nic dziwnego, że jej nienawidzisz.

– A kto powiedział, że jej nienawidzę?

– A to nieprawda?

– No pewnie. Przecież to moja matka. Kocham ją.

– To czemu jesteś wobec niej wredna?

– Nie jestem wobec niej wredna.

– Jak to nie? – powiedział James.

– Bo nie – upierała się Brianne.

Oboje wybuchnęli śmiechem.

– Jesteś strasznie stereotypowy.

– Ty tak samo.

– Muszę iść do łazienki – ponownie oświadczyła Brianne.

– Pójdę z tobą.

– Co? Dlaczego?

– Dlaczego co? – powtórzył James.

– Poszedłeś ostatnim razem, kiedy szłam – stwierdziła Brianne.

– Może nie ty jedna masz mały pęcherz?

– Czy to znaczy, że za każdym razem będziesz chodzić ze mną do łazienki?

– Możliwe.

– To po prostu śmieszne. Nie ufasz mi?

– Oczywiście, że ci nie ufam. – Wydawał się zdumiony, że mogła w ogóle pytać. W jakiś sposób, pomyślała Brianne, udało mu się sprawić, że ten brak zaufania zabrzmiał uroczo. – Poza tym jest tam ciemno i czają się dzikie zwierzęta, i wydaje mi się, że powinnaś się cieszyć z towarzystwa.

– No to źle ci się wydaje.

– Mógłbym cię ochronić przed czymś... niefortunnym – powiedział James.

– Niefortunnym?

– Niespodziewanym. Niechcianym. Niepożądanym. Niestosownym.

– Niewiarygodne – powiedziała Brianne, kręcąc głową.

– Znam kung-fu.

– Naprawdę?

– Tak, musiałem się nauczyć do jednego musicalu parę lat temu. *Wykopy i podkopy* się nazywał. Niestety, zdjęli go zaraz po premierze. Szkoda, bo byłem w nim świetny.

– Będziesz kopał niedźwiedzie po łbach? – spytała Brianne.

– Zrobię co trzeba, żeby cię ochronić.

– A jeśli nie potrzebuję ochrony?  
– Każdy potrzebuje ochrony.  
– Nie – sprzeciwiła się Brianne. – Za to każdy potrzebuje snu. Włóż do tego śpiwora. Ja zaraz wrócę.  
– Czy jest jakiś konkretny powód, dla którego nie chcesz mojego towarzystwa?  
– Na przykład?  
– Nie wiem. Ty mi powiedz.  
– Myślisz, że się wykradnę na spotkanie ze swoim chłopakiem? – spytała Brianne, znudzona tą rozmową. Zaczynała mieć nieprzyjemne przeczucie, że wieczór nie potoczy się dokładnie tak, jak planowała.  
– A zamierzasz?  
– Jak mogłabym? Tyler przecież nawet nie wie, gdzie jestem.  
– Twoja matka ma co do niego rację – powiedział James.  
– O co ci chodzi? Jak może mieć co do niego rację, skoro nawet go nie zna?

Ty zresztą też nie.

– Wiem, że jest dla ciebie za stary.  
– Może jestem dojrzała, niż ci się wydaje.  
– Łałaś w majtki do siódmego roku życia – przypomniał jej James.  
– Powiedziałam ci to w zaufaniu! – najeżyła się Brianne. – A teraz wykorzystujesz to przeciwko mnie.  
– Przepraszam. Chciałem być dowcipny.  
– No cóż, nie udało ci się. W ogóle nie znasz się na żartach. Może Jennifer ma rację. Może jesteś po prostu takim... Toto. – Brianne gniewnie wylazła ze śpiwora, który zwijał się w fałdy wokół jej talii, a potem odsunęła wejściową klapę namiotu i zaczerpnęła haust nocnego powietrza. – Kiedyś ty się zrobił taki... drętwy? – zapytała kąśliwie, gramoląc się na zewnątrz.

Chwilę później szła zamaszystym krokiem w stronę przenośnych toalet na drugim krańcu obozowiska.

Nie musiała oglądać się za siebie, żeby się przekonać, że James idzie za nią krok w krok.

Jennifer słyszała Brianne sprzeczącą się z Jamesem w sąsiednim namiocie i zastanawiała się, czy powinna jakoś zainterweniować. Chyba już wystarczająco dużo dziś powiedziałaś, odezwał się wewnętrzny głos i doradził, żeby nie ruszała się z miejsca. Gniewne słowa brzmiały coraz głośniejsze, a potem nagle się urwały. Chwilę ciszy przerwały następnie odgłosy dwóch par stóp człapiących obok jej namiotu, a potem dalej, w głąb obozowiska. Owinęła się ściślej śpiworem i zadrżała, mimo że włożyła dodatkowy sweter. Zastanawiała się, co porabia Evan, czy te jego spotkania wreszcie dobiegły końca i czy się udały, czy w tej właśnie chwili leży w ich łóżku i tęskni za nią tak bardzo, jak ona za nim.

A może to za Val tęskni? – pomyślała, zbyt zmęczona, by tę niechcianą myśl odegnąć.

Prawdę mówiąc, nie byłby to aż tak wielki szok, gdyby się dowiedziała, że on nadal żywi jakieś uczucia wobec żony. Przecież sam już to w zasadzie przyznał. „Oczywiście, że nadal do niej coś czuję”, powiedział do Jennifer pewnej nocy, po tym jak parę drinków przydało jej odwagi i głupoty, by o to zapytać. „Byliśmy ze sobą szmat czasu. Nie zawsze byłem idealnym mężem”, dodał niemal z żalem.

Byłeś fatalnym mężem, pomyślała teraz Jennifer, chociaż wtedy szybko całą winę zwała na Val.

„Nic dobrego z tego nie będzie”, usłyszała słowa swojego ojca.

Idź sobie, tato, pomyślała. Ten namiot jest za mały dla nas wszystkich.

Tyle że już go widziała oczyma duszy, z plamami po jedzeniu pstrzęciami pogniecione ubranie, z potarganymi rzednącymi włosami, które przydałoby się umyć, z widocznymi strupami zasychającymi na zbyt różowej czaszce, wpatrującego się w nią oskarżycielsko. Zastanawiała się, czy Cameron chciało się do niego zajrzeć, czy wpadła tam na więcej niż parę minut. Czy dopilnowała, żeby coś zjadł? Czy go zabrała na przejażdżkę swoim nowym samochodem? Czy tylko siedziała z nim i współczuła mu samolubstwa młodszej córki?

Cholera, pomyślała Jennifer, słysząc, że Brianne i James wracają do swojego namiotu. Pomyślała, że powinna chyba tam iść i jeszcze raz przeprosić Jamesa. Przecież on jej w niczym nie zawinił. No, ale z drugiej strony, w ten weekend nic nie szło tak, jak powinno.

Czy to możliwe, że Val faktycznie takie rzeczy lubi? Czy tylko zgadzała się na to wszystko, bo mężowi takie klimaty odpowiadały? I czy ona sama nie postępowałaby identycznie, gdyby Evan był tu teraz?

Ale go tu nie ma, pomyślała Jennifer i postanowiła przestać się katować dalszą samoanalizą. Gdyby Evan tu był, wszystko wyglądałoby zupełnie inaczej. Nic z tego by się nie wydarzyło.

Szlag by to trafił, pomyślała, czując, że ściany namiotu napierają na nią, a pełen dezaprobaty wzrok ojca przydusza ją niczym przyciśnięta do twarzy poduszka. Nic dobrego z tego nie będzie.

Godzinę później, ośmielona równym oddechem Jamesa, Brianne wypęzła ze śpiwora i wygramoliła się przez klapę namiotu.

– Cześć – przywitał ją głos Jennifer, kiedy tylko znalazła się na zewnątrz.

– O mój Boże! – zawołała Brianne i osunęła się na kolana, a serce waliło jej tak szybko, jakby usiłowało wyrwać się z piersi. Co Jennifer tu robiła o tej porze, do cholery? I co Brianne ma teraz zrobić?

– Przepraszam. Przestraszyłam cię?

– A jak ci się zdaje? – spytała Brianne, w myślach powtarzając: „Cholera, cholera, cholera!”. – Co ty tutaj robisz?



– Nie mogłam spać. Te namioty są strasznie klaustrofobiczne, prawda?

Brianne wzruszyła ramionami. Nigdy nie przeszkadzały jej ciasne miejsca.

– Mam dyskomfort, jeśli nie mogę gdzieś stanąć wyprostowana – ciągnęła Jennifer. – Całkiem nieźle się czuję w miejscach, w których nie muszę się kulić. Na przykład w windach. Z windami nie mam problemu. Kiedyś nawet w jednej utknęłam. W Nowym Jorku. Między trzydziestym drugim a trzydziestym trzecim pięciem William Morris Endeavor przy alei Ameryk. Znasz ten budynek? – spytała.

Brianne nie zdążyła jej odpowiedzieć, że nie tylko tego budynku nie zna, ale i nie jest w najmniejszym stopniu zainteresowana ani tym budynkiem, ani resztą opowieści, gdyż Jennifer kontynuowała:

– No więc miałam tam pewnego dnia spotkanie. To było tuż po fuzji firm i rozważali przeprowadzenie kampanii reklamowej... Tak czy inaczej... No, nieważne.

Zdecydowanie nieważne, pomyślała Brianne.

– No i stoję w tej windzie, z kilkoma innymi osobami, i wszystko jest okej. Trzy osoby wysiadają. Kilka innych wsiada. I nagle ta przeklęta winda szarpie i staje. No a my w niej... stoimy. Czworo nas było. W tej starej windzie. I tkwimy w niej bitą godzinę. I jeden facet zaczyna svirować. Znaczy, poci się i wrzeszczy, i szaleje. „Wypuście mnie stąd! Wypuście mnie stąd!”. A nam udaje się jakoś go uspokoić, ale w windzie jest gorąco, bo to lato i klimatyzacja teraz też nie działa, i ta reszta ludzi w windzie też zaczyna się trochę denerwować. A mnie nic nie rusza. Zupełnie nic.

– Niesamowite – powiedziała Brianne z kamienną twarzą.

Jennifer pokiwała głową.

– A mimo to wsadźcie mnie gdzieś, gdzie nie mogę stanąć wyprostowana, na przykład w jaskini czy coś... Albo jak ten głupi namiot – powiedziała i płaśnięła dłonią o jego plandekę. – Nie wiedziałam, że w namiotach jest tak mało miejsca. A ty?

– Namiot to namiot – stwierdziła Brianne, jakby to wszystko wyjaśniało.

– Widziałam kiedyś taki film. O dziewczynie, którą ktoś więził w podziemnej jaskini i żeby z niej uciec, musiała się wyczołgać przez naprawdę długi tunel. I co jakiś czas docierała do miejsca, gdzie udawało jej się z trudem usiąść, ale to wszystko, wyprostować się nijak nie mogła. A potem musiała czołgać się dalej. Po prostu odjechałam, musiałam wyjść z kina. Albo to, albo na miejscu szlag mnie trafi, powiedziałam sobie.

Nie mam nic przeciwko, żeby cię trafił, pomyślała Brianne, zerkając na zegarek. Do północy zostało dwadzieścia minut.

– Czy tak jak w czasach imperium rzymskiego...

– Dobra! – przerwała jej Brianne. – Rozumiem. Nie lubisz miejsc, gdzie nie możesz stanąć.

– Kiedy moja matka chorowała, musieli jej zrobić MRI – ciągnęła Jennifer, nieświadoma obojętności Brianne. A może ją tylko ignorowała? – Wiesz, co to jest?

Brianne skinęła głową. Naoglądała się dosyć powtórek *Ostrego dyżuru* i *Dr House'a*, żeby wiedzieć, co to rezonans magnetyczny.

– Matce musieli go zrobić. No i wsadzili ją do tej długiej rury...

– Wiem.

– I ona tam leżała na tym wąskim stole, i ta straszna maszyna miała ją zaraz połknąć, a ja sobie pomyślałam...

– Jezu, zastrzelcie mnie – nie wytrzymała Brianne.

– Pomyślałam, że ona musi się potwornie bać. – Po policzkach Jennifer nagle spłynęły łzy. – Jak w pułapce, taka bezradna, świadoma, że umrze, świadoma, że nic na to nie może poradzić.

Brianne posiedziała w kompletnym bezruchu jeszcze kilka chwil, zastanawiając się, co ma teraz, u licha, począć. Z Tylerem ma się spotkać przy wjeździe na kemping za niecałe dwadzieścia minut, a tymczasem nie może się odczepić od tej Panny Nieszczęśnicy.

– No cóż, miło mi było tak sobie z tobą pogadać – odezwała się i sięgnąwszy za siebie, znów rozsunęła klapę namiotu. – Chyba spróbuję teraz pospać.

– Przepraszam. Nie wybierałaś się do toalety?

– Odechciało mi się. – Brianne już prawie weszła do namiotu. – Robi się bardzo zimno. Nie powinnaś przynajmniej spróbować zasnąć?

– Nie wiem, czy mi się uda.

– Moim zdaniem trzeba próbować. Może jeśli zamkniesz oczy, to zapomnisz o swoich fobiach.

Jennifer nie ruszyła się z miejsca.

– Czytałam gdzieś, że wszystkie fobie tak naprawdę są strachem przed śmiercią.

– Brzmi logicznie.

Brianne schowała się w namiocie, weszła do śpiwora, a potem położyła się i leżała w ciemności z szeroko otwartymi oczami. Zastrzelcie mnie, pomyślała.

Dziewczyna usiadła na zbyt miękkim łóżku i spojrzała w stronę okna. No dobra, ale gdzie on się podział? – zastanawiała się. Spojrzała na zegar na stoliku obok łóżka i zauważyła, że jest prawie druga nad ranem. Zaczynała się niepokoić. Powinien był już do tej pory wrócić. Ile czasu potrzeba, żeby pozbyć się ciała?

Szybko odtworzyła w myślach wydarzenia tego wieczoru: jego późny powrót, ulgę na jego twarzy, kiedy zorientował się, że nie jest na niego wściekła. „Przerwano mi”, tyle jej powiedział. Nieznane ciuchy, jakie miał na sobie, i to, że nie zdjął ich nawet wtedy, kiedy ściągnął z niej dzinsy i wszedł w nią, najpierw na posłaniu z zimnych, wilgotnych liści, a potem tutaj, w domku Lauferów, na zbyt miękkim łóżku niczego już nieświadomych gospodarzy. Czule wspominała krwawe ślady pozostawione przez jego dłoń na jej piersi i uśmiechnęła się, znów czując smak świeżej krwi na jego wargach.

Czyjej krwi? Nie zapytała go o to.

Znów zabił, tego była pewna i poczuła ukłucie zazdrości, że nie było jej przy nim, ukłucie gniewu, że nie zaczekał na nią. Była jednak zbyt mądra, żeby go o to pytać czy rozliczać z tego. Nie lubił, kiedy się go wypytywało.

Każda rzecz ma swój powód. Opowie jej wszystko, kiedy nadejdzie właściwy czas. „Później”, rzuci w odpowiedzi na jej pytające spojrzenie. To pojedyncze słowo – przepełnione zarówno obietnicą, jak i możliwościami – podekscytowało ją jeszcze bardziej. A potem, kiedy wziął ją po raz trzeci – tym razem od tyłu, ujeżdżając ją, jakby była wierzgającą, dziką klaczką – oświadczył, że znów musi wyjść.

– Pójdę z tobą – zaproponowała.

– Nie. Zostań tutaj – przykazał jej. – Mam trochę sprzątanania. Niedługo wrócę.

Gdzie się teraz podziewa? Co go tak długo zatrzymywało? Czy coś mu się stało?

Wstała z łóżka, odsuwając nieprzyjemne myśli. Po prostu nie będzie rozważać takich przerażających możliwości. Jeśli coś mu się stało, jeśli został złapany przez policję albo, nie daj Boże, spotkała go jakaś krzywda, to co ona zrobi? Nie miała pojęcia. Kochała go tak bardzo, że po prostu nie chciałyby żyć dalej bez niego.

– Nie ma mnie bez ciebie – powiedziała. Catherine... Veronica... Nikki... One wszystkie przestaną istnieć.

Czy on czuł to samo do niej?

Nie była tego pewna.

I wtedy dopadła ją kolejna nieprzyjemna myśl: że on może być z kimś innym.

Na samą myśl o nim z inną dziewczyną robiło jej się niedobrze. Włączyła górne światło, chcąc zatrzeć ten obraz. W świetle wyraźnie dostrzegła wygląd sypialni.

– Uch – powiedziała, obejmując spojrzeniem poźółkłą koronkową serwetkę na blacie komody z ciemnego dębu, a potem pasujące do niej koronkowe firanki przesłaniające wielkie prostokątne okno. Starzy ludzie i ich starocie. Jednakże była zadowolona z oksykodonu, który znalazła w szafce z lekami, i wsunęła jeszcze jeden do ust, w nadziei że lek uciszy jej rosnący niepokój.

Na koronkowej serwetce stała oprawna fotografia ludzi, których pomogła zamordować. Lauferowie uśmiechali się z niej miło, nieświadomi losu, jaki oczekiwał ich z jej ręki. Uniosła zdjęcie bliżej oczu. Jak to się dzieje, że wszyscy starzy ludzie są do siebie podobni? Zastanawiała się nad tym bez litości ani poczucia winy. Ot, wymienne twarze. I życie też do wymiany.

Wymiany na śmierć, dodała w myślach, zadowolona ze swojej błyskotliwości.

Pomyślała o innych parach, które zamordowali. Ich ofiary nie miały w sobie nawet odrobiny czegoś wyjątkowego, pomijając może wyjątkowy sposób, w jaki rozstawały się ze światem.

A jednak nawet w takich niezwykłych okolicznościach wszyscy okazywali się zaskakująco podobni, wszyscy umierali z tym samym przerażonym spojrzeniem w wodnistych, bladych oczach – jakby nie mogli uwierzyć, że przetrwawszy tak długo, doczekali się takiego losu. Jakby sam fakt, że tak długo żyli, tym nudnym i całkowicie nieistotnym życiem, upoważniał ich do ześlizgnięcia się w spokojne objęcia śmierci przy minimum zamieszania i bólu.

– A tu niespodzianka! – zawołała radośnie, wrzucając do ust jeszcze jeden oksykodon, jakby to był cukierek, i upuszczając zdjęcie w ramce na podłogę.

Zaczęła otwierać szuflady komody i bezmyślnie grzebać w ich zawartości. W górnej szufladzie leżało trochę brzydkich broszek z kryształami górskimi i jarmarcznych paciorkowych koralików, w środkowej było sporo bielizny i koszul nocnych.

– Nie wyobrażaj sobie, że będziesz tych rzeczy jeszcze potrzebowała! – powiedziała, wyciągając bladą różową halkę.

Halka wysunęła się jej z rąk i zaczepiła o duży palec u nogi. Podniosła ją i przyłożyła do swoich nagich piersi. Podeszła do szafy i przejrzała się w lustrze po wewnętrznej stronie drzwi.

– Babciu, a dlaczego masz takie wielkie piersi? – Podrzuciła halkę w powietrze i patrzyła, jak spływa łagodnie na podłogę niczym spadochron. – Co

tam jeszcze masz?

Przejrzała ubrania wiszące w schludnym rzędzie na ciemnozielonych plastikowych wieszakach. Szybko przymierzyła liliową luźną sukienkę, błękitny kaszmirowy sweterek i parę białych spodni do pół łydki. Wszystko było dla niej kilka numerów za duże i wszystko zostawiła luzem na podłodze.

– Nie ty jeden możesz się bawić w przebieranki – powiedziała, myśląc o Kennym i zastanawiając się, co on w tej chwili robi.

Znowu modliła się o to, żeby nic złego go nie spotkało, z nadzieją że miał ważny powód, by ją z tego ostatniego morderstwa wykluczyć.

– Proszę, niech to nie znaczy, że on jest z kimś innym – szepnęła i usłyszała, jak lęk w jej słowach odbija się echem od ścian. Czy to tam był teraz? Z powrotem w hotelu, gdzie zafundowali sobie kilka uroczystych kolacji? Szukając kogoś, kto ją zastąpi?

Na samą myśl aż zgięła się wpół i z trudem opanowała mdłości. Nikt nigdy nie pozwolił jej poczuć się tak chcianą, tak cenioną, tak kochaną. Na pewno nigdy by jej nie zdradził. A jednak zdarzały się chwile, kiedy łapała go na przyglądaniu się innym dziewczynom. Czuła wtedy, że mu nie wystarcza. Czasem wątpiła, czy zdoła utrzymać jego zainteresowanie, czasem bała się, że ją zostawi dla jakiejś ładniejszej, bystrzejszej, odważniejszej.

A przecież czy nie robiła wszystkiego, o co ją prosił, a nawet jeszcze więcej? Czy nie wypełniała każdego jego polecenia tak, żeby był zadowolony, nawet tego sprzątnia, którego tak nie cierpiała? Czy nie pomogła mu znaleźć ich ostatniej ofiary? Czy sama nie doprowadziła tego faceta na miejsce jatki? Westchnęła na samo wspomnienie.

– Cześć – powiedziała, kiedy podeszła do niego. Siedział samotnie na skraju wielkiego hotelowego basenu. Jasnoblękitna chlorowana woda połyskiwała w świetle księżycy. – Nie możesz spać?

– Jedna z tych nocy...

– U mnie też. Mogę z tobą posiedzieć?

Jego spojrzenie było wyraźnie zaciekawione.

– Mnóstwo wolnych leżaków.

– Widziałam cię wcześniej. W jadalni. David, prawda? Słyszałam, że żona mówiła na ciebie David.

– Wśród innych wyszukanych epitetów.

– Tak. Była nieźle zdenerwowana.

– Przepraszam za to.

– Nie musisz przeproszać.

– A ty jesteś...?

– Nicole. Ale możesz mówić do mnie Nikki.

– Ładne imię.

– Dziękuję. Mnie zawsze podobało się imię David.

Wzruszył ramionami, chociaż widziała, że było mu przyjemnie. Mężczyźni przełkną łapczywie każde życzliwe słowo, pomyślała.

– Całkiem zwyczajne imię – stwierdził.

– Być może. Ale silne. I moim zdaniem atrakcyjne. Uważam, że dobrze je nosisz – dorzuciła na dokładkę, przypomniawszy sobie tekst usłyszany w jednym z filmów na Lifetime TV.

David zachichotał i przez chwilę obawiała się, że może posunęła się za daleko, że jej bezczelność każe mu uciekać gdzie pieprz rośnie. Był przecież w podróży poślubnej. On jednak tylko przez parę chwil się powiercił, a potem znów umościł na leżaku, jakby nigdzie się nie wybierał.

– Nie zapytasz mnie, o co się posprzeczaaliśmy?

– Nie ma potrzeby.

Uniósł brew.

– Przecież w zasadzie całość słyszałam.

Roześmiał się, a ona rozejrzała się wkoło, chcąc sprawdzić, czy ten odgłos nie przyciągnął czyjejs uwagi. Ale nikt ich nie obserwował i nikogo w pobliżu nie było.

– Jeśli to cię pocieszy, uważam, że miałaś rację.

– Doceniam to. – A potem: – Nie za późna pora, żebyś była poza hotelem?

– Ile ja twoim zdaniem mam lat? – spytała w odpowiedzi.

– Nie wiem. Szesnaście, siedemnaście.

– Mam dwadzieścia.

– Niemożliwe.

– No dobrze. Masz rację. Mam dziewiętnaście i pół.

– Wyglądasz na mniej.

– Chcesz zobaczyć moje prawo jazdy?

Uśmiech zabarwiony nutką ulgi.

– Nie sądzę, żeby to było konieczne.

– Moim zdaniem powinieneś móc pojechać na ryby – powiedziała mu. – Jeśli na to masz ochotę.

– Moja ochota nie ma, zdaje się, wielkiego znaczenia.

– A powinna.

– To nawet nie jest takie ważne. Tyle że ja zaplanowałem to parę tygodni temu i mówiłem jej o tym. Naprawdę mówiłem.

– A ja naprawdę nie rozumiem problemu. Ty chcesz jechać na ryby, ona chce spędzić czas z rodziną. Dlaczego nie możecie oboje mieć tego, na co macie ochotę?

– Tak samo myślę.

– Może ona się jeszcze opamięta.

– Może piekło zamarznie. – Wyrwał mu się ni to śmiech, ni parsknięcie, a ona spróbowała wyobrazić sobie, jaki odgłos mu się wyrwie, kiedy wbije długi nóż pomiędzy jego żebra. – Nie powinienem był nazwać jej suką – stwierdził.

– Ona nie powinna była nazywać cię dupkiem – przypomniała mu, a wyobrażony nóż wrednie przekreśliła w ranie.

– Może jestem dupkiem. – Tonem głosu David błagał, żeby się sprzeciwiła. Spełniła oczekiwanie.

– Na pewno nie jesteś.

– Nie znasz mnie zbyt dobrze.

– Wcale cię nie znam. Ale mam dobrą intuicję.

– A twoja intuicja podpowiada ci... co tak konkretnie?

– Że jesteś całkiem przyzwoitym facetem. Że nie zasługujesz na to, żeby na ciebie wrzeszczeć publicznie i stawiać w niezręcznej sytuacji.

David zeszywniał na samo wspomnienie.

– Wiesz, co moja intuicja podpowiada mi teraz?

Wstrzymała oddech, spoglądając na niego spod rozmyślnie opuszczonych powiek.

– Że powinienem się chyba stąd zabrać, nim zrobię coś naprawdę głupiego.

– Na przykład? – spytała prowokująco.

Umilkł i widać było, że walczy z własnym sumieniem o to, co zrobić teraz. A potem nachylił się i ją pocałował.

– Cholera – powiedział zaraz potem. – Ja naprawdę jestem dupkiem. Przyjechałem tu na pięprzony miesiąc miodowy, na litość boską. – Wstał. – Przepraszam. Naprawdę powinienem wracać na górę.

– Oczywiście. To wszystko moja wina.

– Nie. Oczywiście, że nie twoja. Po prostu byłaś dla mnie miła.

– Nie jestem – odparła. – To znaczy, miła.

Uśmiechnął się i odwrócił.

– Mogę cię prosić o przysługę? – spytała.

Obejrzał się.

– Nieważne. Nie powinnam o to prosić.

– A o co chodzi?

– No bo wiesz, ja tak naprawdę nie mieszkam w hotelu – odpowiedziała po chwili wahania. – Przyszłam tu tylko na kolację. Zatrzymałam się w domku przyjaciół. Kawalek w tę stronę. I tak się zastanawiałam... Może mógłbyś mnie odprowadzić? Jest ciemno i tak dalej. Obiecuję, że to zajmie tylko kilka minut. Na dobranoc już mnie pocałowałeś – dodała miękko, pogrywając na jego poczuciu winy.

Teraz on chwilę się wahał.

– Jasne. Czemu nie? Parę minut mnie nie zbawi. Przynajmniej tyle mogę

zrobić.

I to ostatnie, co zrobiłaś, pomyślała teraz, przypominając sobie, jak poszli wspólnie wzdłuż biegnącego za hotelem strumienia wijącą się drogą.

– Jesteśmy już prawie na miejscu – powtórzyła kilka razy. A potem, kiedy minęło bite dziesięć minut: – Przepraszam, sama sobie nie zdawałam sprawy, że to tak daleko. – A jeszcze potem, kiedy domek wreszcie się wyłonił: – Zaczekasz, aż bezpiecznie wejdę do środka? – I na koniec: – Może wejdiesz na chwilę? Tylko póki nie zapalę świateł.

Nóż utkwiał w jego plecach niemal w tej samej chwili, w której David przekroczył próg. Jęknął i zatoczył się w przód. Głośno wypuścił powietrze z płuc, obrócił się wokół siebie i uprzednia konsternacja na jego twarzy zaczęła ustępować zrozumieniu tego, co się działo, a wreszcie wściekłości. Rzucił się w jej stronę, sięgając dłońmi do gardła, mimo że nogi już się pod nim ugiwały.

– Nie bądź taki Speedy Gonzales – zakpiła, usuwając się poza zasięg jego rąk i patrząc, jak bezradnie orze powietrze paznokciami zakrzywionych palców.

A potem oboje rzucili się na niego z nożami i maczetą, radośnie odrabując ciało od kości i skórę od chrząstek, aż ubrania przesiąkły im potem od wysiłku, a David leżał zmasakrowany i zalany własną krwią.

– Mam nadzieję, że ten twój pierdolony miesiąc miodowy mija ci równie miło, jak nam – rzuciła i roześmiała się, kiedy uprawiali seks obok jego pokaleczonych, poszarpanych zwłok.

Kiedy zgłodnieli, zrobili sobie kanapki i popili nocną przekąskę kolejną butelką drogiego bordeaux ze zbiorów Lauferów, omawiając wady i zalety młodych ofiar w porównaniu ze starymi.

Zgodzili się, że i starzy, i młodzi oferują własny zestaw ryzyka i satysfakcji. Młodsze ofiary były silniejsze i reagowały szybciej, stanowiąc większe wyzwanie. A jednak nie były tak zabawne i nie dawały tyle głębokiej satysfakcji, co zabijanie starych ludzi, stwierdziła.

Niemniej, jak brzmi to znane powiedzenie? Różnorodność urozmaica życie.

Podobnie jak śmierć, pomyślała, uśmiechając się na wspomnienie spaceru następnego ranka do hotelu, gdzie aż huczało od plotek na temat zniknięcia Davida. Później, po powrocie do domku zobaczyła, że podłoga została zmyta, a zwłoki Davida usunięte, chociaż dostrzegła, że strzępki jego ciała nadal przywierały do podłogowych desek jak uparte kłębki kurzu.

Zdjęła bawełnianą sukienkę w kwiatki z jednego z wieszaków i wciągnęła ją przez głowę, zabrała z komody dużą broszkę z kryształami górskimi w kształcie kokardy i przypięła do obfitych fałd materiału na biuście, a potem wyszła z sypialni.

– A kuku, widzę cię – powiedziała, dostrzegając plamę krwi pod przeciwległą ścianą pokoju dziennego. – Nudzę się – dodała parę chwil później,



uświadamiając sobie nagle stęchły smród krwi unoszący się z nadal wilgotnej i pewnie niemożliwej już do wywabienia plamy na beżowym chodniku.

Kłopot z zabijaniem polega na tym, że jest uzależniające. Zupełnie jak trawka, pomyślała, grzebiąc wśród poduszek sofy w poszukiwaniu torebki pełnej świeżo zrobionych skrętów, którą tam zostawiła wcześniej.

– A, tu jesteś, mała cholero.

Roześmiała się i wyciągnęła z niej zębami najgrubszego skręta, a potem poszła do kuchni odpalić go od palnika kuchenki. Zaciągnęła się mocno, przełykając większość dymu, zanim wypuściła jego niewielką resztę w serii idealnie ukształtowanych kółek. Dziadek nauczył ją tej sztuczki na zwykłych papierosach, mniej więcej wtedy, kiedy przestał bujać ją na kolanie i zaczął wsuwać rękę w jej majtki.

A może wcale tego nie robił? – pomyślała. Może babka miała rację, a ona była tylko głupią małą dziewczynką, która wszystko to sobie zmyśliła? „Z tym dzieckiem jest coś nie tak – podsłuchiwała, jak babka szepce do matki któregoś wieczoru. – Chyba potrzebna jest jej jakaś profesjonalna pomoc”.

– A ty kłamczuszkę niedobry! – zanuciła pod nosem, a kółka dymu unosiły się nad jej głową niczym małe aureole. – Ożeż do licha ciężkiego! – wrzasnęła po chwili, ze złością obracając się na pięcie wkoło. – Jak ludzie mogą nie mieć telewizora? – Powinni byli przywieźć ze sobą ten, który ukradli w Berkshires, zamiast zastawiać go w lombardzie. Chociaż kto mógł przewidzieć, że wybiorą sobie domek, w którym nie będzie odbiornika? – Kto nie ma telewizora, do kurwy nędzy?

Przypomniała sobie, że Stuart Laufer powiedział: „Mamy radio”.

– Taa, jasne. No, wielkie dzięki za to.

Zaciągnęła się skrętem, wypaliła go do połowy, a potem zdusiła niedopałek na kuchennym blacie, patrząc, jak na laminacie powstaje małe brązowe kółeczko. Czowała, że w głowie zaczyna jej przyjemnie szumieć, szyję ogarniało ciepło, jakby się owinęła szalikiem. Matka dostałaby zawału, gdyby mnie teraz zobaczyła, pomyślała z uśmiechem, a potem z roztargnieniem zastanowiła się, co też jej matka robi akurat w tej chwili, czy w ogóle wie o jej zniknięciu, czy ta kobieta ma chociaż cień przeczucia, gdzie ona jest i co przez te ostatnie tygodnie porabiała?

Jeśli nie, to wkrótce o niej usłyszy.

– Znów mi się nudzi – oświadczyła ścianom śpiewnym tonem, zastanawiając się, czy jednak nie dopalić tego skręta.

Kenny złościłby się na nią, że na niego nie zaczekała. Powiedziałby, że jest samolubna. Ale co, do diabła! On też jest samolubny. Najpierw wraca późno, a potem znów gdzieś znika sam, zabijając bez niej. Nie wspominając o tym, że któregoś wieczoru przyłapała go w hotelu, jak gapił się na tyłek kelnerki, myśląc, że ona akurat nie patrzy. Rzucił raz nawet mimochodem, że może pewnego dnia

spróbują w trójkątku. Przypomniała sobie tę uwagę, do tej pory skutecznie z pamięci wypieraną.

Co to znaczy? Czy on już jej nie kocha?

Znów poczuła się tak, jakby w jej żyłach zaczynały krążyć maleńkie bąbelki paniki. Musi przestać myśleć w taki sposób. Oczywiście, że Kenny ją kocha. Marihuana przyprawia ją o paranoję, i tyle. I ten oksykodon. Zamulają jej umysł i napełniają go debilnymi pomysłami. Muszę sobie znaleźć jakieś inne zajęcie, pomyślała i nagle przypomniał jej się komputer Stuarta. Może znajdzie sobie na nim coś do obejrzenia.

– No dobrze, zobaczmy, co my tu mamy – powiedziała, zabierając laptop z kuchennego kontuaru i niosąc go na sofę.

Usiadła na niej po turecku, laptop postawiła na kolanach, włączyła go i odczekała, aż urządzenie ruszy. Na monitorze pojawiło się kilka ładnych odcieni niebieskiego. Szybko wcisnęła odpowiednie klawisze.

– Zobaczmy, jaka poczta do was przychodzi – powiedziała z nadzieją, że hasło nie będzie potrzebne. – Ellen, jaka grzeczna dziewczynka – dodała, gdy przeraźliwie entuzjastyczny głos oświadczył pogodnie: „Masz nową wiadomość”. – Żadnych hasełek. Pewnie i tak nawet byś nie umiała zapamiętać. – Zachichotała, widząc w skrzynce tylko trzy nowe wiadomości. – Popularna to ty nie jesteś, co? W dodatku jeden z nich jest z Saksa. Mają w ten weekend wyprzedaż i wygląda na to, że ją przegapisz. Jaka szkoda. Letnia kolekcja chodzi o trzydzieści procent taniej dla wybranych produktów, a przy niektórych innych jest nawet pięćdziesiąt procent zniżki. Całkiem niezła okazja. Zwłaszcza że u ciebie w szafie dość skromnie, jak widziałam. – Spojrzała na kwiecistą sukienkę, którą miała na sobie. – Przydałoby ci się parę nowych rzeczy. – Usunęła wiadomość i otworzyła kolejną, czując, że ciepło z okolic karku objęło już całą jej głowę.

„Cześć, Ellen – przeczytała. Słowa pływały po ekranie na falach oksykodonu. – Chcę Ci tylko dać znać, że Wayne i ja wróciliśmy wczoraj z Paryża – nasze zdjęcia możesz obejrzeć na [franandwaynemcquaker.com](http://franandwaynemcquaker.com) – i że było tam cudownie, jak zawsze. To naprawdę najpiękniejsze miasto na świecie. Oczywiście Wayne miał kłopoty z kręgosłupem, a ja przez pierwszą część wycieczki byłam strasznie przeziębiona. A w samolocie, podczas powrotnego lotu, turbulencje były tak okropne, że całkiem zatkało mi uszy. Szczerze mówiąc, nadal czuję się tak, jakby ktoś za mną stał i zatykał mi te uszy palcami. Bardzo irytujące. No, ale opowiem ci wszystko w nadchodzący weekend. Wayne i ja nie możemy się już doczekać tej naszej wizyty. O wiele za długo Was nie widzieliśmy. Ściskam, Fran”.

– [franandwaynemcquaker.com](http://franandwaynemcquaker.com) – powiedziała dziewczyna, czując, że te słowa lepią jej się do języka. – McQuaker... McQuaker – powtarzała nazwisko, usiłując je od niego odkleić. – Oparła się o poduszki sofy i usiłowała skoncentrować się wśród mgły, która raptownie ją ogarniała. Co też ta poczciwa

stara Fran McQuaker miała na myśli, pisząc, że wszystko opowie Ellen w ten weekend? – Wayne i ja nie możemy się już doczekać tej naszej wizyty – powtórzyła głośno, nie do końca rozumiejąc słowa. Ich znaczenie jej się wymykało.

Dostrzegła, że wiadomość przysłało dzisiaj po południu.

– Zdaje się, że będziemy mieli gości – powiedziała, przymykając oczy.

Musi powiedzieć Kenny’emu, że jakieś potencjalne ofiary są w drodze. Chociaż on już nie każe się nazywać Kenny... Bezskutecznie usiłowała sobie przypomnieć nowe imię, jakie dla siebie wymyślił.

Pewnie nie powinnam tak przeginać z zieleń, o oksykodonie już nie wspominając, pomyślała, roześmiała się i otworzyła trzeci i ostatni e-mail.

– Popatrzmy, co się kryje za bramką numer trzy.

„Cześć, Mamo” – zaczynała się ta wiadomość.

Dziewczyna pochyliła się, zupełnie zapominając o poprzednim e-mailu. No, teraz może będzie ciekawie, pomyślała.

„Katarina właśnie mi powiedziała, że chyba któregoś dnia dzwoniłaś. Połączenie było kiepskie, a ona była czymś zajęta i nie mogła rozmawiać. Przesyła Ci przeprosiny. I jak wszystko się układa w Shadow Creek? (Tak przy okazji, ta nazwa nadal mnie przyprawia o dreszcze). Tutaj, w słonecznej i pozbawionej cieni Kalifornii wszystko toczy się dobrze. Willow i Mason są na letnim obozie, a Katarina właśnie zaczęła brać lekcje aktorstwa i ma nadzieję znaleźć sobie jakiegoś agenta. Moja kancelaria adwokacka radzi sobie dobrze, a w golfa idzie mi coraz lepiej. Niedawno zaliczyłem 78. Handicap zbliża się do pojedynczej cyfry (to akurat dobrze). Obawiam się, że małe są szanse na nasz przyjazd jesienią. Wrzesień to w mojej branży bardzo ciężki miesiąc – bierzemy pod uwagę fuzję z jeszcze jedną kancelarią, a dzieciaki wracają do szkoły i rusza sezon castingów. Dlaczego w ogóle musieliście się pobrać akurat we wrześniu? Może pomyślcie o przyjeździe do nas na parę dni wiosną. Niedaleko otwarto taką wspinałą nową restaurację, moglibyśmy tam uczcić waszą pięćdziesiątą rocznicę (i pół). Naprawdę imponująca liczba. Pomyślcie o tym, dobrze? I pozdrów ode mnie Tatę. Ściskam na razie, Ben”.

– Proszę, proszę, jaki kochający synalek! – powiedziała, dziwnie oburzona w imieniu Ellen. – Nie może się wyrwać z domu na rocznicę ślubu rodziców, ale, hej! W golfa zalicza siedemdziesiąt osiem punktów. Dobrze znać kogoś, kto umie sobie poustawiać priorytety. – Ziewnęła, wyciągając ramiona wysoko nad głową. – Co by tu odpisać, co by tu odpisać? Zastanówmy się – powiedziała i zgarbiła się nad laptopem. – Drogi Benie. Drogi, drogi Benie. Kochany syneczku. Ben, ty kupo łajna... – Uśmiechnęła się od ucha do ucha. – Nie, chyba umiem to zrobić lepiej.

„Drogi Benie – pisała powoli samymi kciukami. – Nie przejmuj się, że nie możesz przyjechać na naszą rocznicową imprezę tej jesieni. Ojciec i ja

postanowiliśmy się rozwieść. Buziaki, Mama”.

Wysłała wiadomość, a potem wybuchnęła kolejną porcją chichotów.

I nagle usłyszała jakiś hałas na zewnątrz. Gdy poderwała się na nogi, laptop zsunął się z jej kolan i spadł na podłogę.

– Kto tam? – Podeszła ostrożnie do drzwi wejściowych. – Jest tam kto?

W odpowiedzi usłyszała głośne stukanie do drzwi.

Pobiegła do kuchni, chwyciła długi nóż z kontuaru, w głowie nagle jej się przejaśniło.

– Kto tam? – zapytała z uchem przy drzwiach.

– Przepraszam, że przeszkadzam, pani Laufer – nadeszła natychmiastowa odpowiedź. – Tu Henry Voight. Ze straży leśnej.

Dziewczyna schowała nóż za plecami i otworzyła drzwi przystojnemu, umundurowanemu mężczyźnie.

– Babcia śpi – powiedziała.

– Przepraszam, że zawracam głowę o tak późnej porze. Nie wiedziałem, że państwo Laufer mają gości. Patroluję teren i zobaczyłem włączone światło, inaczej nie pozwoliłbym sobie pukać. Chciałem się tylko upewnić, czy wszystko w porządku.

– Bardzo pan miły – odparła. – Na pewno pan przemarzł. Może wejdzie pan do środka? Zrobię trochę pysznej herbaty brzoskwiniowo-żurawinowej.

Z uśmiechem wpuściła go do środka i zamknęła drzwi.

Dokładnie o drugiej nad ranem Val obudziła się z nieprzyjemnego snu, którego szczegóły umknęły jej, zanim jeszcze zdążyła na dobre otworzyć powieki. Coś o tym, że ganiał ją jakiś zakapturzony wielkolud z hakiem zamiast jednej ręki. Super, pomyślała, czując że znajome parcie na pęcherz wygania z jej myśli ostatnie fragmenty snu.

Usiadła, stwierdziła, że musi się wysiusiać, i zastanowiła się, czy zdoła jakoś wytrzymać, póki nie wstanie świt. Kolejna chwila uprzytomniła jej, że w żaden sposób nie wytrzyma do rana i równie dobrze może iść do łazienki teraz, zamiast leżeć tu godzinami w niewygodzie, a potem i tak ostatecznie ustąpić zewowi natury. Jeśli wstanie teraz, przynajmniej będzie miała jeszcze szansę zasnąć ponownie.

– Melisso – szepnęła, gramoląc się ze śpiwora. Miała nadzieję, że przyjaciółka nie śpi i dotrzyma jej towarzystwa. – Melisso, śpisz?

Melissa spała mocno i głęboko, i nawet energiczne potrząśnięcie za ramię nie zdołało jej obudzić.

– Muszę się wysikać – i tak powiedziała Val.

Kemping był pogrążony w niesamowitym bezruchu jak w gęstej mgle. Pomijając miriady owadów, dziko krążące wokół lamp podwieszonych w strategicznych miejscach obozowiska na wysokich słupach, nic się nie poruszało. Powietrze mocno pachniało deszczem. Co mnie opętało, że się zgodziłam na tę wycieczkę? – spytała siebie po raz chyba setny, a to pozostające bez odpowiedzi pytanie dręczyło ją przez całą drogę do miejsca, w którym kilkanaście przenośnych toalet stało niczym wartownicy, otoczeni z trzech stron wysokimi sosnami i świerkami. Kiedy tylko się rozjaśni, zabieram się stąd, postanowiła. W ogóle nie powinnam była przyjeżdżać. Co ja sobie, na miłość boską, wyobrażałam?

Sięgnęła do drzwi najbliższej z toalet i otworzyła je, odruchowo wypatrując w mrocznym wnętrzu intruzów w postaci pajaków albo węży.

– Tylko tego by mi jeszcze brakowało – mruknęła, szybko opuściła dżinsy i przycupnęła niepewnie nad plastikowym siedziskiem.

I wtedy usłyszała na zewnątrz jakiś ruch.

Cholerny świat, pomyślała. Wstrzymała oddech i czekała.

Przez kilka sekund nic. Val uznała już, że to tylko jej własna wyobraźnia i wyraźnie pracujący w nadgodzinach pęcherz. A wtedy usłyszała ten odgłos jeszcze raz. Wyraźny trzask gałązek i stłumione szuranie stóp. Jakieś zwierzę? A potem kłamka drzwi poruszyła się i cała toaleta aż się zatrzęsała.

Ktoś – albo coś... – próbował otworzyć drzwi.

Człowiek-Hak!

Parsknęłyby śmiechem, gdyby nie to, że jednak głośno wrzasnęła.

– Przepraszam – usłyszała znajomy głos. – Nie wiedziałam, że ktoś tam jest.

– Jennifer?

– Valerie?

– Mało się nie posikałam ze strachu.

– No cóż, przynajmniej jesteś we właściwym miejscu.

Parę chwil później Valerie wyszła z toalety, nadal dygocząc, choć bardziej już ze złości niż ze strachu.

– To miało być zabawne?

– Przepraszam – powtórzyła Jennifer, z trudem opanowując uśmiech. – Myślałaś, że z drugiej strony drzwi będzie zwisał okrwawiony hak?

– Nie bądź śmieszna – powiedziała Val cierpko. Niech szlag trafi Jamesa i te jego durne opowiastki.

– Przepraszam – powiedziała Jennifer po raz trzeci, mijając Val i idąc do następnej kabiny.

Jakim cudem ktoś może wyglądać tak dobrze w środku nocy, na totalnym zadupiu? Val nie mogła się nadziwić. Młoda kobieta nie miała ani śladu makijażu, ale w ostrym świetle latarni jej cera była idealna, a włosy umiejętnie rozburzone. Nawet wyszykowana na wieczór na mieście Val nigdy nie robiła wrażenia podobnie niedbalej atrakcyjności. Zawsze wyglądała, jakby do końcowego efektu zabrakło jej tych ostatnich kluczowych dziesięciu minut.

I właśnie to uwielbiał w niej Evan, a przynajmniej tak twierdził: tę niedbałą pewność siebie, jak to kiedyś określił. No cóż, nadal postępowała równie niedbale, ale gdzie, do licha, podzielała się pewność siebie?

„Byłaś nieustraszona”, powiedział wcześniej Gary. Ale może lepszym słowem byłoby: lekkomyślna. Podejmowała potencjalnie niebezpieczne działania, nie licząc się z konsekwencjami. Z całą pewnością można jej było ostatnio coś takiego zarzucić. Jak inaczej wyjaśnić fakt, że w tym momencie znalazła się w tym miejscu i w tych okolicznościach?

Drzwi toalety otworzyły się i Jennifer wyszła, a jej lśniące błękitne oczy rozszerzyły się na widok nadal tam stojącej Val.

– Nie trzeba było na mnie czekać – powiedziała, wyraźnie szczerze ujęta. – Ale to bardzo miło z twojej strony.

Val miała już zaprotestować, powiedzieć prawdę, że wcale nie czekała na nią świadomie, że po prostu się zamyśliła... Jednak zrezygnowała. Do diabła, skoro Jennifer chce myśleć, że ona jest miła, mimo wszelkich dowodów na coś wręcz przeciwnego, to Val była zbyt zmęczona, żeby się sprzeczać.

– Nie ma sprawy – powiedziała tylko i zawróciła w stronę namiotów.

– Jestem ci winna jeszcze jedne przeprosiny. – Jennifer przyśpieszyła, chcąc dotrzymać jej kroku. – Za te niemiłe rzeczy, które powiedziałam wcześniej.

Val nie zatrzymywała się.

– Byłam zmęczona, rozdrażniona i wyprowadzona z równowagi.

Val nie odpowiedziała.

– Strasznie mi się zrobiło żal samej siebie.

Val przystanęła i obróciła się na pięcie, stając twarzą w twarz z młodszą kobietą.

– Nie ma potrzeby ciągle przeproszać.

– Jestem ci przynajmniej tyle winna.

Tak, jesteś mi winna przynajmniej to, pomyślała Val. Ale powiedziała:

– Nie ma sprawy. Ja rozumiem.

Jennifer jeszcze szerzej rozwarła te swoje błękitne oczy.

– Naprawdę?

– Wierz mi albo nie, ale rozumiem. – Val zaskoczyła samą siebie tymi słowami, tym bardziej że czuła, że mówi prawdę. – Oczekiwałaś tego weekendu. Myślałaś, że spędzisz trzy dni z człowiekiem, którego kochasz, i jego córką, w luksusowym hotelu ze spa, a nie na kempingu w lesie, w towarzystwie jego naburmuszonej byłej żony i dwójki jej może nieco niekonwencjonalnych przyjaciół. Rozumiem. Serio. I wystarczy tego gadania.

Wargi Jennifer zadrżały, jakby miała się rozplakać.

– Dziękuję ci.

Val zbyła wdzięczność tej kobiety znużonym machnięciem ręki. Udzielanie przebaczenia okazywało się bardziej męczące, niż sądziła.

– I nie musisz się martwić. Zniknę sprzed twoich idealnych oczu z samego rana. – Znów ruszyła przed siebie.

Jennifer natychmiast znalazła się u jej boku.

– Bardzo przepraszam za to, co wcześniej zaszło z Brianne.

– Dosyć już tego przeproszania.

– Powinnam była powiedzieć ci o Tylerze.

– Nie chciałaś zdradzać jej zaufania. Rozumiem.

– Po prostu naprawdę chciałam, żeby mnie polubiła.

Val westchnęła, jeszcze raz przystając.

– Lubi cię.

– Dziękuję ci – powtórzyła raz jeszcze Jennifer. – Wiem, że to musi być dla ciebie szalenie trudne.

– Nie potrzebuję twojego współczucia.

– Przepraszam.

– Rany. Chyba już dość się naprzeproszałaś jak na jedną noc. Dajmy sobie z tym spokój.

Znalazły się w centrum obozowiska. Val zastanawiała się, czy nie pójść prosto do namiotu Gary'ego, kiedy tylko Jennifer wejdzie do swojego, ale tamta przysiadła tylko przy wejściu i podciągnęła kolana pod brodę.

– Nie wchodzisz do środka?

Jennifer pokręciła głową.

– Źle się tam czuję.

Val spojrzała w stronę groźnych ciemnych chmur, które gromadziły się wokół księżycy jak wrogo nastawiony gang młodocianych przestępców, nie pozwalając jego światłu rozjaśnić nocy.

– Chyba będzie padać. Przemokniesz.

Jennifer uniosła wzrok ku niebu, potem spojrzała na namiot i nie ruszyła się z miejsca.

– Mam lekką klaustrofobię.

– Aha. – Val urwała, nie wiedząc, co jeszcze dodać. – Myślałam, że tylko nie lubisz niczego, przy czym nie panujesz nad własnymi stopami. – Przypomniała sobie rozmowę, jaką odbyły poprzedniego dnia. Czy jest coś, czego ta dziewczyna się nie boi?

– Muszę ci się chyba wydawać okropnie żałosna.

– Nie bardziej żałosna niż pewnie ja tobie.

– Nie uważam, że jesteś żałosna.

– Ja też nie uważam, żebyś ty była.

Ich milczenie przerwał wypełzający z namiotu James.

– Czy można dołączyć do tej małej parady miłości? Ale może psy są niemiłe widziane?

– Naprawdę cię za to przepraszam – powiedziała Jennifer, a Val jęknęła.

– Powiedz jej, żeby wreszcie przestała przepraszać.

– Przestań przepraszać – powiedział posłusznie James, przysiadając na ziemi. – No, co się tutaj dzieje? Bratamy się?

– Jennifer ma klaustrofobię.

– Naprawdę? Gdzieś czytałem, że wszystkie fobie są tylko strachem przed śmiercią.

– Czytałam to samo – powiedziała Jennifer, wyraźnie zachwycona, że mają jakąś płaszczyznę porozumienia.

– A czego ty się tak właściwie boisz, James? – spytała Val.

James zastanawiał się kilka chwil nad odpowiedzią.

– Nastolatek.

Val zaśmiała się i obejrzała przez ramię w stronę jego namiotu.

– A tak przy okazji, jak tam moja córka?

– Śpi jak kłoda. Przez całą noc ani drgnęła. To znaczy, odkąd przestała wstawać i biegać do łazienki co dwie minuty.



Val poczuła, że tępy ból zaczyna napierać na jej skronie. Przymknęła oczy, usiłując odegnać rodzące się w zbolącej głowie myśli.

– Coś nie tak? – spytał James.

– Czy mogę tam do was zajrzeć i sprawdzić? – Val już podchodziła do namiotu Jamesa.

James natychmiast stanął tuż za nią.

– Dlaczego to nagle, straszne przeczucie ciąży mi w żołądku?

Val odsunęła klapę namiotu, usiłując przyzwyczaić oczy do kokonu czerni w jego wnętrzu. Udało jej się dostrzec pusty śpiwór Jamesa na ziemi pod własnymi stopami, a potem, pod drelichową ścianą namiotu, śpiwór Brianne. Pod tym kątem wyglądało to tak, jakby Brianne faktycznie spała tam szczelnie opatulona. Śpiwór leżał ułożony w pozycji na wprost skulonej, znad niego wystawał tylko kaptur bluzy. Coś jednak się w tym wszystkim nie zgadzało. Valerie podsunęła się bliżej, nasłuchując oddechu Brianne.

Ona śpi za cicho, zrozumiała nagle i sięgnęła dłonią do śpiwora, łagodnie dotknęła jego wypukłego boku. Próbowwała wyczuć biodro, plecy, nogę córki.

– Cholera! – wykrzyknęła głośno, odciągając wierzch śpiwora, pod którym leżała bluza z kapturem i reszta ubrań wyciągniętych z torby podróжной Brianne, zwiniętych w dolnej połowie śpiwora. – Cholera, cholera, cholera.

– A to mała wiedźma! – zawołał James.

– Nie mówcie mi, że jej tam nie ma – odezwała się Jennifer, kiedy Val i James wyszli z namiotu na zimne powietrze.

– Wiesz, gdzie ona jest? – spytała oskarżycielsko Val.

– Nie. Przysięgam. Powiedziałabym ci.

– Och, Val – westchnął James. – Tak strasznie mi przykro. Godzinami pilnowałem jej jak jastrzęb. Wiele razy chodziłem z nią do toalety. Myślałem, że w końcu zasnęła. A potem chyba musiałem się zdrzemnąć...

– To nie twoja wina. Nie ty jesteś za nią odpowiedzialny. Powinna była uważać.

– Przecież nijak nie mogłaś przewidzieć, że ona coś takiego zrobi.

– Musieli z Tylerem to wszystko sobie zaplanować...

– Myślisz, że są razem? – spytała Jennifer.

– A gdzie indziej by była?

Val nie była pewna, który scenariusz woli – ten, w którym córka jest z Tylerem, czy ten, w którym sama włóczy się nocą po lesie. Po ciemku. W deszczu, pomyślała, czując pierwsze krople padające na ramiona.

– Super – rzuciła.

– Może jest z synem twojego przyjaciela? – podsunęła Jennifer. – Haydenem, tak? Znaczący poszli gdzieś wcześniej razem. Może jest z nim?

– Tak uważasz? – Val poczuła, że rozpaczliwie chce wierzyć w taką

możliwość.

– Co się tam dzieje? – spytała zaspanym głosem Melissa, wystawiając głowę z namiotu.

– Brianne nie ma – powiedziała Jennifer.

– Znowu? – Melissa wylazła na zewnątrz, a Val już rzuciła się biegiem w stronę przeciwnego krańca obozowiska.

Biegła na ślepo, nagle nie umiając sobie przypomnieć, gdzie dokładnie znajdował się namiot Gary'ego. Po ciemku wszystkie części kempingu wydawały się takie same, żaden namiot też się nijak nie wyróżniał spośród innych.

– Gary, gdzie jesteś? – szepnęła głośno w mrok.

– Wynijdź, wynijdź, gdziekolwiek się skrywasz – scenicznym szeptem odezwał się obok niej James.

– Jak sądzisz, który namiot jest jego?

– To chyba było w tamtą stronę – podsunęła Melissa, dołączając do nich razem z depczącą jej po piętach Jennifer. – Tam, tamten.

– Jesteś pewna?

– Tak średnio.

Val podeszła bliżej.

– Gary? – odezwała się, najpierw cicho, a potem głośnie, przysuwając usta do sztywnej plandeki namiotu. – Gary?

Cisza.

– Cholera.

– Zaczyna padać – odezwała się Jennifer.

– Dziękujemy ci za ten komunikat pogodowy – sarknęła Melissa.

– To nie moja wina, że pada.

– Gary? – odezwała się znowu Val, uciszając ich ręką. – Gary, jesteś tam?

– Nie moglibyście, prymitywy, trochę się tam przyciszyć?! – zawołał ktoś. – Tutaj ludzie usiłują spać.

– Przepraszam! – Val usłyszała, że wyrywa jej się głośny szloch. Ostatnim, czego teraz potrzebowała, był atak płaczu. – Cholera!

– Val? – Gary wyszedł z namiotu dobre dziesięć metrów dalej.

Val podbiegła do niego.

– Och, dzięki Bogu.

– Co się stało?

– Nie możemy znaleźć Brianne.

– Co?!

– Pomyśleliśmy, że jest z Haydenem.

– Hayden śpi.

– Jesteś pewien?

Gary szybko wrócił do swojego namiotu i po paru sekundach był

z powrotem przy nich. Kręcił głową, a w jego oczach malował się niepokój.

– Nie ma go.

– Pewnie są razem – powiedziała Jennifer. – To dobrze, prawda? To znaczy, że nie jest z Tylerem.

– Ja nie wiem, co to znaczy – odparła Val. – Hayden nie powiedział ci nic o swoim spotkaniu z Brianne?

– Nie. Ani słowa. Rozmawialiśmy o naszych planach na jutro, powiedział dobranoc i poszedł spać. Potem nie słyszałem nic, dopóki nie zaczęłaś mnie nawoływać.

– Może poszedł do toalety? – zastanawiała się Melissa.

– Pójdę i sprawdzę – zaproponował James.

– Ja pójdę z tobą – rzuciła Jennifer.

– To ja jeszcze raz sprawdzę nasze namioty – zaoferowała się Melissa.

– W głowie mi się nie mieści, że to się dzieje naprawdę – powiedziała Val.

– Jeśli jest z Haydenem, to przynajmniej wiemy, że jest bezpieczna – uspokajał ją Gary.

– Naprawdę?

– Możecie się tam wreszcie przymknąć?! – wrzasnął ktoś.

– Cisza! – odwrzasnął w odpowiedzi ktoś inny.

Melissa wróciła niemal natychmiast, a parę chwil później pojawili się James i Jennifer. Po ich minach Val zorientowała się, że nie znaleźli ani Haydena, ani Brianne.

– Powinniśmy się rozdzielić – powiedziała. – Każde pójdzie w inną stronę...

– Posłuchaj – przerwał jej Gary spokojnym, opanowanym tonem. – Nikomu nic dobrego nie przyjdzie z tego, że zaczniemy wszyscy po prostu biegać po lesie. Jeszcze i my się przy tej okazji pogubimy. Jest ciemno i zaczyna padać. W żaden sposób ich nie znajdziemy, póki się nie rozjaśni. – Uspokajającym ruchem dotknął ramienia Val. – Hayden to doświadczony wędrowiec. Jeśli jest z Brianne, dopilnuje, żeby trafili tutaj z powrotem, gwarantuję ci to.

– A jeśli go nie ma z Brianne?

– A gdzie niby miałby być?

– Powinniśmy zawiadomić straż leśną – odezwała się Val.

– Zgadza się. Ale w nocy nic nie załatwimy, a jestem pewien, że rano nie będzie to już potrzebne.

– Może nie musimy czekać do rana – powiedziała Jennifer.

– Masz lepszy pomysł? – spytała Val.

Jennifer sięgnęła do kieszeni dzinsów i wyjęła kartkę, na której Henry Voight zapisał jej swój numer telefonu.

– Znam kogoś, do kogo możemy zadzwonić.

Brianne poczuła kilka kropel deszczu na ramionach i gniewnie spojrzała w niebo.

– Dzięki wielkie. Tylko tego było mi trzeba.

– Co znowu za problem? – spytał jej towarzysz i podszedł do niej, potykając się po ciemku w lesie.

– Zaczyna padać, jeśli jeszcze nie zauważyłeś.

– I to pewnie też moja wina.

– Możliwe, że tak.

– No jasne – odparł młody człowiek. – Wszystko moja wina.

– W tej sprawie spierać się z tobą nie będę. – Brianne zaczęła bezradnie kręcić się w kółko. – Cholera! Gdzie my jesteśmy, do diabła?

– Myślisz, że ja wiem?

– Myślałam, że wiesz wszystko, ważniaku.

– Słuchaj, nie wiem, dlaczego tak się na mnie wściekasz. To ja mówiłem, że lepiej zostać w samochodzie.

– Przepraszam, mówisz o tym gracie, którym wjechałeś do jakiegoś pieprzonego rowu?

– Było ciemno. Ty się na mnie darłaś. Za cholere nic nie widziałem.

– Nie widziałeś, bo zbyt się nachlałeś, żeby widzieć.

– Aż tak pijany nie byłem.

– Na tyle pijany, żeby się pół godziny spóźnić, na tyle pijany, żeby się wdać w bójkę, na tyle pijany, żeby się władować do pieprzonego rowu! – Brianne odeszła, a obcasy jej butów ryły niewielkie dołki w mokrej ziemi. Nisko zwieszające się gałęzie smagały ją po twarzy i kłuły w uszy. Cholera!

– Wypiłem raptem sześć piw – upierał się on, idąc jej śladem.

– Chyba raczej szesnaście. Capiłeś piwskim. Nadal capisz. Kurde, śmierdzisz jak moja babka.

– Co?!

– Powiedziałam, że śmierdzisz jak moja babka. Boże, w pale mi się nie mieści, jak ty umiesz wszystko schrzanić.

– No to po co wsiadłaś ze mną do samochodu?

– Bo mnie, cholera, złapałeś za ramię i wepchnąłeś do środka. Praktycznie mnie porwałeś. – Brianne przystanęła tak nagle, że jej towarzysz wpadł na nią boleśnie. – Au. Uważaj, jak chodzisz.

– Wyluzuj. To było przypadkiem.

– Tak. Przypadki nieźle ci idą. I w ogóle, dlaczego musiałeś aż tyle wypić? Wiedziałeś, że mamy się spotkać.

– Byłem w barze, kiedy odebrałem twój telefon. Co miałem robić do północy?

– Nie wiem. Zagrać w strzałki? Posłuchać muzyki? Napić się czegoś bez alkoholu, a nie nawalić jak menel?

– Zaczynam myśleć, że nie nawaliłem się wystarczająco.

– To nie myśl. To nie jest twoja mocna strona.

Tyler Currington starł z nosa kilka kropel deszczu.

– Jezu, Brianne. Kiedy się zamieniłaś w taką wredną sukę?

– Nie wiem, Tyler. Jakoś w tym samym czasie, kiedy ty zamieniłeś się w Muhammada Alego.

– Muha... co? Co ty wygadujesz?

– Mówię o tym, że mogłeś zabić tamtego chłopaka.

– Co? A niby jak? Ledwie go dotknąłem.

– Stracił przytomność.

– Bo dobrze trafiłem.

– Jemu za dobrze teraz nie jest.

– Nic mu nie będzie – upierał się Tyler. – Zrobiłem to dla ciebie.

– Dla mnie?

– To ty wrzeszczałaś na niego, żeby dał ci spokój.

– Chciałam tylko, żeby wrócił na kemping.

– I pewnie już tam teraz jest. I opowiada wszystkim, co się stało.

– Wątpię, skoro go zostawiłeś nieprzytomnego na poboczu drogi – przypomniała mu Brianne. – A jeśli coś mu się stanie?

– Nic mu nie będzie.

– Tego nie wiesz. Cholera. Muszę tam wrócić. – Znowu ruszyła biegiem, na ślepo, w mrok.

– Gdzie ty lecisz, do cholery?

– Znaleźć główną drogę.

– To idziesz w złym kierunku.

– Nieprawda.

– A mnie się wydaje, że prawda.

– Dobra, ważniaku. To w którą to stronę, twoim zdaniem?

Tyler zmrużonymi oczyma wpatrzył się w mrok, prawą rękę uniósł w górę, przygotował palec wskazujący w gotowości do wskazania kierunku.

– Tam. Nie, zaraz. Może tam. Nie wiem – przyznał się do porażki parę sekund później. – Zupełnie mnie zakręciło.

– Super. No to co proponujesz? Żebyśmy tu zostali całą noc?

– Nie wiem.

- To niewiele wiesz, tylko to jest pewne. – Znów ruszyła.
- Możesz przynajmniej zwolnić?
- Nie chcę zwalniać. Chcę wrócić do domu.
- Chcesz iść na piechotę na Brooklyn? W tych butach?

Brianne nie wiedziała, czy Tyler pyta serio, czy usiłuje to wszystko obrócić w żart, ale tak czy inaczej, straciła do niego cierpliwość. Była zmęczona, przemoknięta i zła, chociaż nie miała pewności, czy bardziej zła na niego, czy na samą siebie. Trzeba było słuchać matki. A przynajmniej powinna była posłuchać usilnych próśb Haydena, żeby wracali na kemping. On był wobec niej opiekuńczy, a ona mu się odpłaciła tym, że go zostawiła samego i nieprzytomnego na poboczu drogi. Jeśli mu się coś stanie, to wszystko będzie jej wina. Chcę do matki, pomyślała i musiała kilka razy odetchnąć, żeby nie wypowiedzieć tych słów na głos.

– Wszystko byłoby w porządku, gdybyśmy zostali w samochodzie – mamrotał Tyler gdzieś za jej plecami. – A już przynajmniej nie tkwilibyśmy nie wiadomo gdzie, na deszczu, przemoczeni do suchej nitki. Moglibyśmy ułożyć się na tylnym siedzeniu i pieprzyć przez całą noc jak króliki, co zdaje się stanowiło od początku nasz plan...

– Taa, jakbyś w tym stanie do czegoś się nadawał.

– Hej. Tyler Currington zawsze staje na wysokości zadania.

– Weź, odpuść. – Brianne aż coś ścisnęło w żołądku na samą myśl o nich dwojgu tarzających się na tylnym siedzeniu jego samochodu. I pomyśleć, że kiedyś jej się podobał. Na tyle podobał, że mu oddała swoje dziewictwo. Jęknęła na samo wspomnienie prób otarcia krwi koszulką. Tą, którą matka potem znalazła na podłodze jej pokoju.

„Co to jest? – spytała wtedy matka podejrzliwie, unosząc poplamioną koszulkę do światła. – Czy to krew?”

Przepraszam cię, mamo, powiedziała w duchu, usiłując nie myśleć już więcej o matce.

– Cholera. – Czy matka zawsze musiała... mieć rację?

– Co się znowu stało?

– Zaczyna mocniej padać, o ile nie zauważyłeś.

W oddali rozległ się grzmot.

– No, chyba jaja sobie ze mnie robicie. – Brianne spojrzała w niebo, wypatrując błyskawicy.

– Mówiłem ci, że trzeba było zostać w samochodzie.

– Dziękuję. To szalenie pomocne. Nie chcesz powiedzieć tego jeszcze raz?

– Dlaczego musi być tak, kurwa, ciemno?

– Nie wiem. Może dlatego że jest noc, a my jesteśmy w środku, kurwa, zadupia.

– Myślisz, że na trochę udałoby ci się zrezygnować z sarkazmu? – spytał Tyler.

– Nie wiem – odparła Brianne. – Myślisz, że tobie się uda zrezygnować z głupoty?

– Okej. Mam myśl. Może się zwyczajnie zamkniesz? Dobra? Jak ci się podoba taki genialny pomysł?

– Kretyn.

Oczy Brianne napęliły się łzami, na jej policzkach te łzy zmieszały się z płynącym po nich deszczem. A niech cię szlag, Tylerze Currington, pomyślała, brnąć naprzód i nie mając pojęcia, dokąd idzie. I niech cię szlag, Sasha, za to, że w ogóle nas ze sobą poznałaś. I ciebie, tato, za to, że nie dojechałeś i wszystko spieprzyłeś. Znowu. Jak zwykle. Niech was wszystkich szlag trafi, pomyślała. Prawym obcasem zaczęła o bok leżącej na ziemi kłody, straciła równowagę i runęła na stertę liści.

Tyler natychmiast znalazł się u jej boku.

– Nic ci się nie stało?

Brianne otarła ziemię i liście z twarzy i dłoni, a potem wybuchnęła płaczem, bo już wcześniej dokuczająca jej kostka znów ją rozboleła.

– Owszem, stało się. Jestem przemoczona, jest mi zimno i chyba właśnie sobie złamałam tę pieprzoną kostkę.

– Daj spokój. Nie złamałaś jej.

– Och, doprawdy? Przepraszam, ale dyplom z medycyny to kiedy udało ci się zrobić?

– Pewnie jest tylko zwichnięta. Czego się poza tym spodziewałaś, w tych głupich butach?

– One nie są głupie – powiedziała Brianne. – Ale ty owszem.

– To nie ja uganiam się po lesie w butach na obcasie. No już. Przestań płakać i spróbuj wstać.

Brianne pociągnęła nosem i niechętnie zrobiła, o co ją prosił, ale ból był tak dotkliwy, że z powrotem usiadła na ziemi.

– Nie mogę. O Boże, naprawdę zaczyna mnie boleć.

Kolejny grzmot, niczym odległa eksplozja, rozdarł niebo.

– Czy to była błyskawica, to przed chwilą?

– Nic nie widziałem – odparł Tyler.

– A ja tak. Widziałam błyskawicę. Super. Teraz pewnie trafi nas piorun.

– Nikogo nie trafi piorun. Dawaj. Spróbuj jeszcze raz. – Wyciągnął do niej rękę.

– Nie dotykaj mnie, debilu jeden! – Zdjęła buty i cisnęła nimi mniej więcej w jego kierunku, tak dla emfazy.

– Ożeż ty... – Tyler uchylił się, a potem uniósł ręce. Był wkurzony. – Dobra,

świetnie. Poddaję się. Nie chcesz mojej pomocy? Nie chcesz mieć ze mną do czynienia? Chcesz, żebym dał ci spokój? Proszę bardzo. Nie będę ci pomagał. Zostawię cię w spokoju. – Zawrócił na pięcie i energicznie ruszył przed siebie.

– Tak mnie tu zostawisz, jak gdyby nigdy nic?! – krzyknęła z niedowierzaniem Brianne.

Tyler obrócił się w jej stronę, z twarzą połyskującą od deszczu i wściekłą miną.

– Czego ty ode mnie chcesz, Brianne? Powiedz mi. Zrobię, co tylko chcesz. Wystarczy, że mi powiesz, czego tak właściwie chcesz.

Chcę do matki!

– Chcę się stąd wydostać.

– No to najpierw musisz wstać.

– Dopiero kiedy będę wiedziała, dokąd idziemy. Nie możemy ciągle włóczyć się w kółko po ciemku, przez całą noc, i to w burzy.

Kolejna błyskawica, tym razem niedająca się zignorować, a chwilę później głośny huk pioruna.

– Spróbuj jeszcze raz zadzwonić – poinstruowała Brianne.

Tyler wyciągnął telefon z kieszeni kurtki i zaczął wystukiwać numer.

– Nie działa.

– Nie...

– No dobra, posłuchaj – powiedział Tyler. – Jakiś czas temu mijaliśmy taką niewielką polankę. Bylibyśmy na niej bezpieczniejsi. Nie ma tam aż tylu drzew.

– Nie pamiętam żadnej polanki. – Brianne z trudem wstała. – Cholera. Nie mogę w ogóle obciążyć tej kostki. – Próbowwała skakać na jednej nodze, czując zimno ziemi na podeszwie gołej stopy, a gałązki, jak dziesiątki igieł do strzykawek, kłuły jej skórę. – Tak się nie da.

– No dobrze, wygląda na to, że będę cię musiał nieść.

– Myślę, że...

– Zły pomysł. Nie myśl – powiedział, częstując ją tym samym tekstem, co wcześniej ona jego. – To nie jest twoja silna strona. – A potem dźwignął ją na rękę, omal przy tym nie tracąc równowagi, i z trudem przeszedł parę kroków, zanim udało mu się zacząć stąpać nieco pewniej.

– Tylko mnie nie upuść – ostrzegła.

– Nie kuś mnie. – Niósł ją z powrotem w stronę, z której dopiero co przyszli, usiłując po ciemku wypatrzyć ich własne ślady. – Cholera. Nic nie widzę.

– Powinniśmy byli rozrzucić za sobą okruszki.

– Okruszki?! – Deszcz kapał Tylerowi z czubka nosa i spływał do ust, więc to słowo niemal wypluł.

– Twoja matka nigdy ci nie czytała bajki o Jasiu i Małgosi?

– Możliwe. Nie pamiętam.



– Naprawdę nie pamiętasz bajki o Jasiu i Małgosi?  
– Nie pamiętam matki.  
– Jak to nie pamiętasz matki? – Brianne przytuliła twarz do jego torsu, usiłując schować się przed deszczem.

– Umarła, kiedy miałem dwa latka.  
– Naprawdę? Nigdy mi o tym nie mówiłeś. Co jej się stało?  
– To chyba nie najlepszy moment na tę rozmowę. – Kolejna błyskawica przecięła niebo i niemal natychmiast po niej huknął piorun.

– Burza się zbliża – stwierdziła Brianne. – Gdzie jest ta głupia polanka?  
– Powinna tu gdzieś być.

– Super. Bardzo mnie uspokoiłeś.  
Szedł dalej. Deszcz siekł ich już ze wszystkich stron, bo wiatr zaczął się wzmacniać.

– Dobra, jesteśmy na miejscu – powiedział po dłuższej chwili Tyler, ostrożnie posadził ją na ziemi i przykłęknął obok.

Brianne uniesioną dłonią osłoniła oczy przed deszczem i rozejrzała się nieufnie dokoła.

– Jak to na miejscu? Donikąd nie doszliśmy.  
– Jesteśmy kawałek od drzew, więc mniejsza szansa, że trafi w nas piorun.  
– Ale przemokniemy tu kompletnie.  
– Już jesteśmy przemoczeni.  
– Złapiemy zapalenie płuc.  
– Wolisz, żeby cię piorun wałnął? – Tyler usiadł, zdjął mokrą kurtkę i rozpostarł ją nad jej i swoją głową. – Kiedyś miałem zapalenie płuc i nie było fajnie.

– A teraz niby jest?  
Kolejna błyskawica, kolejny pomruk grzmotu, jedno zaraz po drugim.  
– Najgorsze już się chyba przewaliło – powiedział.  
– No to na co umarła twoja matka? – spytała go Brianne po kolejnej minucie. Pomyślała, że może się równie dobrze zająć rozmową. Wszystko, byle odwrócić uwagę od tego, co ich otacza.

– Przedawkowała narkotyki.  
– Serio?  
Pokiwał głową, odwrócił wzrok.  
Czy on się rozplacze? Brianne zaczynała żałować, że była dla niego taka wredna.

– Przypadkiem czy specjalnie?  
– Uważają, że to był przypadek.  
– Jak to uważają? Nie wiedzą?  
– Trochę trudno było to stwierdzić. Brała dość mocny towar. Heroina, crack,

takie tam.

– Była ćpunką?

– I prostytutką.

Jasna cholera, pomyślała Brianne. Co ja, u licha, robię z tym facetem?

– A twój tata?

– Ostatnie, co o nim słyszałem, to, że gnije w jakimś więzieniu w Teksasie.

– O rany. Niezła historia.

– No owszem.

– Dlaczego nie powiedziałeś mi o tym wcześniej?

I dlaczego ty nie powiedziałaś, Sasha?

– A czy to by coś zmieniało?

– Nie. Oczywiście, że nie.

Być może. A nawet na pewno.

– Co zrobił? To znaczy, twój ojciec?

Tyler mruknął coś niezrozumiałego.

– Co?

– Seryjne morderstwa – powiedział Tyler. Tym razem jego słowa zabrzmiały

idealnie wyraźnie.

– Co?!

Kącki ciemnych oczu Tylera zaczęły się unosić w uśmiechu.

– Wszystko to sobie wymyśliłeś, prawda? Ty chory debil!

Tyler parsknął śmiechem.

– Przepraszam. Nie mogłem się powstrzymać. Musisz przyznać, że ci się

należało.

– Twoja matka wcale nie umarła?

– Nie. Ostatni raz, kiedy ją widziałem, miała się świetnie.

– A twój ojciec?

– O ile wiem, nigdy nie dostał nawet mandatu za przekroczenie prędkości.

– Jak mogłeś mi to zrobić?

– Chociaż przez parę minut nie marudziłaś, prawda? – Znów się roześmiał,

klepnął dłonią mokrą ziemię.

– To nie jest zabawne. Boże, ale z ciebie palant.

– Zasłużyłaś sobie. Jak mógłbym nie pamiętać bajki o Jasiu i Małgosi. Ha!

Szkoda, że nie widziałaś swojej miny, kiedy powiedziałem, że mój ojciec to seryjny zabójca. To było warte całej tej pieprzonej nocy.

– Wiesz co? Mam dość. Mam cię dość. Zejdź mi wreszcie z oczu, dobra?

Znajdź sobie jakąś norę i wpełnij tam pomiędzy resztę takich jak ty szcurków.

Tyler wstał.

– Jak sobie życzysz. Też mam cię już powyżej uszu. – Zawahał się.

– No, dalej. Na co jeszcze czekasz?

– Nie martw się. Idę sobie. Tylko nie zaczynaj za mną wrzeszczeć, żebym wracał.

– Nie zacznę. No już. Wynoś się stąd.

– Brzmisz zupełnie jak twoja matka. Wiesz o tym?

– Dobrze. Potraktuję to jako komplement.

– Ja bym tego tak nie traktował. Twoja matka to suka.

– Moja matka nie jest suką. Jak śmiesz tak o niej mówić?!

Pokręcił głową, woda kapiała mu z włosów.

– Jesteś nienormalna.

– Daj mi spokój.

– Jesteś pewna, że tego chcesz?

Brianne odwróciła wzrok, potem znów spojrzała na Tylera.

– Przepraszam... Jeszcze tu sterczysz? – Znów odwróciła wzrok. Kiedy zerknęła w tamtą stronę chwilę później, już go nie zobaczyła.

Co mi, do diabła, odbiło? Ziębnięta Brianne otuliła się ramionami. Skąd jej przyszło do głowy, żeby tak odpędzać od siebie Tylera? Tylko wszystko pogorszyła. Nadal tkwiła w lesie, nie wiedząc, gdzie jest, po ciemku, w środku nocy. Tyle że teraz zupełnie sama. Dobra robota. Okej, przynajmniej deszcz przestał padać. Tylko komary zaczynały atakować z furją. Czy one nigdy nie zasypiają?

Która to może być godzina? Zerknęła na zegarek, ale nie mogła nic odczytać. Wydawało jej się, że Tyler odszedł jakieś pół godziny temu, więc musiała być trzecia w nocy, może już czwarta. A to znaczyło, że za jakieś dwie godziny powinno się rozjaśnić. Na pewno do tego czasu jakoś wytrzyma. Chyba że dopadnie mnie jakieś zwierzę, pomyślała nagle, nasłuchując wszelkich podejrzanych odgłosów i oglądając się przez jedno, a potem drugie ramię. A jeśli nie zabije mnie jakieś zwierzę, to na pewno zrobi to matka.

Moja biedna mama, pomyślała nagle. Jakby nie miała dość własnych kłopotów. Matka alkoholiczka, okrągła czterdziestka na karku, wkrótce zaręczyny byłego męża z młodszą kobietą. Brianne wiedziała, że cokolwiek matka twierdzi, i tak nadal kocha ojca. I rozpaczliwie pragnie jego powrotu. I łamie jej się serce na myśl o tym, że on ma się ożenić z kimś innym. Wiedziała też – i nikt nie musiał jej o tym mówić – że ojciec nią tylko manipuluje, że nie ma najmniejszego zamiaru wracać i tylko robi jej nadzieję na wszelki wypadek, gdyby sprawy z Jennifer potoczyły się źle. Pamiętała, że kiedyś, w odniesieniu do kontraktu, nad którym pracował, powiedział: „Zawsze trzeba mieć jakieś wyjście awaryjne”. Matka nie zasługuje na tak nonszalanckie traktowanie, pomyślała gniewnie. Nie z jego strony. Ani z mojej, dodała z ociąganiem.

– Tak mi przykro, mamó – szepnęła w mrok. – Kocham cię. Kocham cię najbardziej na świecie.

Matka dostanie hysterii, kiedy się obudzi i zorientuje, że Brianne znikła. Wezwie strażników leśnych, którzy znajdą w rowie samochód Tylera, zorganizują ekipę poszukiwawczą. Odnajdą ją w końcu, zmęczoną, przemokniętą i głodną, ze złamaną kostką. Będą łzy, oskarżenia, a potem przebaczenie. Matka nigdy nie umiała długo się na nią gniewać, chociaż może zabrać jej blackberry'ego bezterminowo, co nie było jeszcze najgorszą rzeczą na świecie. Już dość kłopotów sobie narobiła przez tę komórkę. Prawdę mówiąc, nie przejęłaby się, gdyby do końca życia miała nie dotknąć żadnego takiego urzędnika. Zresztą ojciec na pewno kupi jej nowy telefon, w ramach zadośćuczynienia za spieprzony weekend.

Brianne owinęła się kurtką Tylera, zadowolona, że ją zostawił tutaj specjalnie, czy raczej, co bardziej prawdopodobne, przez roztargnienie. Spróbowała położyć się i jakoś wygodniej umościć na ziemi. Może nawet uda jej się zasnąć. A może nie, pomyślała, niemal natychmiast podnosząc się do pozycji siedzącej, bo usłyszała szelest liści i trzaskanie gałązek.

– Halo? Jest tam kto? – Pogrzebała na ziemi wśród liści, szukając jakiegoś kijka, który mógłby posłużyć jej za broń, ale nie trafiła na nic poza grudami mokrej ziemi i paroma bezużytecznymi gałązkami. – Halo? Kto tam jest?

Tyler nagle pochylił się nad nią niczym wielki niedźwiedź.

– Na imię mam Jaś.

Brianne wrzasnęła. Jak on zdołał podejść tak blisko niej niezauważony?

– Ty kretynie, prawie na śmierć mnie wystraszyłeś. – Prawdę mówiąc, czuła się wręcz niewypowiedzianie wdzięczna, że znów go widzi. – Co ty tu robisz? Znów się zgubiłeś?

– Tak – przyznał. – Ale też coś znalazłem. Drogę. Niestety, nie główną – dodał szybko. – To tylko jakaś taka leśna droga, ale kawałek dalej stoi przy niej dom.

– Dom? – powtórzyła Brianne z nadzieją. A potem nieco sceptycznie dodała: – Z piernika? – Nie chciała znów dać się nabrać na jakąś głupią historyjkę.

– Nie wymyśliłem tego, przysięgam.

– No, oby nie.

– Posłuchaj, wierz mi albo nie, ale tam jest droga i dom. Jakieś dwa kilometry stąd. Nie wiem, czy ktoś tam mieszka, czy nie, ale chyba warto spróbować.

– Dwa kilometry? Ja z tą kostką tyle nie przejdę.

– Nie masz wyboru. – Ujął ją pod łokcie i postawił na ziemi.

– Chyba sobie ze mnie żartujesz.

– Wierz mi – odparł. – To nie żart.

– Która godzina? – spytała Val, czując, że armia łez pod jej powiekami zebrała świeże posiłki.

– Tak mi się już ćmi w oczach, że nie mogę odczytać – odparł James.

– Dochodzi czwarta – powiedziała Melissa, ziewając.

Val pokiwała głową.

– I nadal nic pod tym numerem? – rzuciła w stronę Jennifer.

– W ogóle nie mam sygnału – nadeszła odpowiedź, której Val jednocześnie spodziewała się i bała. Telefon Henry’ego Voighta może być obsługiwany przez satelitę, ale jej własny nie. – Chyba będziemy musieli poczekać, aż otworzą rano biuro. – Miała na myśli biuro kempingu, które dysponowało linią stacjonarną. – Ale jestem pewna, że do tego czasu Brianne już wróci.

– Nie mogę uwierzyć, że to się znowu dzieje.

– Do trzech razy sztuka – mruknął James.

Melissa stłumiła kolejne ziewnięcie.

– Jestem pewna, że planowała wrócić, zanim ktoś z nas się połapie, że znikła.

– Posłuchajcie, może spróbujecie się trochę zdrzemnąć? – podsunęła Val. – Nie ma sensu, żebyśmy wszyscy zawalili całą noc.

– Jesteś pewna, że nie masz nic przeciwko? – spytała Melissa.

– Całkowicie.

– Krzykniesz, jeśli ona wróci? – poprosił James.

– Usłyszą mnie aż w Kanadzie.

Uściskali się, a potem Val odprowadziła wzrokiem dwójkę przyjaciół, aż znikli w namiotach.

– Jeśli nie masz nic przeciwko, wołałabym tu posiedzieć – powiedziała Jennifer.

Val skinęła głową. Prawdę mówiąc, nie miała nic przeciwko. Co więcej, była serdecznie wdzięczna Jennifer za podjęte w jej sprawie starania. Młoda kobieta przez niemal bitą godzinę chodziła po terenie kempingu, usiłując złapać zasięg i połączyć się z prywatnym numerem Henry’ego Voighta. Bezskutecznie.

– Przynajmniej przestało łać – stwierdziła Jennifer.

Niewielka pociecha, pomyślała Val, wpatrując się w mrok i modląc, żeby wyłoniła się z niego postać córki. Niestety, widziała wyłącznie kołyszące się gałęzie drzew i słyszała tylko szmer liści. „Twoja córka jest w tarapatkach – szepotały. – Twoja córka cię potrzebuje”.

– Wszystko dobrze? – spytała Jennifer po paru minutach milczenia.

Val pokiwała głową.

– Jestem tylko przerażona. I wściekła. I rozczarowana. Czyli w sumie jak każdy rodzic nastolatka.

Jennifer zachichotała niewesoło.

– Zdaje się, że to zmartwienie mnie ominie.

– Nie chcesz mieć dzieci? – Val zdała sobie sprawę, że jest szczerze zainteresowana.

– Sama nie wiem. Zawsze zakładałam, że będę miała całe stadko – przyznała Jennifer. – Ale Evan... Przepraszam. – Objęła kolana ramionami i wbiła wzrok w ziemię.

Val dokończyła za nią to zdanie:

– Evan nie chce mieć więcej dzieci.

– Ja w gruncie rzeczy rozumiem jego niechęć – rzuciła szybko Jennifer. – Naprawdę. Jest starszy, już to raz przeżył i ma za sobą

– Ale ty nie masz.

– Nie, ale... No nie wiem, zobaczymy. Może zmieni zdanie.

Na to bym nie liczyła, pomyślała Val, ale zachowała tę myśl dla siebie. Czowała, że nie musi tego mówić głośno. Evan zawsze bardzo stanowczo twierdził, że nie chce mieć więcej dzieci. „Wolę sam być twoim dzieckiem”, mówił, ilekroć poruszała ten temat.

– Zresztą pewnie nie byłabym dobrą matką – powiedziała Jennifer.

– Dlaczego tak mówisz?

– Mam mało cierpliwości.

– Serio? Wydajesz mi się bardzo cierpliwą osobą.

Jennifer roześmiała się, chociaż temu śmiechowi było bardzo daleko do radości.

– Nie zdaniem mojej siostry. Twierdzi, że zawsze się jej czepiam.

– No cóż, siostry rzadko bywają wyrozumiałymi sędziami.

– Masz siostrę? – spytała Jennifer.

– Jedną. Młodszą. Allison.

– Ja mam starszą. Cameron.

– Jesteście ze sobą blisko? – Val myślała w pierwszej chwili, że zadaje to pytanie, chcąc zabić czas i nie zamartwiać się bez przerwy o Brianne, więc sama się zdziwiła, kiedy zrozumiała, że z zaciekawieniem czeka na odpowiedź Jennifer.

– Nie. Nigdy nie byliśmy. Nie jestem pewna dlaczego, tak w sumie. Chyba po prostu bardzo się różnimy. Jakoś zawsze wkurzamy jedna drugą. A ty i Allison?

– Kiedyś, kiedy dorastałyśmy, byliśmy blisko. Wszystko się zmieniło po odejściu ojca.

– Dlaczego odszedł?

– Inna kobieta – powiedziała Val z cierpkim uśmiechem. – Brzmi znajomo?  
Jennifer nie podnosiła wzroku.

– Mój ojciec ma alzheimera – dorzuciła po chwili milczenia.

– Przykro mi. – Val znów się zdziwiła, że mówi to szczerze.

– Więc w jakiś sposób on też nas zostawił.

Val pokiwała głową.

– Musi ci być bardzo ciężko.

– Jest.

– A twoja mama?

– Nie żyje. Twoja?

– Moja sobie na to pracuje.

Jennifer spojrzała przez mrok Val w oczy, ale nic nie powiedziała.

– Pije – wyjaśniła Val. – Dużo. Prawdę mówiąc, bez przerwy.

– Przez twojego tatę?

– Może z początku. Ale chyba to zbyt proste zrzucić całą winę na niego. To choroba. A ona miała przecież wybór. Każdy z nas ma.

Znowu spojrzały sobie w oczy.

I wtedy usłyszały czyjeś kroki i zobaczyły sylwetkę, która wyłoniła się z mroku i chwiejnie ruszyła w ich stronę.

– Hayden? – Val poderwała się z miejsca i podskoczyła do niego. Zdążyła go pochwycić, kiedy zatoczył się w jej objęcia. – Boże, co ci się stało?

– Co mu jest? – spytała Jennifer.

– Leć po Gary’ego. – Val usłyszała we własnym głosie, o kilka tonów wyższym niż normalnie, rosnącą histerię. Nawet po ciemku widziała, że Hayden ma rozcięty i posiniaczony policzek, a ubranie przemoczone i utyłane błotem. – Co się stało? Gdzie Brianne?

– Co się dzieje? – spytała Melissa, gramoląc się z namiotu.

– Brianne wróciła? – James pojawił się w tej samej chwili.

– Czy ktoś może mi przynieść trochę wody? – spytała Val, usuwając drobiny żwiru i pozlepiane włosy z twarzy Haydena.

James natychmiast zanurkował do namiotu i wrócił chwilę później z butelką wody mineralnej. Val uniosła ją do ust chłopca, obserwując z napięciem, jak Hayden usiłuje się napić.

– Hayden, kochanie, proszę cię, gdzie jest Brianne? – nie wytrzymała.

– Hayden! Hayden! – wołał jego ojciec, idąc szybko w ich stronę. Potknął się przy tym o własne nogi i o mały włos nie przewrócił. Przysiadł na ziemi i złapał syna w objęcia. – Nic ci nie jest? Mój Boże, co się stało? Kto ci to zrobił?

Hayden przez kilka chwil patrzył na ojca i nic nie mówił.

– Brianne nic nie jest? – Gary rozejrzał się wkoło. – Gdzie ona jest?

– Nie wiemy. Hayden wrócił sam – odpowiedziała mu Val. – Hayden,

proszę. Możesz nam powiedzieć, gdzie ona jest?

– Jest z tym facetem – udało się wreszcie wykrztusić Haydenowi.

– Z jakim facetem? Chodzi ci o Tylera?

Skinął głową.

– Powiedz nam, co się stało – poprosił Gary, a wszyscy stłoczyli się wokół.

Hayden posłusznie opowiedział im, jak Brianne usiłowała skontaktować się z Tylerem, kiedy wcześniej poszli się przejść.

– Połączenie było słabe i nie miała pewności, czy on ją zrozumiał. Ale słyszałem, jak mu mówiła, że spotkają się przy bramie kempingu o północy. Nie chciałem, żeby szła tam sama – ona ma dość kiepską orientację w terenie – więc poszedłem za nią. Wiem, że powinienem był ci coś powiedzieć – zwrócił się do ojca.

– I co było potem? – spytała Val. Nie ma sensu dyskutować o tym, co mogło czy powinno się zdarzyć. Ważne było tylko to, co faktycznie się stało.

– Mocno się spóźniał i niemal udało mi się przekonać ją do powrotu do namiotów, ale wreszcie się pojawił. Widać było, że pił...

– O Jezu...

– Wdaliśmy się w kłótnię, a potem on mnie uderzył.

– Uderzył cię?

– A potem ocknąłem się na poboczu drogi.

– A Brianne?

– Znikła.

– Zostawili cię tam samego? – spytała Jennifer.

– O Boże – powiedziała Val, patrząc na nich obu. – Strasznie mi przykro.

– Zaraz. To ona jeszcze nie wróciła? – zapytał Hayden, jakby cała powaga sytuacji dopiero do niego docierała.

– Nie. Nie mówiła ci nic o tym, dokąd pojedą?

Hayden pokręcił głową, z początku ostrożnie, potem z większą energią.

– Chyba niczego nie zaplanowali.

– Pewnie znaleźli jakieś miejsce i zaparkowali – stwierdziła Melissa. – A kiedy zaczęło błyskać i grzmieć, postanowili nie ruszać się z miejsca i przeczekać.

– Burza ustała z godzinę temu – przypomniała jej Val.

– Może przeważał rozsądek i czekają, aż ten kretyn wytrzeźwieje, zanim znów siądzie za kółkiem – zasugerował James.

– Zdrowy rozsądek nigdy nie należał do zalet Brianne – stwierdziła Val. – O Boże, a jeśli mieli wypadek? A jeśli...?

– Nie ma sensu spekulować – doradził Gary.

– Ale co, jeśli...?

Co jeśli... Co jeśli... Co jeśli...



– Wszystko będzie dobrze – powiedziała Jennifer, obejmując ją ramionami i trzymając tak, dopóki Val nie przestała się trząść. – Wszystko będzie dobrze, Val. Brianne to twardzielka. To twoja córka, prawda? Gdziekolwiek jest, cokolwiek się stało, nic jej nie będzie.

– Nie powinniśmy już tej drogi znaleźć? – odezwała się Brianne, odsuwając od twarzy kolejną gałąź, to podskakując na jednej nodze, to kulejąc śladem Tylera.

– Idziemy dopiero od dziesięciu minut – przypomniał jej Tyler.

Chociaż był odwrócony do niej plecami, i tak wiedziała, jaką ma minę. I nie była to miła mina. Miał jej powyżej uszu i, szczerze mówiąc, nie mogła go winić. Była upierdliwa i sama doskonale to czuła. Słuchanie własnego głosu irytowało ją na pewno nie mniej niż jego. Ale, cholera jasna, była przemoknięta, zmarznięta i mocno obolała. I to wszystko przez niego.

Nie, nie tylko przez niego, poprawiła się. Nie zapominaj, że całe to spotkanie to twój własny genialny pomysł. I pamiętaj, nikt cię nie zmuszał, żebyś wsiadła do samochodu. Jak mogła pozwolić mu odjechać, zostawić Haydena nieprzytomnego przy drodze? Proszę, niech nic mu się nie stanie, modliła się w duchu. Proszę, niech się okaże, że się ocknął i trafił z powrotem na kemping. I pal sześć konsekwencje. Liczyło się tylko to, żeby Haydenowi nic się nie stało. Wtedy wszystko będzie dobrze.

– Na pewno przeszliśmy już te dwa kilometry – powiedziała po paru chwilach.

– Kpisz sobie? Może z pięćset metrów w najlepszym razie.

– Co? Żartujesz chyba?

– Wierz mi, nie jestem w nastroju do żartów.

– Nie jesteśmy nawet w połowie drogi?

– Zgadza się.

– W tym tempie nie dowleczymy się tam do rana.

– Może gdybyś spróbowała iść szybciej...

– Może gdybyś znów spróbował mnie ponieść...

Obejrzał się na nią gniewnie.

– No co? Uważasz, że jestem za ciężka?

– W tych okolicznościach wróżka Dzwoneczek byłaby za ciężka.

– Twierdzisz, że jestem za gruba?

– Nie to miałem na myśli.

– No to co chcesz mi powiedzieć?

– Mówię, że za dużo gadasz.

– No cóż, a ty za dużo pijesz – odpaliła Brianne.

– Już dawno wytrzeźwiałem, gdybyś nie zauważyła.

– Masz rację, nie zauważyłam.

Tyler przystanął, obrócił się w jej stronę na pięcie.

– Słuchaj, mogłabyś się odwalić na chwilę? Tylko na parę minut? O nic więcej nie proszę. Przecież to nie tak, że oczekuję choć odrobiny wdzięczności czy coś.

– Wdzięczności? Oczekujesz ode mnie wdzięczności? A niby za co?

– Na początek za to, że zawróciłem. Nie musiałem.

– No to po co wracałeś?

– Nie wiem. Pewnie dlatego, że jestem debilem. Zdaje się, że właśnie tego słowa użyłaś. – Znow ruszył przed siebie.

– Przepraszam cię za to – powiedziała cicho.

Stanął i ponownie na nią spojrzął.

– Coś ty powiedziała?

– Nic.

– Czy ja naprawdę słyszałem, że mnie przepraszasz?

– Tylko za to, że nazwałam cię debilem.

– Oczywiście.

– Za nic innego.

– Oczywiście.

– Wszystko inne to twoja wina.

– Oczywiście – powiedział jeszcze raz. Kąciki ust zadrgały mu w uśmiechu.

– Tak czy inaczej, nie ma sprawy. Jak to mówią? Słowo nie kij, kości nie połamie.

– Moim zdaniem to nieprawda – powiedziała Brianne. – Słowa mogą zaboлеć. Czasem nawet bardziej niż uderzenie kijem.

– No cóż, przezywano mnie już gorszymi słowami niż „debil”.

– Tak? Na przykład?

Roześmiał się.

– O nie. Żadnej więcej amunicji ci nie dostarczę. Chodź. – Wyciągnął do niej rękę.

Brianne ku własnemu zdziwieniu ujęła ją i wlekli się dalej w ślimaczym tempie przez kolejne pięć minut.

– Daleko jeszcze? – zapytała z nadzieją, że zabrzmi to słodko i może wręcz rozczulająco. Wyszło jednak raczej marudnie niż żartobliwie.

– Przeszliśmy jakiś kilometr.

Brianne puściła dłoń Tylera i osunęła się na ziemię, pokonana.

– Co teraz znowu, do cholery?

– Nie mogę iść dalej. Moja kostka...

– Boli. Ja wiem. Ale musisz przynajmniej spróbować, Brianne...

– Próbowałam! Próbuję!

Tyler pokręcił głową. Już dawno przestał się uśmiechać.

– Taa, próbujesz. Jasne.

– O co ci niby chodzi?

– O nic. O nic mi nie chodzi. Możemy jeszcze przejść kawałek?  
– Nie. Nie mogę iść. Nijak nie przejdę następnego kilometra.  
– No to co proponujesz? Mamy tu po prostu zostać i mieć nadzieję, że ktoś się na nas natknie?

– Nie – zaprzeczyła Brianne. Co właściwie sugerowała? Myślała, że jakimś magicznym sposobem matka ją znajdzie i uratuje?

– Co zatem? Zbyt wielu rozwiązań tu raczej nie ma, Brianne. Albo wstaniesz, albo ja idę dalej sam.

Chwila milczenia. A potem:

– Nie mogę wstać. Po prostu nie mogę.

Tyler przysiadł na wilgotnej ziemi obok niej.

– Dobra, posłuchaj. Może to nie taki zły pomysł, żebym dalej poszedł sam. Powinienem dotrzeć do drogi dość szybko.

– Zakładając, że się nie zgubisz – wtrąciła Brianne.

– Zakładając, że się nie zgubię – powtórzył Tyler. – Tak przy okazji, dzięki za ten głos zaufania.

– Nie ma za co.

– W każdym razie, jeśli ktoś mieszka w tym domu przy drodze i jeśli ja tego kogoś na śmierć nie wystraszę, dobijając się w środku nocy...

– I powiesz im, co się stało...

– I oni zadzwonią po jakieś służby...

– I wtedy ty tu po mnie wrócisz...

– I wtedy po ciebie wrócimy – powtórzył Tyler.

– A jeśli nikogo nie ma w domu?

– To się włamię, skorzystam z telefonu i...

– A jeśli nie uda ci się włamać? A jeśli tam telefonu nie ma?

– A jeśli złapie mnie wielki zły wilk? – zażartował Tyler w odpowiedzi.

– Tyler, to nie jest śmieszne.

– Posłuchaj, co się może zdarzyć najgorszego? Nikogo nie będzie w domu, nie uda mi się włamać, włamię się i nie będzie telefonu. W najgorszym przypadku okaże się, że wlokłem się po nic. Wtedy zawrócę i tu przyjdę.

– Obiecujesz? Że nie zostawisz mnie tu?

– Gdybym miał zamiar to zrobić, nie wracałbym za pierwszym razem.

– Dlaczego wróciłeś? Byłam wredną suką.

– Chyba mi się trochę należało.

– Tak, należało ci się jak psu kość.

Zaśmiał się.

– Chyba powinienem się przymknąć, póki mam punkt przewagi. – Wyprostował plecy.

A Brianne natychmiast dopadły wątpliwości.

– Ja tam nie wiem. Może jednak powinieneś zostać ze mną.  
– Ty decydujesz – powiedział. – Ale mogę tam dotrzeć i wrócić w niecałe pół godziny.

– Tak szybko?

– No dobrze, może góra w godzinę.

– Okej.

– Okej, znaczy...?

– Znaczy okej. Idź już, zanim zmienię zdanie.

– Okej – powtórzył, znów podnosząc się na nogi. – Niedługo wrócę.

– Pośpiesz się! – zawołała, ze zdziwieniem dostrzegając, jak szybko straciła go z oczu. – Cholera. – Nie powinnam była pozwolić mu odejść, pomyślała. – Tyler? Tyler! Zmieniłam zdanie! Wracaj!

Nawet jeśli ją usłyszał, to zignorował. Nie wrócił.

– Cholera – powtórzyła Brienne.

Siedziała w zupełnym bezruchu, jak jej się wydawało, całą wieczność, chociaż pewnie trwało to jakieś pięć minut. Wreszcie zmęczona i późną porą, i wszystkimi przejściami, położyła się, zwinęła w ciasny kłębek w pozycji embrionalnej i przymknęła oczy, wyobrażając sobie, że leży w bezpiecznych objęciach matki. Nasłuchiwała ostatnich kropel deszczu ściekających z szeleszczących w pobliżu liści.

Parę minut później, z dłonią zaciśniętą na grudzie mokrej ziemi, zasnęła.

Nikki leżała w łóżku z zamkniętymi oczyma, ale w pełni rozbudzona, przeżywając raz jeszcze wydarzenia tej nocy i nasłuchując nucenia Kenny'ego pod prysznicem, gdy usłyszała stukanie do okna. W pierwszej chwili zignorowała je jako ostatnie odgłosy zamierającej burzy, bezradne gałęzie szarpane wrogim wiatrem i drapiące o szkło w daremnej próbie znalezienia schronienia. Tu schronienia nie ma, pomyślała i uśmiechnęła się, napawając się wspomnieniem ostatnich rozpaczliwych wysiłków ich najnowszych ofiar. Tyle że te ofiary rozpaczliwie usiłowały uciec na zewnątrz, a nie dostać się do środka. Mimo to efekt był ten sam. Nie ma ucieczki. Nie ma litości.

Nikki uwielbiała wspominać każdy mord w szczegółach. Czuła się wtedy bliższa Kenny'emu, związana z nim na zawsze. Uwielbiała przeżywać na nowo dokładną sekwencję wydarzeń, starając się nie pominąć niczego: początkowej scenografii, „powitania z przywitaniem”, jak to lubił nazywać Kenny, tej uprzejmej, niewinnej wymiany zdań, która niezmiennie potem następowała, lekkiego zaniepokojenia wkradającego się do rozmowy w miarę jej trwania, przejścia zaniepokojenia w strach, strachu zmieniającego się w przerażenie, gdy naga rzeczywistość zajmowała miejsce baśni, a noże szybko rozprawiały się z „i żyli długo i szczęśliwie”.

Nikki nigdy nie lubiła bajek. Sama myśl o pięknej księżniczce w cienkiej jak mgła sukni była dla niej odstręczająca. Nie cierpiała głupiego, mazgajowego Kopciuszka, o wiele bardziej woląc jej wredne przybrane siostry, trzymała kciuki za złą Królową, a nie bezbarwną Śpiącą Królową, która czekała sto lat, aż przystojny książę znajdzie ją i wyratuje.

Nigdy nie wierzyła zbyt w Wróżkę Zębuszkę, Ciasteczkowego Potwora czy nawet w Świętego Mikołaja, mimo wszelkich wysiłków rodziców, próbujących ją przekonywać, że to postacie prawdziwe. „Popatrz, co ci przyniósł Mikołaj!”. Niemal słyszała maniakalnie entuzjastyczne piski matki każdego bożonarodzeniowego poranka, kiedy wymachiwała przed twarzą Nikki najnowszą Barbie. Boże, jak ona nie cierpiała tych idiotycznych lalek w kretyńskich strojach, z wielkimi plastikowymi biustami. Przez należyty czas udawała, że się nimi zachwyca, a potem zrywała z nich te markowe ciuchy, odcinała lśniące jasne włosy, a wreszcie po prostu urywała im głupie głowy, „O nie, patrz, co się stało tej biednej Barbie!” – jęczała matka, zupełnie jakby smutny los spotkał lalkę z ręki Boga.

Na szczęście, matka miała niewyczerpane umiejętności ignorowania rzeczy

oczywistych.

W przeciwieństwie do babki.

– Może powinnaś ją zabrać do jakiegoś lekarza – podsłuchiwała, jak babka szepce do matki. Słyszała to wiele razy i ten męczący refren stawał się częstszy, w miarę jak rosła. – Z nią jest coś nie do końca w porządku.

– Nie wygłupiaj się. Nic złego się z nią nie dzieje – protestowała matka.

– No, ja nie wiem. Tamta historia z brodawką...

– Czy nie mogłabyś wreszcie zapomnieć o tej głupiej brodawce? Była wtedy dzieckiem, na litość boską.

– I te okropne rzeczy, jakie powymyślała na twojego ojca?

– Już o tym rozmawialiśmy, i to ile razy? To było niefortunne nieporozumienie. Szkoła nabija im głowy gadaniną o dobrym i złym dotyku. Pokręciło jej się, to wszystko.

– A ja ci mówię, że ona nie jest jak inne dzieci. Nie umiem tego określić. Zupełnie jakby jej czegoś... brakowało.

– Mylisz się – powtarzała matka.

Jednakże Nikki wiedziała, że babka ma rację. I że będzie musiała coraz bardziej uważać. Nauczyła się studiować ludzkie twarze tak, by wyczuwać ich reakcje, a potem naśladowała te emocje, jakich od niej najwyraźniej oczekiwano. Emocje, jakie innym dziewczynom przychodziły jakby naturalnie. Emocje, których ona po prostu nie czuła.

Udawała, że kocha rodziców, chociaż tak naprawdę byli jej obojętni. Udawała zainteresowanie koleżankami, których zabawy śmiertelnie ją nudziły. Łatwo zawierała przyjaźnie i jeszcze skwapliwiej zastępowała jedne przyjaciółki następnymi. Bo co to niby za różnica? Jeden człowiek jest taki sam jak drugi. Wszyscy są do zastąpienia.

A kiedy dziadek zmarł zaledwie parę dni przed jej trzynastymi urodzinami, a matka odwołała przyjęcie urodzinowe, którego Nikki wyglądała od tygodni, ukryła swój gniew na bezmyślność dziadka, a nawet udało jej się na pogrzebie wycisnąć z siebie parę łez.

– Musiała go bardzo kochać – dobiegł ją komentarz któregoś z żałobników.

Uśmiechnęła się. Niezła robota, pomyślała.

A potem obejrzała się na babkę, która stała obok otwartej trumny dziadka i obserwowała ją. Uśmiech zastygł na jej wargach, potem zbladł, wreszcie znikł. Zło jednak już się stało. Babce udało się zajrzeć w głąb jej duszy. Poznała prawdę.

Czegoś jej... brakuje.

I czegoś faktycznie brakowało, pomyślała teraz Nikki, przewracając się z boku na bok w łóżku. Aż do czasu Kenny'ego. Wtedy wszystko znalazło się na swoim miejscu.

Dziadek był pierwszą zmarłą osobą, jaką zobaczyła. Pamiętała, że zbliżyła

się do jego trumny z rozmyślną powagą na twarzy, z drżeniem dłoni, które przygodny obserwator mógł wziąć za mieszaninę trwogi i żalu, choć w rzeczywistości spowodowane było podekscytowaniem. Opuściła wzrok na tę ciastowatą cerę, na mocno uróżowane policzki i cienkie wargi, które zostały pociągnięte nietwarzową ciemną szminką, i pomyślała, że przypomina w gruncie rzeczy jedną z tych dziwacznych woskowych figur w słynnym gabinecie Madame Tussaud. Oczy miał zamknięte i musiała z trudem opanować impuls, by wyciągnąć rękę i na siłę mu je otworzyć. „Popatrz na mnie, dziadku!” – chciała krzyknąć. Przeniosła wzrok na ciemnogrnatowy garnitur i niemodnie szeroki krawat w czerwone i granatowe pasy. Z rozczarowaniem przekonała się, że nie ma żadnych widocznych śladów ataku serca, który go zabił, więc zamknęła powieki i spróbowała wyobrazić sobie, jak jego serce rozdyma się do rozmiaru dziesięć razy większego niż normalnie, a potem eksploduje niczym granat ręczny. Chciałabym to zobaczyć, pomyślała. Chętnie nawet za pieniądze.

Nachyliła się niżej, udając, że chce go pocałować na pożegnanie. Zamiast tego pozwoliła wargom przesunąć się po zimnej, szarej skórze jego policzka aż do ucha.

– Gnij w piekle – szepnęła, myśląc o swoim zmarnowanym urodzinowym przyjęciu.

Zastanawiała się, czy mimo wszystko dostanie prezenty od tych tak zwanych przyjaciółek, które pozapraszała, od tygodni rzucając aluzje na temat świetnych perfum „Juicy Couture” albo ciemnozielonego sweterka w serek, który widziała na wystawie w Forever 21. Pewnie teraz dostanie tylko jakieś stare nudne ciuchy z Gap, ulubionego sklepu jej matki, i stos nikomu niepotrzebnych książek od babki. Wątpiła, żeby w tym roku nawet zawracały sobie głowę tortem. Co prawda, nie przejmowała się specjalnie tortem, rozczarowaniem przyjaciółek czy skończeniem trzynastki. Po prostu lubiła znajdować się w centrum zainteresowania, a teraz ten głupi dziadek nagle kojfnął. Jak grom z jasnego nieba.

Grom, powtórzyła cicho, wracając myślami do dzisiejszej nagłej burzy. Chociaż nie mogła się równać z tą, która szalała tamtego pierwszego wieczoru, kiedy odkryli z Kennym to miejsce, i tak przyjemnie przypominała jej o chaosie, jaki udało im się wtedy rozpętać. Zawsze uwielbiała burze, te chwile patosu i dramaturgii – rozbłyśki błyskawic, gniew grzmotów, wycie wiatru. Czasami wychodziła na dwór w trakcie wyjątkowo gwałtownej burzy i rzucała wyzwanie piorunom. Czuła deszcz siekący zawzięcie jej twarz i ogarniała ją euforia niemal seksualnej natury, uniesienie prawie tak intensywne jak wtedy, kiedy dociskała nóż do własnej skóry.

Nic w tych uczuciach nie było udawane, to pewne. Tutaj niczego nie brakowało.

Jej babka co do jednego miała rację – że nie jest podobna do innych ludzi.

Była kimś szczególnym.

Czy Kenny też tak uważa? Usłyszała, że skończył już brać ten swój spontaniczny prysznic. Kenny uwielbiał brać prysznic, czasem zdarzało mu się to i pięć razy w ciągu dnia, a czasem kąpał się w środku nocy, jak dzisiaj, kiedy był zbyt nakręcony, żeby zasnąć. Znowu mówił o tym, że mogliby spróbować w trójkacie.

– Czy ja ci nie wystarczam? – spytała płaczliwym tonem.

– Oczywiście, że wystarczasz. Nie bądź niemądra. Pomyślałem tylko, że fajnie byłoby poeksperymentować, to wszystko.

Wygramolił się z łóżka, poszedł do łazienki. Parę chwil potem usłyszała lejącą się z prysznica wodę.

Czekała, aż wyjdzie, gdy usłyszała stukanie do okna. Nagle dotarło do niej, że to żadne gałęzie tłukące się o szybę. Otworzyła oczy i obróciła głowę w stronę dźwięku. Do okna wyraźnie stukał człowiek.

Czy to możliwe?

– Kenny – szepnęła w kierunku łazienki, odrzucając kołdrę i wstając z łóżka.

– Kenny, wydaje mi się, że ktoś tu jest.

Drzwi otworzyły się i pojawił się Kenny, jak duch owiany chmurą pary, z ręcznikiem wokół bioder. Przechylił głowę w stronę okna i słuchał coraz natarczywszego stukania.

– Ależ ruch dziś w nocy – powiedział z uśmiechem. – Lepiej chyba sprawdź kto to.

– A jeśli to gliny?

– To się nimi zajmiemy.

Nikki złapała stary bladoniebieski szlafrok Ellen z poręczy łóżka, żeby zakryć nagość. Podeszła do okna, a Kenny wycofał się do łazienki. Ostrożnie odsunęła firankę.

W pierwszej chwili go nie zobaczyła. Dopiero potem z mroku wyłoniła się twarz – najpierw oczy, szeroko otwarte w wyrazie ulgi, a później usta, układające się w szeroki, pełen zadowolenia uśmiech.

Kimkolwiek jest, strasznie się cieszy, że mnie widzi, pomyślała Nikki, otwierając okno. Młody mężczyzna natychmiast się na nie wspiął i wszedł do środka.

– Łatwiej byłoby może skorzystać z drzwi – powiedziała Nikki ze śmiechem i podtrzymała go, kiedy omal nie spadł z parapetu do wnętrza sypialni.

Chodź tu, chodź, powiedział pajak do muszki, pomyślała, nie zawracając sobie głowy wiązaniem szlafroka, którego poły rozsunęły się, częściowo obnażając jej jedną pierś.

– Tak strasznie się cieszę, że jesteś w domu! – zawołał. – Przepraszam, jeśli cię przestraszyłem.



Powoli zebrała poły szlafroka.

– Czy ja wyglądam na przestraszoną?

Zaśmiał się krótko, nerwowo.

– Nie – przyznał, a jego wzrok powędrował w stronę dekoltu szlafroka.

Jest wysoki i nawet dość ładniutki, choć wygląda jak zmokła kura, pomyślała Nikki. Może trochę za chudy. Niewiele starszy ode mnie. Czemu by się tak w sumie nie zabawić? Wiedziała, że Kenny ich obserwuje, i pozwoliła szlafrokowi znów rozchylić się na piersiach, ponownie dając chłopakowi zerknąć na to, co się pod nim kryło. Nie odwrócił spojrzenia.

– Nazywam się Tyler. Tyler Currington.

– Nikki. – Poprawiła dłonią włosy, a szlafrok jeszcze mocniej się od tego rozchylił. – Jest taki piosenkarz country, który nazywa się Bill Currington. To jakiś krewny?

– Nie, nie wydaje mi się.

– Śpiewa o piwie i takich tam. Nie przepadam za muzyką country, ale jego lubię.

– Czadowo – powiedział Tyler. Jeśli uważał, że ta rozmowa jest dziwna, biorąc pod uwagę okoliczności, nijak tego nie okazywał. – Twój rodzice tu są?

– Nie. Jestem zupełnie sama.

– Żartujesz.

Uśmiechnęła się, czując jeszcze większą własną potęgę niż wtedy, kiedy ryzykowała uderzenie pioruna. Delektowała się tym uczuciem.

– Powiedz mi, co taki miły chłopak jak ty robi w lesie w taką noc? – Bawiło ją, że on ewidentnie zapomniał, po co tu przyszedł.

Uśmiechnął się z zażenowaniem, ani na moment nie odrywając wzroku od jej dekoltu.

– To długa historia.

– Na pewno ciekawa.

Wzruszył ramionami.

– Wjechałem samochodem do rowu. Ruszyliśmy piechotą, złapała nas burza. Nikki zerknęła czujnie w stronę okna.

– Nas?

– Z taką dziewczyną – wyjaśnił. – To nikt ważny.

Nikki zastanowiła się, czy dziewczyna, o której była mowa, ucieszyłaby się z podobnego określenia.

– I gdzie teraz jest ta nieważna dziewczyna?

– W lesie. Jakiś kilometr stąd. Skręciła kostkę i nie może iść.

– A więc po prostu ją tam zostawiłeś? W lesie? Samą?

Oto mężczyzna bliski memu sercu, pomyślała. Noc robi się coraz ciekawsza. Spojrzała ponad ramieniem Tylera w stronę łazienki, wiedząc, że Kenny słucha

każdego słowa. Czy podnieca go to, co widzi? A może nawet jest nieco zazdrosny?

– To był jej pomysł, żebym poszedł po pomoc – wyjaśniał Tyler. – Gdybym mógł skorzystać z twojego telefonu...

– Bardzo mi przykro, ale nie działa. Ta ostatnia burza pozbawiła nas zasilania i jeszcze nikt się nie pojawił, żeby naprawić awarię.

– Aha – powiedział, ale nie wyglądał na rozczarowanego.

– Może mogłabym ci pomóc.

– To znaczy jak?

– Mogłabym pomóc ci ją tutaj przynieść.

– Nie-e. Jesteś za mała.

– Jestem silniejsza, niż myślisz.

– O, na pewno.

Przyglądali się sobie przez parę chwil, żadne z nich nie odezwało się ani słowem.

– No to co robimy? – spytała, przerywając milczenie. – Chcesz tam wracać i ratować damę w opałach?

– Szczerze mówiąc, chyba nie dałbym rady. Jestem cholernie zmęczony. – Rozejrzał się po pokoju, zatrzymał spojrzenie na rozgrzebanym łóżku. – Zapraszająco to wygląda.

– Jeśli chcesz, możesz się położyć.

– Naprawdę?

– Jestem pewna, że twoja dziewczyna wytrzyma do rana.

– To nie moja dziewczyna. Mówiłem ci, to...

– ...nikt ważny. Tak, pamiętam. – Nikki przeciągnęła się z ramionami nad głową, oferując mu kolejny nęcący widok swoich piersi, a potem opuściła ręce i owinięła się ściślej szlafrokiem. – Pewnie strasznie marzniesz w tych mokrych ciuchach. Nie byłoby ci wygodniej, gdybyś je zdjął?

Mina na jego twarzy – coś pomiędzy „Czy ona naprawdę mówi to, co mówi?” a „Jasny gwint!” – powiedziała jej, że chłopak wręcz nie dowierza swojemu fartowi. Większą część nocy spędził na błędzeniu po lesie w ulewnym deszczu, a na koniec trafił na tę miejscową wersję farmerskiej córeczki. Ależ mu dopisało szczęście!

Niemądry chłopcze, pomyślała Nikki, czytając w jego myślach równie wyraźnie, jakby wypowiadał je na głos. Nikt ci nigdy nie powiedział, że jeśli coś wydaje się za dobre, żeby mogło być prawdziwe, to na pewno prawdziwe nie jest?

I tak jednak mogła przynajmniej dać mu się zabawić, zanim umrze. I dowiodłaby Kenny’emu, jak bardzo go kocha, pokazałaby, że zrobi wszystko, odda się nawet innemu mężczyźnie, jeśli jego by to miało uszczęśliwić. Może Kenny nawet do nich dołączy. Niezupełnie taki trójgąsiek, o jakim mówił, ale – hej! – co dobre dla gąski, dobre i dla gąsiora...

A przynajmniej jej babka zawsze tak mawiała. Choć, oczywiście, raczej nie w odniesieniu do trójkątów.

Poza tym Kenny nie musiałby czekać zbyt długo. Dziewczyna Tylera jest kilometr stąd. Razem z Kennym mogliby się nią zająć, kiedy już skończą z tym tutaj Sir Galahadem. A ona sama robi wszystko, o co Kenny ją poprosi, wszystko co konieczne, żeby go przy sobie zatrzymać, postanowiła, podchodząc do Tylera. Pociągnęła go za skraj bawełnianej koszulki.

– Faktycznie trochę mi zimno – mówił właśnie.

– No pewnie, że zimno. Przemokłeś do nitki. Przecież nie chcemy, żebyś złapał zapalenie płuc, prawda?

W odpowiedzi Tyler ściągnął mokry T-shirt przez głowę i rzucił na podłogę.

Był bardziej umięśniony, niż się spodziewała, miał wyrzeźbione mięśnie brzucha i imponująco zarysowane bicepsy. I zaskakująco duże dłonie. Mógł stawiać całkiem niezły opór. Może nawet sprawić Kenny’emu trochę kłopotów. Chociaż te mięśnie nie zrównoważą nagości i zaskoczenia.

Chwilę później rozpięła mu rozporek i bez zdziwienia dostrzegła, że nie nosił żadnej bielizny. Szybko ściągnął dżinsy i kopnięciem odrzucił je na bok.

– A teraz ty – powiedział.

Nikki rozsunęła poły szlafroka i zsunęła go z ramion.

– O rany – powiedział Tyler.

– Podoba się?

– Bardzo się podoba. – Pociągnął Nikki w stronę łóżka, wyciągnął dłonie i ujął jej pośladki.

– Założę się, że nie spodziewałeś się czegoś takiego, kiedy zastukałeś do mojego okna.

– Muszę przyznać, że to przekracza moje najśmielsze oczekiwania.

– Powiedz mi, co lubisz – poprosiła Nikki, siadając na nim okrakiem, gdy już padli na materac. – Powiedz mi, co chcesz, żebyś zrobiła. Zrobię wszystko, co zechcesz. – Językiem zaczęła kreślić linię od jego torsu aż po krocze.

– Już to robisz – powiedział zduszonym głosem.

– To może tak? – spytała, zerkając w stronę łazienki i wzięła go do ust, wiedząc, że Kenny patrzy na to jak zaczarowany.

– No pewnie...

– Masz gumkę?

– Co?

– Musisz mieć gumkę.

– Mam jakieś w kieszeni dżinsów – wychrypiął z trudem Tyler.

– To lepiej je przynieś.

– Dobra.

Nikki patrzyła, jak Kenny chowa się za drzwiami łazienki, gdy Tyler po

ciemku szukał dżinsów, a chwilę potem triumfalnie przystanął z kondomem w dłoni. Wracał już do łóżka, kiedy nagle się zawahał.

– Czujesz ten dziwny zapach?

Nikki leniwie wciągnęła powietrze.

– Pewnie coś wlało pod domek i zdechło.

– Mało przyjemna myśl.

– To się zdarza. – Nikki znacząco zerknęła na zwisający smętnie penis Tylera.

– Nie przejmuj się – powiedział, dostrzegając jej spojrzenie. – Zdekoncentrowałem się. Zaraz go na pewno ożywisz.

– Wiesz, na co mam ochotę? – spytała Nikki, kiedy Tyler już szykował się, by wejść z powrotem do łóżka.

– Mów – poprosił gorliwie Tyler.

– Mam ochotę na herbatę.

– Co? Herbatę? Teraz?

– Mam taką świetną herbatę brzoskwiniowo-żurawinową. To rodzaj afrodyzjaku.

– To znaczy?

– Robisz się napalony. A potem całą noc jedziesz.

– Naprawdę?

– Jest świetna.

Nikki podniosła się z łóżka i wyprowadziła Tylera z sypialni za rękę, zastanawiając się, czy wszyscy mężczyźni są tacy głupi. Czas już zacząć przedstawienie, pomyślała, kiedy wchodzili do dużego pokoju. Tyler Currington okazał się równie trudny i wymagający jak Calineczka.

– Tu capi jeszcze gorzej niż tam – odezwał się Tyler, a Nikki tymczasem podeszła stanowczym krokiem do noży na kuchennym kontuarze. Kenny wyłonił się z sypialni z okrwawioną maczetą w dłoni. – I coś lepkiego jest na dywanie. Jezu, co to? Może lepiej zapal światło.

Nikki włączyła przełącznik górnego światła, a jej niski w tonie śmiech prześlizgnął się po krwi na podłodze niczym wąż sunący przez wysoką trawę.

– Wszystko, żeby cię lepiej widzieć, kochanie.

– Gdzie są wszyscy, do licha? – Val chodziła tam i z powrotem przed drzwiami zamkniętego na głucho kempingowego biura, czyli niewielkiego baraku z prefabrykatów z sosny i szkła. – Musi już dochodzić siódma.

– Za pięć minut – odparła Melissa, zerkając na zegarek.

– A można by pomyśleć, że da się przyjść do pracy odrobinę przed czasem. No bo jak, nie muszą się tu przed nią zorganizować ani nic?

– I tak są chyba nieźle zorganizowani. – James patrzył we mgle wczesnego poranka na Jennifer, która kręciła się po zwirowanym parkingu i nadal usiłowała złapać zasięg na komórce.

– Chyba jedzie jakiś samochód – oświadczył Gary, zerkając w stronę drogi.

Parę chwil potem podjechała ciemnozielona furgonetka i wysiadła z niej przysadzista kobieta w średnim wieku w brązowym uniformie, z wielkich rozmiarów kubasem parującej kawy. Na plakietce identyfikacyjnej widniał napis: „Carolyn Murray, Kierownik”. Raczej się nie ucieszyła na ich widok.

– Jakiś problem? – zapytała czujnie, idąc energicznym krokiem w stronę baraczkę.

Val zerknęła na Gary’ego, bojąc się jednak patrzeć mu w oczy. Gary tak samo jak ona nie mógł się doczekać, kiedy uda im się skontaktować ze strażą leśną. Chłopak jej córki pobił do nieprzytomności jego syna, a potem zostawił go na poboczu drogi, w środku nocy, podczas gwałtownej burzy. To zrozumiałe, że będzie chciał wnieść skargę przeciwko temu młodemu człowiekowi. Val bała się pytać, czy zarzuty nie obejmą czasem Brianne.

Val ruszyła śladem Carolyn Murray pod drzwi baraku, usiłując naświetlić sytuację, jak najszybciej i najlepiej potrafiła. Słowa padały z jej ust w karkołomnym pośpiechu: córka wykradła się w środku nocy na spotkanie ze swoim chłopakiem, chłopak się upił, uderzył syna Gary’ego, zostawił go bez przytomności na poboczu drogi, znikł razem z jej córką w środku tej okropnej burzy, córka nie wróciła na kemping, zaginęła...

– No cóż, niezupełnie zaginęła, prawda? – Carolyn Murray przerwała jej, szukając w kieszeni spodni kluczy do baraczkę. – Po prostu nie wie pani, gdzie jest.

– A jest jakaś różnica? – Val poczuła, że Melissa szybko ściska jej ramię, ostrzegając, żeby nad sobą panowała.

– Mówię jedynie, że nie została porwana, to wszystko. Powiedziała pani, że wymknęła się na spotkanie ze swoim chłopakiem...

– ...który był nietrzeźwy...

– On zaatakował mojego syna – wpadł im w słowo Gary. Haydena zostawili przy namiotach, żeby dochodził do siebie i wyglądał powrotu Brianne.

– Przepraszam, ale czy pan sugeruje, że Starbright jest w jakiś sposób odpowiedzialne za to wszystko? – spytała Carolyn Murray.

– Nie, oczywiście, że nic takiego nie sugerujemy...

– Chcemy tylko powiedzieć... – zaczęła Val, z trudem pokonując opór warg.

– Chcemy tylko powiedzieć... – Boże, sama nie wiedziała, co chcą powiedzieć. – Czy możemy skorzystać z pani telefonu, żeby zadzwonić do straży leśnej?

– Och – westchnęła Carolyn, wyraźnie mięknąc. – Naturalnie. – Wsunęła klucz do zamka drzwi wejściowych, a potem przekręciła go w jedną stronę, w drugą... Bezskutecznie. – Cholerny zamek – zakląła. – Wiecznie robi takie numery.

Czy coś jeszcze może się teraz nie udać? – pomyślała Val.

Jennifer nagle wrzasnęła:

– Udało się! Mam połączenie. Jego telefon dzwoni. Naprawdę dzwo... Halo? Halo, Henry, to pan?

Lepiej późno niż wcale, pomyślała Val, próbując nie słyszeć we własnych myślach cichych słów, rzadko towarzyszących temu powiedzeniu: „Ale lepiej nigdy niż za późno”.

– Tu Jennifer. Ta z wczoraj. Zaraz, ucieka mi pan... Halo?

– Poszło! – zawołała Carolyn, bo klucz nagle obrócił się w zamku i drzwi się uchylily.

– Henry! Czekaj przy telefonie. Zaraz zadzwonię z innej linii – rzuciła Jennifer i weszła śladem pozostałych do baraczk.

– Mogą państwo skorzystać z tamtego telefonu. – Carolyn wskazała ścianę, pod którą pomiędzy dwoma podniszczonymi turkusowymi fotelami, na chwiejnym drewnianym stoliku do kawy stał staroświecki czarny aparat telefoniczny. Sama weszła za recepcyjny kontuar i pociągnęła długi łyk kawy, przyglądając się im wszystkim uważnie, choć udawała, że przerzuca jakieś papiery. Jej mina sugerowała, że nadal niepokoi ją ewentualna odpowiedzialność prawna kempingu w razie procesu sądowego.

Jennifer wybrała numer Henry’ego, do tej pory już zdążyła go zapamiętać. Telefon został natychmiast odebrany.

– Henry? To ja, Jennifer.

– Powiedz mu, że Brianne zaginęła – poinstruowała ją Val, zerkając na Carolyn Murray spod opuszczonych powiek.

Jennifer pokiwała głową.

– Pamiętasz córkę mojej przyjaciółki? – zapytała, przy słowie „przyjaciółki” zająkując się tylko bardzo nieznacznie. – Tę dziewczynę, którą przyprowadziłeś

z powrotem na kemping wczoraj wieczorem? Tak, o nią mi chodzi.

– Co on mówi? – spytała Val.

Jennifer zakryła dłonią słuchawkę.

– Pamięta, o kogo chodzi. – Szybko zreferowała Henry’emu wszystko, co się wydarzyło, przyznając, że Brianne odjechała z Tylerem samochodem, więc może jej już w ogóle w okolicy nie być. – Jakim samochodem on jeździ? – spytała Val, powtarzając pytanie Henry’ego.

– Czarną hondą – odparł Gary, zanim Val miała szansę się odezwać. – Hondą civic. Hayden mówił, że przynajmniej dziesięcioletnią.

– Czy może udało mu się zapamiętać numer rejestracyjny? – spytała Jennifer, słowo w słowo powtarzając kolejne pytanie Henry’ego.

Gary zaprzeczył ruchem głowy.

Jennifer powiedziała Henry’emu, że nie.

– Naprawdę? Bezzwłocznie? Dobrze. Dobrze, tak. Ogromnie ci dziękuję. – Odłożyła słuchawkę na widełki.

– Co powiedział? – spytała Val. – Co mówił?

– Powiedział, że natychmiast zadzwoni do centrum dowodzenia straży i powiadomi ich, że Brianne zaginęła, poda im jej ogólny rysopis i tak dalej. Powiedział, że mamy wracać na kemping i czekać, w razie gdyby wróciła z własnej woli, i że przyślą tu jakichś strażników, którzy zbiorą od nas informacje na temat Tylera, samochodu i tak dalej. Prawdopodobnie wystawią nakaz zatrzymania samochodu, a na razie on zacznie się sam rozglądać po okolicy, chociaż to w zasadzie jego wolny dzień. Więc nie jest źle. Przynajmniej zrobiliśmy jakiś początek.

Val z wdzięcznością pokiwała głową, czując, że kolana zaczynają jej drżeć i się uginać. Gary podtrzymał ją w samą porę, inaczej osunęłyby się na podłogę. Wszyscy nagle stłoczyli się wkoło niej.

– Mój Boże. Nic ci nie jest? – pytał James.

– Możemy poprosić trochę wody? – zapytała Melissa.

– Co się dzieje? – To była Jennifer. – Zemdląca?

– Nie całkiem, ale prawie – odparła Val, usiłując opanować mroczki przed oczyma.

– Proszę, woda. – Carolyn Murray utorowała sobie łokciami drogę do centrum grupki. – Musicie się wszyscy nieco cofnąć, dać tej biedaczce trochę powietrza. Nie uderzyła się pani w głowę ani nic, prawda?

– Nie.

– Podpisała pani zgodę na kempingowe warunki... – przypomniała jej Carolyn.

– Nie zamierzam wysuwać zarzutów – odezwała się kategorycznie Val, drobnymi łykami popijając wodę ze szklanki. – Tylko trochę mi słabo.

- Co jest zrozumiałe – stwierdziła Melissa.
- Niewiele spaliśmy tej nocy – wyjaśnił James.
- Myślisz, że uda ci się utrzymać na nogach? – spytał Gary.
- Chyba tak.
- Nie śpiesz się. – Pomógł Val wstać.
- Tak mi przykro – szepnęła Val, opierając się na nim i czując, jak zeszywniał, a potem się odsunął.
- Wiem.
- Czuję się strasznie winna.
- Val, to nie twoja wina.

Val westchnęła. Ale i tak mnie obwiniasz, pomyślała, rozumiejąc jego gniew, wiedząc, że tak samo by się czuła, gdyby ich sytuację odwrócić. Jego synowi stała się krzywda. Jej córka była, jeśli nie odpowiedzialna za to, to przynajmniej częściowo zamieszana. Gary miał wszelkie prawo się wściekać.

– Ma pani coś przeciwko, żebym skorzystała z telefonu i zadzwoniła do Nowego Jorku? – spytała kierowniczkę kempingu Jennifer. – Na koszt rozmówcy.

Carolyn skinęła głową i jednocześnie wzruszyła ramionami, unosząc wysoko brwi.

– A proszę bardzo.

Val wiedziała, że Jennifer dzwoni do Evana. To ciekawe, że jak na faceta lubiącego życie na krawędzi, jakoś nigdy nie było go, kiedy rzeczywiście coś się źle działo. Zaczynała się zastanawiać, czy to kwestia przypadku, czy zwykłego tchórzostwa.

– Ciągłe mnie łączy z pocztą głosową – powiedziała Jennifer, poddając się po tym, jak nagrała Evanowi wiadomości pod prywatnym i służbowym numerem. – Obiecywał wczoraj, że wyjedzie dziś z samego rana, więc może to znaczy, że jest już w drodze. Jeszcze raz zadzwonię do hotelu i zostawię tam dla niego kolejną wiadomość – dodała i zaczęła wybierać numer.

– Skieruje pani strażników leśnych do naszych namiotów, jak tylko się tu pojawią? – zwróciła się Val do Carolyn.

– Może pani na to liczyć.

Może pani na to liczyć, powtórzyła w myślach Val, napawając się brzmieniem tych kilku krótkich słów. Ostatnio można liczyć na coraz mniej spraw i ludzi, pomyślała, wychodząc z biura kempingu i ruszając w stronę namiotów.

Nikki przeszła z sypialni do saloniku w białym puchatym ręczniku zawiązanym na piersiach, z mniejszym owiniętym wokół włosów niczym turban.

– Czy ja słyszałam telefon, kiedy byłam pod prysznicem?

– Posłuchaj tego – powiedział Kenny, a jego głos aż drżał z podniecenia.

Dopiął ostatni guzik koszuli, którą zdjął z ciała zamordowanego strażnika leśnego. Poklepał mosiężną plakietkę na piersi.



– Mów.

Zdał jej szczegółową relację ze swojej rozmowy z Jennifer.

– Powiedziałem jej, że natychmiast zawiadomię kolegów ze straży i zaczną osobiście szukać Brianne. Mimo że to mój wolny dzień.

– Jakiś ty uczynny.

– Powinno to nam kupić przynajmniej parę godzin.

– Wyglądasz bardzo przystojnie w swoim nowym mundurze.

– Nie jest za ciasny?

– Tylko troszkę. Ale dobrze ci w nim. Znów jestem cała napalona.

– Nigdy nie masz dosyć?

– Ciebie? Nigdy.

– A Tylera? Jego miałaś dość?

Nikki poczuła ukłucie dumy. Czyżby słyszała w jego głosie zazdrość? Lekceważąco pomachała dłonią tuż przed twarzą.

– On był niczym.

– Zdecydowanie wyglądałaś tak, jakby ci było dobrze.

– Podobało mi się, bo wiedziałam, że ty na mnie patrzysz.

– Tak jak mnie będzie się podobało, kiedy będę wiedział, że ty patrzysz na mnie – powiedział, wkładając do kabury rewolwer martwego strażnika. – Kiedy już przyprowadzę do domu Brianne.

Nikki poczuła ucisk w piersi, a dotychczasowa determinacja zaczęła słabnąć. Postarała się odezwać jak najswobodniejszym tonem:

– Myślałam, że zajmiemy się nią razem.

– Zajmiemy się. Ale najpierw mała rozgrzewka. – Uśmiechnął się.

Nikki też zmusiła się do uśmiechu.

– Myślisz, że ona nadal tam będzie? – Miała rozpaczliwą nadzieję, że dziewczynie jakimś cudem udało się odnaleźć w lesie drogę powrotną.

– A dokąd by poszła?

Nikki wzruszyła ramionami.

– Podoba mi się imię Brianne – powiedziała, udając obojętność. – Może zacznę go używać, kiedy już...

– Już co?

– Kiedy już go nie będzie potrzebowała.

Uśmiechnął się.

– To lepiej pójdę jej poszukać. A tymczasem może tobie uda się zrobić coś z tym zapachem? Tyler miał rację. Zaczyna nieźle capić.

– A co mam niby zrobić?

– Chyba widziałem w łazience odświeżacz powietrza.

– Nie cierpię ich. Robi mi się od nich niedobrze.

– A przy okazji może uda ci się szczyścić trochę tej krwi.

– Co? Po co? Przecież będzie jej tylko więcej. Prawda?

– Oczywiście, że tak. Ale na razie nie chcemy, żeby Brianne weszła tu i pomyślała, że jesteśmy bałaganiarzami – powiedział i mrugnął. – Jak by to wyglądało?

– Może powinniśmy w ogóle ją sobie odpuścić.

– Co? Nie ma mowy.

– Kenny, czas nam się zaczyna tu kończyć. Nie mówiąc już o tym, że wydaliśmy większość kasy na te eleganckie kolacje w hotelu. Ile czasu upłynie, zanim prawdziwa straż leśna zacznie węszyć w okolicy?

Uśmiechnęła się na myśl o Kennym, gdy stanął pod drzwiami domku ubrany w mundur dopiero co zamordowanego strażnika leśnego, który miał tego pecha, że napatoczył się na niego, kiedy pozbywał się fragmentów ciała Davida Gowana.

– Nie martw się. Mamy mnóstwo czasu. – Wyciągnął rękę i lekko szarpnął ręcznik, którym była owinięta. – A teraz pójdę i poszukam tego zagubionego w lasach dzieciątka. Może uda ci się zaparzyć trochę twojej ulubionej herbaty z oksykodonem, żeby się odprężyła. Co ty na to?

A ja na to, że to zły pomysł, pomyślała.

– Niezły plan – powiedziała głośno tylko tyle.

Nauczyła się, że nie ma sensu spieranie się z nim, kiedy coś sobie postanowi. Zaczynała się także uczyć tego, że jeśli chciała go zatrzymać, będzie musiała przyzwyczaić się do myśli o innych kobietach. Na plus jest to, powiedziała sobie, gdy Kenny wychodził już we wczesnoranną mgłę, że kiedy on z nimi skończy, ona będzie mogła je pociać na setki drobnych kawałeczków.

– Kenny! – zawołała.

Przystanął i obejrzał się. Twarz miał częściowo zasłoniętą rondem kapelusza.

– Uważaj na siebie.

– Będę uważał. Aha – dodał, poklepując plakietkę na piersi. – Teraz na imię mam Henry.

– Jak sądzicie, dlaczego to zajmuje im tyle czasu? – spytała Val niespokojnie. Przechadzała się tam i z powrotem przed grupą piknikowych stołów ustawionych pomiędzy terenem wczorajszego wieczornego ogniska a ich namiotami. Melissa i James siedzieli po jednej stronie jednego chwiejnego stołu. Gary, Hayden i Jennifer po drugiej.

– Wyluzuj, Val – powiedziała Melissa. – Jeszcze nie minęła godzina.

– Myślałam, że już tu dotrą.

– Na pewno niedługo przyjadą.

– No to czemu to tyle trwa?

Pytanie spotkało się z ogólnym wzruszeniem ramion i w różnym stopniu zaniepokojonymi spojrzeniami.

– Gdzie oni są, do cholery? – zapytała Val, gdy minął kolejny kwadrans.

- Pewnie dopiero się organizują – podsunął James.
- Jak organizują? Nie powinni porozmawiać z nami, nim zaczną organizować jakieś głupoty?
- Jestem pewna, że są w drodze – uspokajała Melissa.
- I pewnie już zdążyli wydać nakaz zatrzymania samochodu Tylera – dodała Jennifer. – Może czekają, żeby sprawdzić, czy pojawią się jakieś informacje.
- A jeśli się nie pojawią? – spytała Val. – Co, jeśli Brianne i Tyler już zdążyli wyjechać poza ten rejon?
- Ale dokąd mieliby pojechać?
- Nie wiem. Może wrócili na Brooklyn.
- Nie wyobrażam sobie, żeby mieli pojechać z powrotem na Brooklyn – stwierdził James. – Nie w taką burzę.
- No to gdzie ona jest? Dlaczego tutaj nie wraca?

Val bezskutecznie usiłowała nie wyobrażać sobie, że słyszy odgłos pisku opon czarnej hondy civic Tylera, nad którą chłopak traci kontrolę na mokrej szosie, by za moment uderzyć w drzewo. Próbowwała – bezskutecznie – nie widzieć pogruchotanego ciała Brianne w dymiącym wraku.

– Myślicie, że może z nim po prostu uciekła? – spytała niemal z nadzieją, bo to pytanie na moment zaćmiło przerażający pokaz slajdów z towarzyszącą im ścieżką dźwiękową, jaki trwał cały czas w jej głowie. – Chodzi mi o to, że była zawstydzona, była zła, a po tym, co zaszło z Haydenem, pewnie bała się tu wracać. Jesteś pewien, że nic ci nie powiedziała? – spytała syna Gary’ego Val, doskonale wiedząc, że zadała mu to samo pytanie już co najmniej pięć razy. – Nie powiedziała nic, co by wskazywało, dokąd mogli pojechać?

Hayden pokręcił głową, a Val przysiadła na ławce pomiędzy Melissą a Jamesem.

– Posłuchaj, może ja wrócę do biura i spróbuję dodzwonić się do was do domu? – zasugerowała Jennifer, wstając w tej samej chwili, w której Val usiadła. – W razie, gdyby tam była...

– Byłabym wdzięczna – powiedziała Val. – Numer to...

– Znam numer.

Val skinęła głową.

– Dopóki tam będę, spróbuję jeszcze raz skontaktować się z Henrym. Może wie, co ich wszystkich zatrzymuje.

– No cóż – szepnął James, kiedy Jennifer znikła im z oczu. – Wygląda na to, że Dziwka się do czegoś przydaje.

Val gwałtownym ruchem obróciła się w jego stronę.

– Nie mów tak na nią – rzuciła.

Jennifer właśnie miała odłożyć słuchawkę starego czarnego telefonu tarczowego, kiedy po drugiej stronie linii usłyszała głos Brianne.

– Cześć – powiedziała słodko Brianne.  
– Brianne, na litość boską, my tu umieramy ze strachu...  
– Tutaj Brianne – kontynuował głos, jakby Jennifer wcale się nie odzywała.  
– Nie mogę w tej chwili odebrać telefonu, więc proszę zostawić wiadomość  
– Cholera. – Jennifer walnęła słuchawką o widełki.  
– Ostrożnie z tym – ostrzegła ją Carolyn Murray zza kontuaru recepcji.  
A potem, nieco łagodniejąc: – Nadal nic?

– Jeśli jest w domu, to nie odbiera.  
– Nastolatki. – Carolyn westchnęła, jakby to wszystko wyjaśniało. – Jestem pewna, że nic jej nie jest. Przekonacie się państwo. Jeszcze się wszyscy z tego potem nieźle uśmiejecie.

– Jakoś wątpię. – Jennifer znów wzięła do ręki słuchawkę i wykręciła numer Henry'ego. – Jeszcze tylko ten jeden telefon – rzuciła w stronę Carolyn. – Żeby się dowiedzieć, co ich tak długo zatrzymuje. – Telefon zadzwonił raz, drugi, a potem w połowie trzeciego dzwonka został odebrany.

– Henry Voight – powiedział zamiast „halo”.

– Henry, tu Jennifer. Bardzo przepraszam, że znów zawracam ci głowę...

– Czy Brianne wróciła? – przerwał jej.

– Nie. A strażników nadal tu nie ma.

Zapadła chwila ciszy, a potem strażnik znów się odezwał.

– Posłuchaj, Jennifer. Wiem, że to niełatwe, ale musisz powiedzieć wszystkim, żeby byli cierpliwi i czekali. Musicie zrozumieć, że dziewczyna, która wymyka się ze swoim chłopakiem w środku nocy, to nie jest priorytetowa sprawa dla straży leśnej. Sierżant zapewnił mnie, że kogoś do was oddeleguje przed dwunastą.

– W południe?

– A tymczasem rozglądają się za samochodem Tylera. Ja z kolei patroluję okolicę na piechotę.

– Przepraszam. Nie chciałam, żeby to zabrzmiało tak, jakbyśmy byli roszczeniowi. Naprawdę. Tylko że wszyscy się tak niepokoją...

– Doskonale rozumiem.

I wtedy Jennifer usłyszała w tle jakiś wrzask, rozlewający się niczym podsycony olejem płomień. Po tym krzyku rozległ się kolejny, a później następny, i każdy był bardziej przeraźliwy niż poprzednie.

– Jezus Maria, co to? Czy to Brianne?

A potem nagle wrzaski się urwały.

Jennifer patrzyła na słuchawkę, zorientowawszy się, że połączenie zostało przerwane.

Brianne bezradnie biegała w kółko i darła się wrzeszcząc w powietrzu wczesnego poranka. Jej wrzaski rozlegały się wśród drzew, odbijały się od łagodnego górskiego zbocza, a wreszcie cichły w obojętnej mgle.

– Nie, nie – mówiła teraz z płaczem. – To się przecież nie dzieje naprawdę. To niemożliwe. – Chwyliła się najbliższej gałęzi i poczuła, jak łamie jej się w dłoniach, a potem straciła równowagę, poleciała naprzód i przymknęła oczy, padając na ziemię. – Nie, proszę. Ja jeszcze śpię – jęknęła, ocierając sobie gołe kolana o jakiś fragment skały i czując, że ostra krawędź tnie jej skórę niczym masło. – To tylko jakiś zły sen. Nadal śpię. Po prostu mi się to śni.

Proszę, błagała w milczeniu, wciąż zaciskając mocno powieki i usiłując podnieść się na nogi. Proszę, niech się okaże, że to sen. Niech to nie będzie rzeczywistość.

Ale to była rzeczywistość. Brianne to wiedziała. Wiedziała w tej samej chwili, w której chłodne słońce obudziło ją dwie godziny wcześniej równie niegrzecznie, jak ktoś świecący latarką prosto w oczy. Usiadła raptownie, a słońce natychmiast wycofało się za chmury, jakby specjalnie, ale po kilku chwilach pokazało się ponownie, sadystycznie bawiąc się z nią w chowanego. Co mi zrobisz, jak mnie złapiesz – zdawało się, że z niej kpi, to się pojawiając, to znikając, w jednej chwili oświetlając jakiś punkt w pobliżu, w następnej zwyczajnie ją oślepiając.

Niech szlag trafi tego głupiego Tylera Curringtona, pomyślała wtedy, spoglądając pomiędzy drzewa z nadzieją, że zobaczy, jak przedziera się przez nie w jej stronę, a jego śladem ekipa poszukiwaczy. Gdzie on się, do licha, podział? Przecież obiecał, że wróci. Powiedział że ten dom, który widział, jest tylko jakiś kilometr dalej, i że jeśli będzie musiał, to się do środka włamie, sprowadzi pomoc, a potem po nią wróci.

No więc, gdzie on jest, cholera? Parę godzin minęło, odkąd poszedł. Czy ten idiota znów się zgubił? Skręcił w prawo zamiast w lewo, a potem w lewo zamiast w prawo, aż stracił orientację, brnąc po omacku i mając za przewodnika tylko tę swoją źle pojętą dumę? Czy wreszcie poddał się beznadziejnej sytuacji oraz własnemu przejmującemu zmęczeniu, i położył się, a potem zasnął wśród kępy liści, podobnie jak ona? Może dopiero teraz zaczyna się budzić i dociera do niego, że totalnie zabłądził? Może próbuje się zorientować, jak ma do niej dotrzeć?

A może udało mu się znaleźć ten dom, ale okazało się, że nikogo w nim nie ma, a telefon jest rozłączony? Stojąc przed wyborem pomiędzy szlachetnością

a wygodą, pomiędzy powrotem do tego nieprzyjaznego lasu a zaczekaniem do rana, być może – Brianne musiała niechętnie to uznać – poddał się pokusie ciepłego i pustego łóżka? Może i w tej chwili śpi spokojnie na jego gołym materacu, wdychając swojską stęchliznę i śniąc o czekających go bardziej udanych weekendach? I może właściciele domku wrócą tam dzisiaj później i go w nim zastaną, smacznie chrapiącego? Czy obudzi się w takt chóru: „Kto spał w moim łóżeczku?”.

Przenikliwe burczenie w brzuchu i jeszcze przenikliwsze bzyczenie komarów wreszcie przekonały ją, że pora wstawać i samodzielnie ruszać w drogę. Nie mogła ot tak siedzieć tu przez cały dzień i czepiać się nadziei, że Tyler jednak wróci. Ten debil na pewno już dawno sobie pojechał. Pewnie ślepym trafem natknął się na główną drogę i złapał autostop do miasta, a ją zostawił, żeby poradziła sobie sama.

Matka nigdy by mnie tak nie zostawiła, pomyślała, ostrożnie próbując wstać z ziemi, rozprostowując jedną po drugiej zeszywniałe kończyny. Matka niosłaby ją na własnych plecach, gdyby zaszła taka potrzeba, nawet gdyby te plecy ją strasznie bolały, nawet gdyby trzeba było nieść ją tak aż na koniec świata.

– Choć pewnie już tam jestem – powiedziała Brianne.

Rozejrzała się, słysząc, że mięśnie jej karku aż trzeszczą, gdy spoglądała na boki. Wszystko ją bolało. Lewy bark i ramię zdrętwiały od leżenia na twardej ziemi, obie nogi miała zeszywniałe i stała na nich niepewnie. Matka pocałunkami odgoniłaby te różne bóle i dolegliwości, a one by znikły jak za dotknięciem magicznej różdżki.

Spojrzała na własne nogi. Przez ostatnie kilka godzin zagrzebywała gołe stopy w mokrej ziemi, dla ciepła, więc teraz zaschnięte błoto pokrywało je od kostek po palce i wyglądało to, jakby nosiła czarne krótkie kozaki.

– Ależ ja jestem modna – mruknęła i roześmiała się z ulgą, bo przekonała się właśnie, że może nieco obciążyć obolałą kostkę, więc Tyler przynajmniej co do jednego miał rację – że noga chyba nie jest złamana.

Ruszyła przed siebie, a chmury zbierające się na niebie jakby szły jej śladem, coraz cięższe i grożące kolejnym deszczem.

– No, przynajmniej będę miała co pić, jeśli nikt mnie szybko nie odnajdzie – stwierdziła, zachodząc w głowę, czy matka już się obudziła, czy ktoś już zdał sobie sprawę, że jej nie ma. Dobrze, że poprzedniego wieczoru wypijała tyle szklanek wody, żeby mieć dogodną wymówkę do tego ciągłego biegania do toalety, zanim wykradnie się na spotkanie z Tylerem. – O Boże – jęknęła, znów przypominając sobie obraz Haydena leżącego bez przytomności przy drodze i modląc się odruchowo, żeby nic mu się nie stało. – Hayden, tak mi przykro. Nie chciałam, żeby do czegoś takiego doszło. Przepraszam. – A potem, z cichym płaczem: – Mamo, proszę, znajdź mnie. Jeśli mnie znajdziesz, to ja przyrzekam, że od tej pory

będę najlepszą córką na świecie. Będę po sobie sprzątała i utrzymywała swój pokój w porządku. Będę odrabiała lekcje i na czas zwracała książki do biblioteki. Nigdy więcej cię nie okłamię i nie będę się spotykać z idiotami takimi jak Tyler Currington. A następny raz seks będę uprawiać dopiero po ślubie.

No, może to, to nie, natychmiast się zreflektowała. Przecież chyba nawet matka nie będzie oczekiwać, żeby posuwała się tak daleko.

– Mamusiuuu! – wrzasnęła jak najgłośniejszym, rozciągając to słowo niczym elastyczną gumkę, aż skończył jej się oddech. Okoliczna cisza aż zawibrowała falą uderzeniową tego krzyku. – Słyszycie mnie? Halo! Czy ktoś mnie słyszy?

Urwała i czekała, nasłuchując choćby śladu jakiejś reakcji. Przecież w okolicy muszą być już teraz piesi turyści. Na pewno ktoś ją usłyszy.

– Mamusiuuu! – zawołała znowu i nagle dotarło do niej, że nie wołała matki tym słowem od lat, a przecież tak bardzo lubiła jego uspokajające brzmienie. – Mamusiu... – powtórzyła ciszej, żałując, że nie może zniknąć w kojącej miękkości ramion matki.

Dlaczego byłam dla niej taka wredna? Dlaczego tak jej dogryzałam? Czego ja jej nie powiedziałam! Porównałam ją z babcią, na litość boską, chociaż ona w niczym babci nie przypomina. Co mi odbiło z tym wszystkim? I jeszcze podlizywałam się Jennifer; zamiast być lojalna wobec kobiety, która przez całe życie kochała mnie bezwarunkowo, ignorowałam ją, sprzeciwiałam się jej, wprawiałam ją w zażenowanie i niemal chciałam, żeby umarła.

I wtedy nagle uderzyła ją myśl, że może już nigdy nie zobaczyć matki.

Co, jeśli dopadnie mnie niedźwiedź albo umrę tu z głodu? – pomyślała spanikowana. A jeśli nikt mnie nie znajdzie i umrę w tym lesie, a matka nigdy się nie dowie, jak bardzo ją kochałam? Jeśli nigdy nie będę mogła jej tego powiedzieć? Jeśli...?

Co, jeśli...? Co, jeśli...? Co, jeśli...?

– Pomocy! – wrzasnęła Brianne, osuwając się na ziemię i zalewając łzami. – Niech mi ktoś pomoże!

Po co próbować iść dalej, skoro nie miała pojęcia, gdzie się znajduje? Przecież czytała gdzieś – może nawet w jednym z podróźniczych artykułów swojej matki – że kiedy człowiek się zgubi, najlepiej jest nie ruszać się z miejsca i czekać, aż ktoś cię znajdzie. Bo ktoś wreszcie mnie tu znajdzie, tłumaczyła sobie. James się obudzi i zorientuje, że ona nie leży obok niego, okutana w śpiwór. Hayden wróci na kemping i powie wszystkim, co się stało: że ona odjechała z Tylerem, że zostawiła go nieprzytomnego na poboczu drogi.

– Hayden, przepraszam cię – szepnęła znowu.

Znajdą ten głupi samochód tego głupiego Tylera w tym głupim rowie. Zorganizują ekipę ratowniczą. Zaczną przeszukiwać lasy.

Tylko że już przeszukują lasy od dwóch dni, żeby znaleźć Davida Gowana.

Bezskutecznie.

Chociaż on pewnie po prostu wrócił do Nowego Jorku, pomyślała Brianne w następnej sekundzie, zastanawiając się też, czy wszyscy nie pomyślą tego samego o niej. Że uciekła z Tylerem i że najprawdopodobniej oboje złapali autostop do Nowego Jorku, kiedy jego samochód utknął w rowie. A wtedy co? Wezwą policję czy stwierdzą „baba z wozu, koniom lżej”? Pokręcą głowami z niesmakiem i pojedą na Brooklyn bez niej?

– Cholera – powiedziała, w duchu przysięgając sobie, że już nigdy nie zaklnie, jeśli tylko ktoś ją znajdzie, zanim muchy i komary zjedzą ją tu żywcem. – Psiakość – wybrała kompromis.

Jeszcze parę minut siedziała na wilgotnej ziemi, ale potem zdecydowała, że jednak lepiej będzie się ruszać. Może w jakimś momencie wpadnie na turystów albo leśnych strażników. Wczoraj gdziekolwiek się ruszyła, tam wyrastał jakiś strażnik, w tym głupim mundurze, z głupio nadętą miną i tymi głupimi kazaniami. Więc gdzie się teraz podziali? Gdzie oni są, kiedy naprawdę są potrzebni?

Przynajmniej będzie miała parę zabawnych historyjek do opowiedzenia Sashy po powrocie do domu. O ile wróci do domu.

Myśląc teraz o Sashy, Brianne zorientowała się, że ta ładna blondynka to chyba ostatnia osoba, którą chce widzieć na oczy. Początkowo pochlebiała jej uwaga okazywana przez Sashę, bo Sasha była starsza, bardziej doświadczona, miała mniej zahamowań. To Sasha zainicjowała ich przyjaźń, to Sasha poznała ją z Tylerem, to ona zachęcała Brianne, żeby się z nim spotykała, a potem wydobywała z niej wszystkie intymne szczegóły tych spotkań, napawając się każdym smacznym, choć nieraz zmyślonym kąskiem, jaki Brianne jej podrzucała. Najwyraźniej więc gust Sashy co do mężczyzn był co najmniej wątpliwy. Nie, smutna prawda wyglądała w ten sposób, pojęła Brianne, znów podpierając się dłońmi o ziemię, żeby wstać, że poza wspólnym upodobaniem do drogich strojów na siłownię one dwie nie miały ze sobą niemal nic wspólnego. A tematów do rozmowy jeszcze mniej.

– Naprawdę chętnie bym się czegoś napiła – powiedziała, usiłując zmusić ślinę, żeby napłynęła do ust.

W tym momencie natrafiła dłonią na coś jednocześnie obcego i znajomego. Złapała to coś, co w pierwszej chwili wydało jej się garścią glizd, tyle że te glizdy były zimne i grube, i wydawały się ze sobą połączone u podstawy. Węże? – zastanowiła się, czując ucisk w żołądku. Nie, to wykluczone. Węże nie leżałyby nieruchomo i sztywno w jej dłoni. Wiłyby się i usiłowały prześlizgnąć w górę ramienia. Zresztą nawet najmniejszy wąż byłby dłuższy niż to coś, co trzymała w ręku.

– Nie patrz – przykazała sobie. – Po prostu to wyrzucić, idź naprzód i nie oglądaj się za siebie.



Ale, oczywiście, było już za późno. Nawet nie patrząc, wiedziała, co to jest.

I to wtedy zaczęła wrzeszczeć tak głośnym, nieludzkim wrzaskiem, że trudno było uwierzyć, że pochodzi z jej własnych ust. Nie sądziła, że jest w stanie wydobyć z siebie taki krzyk. Zaczęła biec na ślepo, od jednego drzewa do drugiego, potykając się o kamienie i gałęzie, wrzeszcząc, płacząc, wyjąc:

– Nie, nie, nie! To się nie dzieje naprawdę, to niemożliwe! Proszę! Ja nadal śpię! To tylko zły sen! Ja nadal śpię! Tylko mi się śni!

Jeśli będzie tak dalej wrzeszczeć, to może te wrzaski rozerwą więzienie tego strasznego koszmaru i pozwolą wyrwać się do świata jawy. Obudzi się i znajdzie znów w wygodnym, podwójnym łóżku w hotelu. Obok niej będzie spała Jennifer, na łóżku po przeciwnej stronie matka obok Melissy, a James wyciągnięty na sofie w saloniku. Albo jeszcze lepiej, wcale nie będą w Adirondack. Będzie leżała wygodnie i bezpiecznie we własnym łóżku na Brooklynie i okaże się, że cała ta nieszczęsna wycieczka jej się przyśniła. Nie będzie żadnego hotelu, żadnego kempingu, żadnego głupiego samochodu w żadnym głupim rowie. I okaże się, że wcale nie zgubiła się w lesie podczas deszczu.

A w palcach wcale nie trzymała odciętej komuś dłoni.

Znów wrzasnęła, tym razem jeszcze głośniej. Oparła się o pień wysokiego drzewa, trzęsąc się na wspomnienie tej odciętej dłoni, na której zacisnęła palce. Jej ciałem wstrząsnęła seria suchych, bolesnych mdłości.

Kiedy uniosła wzrok, on stał przed nią zaledwie parę metrów dalej. Twarz miał zarumienioną, jakby biegł, a mundur poplamiony potem. Nie był w świetle dziennym tak przystojny jak po ciemku poprzedniego wieczoru, ale w tej chwili Brianne uważała go za najprzystojniejszego mężczyznę świata.

– Henry! – krzyknęła, rzuciła się w stronę leśnego strażnika i padła mu w ramiona. – Dzięki Bogu, że jesteś!

– Jak to słyszałaś krzyki? – Val z miejsca poderwała się na nogi, a stół piknikowy, przy którym wszyscy siedzieli, zadygotał i zakołysał się.

– Wydawało mi się, że to krzyki – doprecyzowała Jennifer.

– Czy to była Brianne?

– Nie mam pojęcia. Nie mogłam się zorientować. Po prostu usłyszałam coś, co zabrzmiało jak czyjś wrzask, a potem połączenie się urwało.

– No właśnie. Dość tego. Nie będę tu dłużej siedzieć i czekać.

– Val, proszę cię – tłumaczyła Jennifer. – Henry powiedział, że mamy być cierpliwi. Że strażnikom może nie uda się tu dotrzeć przed dwunastą.

– To było, zanim usłyszałaś ten krzyk i zanim linia zdechła. – Val przypomniała Jennifer jej słowa. Próbowwała przy tym opanować rosnącą panikę. – Brianne jest w poważnych opałach. Czuję to.

– Jestem pewna, że Henry by natychmiast oddzwonił, gdyby znalazł Brianne.

– Może nie może zadzwonić. Może ma jakiś problem z telefonem. A może

coś strasznego przytrafiło się Brianne i on nie chce dzwonić...

– Val, nie rób sobie tego – odezwał się Gary, stojący gdzieś za jej plecami.

– Dzieje się coś bardzo złego. Ja to wiem.

– Mnie to wystarczy. – Melissa podniosła się z za piknikowego stołu, złapała Jamesa za rękę i zmusiła, żeby też wstał. – Chodź. Idziemy stąd.

– Ale dokąd?

– Gdzie tylko Val zechce – odparła Melissa.

– Usłyszałem twój krzyk – mówił Henry, trzymając Brianne na odległość ramienia i oglądając ją od stóp do głów, jakby chciał sprawdzić, czy nic jej się nie stało. – Wszystko w porządku? Nie jesteś ranna, prawda?

Brianne usiłowała coś powiedzieć, ale nie mogła opanować szlochu.

– Już dobrze. Już dobrze. Uspokój się. Oddychaj powoli.

– Tam... Tam... – Próbowwała wskazać ręką kierunek, ale tylko pomachała nią wkoło daremnie.

– Oddychaj – doradził Henry. – Właśnie tak. Głębokie wdechy. I jeszcze raz. Z przepony. Dobrze. O wiele lepiej.

– Tam... jest... tam jest... ręka!

– Co?

Brianne znów poczuła gorycz zbierającą się w przetyku.

– Tam dalej. – Pochyliła się i gwałtownie zwymiotowała w kępę sosnowych igieł.

– Dobrze. Już dobrze. Jeszcze oddychaj głęboko. Grzeczna dziewczynka. – Henry odczekał, aż otrze sobie usta. I lży z oczu. – Przepraszam. Mówiłaś, że tam jest... ręka?

Brianne znów wskazała dłonią, tym razem udało jej się zrobić to dokładniej. A potem obiema dłońmi zasłoniła sobie usta, żeby znów nie krzyknąć.

Henry przykucnął i zaczął grzebać w ziemi, aż znalazł to, czego szukał.

– Wygląda jak odcięta siekierą – powiedziała Brianne pomiędzy jednym a drugim haustem powietrza.

– Nie, nie wydaje mi się. – Henry uniósł rzeczony przedmiot za zimne, martwe palce. Głos miał spokojny i zrównoważony. – Już raczej zrobił to jakiś niedźwiedź.

– O Boże. – Brianne lękliwie zerknęła przez ramię. – On jeszcze tu jest?

– Nie wiem. Ale lepiej chyba nie czekać, żeby się przekonać.

– Myśli pan, że to może być ręka tego faceta, Davida, tego, który przedwczoraj znikł z hotelu?

Henry wzruszył ramionami.

– Trudno powiedzieć, ile czasu tu leży. – Wyrzucił rękę gdzieś pomiędzy liście.

– Zostawi ją pan tak tutaj?

– Zajmę się nią później. Teraz chodź. – Ujął ją za łokieć i zaczął prowadzić poprzez gęste zarośla. – Czas, żebyś znalazła się w bezpieczniejszym miejscu.

Kwaterna miejscowego oddziału straży leśnej mieściła się w Bolton Landing, uroczej małej wiosce, którą dzieliło od kempingu Starbright jakieś dwadzieścia minut jazdy. Niewielki i przysadzisty budynek z czerwonej cegły pasował do reszty staroświeckiej zabudowy niczym przysłowiowa pięść do nosa i wzniesiono go u stóp wąskiego mostu. Most łączył wioskę z pobliską wyspą, na której stał zabytkowy hotel Sagamore z białym szalunkiem i zielonymi okiennicami.

Val zatrzymała samochód na parkingu. Poza kilkoma wozami straży nie było tam innych pojazdów. Czym, u licha, byli tak strasznie zajęci, że nie mogli wysłać kogoś wcześniej, żeby z nią porozmawiał? Wbiegła po trzech frontowych stopniach do głównego biura, przyjaciele z trudem za nią nadążali.

– Czym mogę służyć? – zapytał młody człowiek w recepcji, kiedy zbliżyli się do niego z Val na czele, Melissą i Jamesem z prawej flanki, a Jennifer i Garym z lewej. Haydena znów zostawili na kempingu, w razie gdyby Brianne tam wróciła.

Strażnik nazywał się Steve Severin. Był średniej postury i wzrostu, miał ciemne włosy i miłą, chociaż raczej przeciętną twarz. Val zauważyła, że tuż za jego plecami stoją dwa biurka, a na tyłach mieści się duże przeszklone biuro. Kręciło się tam jeszcze czterech innych strażników, włącznie z tym starszym z dwóch, którzy odprowadzili Brianne i Tylera do hotelu wczorajszego popołudnia. Przypomniała sobie jak przez mgłę, że na imię miał Leo, ale nie była pewna. On natychmiast ją poznał i z rezerwą skinął głową w jej stronę, a potem podszedł.

– Cały ranek czekamy, aż się pojawicie – rzuciła ostro Val, zanim zdążył się odezwać.

– Po co mielibyśmy się pojawiać? – zdziwił się, otwierając niewielką bramkę i przepuszczając Val i resztę grupy do biura. Wkoło zgromadzili się pozostali strażnicy. – Proszę może usiąść i wyjaśnić nam, o co chodzi.

– Powinniście świetnie wiedzieć, o co chodzi! – niecierpliwiła się Val. – Henry Voight zadzwonił i o wszystkim was poinformował z samego rana.

Dopiero wtedy dotarło do niej, że Jennifer już nie trzyma się całej grupy. Została po tamtej stronie kontuaru, pogrążona w kontemplacji długiego rzędu zdjęć strażników zdobiących korytarz po lewej stronie od wejścia.

– Rozmawiała pani z Henrym Voightem? – spytał Steve Severin.

– No cóż, nie ja. Tak w sumie, rozmawiała z nim Jennifer.

Do cholery, czemu ta kobieta tam sterczy? – zastanawiała się zniecierpliwiona Val. Szuka nowego narybku?

– Jennifer, czy moglibyśmy ci na moment przeszkodzić?

– Henry Voight nie zgłosił się dziś rano na służbę – powiedział Leo, a Jennifer wreszcie obróciła się w ich stronę.

– Mówiłaś wcześniej, że ma dziś wolny dzień? – spytała młodą kobietę Val.

– Coś się nie zgadza – powiedziała Jennifer. Cała krew odpłynęła jej z twarzy.

– Co się nie zgadza? – zapytał Steve Severin.

– Nazwisko pod tym zdjęciem. Tam jest napisane, że to jest Henry Voight. – Jennifer wskazała palcem zdjęcie tuż za swoimi plecami.

– Tak, to Henry – powiedział Leo, a reszta strażników pokiwała głowami.

Jennifer czujnie spojrzała w stronę Val, która zaczynała rozumieć, nie usłyszawszy jeszcze tego, co Jennifer zamierzała powiedzieć.

– To nie jest ten człowiek, którego spotkałam wczoraj wieczorem – wyjaśniła im Jennifer. – Ja go nigdy w życiu nie widziałam.

– Jak tam? – spytał Henry Voight, kiedy przeszli już jakieś pięćset metrów. – Idę za szybko dla ciebie?

– W porządku – powiedziała Brianne, chociaż podeszwy gołych stóp ciągle urażała sobie na gałęziach i kamieniach pokrywających ziemię, a nierówny teren sprawiał, że bolały ją łydki. Co najdziwniejsze, kostka nie dokuczała jej wcale.

– Co się stało z tamtymi ładnymi butami, które nosiłaś wcześniej?

– Wyrzuciłam te głupie buciory.

Roześmiał się.

– Mądry ruch. Do chodzenia po Adirondack raczej nie zostały stworzone. Chociaż muszę przyznać, że prezentowały się bardzo przyjemnie.

Brianne się uśmiechnęła.

– Dzięki.

– I pewnie kosztowały trochę grosza.

– Całkiem sporo. – Westchnęła, a jej uśmiech znikł. – Mama mnie zabije.

– Tak. Coś mi mówi, że nie będzie tym wszystkim uszczęśliwiona.

Brianne znów westchnęła. Już opowiedziała strażnikowi o tym, jak wykradła się z Tylerem – pominęła to, że wcześniej tego samego popołudnia zostali nakryci in flagranti – i o tym, że Tyler wjechał potem swoim wozem do rowu – nie wspomniała, że pił ani że pobił się potem z Haydenem – a wreszcie o tym, że udało im się zgubić w lesie, po czym ten dzielny rycerz ją tam zostawił, bo rzekomo miał poszukać pomocy, ale już się nie pokazał.

Tak, pomyślała. Henry ma rację. Matce się to wszystko nie spodoba.

– Może powinien pan z nią najpierw porozmawiać i ułagodzić?

Nieśmiały uśmiech.

– Mogę spróbować.

Brianne stwierdziła, że ten strażnik ma słodki uśmiech, i zaczęła się zastanawiać, czy ma jakąś dziewczynę. Chociaż matka na pewno uparłaby się, że on jest dla mnie o wiele za stary, pomyślała, od razu na nią poirytowana. No, ale przecież jest odpowiedzialny i ma porządną pracę, i uratował ją przed niemal pewnym rozszarpaniem przez niedźwiedzia, na litość boską. Na pewno to by się już liczyło na plus.

– Daleko jeszcze? – spytała po kolejnych dziesięciu minutach, w miarę możliwości niejękliwym tonem.

– Powinno już być blisko.

– Na pewno pan wie, dokąd idziemy?

Roześmiał się.

– Mógłbym rzec, że znam te lasy jak własną rękę – zażartował. – Ale nie chcę, żebyś znów zwymiotowała.

Brianne naburmuszyła się, próbując nie wspominać, co czuła, trzymając te woskowate, martwe palce odciętej ręki.

– Jakby mi coś zostało w żołądku...

Henry zmrużył oczy.

– Kiedy ostatni raz coś jadłaś?

– Wczoraj rano na śniadanie.

– Nie jadłaś nic od dwudziestu czterech godzin?

Brianne wzruszyła ramionami. Nie chciała jeść kiełbasek pieczonych przy wczorajszym ognisku, chociaż pachniały bardzo apetycznie. „Jestem wegetarianką”, przypomniała matce cierpko, choć obie wiedziały, że to nie jest do końca prawda. Że to w ogóle nieprawda. Prawdę mówiąc, lubiła myśl, że jest wegetarianką, o wiele bardziej niż przestrzeganie wegetarianizmu. Prawdę mówiąc, nic jej nie smakowało tak, jak porządny, soczysty kawałek czerwonego mięsa. Prawdę mówiąc, teraz umierała z głodu.

– Jestem dość głodna – przyznała, gdy minęło jeszcze kilka minut.

– Zrobimy ci coś do jedzenia, kiedy dotrzemy do domku.

– Do domku?

– Tak, powinniśmy go zobaczyć lada chwila. – Jak na zawołanie za rzędem coraz rzadziej rosnących drzew ukazała się bita droga, a u jej krańca, niczym fatamorgana, pojawił się niewielki drewniany dom.

– O mój Boże! – zawołała Brianne. – To na pewno ten domek, o którym mówił Tyler.

Henry nagle przystanął.

– Tyler mówił ci o tym domku?

Brianne szybko uzupełniła parę szczegółów, które pominęła w pierwszej wersji całej historii: że się z Tylerem pokłócili i on poszedł sobie, obrażony, a potem wrócił z informacją, że dostrzegł drogę i dom w odległości jakichś dwóch kilometrów. Że ona nie była w stanie iść dalej, bo bolała ją kostka, więc Tyler wrócił po pomoc sam.

– Czyj to dom?

– Mój – odparł Henry.

– Pana?

– No cóż, należał kiedyś do moich rodziców. Zostawili mi go w spadku. – Znów ruszył i zanim zdążyła zapytać, dorzucił przez ramię: – Wypadek samochodowy.

– To okropne. Bardzo mi przykro.

– Dzięki. No, ale wiesz, takie jest życie. Czasem straszne rzeczy przytrafiają

się najprzyczwoitszym ludziom.

Brianne zwolniła kroku, zastanawiając się, czy sama byłaby taka dzielna, gdyby coś stało się jej rodzicom.

– A więc był pan tu wczoraj w nocy? To znaczy, w domu.

– Tak.

– I Tyler się tam w ogóle nie pojawił? Nikt nie dobijał się do drzwi i okien?

– Musiało mu chodzić o jakiś inny dom – powiedział Henry. Ruszyli bitą drogą w stronę domku.

– Pewnie tak. – Brianne rozejrzała się. Nie widziała tu żadnych innych domów. Zatem gdzie, do diabła, podział się Tyler? – I nie słyszał pan, żeby ktoś wołał o pomoc?

Strażnik pokręcił głową.

– Tylko ciebie. – Zaśmiał się. – Dziewczyno, masz całkiem pojemne płuca.

No tak, ale jeśli Tyler nie dotarł do tego domu i jeśli trafił jakimś cudem na główną drogę, to by znaczyło, że nadal gdzieś tam jest i przedziera się przez las. A skoro Henry usłyszał jej wrzaski z odległości ponad kilometra, to Tyler też na pewno musiał ją usłyszeć. Dlaczego nie zareagował na jej krzyki?

– O Boże – powiedziała i stanęła jak wryta. – A co będzie, jak go dorwie niedźwiedź?

Potem pojawiła się jeszcze gorsza myśl: co, jeśli już dorwał?

– To nie była ręka Tylera – powiedział Henry, jakby czytał jej w myślach. – Ta ręka leży tu dłużej niż parę godzin. Naprawdę, Brianne. To nie jego.

Brianne pokiwała głową, chociaż nie była do końca przekonana. Nadal oglądała się czujnie przez ramię, gdy zbliżali się do domku, jak teraz dostrzegła, zbudowanego z grubych sosnowych bali, pomalowanego na brązowy kolor, z białymi wykończeniami. Rząd pomarańczowych i białych niecierpków rósł pod jego ścianami, a miedziane dzwonki wiatrowe zwisały spod brązowej plandeki ocieniającej przedsionek, podzwaniając na wietrze. Gdzieś w tle radośnie szemrał strumień. Brakuje tylko pierników, pomyślała nagle Brianne.

– Lubi pan tu mieszkać, tak całkiem sam?

– Uwielbiam. Poza tym nie jestem sam.

– Nie?

– Mam ptaki i sarny, i kwiaty, i ten strumień. No i, oczywiście, jest jeszcze Nikki – dodał, gdy drzwi domku otworzyły się i na zewnątrz wyszła młoda kobieta z nachmurzoną miną, w kwiecistej sukience przynajmniej o kilka rozmiarów dla niej za dużej.

– I co zrobimy teraz? – spytała Val.

– Pani nic – powiedział z naciskiem zwierzchnik strażników, tonem niepozostawiającym wątpliwości.

Nazywał się Mike Jones i był równie bezpośredni, jak to proste nazwisko,

wysoki, z wydatnym torsem i kwadratową szczęką. Wszystko w nim aż wrzeszczało: „twardziel”, poczynając od brunatnych, wijących się włosów i dużych ciemnych oczu, po prosty nos i pełne, jeśli nawet zaciśnięte bez uśmiechu, wargi. Jedyne słowiała plama po musztardzie na mankiecie świeżo wyprasowanej beżowej koszuli upewniła Val, że to mimo wszystko istota ludzka, a nie jakiś zbieg z kreskówek Disneya. Pojawił się w ciągu ostatnich trzydziestu minut jakby znikąd, choć, co bardziej prawdopodobne, wyszedł z jednego z pomieszczeń na tyłach, których do tej pory nie zauważyła, a potem bez wysiłku przejął dowodzenie nad całą operacją. Chociaż nie do końca było jasne, jak on tę operację pojmuje.

– Teraz my się zajmujemy sprawą.

– To znaczy, czym dokładnie? – zapytała Val.

– Zrobimy wszystko, co się da, żeby zlokalizować pani córkę. Wyznaczyłem zespół, który zacznie przeszukiwać las...

– Czy pana zespoły odniosły jakiś sukces, szukając Davida Gowana?

Mike Jones spojrzał w stronę pozostałych strażników.

– Jesteśmy przekonani, że pana Gowana już w tej okolicy raczej nie ma.

– Zatem odpowiedź brzmi: nie, nie znaleźliście go.

– Jesteśmy w zasadzie pewni, że w poniedziałek rano pojawi się u siebie w pracy...

– Tak jak w pracy pojawił się dziś Henry Voight?

– Chyba zbaczamy z tematu, proszę pani.

– A mnie się tak nie wydaje – powiedziała Val stanowczo i dodała, zanim zdążył zaprotestować: – Proszę posłuchać. Trzy osoby zaginęły: David Gowan, Henry Voight i moja córka. Wszyscy w tajemniczych okolicznościach znikli w ciągu ostatnich dwóch dni. Co więcej, ktoś patroluje te lasy i podaje się za strażnika parkowego, nosząc mundur, który najprawdopodobniej należy do zaginionego Henry’ego Voighta. Co w jakiś sposób wygląda mi na działalność przestępczą.

– Moim zdaniem nie należy wyciągać pochopnych wniosków...

– Ten człowiek naprawdę rozmawiał z moją córką i obecną tu przyjaciółką – przerwała Val, ruchem dłoni wskazując Jennifer. – Wczoraj wieczorem.

– A panna Logan podała nam rysopis mężczyzny, z którym rozmawiała – przerwał z kolei Mike Jones. – Rozpowszechnimy ten rysopis...

– Świetnie – powiedziała Val. Dotarło do niej, że po raz pierwszy usłyszała właśnie panięskie nazwisko Jennifer. Tak przywykła uważać ją za tę drugą panią Rowe, jakby były w jakiś perwersyjny sposób spowinowaczone. – Co jeszcze robicie w tej sprawie? Zawiadomiliście FBI?

– Naprawdę uważam, że w tej chwili to niepotrzebne.

– A kiedy pan to uzna za potrzebne?

– Proszę pani, ja rozumiem ten niepokój – powiedział Mike Jones. –



Naprawdę rozumiem. Sam mam nastoletnie córki, więc proszę mi wierzyć. Wiem, przez jakie piekło pani przechodzi w tej chwili. Ale proszę przyjrzeć się faktom. Pierwszy to ten, że wczoraj po południu pani córka została znaleziona przez naszych strażników w trakcie uprawiania seksu ze swoim chłopakiem w miejscu publicznym.

– Tak. Dziękuję, że mi pan o tym przypomniał.

– Fakt numer dwa: wczoraj o północy wymknęła się z kempingu na spotkanie z tymże chłopakiem. Całkiem dobrowolnie, jak rozumiem.

– Tak. Nie dyskutuję z panem w tej sprawie...

– Fakt numer trzy: doszło do bójki z synem tego pana – ciągnął Mike Jones, wskazując Gary’ego, który trwał wyprostowany jak struna u boku Val. – Bójki, po której zostawiono go nieprzytomnego na poboczu drogi.

– Brianne nie jest odpowiedzialna za to, co Tyler Currington zrobił Haydenowi – zaprotestowała Val, spoglądając na Gary’ego i szukając u niego poparcia.

Jednakże Gary szybko odwrócił wzrok, unikając jej spojrzenia. Co to znaczy? Że on też uważał, że Brianne jest choć częściowo odpowiedzialna i że może jednak postanowi zgłosić przeciwko niej zarzuty?

– W każdym razie, proszę pani, córka odjechała potem samochodem razem z tym chłopakiem. Zatem przynajmniej biorąc pod uwagę te okoliczności, powinna pani zrozumieć, czemu nie śpieszy się z powrotem i wypiciem nawarzonego piwa. Może się bać...

– Brianne niczego się nie boi – oświadczyła Val.

„Nieustraszona”, usłyszała w myślach głos Gary’ego. Znowu spojrzała w jego stronę, zastanawiając się, czy pomyślał o tym samym. Ale on cały czas wbijał wzrok w podłogę.

– Ja tylko twierdzę, że istnieje prawdopodobieństwo, iż pani córka po prostu za bardzo się wstydzi, żeby w tej chwili chcieć spojrzeć pani w oczy. Podobnie jak David Gowan wstydzi się spojrzeć w oczy żonie...

– A Henry Voight? Czego on miałby się wstydzić?

– Tym też się zajmiemy.

– A tymczasem my mamy tu tylko siedzieć i czekać?

– Właściwie sugerowałbym państwu powrót do biura kempingu. W ten sposób będziecie tam, gdyby pani córka zdecydowała się wrócić, a ja będę mógł skontaktować się z wami telefonicznie, jeśli pojawią się jakieś informacje.

– A jeśli się nie pojawią?

– Powiedzmy, że damy sobie czas do końca dnia. Jeśli do tej pory pani córka się nie pojawi, zawiadomimy policję stanową.

– Dlaczego nie możecie tego zrobić od razu? – spytała Val.

Zadzwoił telefon. Parę chwil później Steve Severin podszedł i nachylił się

do Mike'a Jonesa.

– Znaleźli samochód Tylera Curringtona – oświadczył.

– Ja cię znam, prawda? – odezwała się Brianne do dziewczyny, podchodząc parę kroków bliżej i oceniając oczy, oślepienie nagłym błyskiem słońca.

Nikki przeniosła wzrok z Brianne na Henry'ego, a potem znów na nią spojrzała.

– Nie wydaje mi się.

– Ależ tak, widziałam cię w hotelu – ciągnęła Brianne, rozpoznawszy w Nikki tę młodą osobę, która wpadła na jej matkę pod windami zaraz po ich przyjeździe i omal jej nie przewróciła, a potem pokazała jej środkowy palec.

– Nie sądzę. – Nikki znów zerknęła na Henry'ego.

– To mogłaś być ty – powiedział Henry swobodnym tonem. – Czasami chodzimy tam na kolację.

– Jasne. Czasem moja babcia daje mi trochę kasy i każe nam iść się zabawić.

Wyluzowana taka jest.

– Twoja babcia?

Nikki wskazała domek za swoimi plecami leniwym gestem kciuka.

– To jej dom.

Brianne rzuciła szybkie spojrzenie Henry'emu, dostrzegła, że się skrzywił. Przecież mówił, że to jego domek, że zostawili mu go w spadku rodzice.

Czasami straszne rzeczy przytrafiają się najprzyczwoitszym ludziom, przypomniała sobie wyraźnie jego słowa, chociaż zupełnie możliwe, że źle tę uwagę zrozumiała. Była przepotwornie zmęczona. Nie wspominając o tym, że osłabiona z głodu i umierająca z pragnienia. W tych okolicznościach łatwo się pogubić.

– W każdym razie nie pamiętam, żebym cię tam widziała – mówiła teraz Nikki.

– Byłam z matką i jej przyjaciółmi.

– Na pewno pysznie się bawiłaś. – Nikki nawet nie usiłowała ukryć ironii. – Chodź do środka. – Otworzyła drzwi i cofnęła się do domu.

Brianne weszła tam jej śladem. Henry tuż za nią. Natychmiast poczuła ten nieokreślony, nieprzyjemny zapach. Próbowała odgadnąć, co to, ale jej się nie udało.

– Co tu tak jedzie?

– Chyba jakieś zdechłe zwierzę – powiedział Henry, gniewnie spoglądając na Nikki. – Myślałem, że użyjesz odświeżacza.

– Użyłam – odparła Nikki cierpko. – „Angielskiego ogrodu”.

– Kilka szopów walczyło tu ze sobą w zeszłym tygodniu – powiedział Henry. – Sądzimy, że jeden z nich mógł się wczołgać pod domek i tam zdechnąć.

– Kenny wiecznie powtarza, że tam wejdzie i je odkopie, ale...

– Jaki Kenny? – spytała Brianne.

Nikki pobladła.

– Mój kumpel – odparł Henry. – On chętnie robi takie rzeczy. Tylko ostatnio jest trochę zajęty.

– My już tego zapachu tak nie zauważamy – dodała Nikki. – Robi się gorzej tylko wtedy, gdy wiatr wieje z pewnego kierunku.

– Zapomnisz o nim za parę minut – powiedział Henry.

Brianne rozejrzała się po pokoju. Ależ tu bałagan, pomyślała niczym jej matka. Wszędzie kurz. Zlew pełen brudnych naczyń. Sztućce walały się wszędzie, włącznie z kuchenną podłogą. Poduszki na sofie leżały okropnie nierówno. Duży chodnik został zwinięty i leżał przed kamiennym kominkiem, z którego popiół aż się wysypywał. Spodnia strona chodnika była brudna i mokra od jakichś świeżych plam. Nie wyobrażała sobie, żeby czyjaś babcia mogła mieszkać w takim bałaganie.

Nawet jej własna.

Oczywiście matka płaci pewnej kobiecie, żeby przychodziła raz w tygodniu i utrzymywała mieszkanie babci we względnym ładzie i porządku. Ale ład i porządek wyraźnie nie należały do priorytetów w tym domu, gdzie wszystko wydawało się trochę nie takie, jak trzeba. Włącznie z tą dziewczyną, Nikki, pomyślała Brianne, w tej jej za dużej sukience w kwiatki ze staroświecką broszką z kryształami górskimi niedbale wpiętą w fałdę materiału nad lewą piersią.

– Czy mogłabym spróbować zadzwonić stąd na kemping? – spytała. – Matka pewnie tam już wariuje.

– Już się tym zajmuję – powiedział Henry, wyjmując komórkę i wybierając jakiś numer. – Kochanie, może zrobisz naszemu gościowi coś do jedzenia?

– Niewiele zostało – odparła Nikki.

– Nie szkodzi. Nie jem dużo. – Apetyt minął Brianne jak ręką odjął niemal w tej samej chwili, w której przekroczyła próg. – Właściwie wystarczy mi szklanka wody. Umieram z pragnienia.

Nikki roześmiała się, jakby Brianne opowiedziała jakiś świetny dowcip, i poszła wolnym krokiem do kuchni. Na chybił trafił poszukała w szafkach szklanki, jakby nie była do końca pewna, gdzie stoją.

Proszę, niech będzie czysta, modliła się Brianne i z ulgą zobaczyła, że dziewczyna wreszcie znalazła taką w szafce nad samym zlewem. Patrzyła, jak Nikki napełnia szklankę wodą, a potem wraca do dziennej części pokoju, trzymając szklankę w wyciągniętej ręce. Spod łokcia aż po nadgarstek ciągnęła się po tym ramieniu cienka, nierówna czerwona linia, niczym tatuaż. Albo zaschnięta krew, pomyślała Brianne. Czyżby Nikki się skaleczyła?

– Nie wiem, czy jest zimna – powiedziała Nikki, a Brianne uniosła szklankę do ust i wypła wodę duszkiem.

– Spokojnie – ostrzegł Henry. – Nie chcesz znów się pochorować. – A potem rzucił do telefonu: – Tak, halo? Tu Henry Voight ze straży leśnej. Staram się znaleźć panią...? – Spojrzał na Brianne.

– Valerie Rowe – podsunęła szybko Brianne i jeszcze przeliterowała nazwisko.

– Valerie Rowe – powtórzył. – Jak rozumiem, zatrzymała się u państwa z przyjaciółmi na wczorajszą noc. Rowe. Tak, zgadza się. Oczywiście. Zaczekam.

– Mogłabym prosić jeszcze jedną szklankę wody?

– A może zrobisz Brianne tej swojej herbaty z żurawin i brzoskwini? – podsunął Henry. – Jest bardzo zdrowa.

– Nie, nie trzeba. Naprawdę. Nie chcę sprawiać kłopotów.

– To żaden kłopot. Woda się już zagotowała – powiedziała Nikki. Wskazała na sofę. – Usiądź. Czuj się jak u siebie w domu.

Brianne nie trzeba tego było dwa razy powtarzać. Mimo bałaganu i nieprzyjemnego zapachu – a może ze względu na nie – ledwie stała na nogach. Opadła na sofę, czując wręcz obezwładniające znużenie. Czy w całym swoim życiu była kiedyś podobnie wykończona? Obróciła głowę w stronę sypialni na tyłach domku, znów się zastanawiając, co się stało z Tylerem, i myśląc, jak miło byłoby wyciągnąć się w ciepłym, miękkim łóżku i zafundować sobie kilka godzin nieprzerwanego snu przed nieuchronną konfrontacją z matką.

– Twoja babcia jeszcze śpi? – zapytała.

– Moja babcia? – Nikki wrzuciła torebkę do kubka i zalała wodą z czajnika, niepostrzeżenie dodając do naparu trzy oksykodony.

Brianne z roztargnieniem zastanowiła się, ile czasu ta woda czekała i czy w ogóle jest jeszcze gorąca.

– Przepraszam. Myślałam, że wspomniałaś, że to jej domek. – Po raz drugi tego ranka Brianne zaczynało się wydawać, że ma halucynacje, że ta cała rozmowa stanowi część jakiegoś kolejnego, dziwnie złowieszczego snu.

– Wyjechała na kilka dni. Masz – powiedziała Nikki, wręczając jej herbatę. – Pij. – Patrzyła uważnie, jak Brianne przełyka większość zawartości kubka jednym długim łykiem. – Jak ci smakuje?

– Super – powiedziała Brianne, chociaż, szczerze mówiąc, herbata była ledwo ciepła i smakowała raczej gorzko niż słodko. Mimo to tak jej się chciało pić, że dokończyła herbatę bez ponagłania. – Dzięki. – Spojrzała w stronę Henry'ego. – Udało się już znaleźć moją matkę?

– Kazali mi czekać.

Odezwał się dopiero po paru kolejnych minutach, głosem ledwie silniejszym od szeptu.

– Wszystko będzie dobrze, Brianne – powiedział, opuszczając rękę z telefonem wzdłuż boku. – Nie chcę, żebyś się denerwowała...

– Czy coś się stało mojej mamie? Coś złego? – Brianne usiłowała wstać, ale czuła się zupełnie tak, jakby przywiązano jej ciężarki do kostek, i znów opadła na poduszki kanapy, niezdolna utrzymać się na nogach.

– Twojej matce nic nie jest.

– No to o co chodzi?

Chwila ciszy, a potem powiedział:

– Jak się okazuje, ona i jej przyjaciele wymeldowali się z kempingu jakąś godzinę temu.

– Jak to wymeldowali się?

– Wyjechali dziś z samego rana, mówili, że chcą jak najszybciej dotrzeć do domu. Kierowniczką powiedziała, że byli bardzo rozzłoszczeni...

– Nie obchodzi mnie, czy się złościł – zaprotestowała Brianne. – Przecież by mnie tu tak nie zostawili.

– Naprawdę mi przykro. Zdaje się, że dokładnie to jednak zrobili.

– Co takiego? Nie. To jakaś pomyłka. Pewnie po prostu wrócili do hotelu, żeby czekać tam na mojego ojca.

– Chcesz, żebym zadzwonił do hotelu? – Henry natychmiast wybrał kolejny numer, nie czekając na jej odpowiedź.

Brianne próbowała sobie wmawiać, że nie ma nic dziwnego w tym, że strażnik leśny zna na pamięć numer do hotelu w Shadow Creek, tak samo jak wmawiała sobie, że on wcale się nie skrzywił, kiedy Nikki powiedziała, że domek należy do jej babki. I że nie ma niczego szczególnie dziwnego w tej dziewczynie w zbyt dużej sukience. Ani w tej gorzkiej herbacie. Próbowała tłumaczyć sobie, że kręci jej się w głowie, bo jest potwornie zmęczona. Nic więcej. Próbowała tłumaczyć sobie, że naprawdę ma jakieś przywidzenia.

– Kierownik hotelu mówi, że nie widział twojej matki ani nie miał z nią kontaktu, odkąd wczoraj się wymeldowała – powiedział Henry głosem, który falami to napływał do świadomości Brianne, to z niej znikał.

– To co ja mam teraz zrobić? – spytała Brianne. Prawie nie poznawała własnego głosu. Oczy same jej się zamykały.

– Po pierwsze, trochę się zdrzemniesz. Potem weźmiesz prysznic, umyjesz sobie włosy i wyszczotkujesz zęby. Doprowadzisz się do ładu i składu przed spotkaniem z mamą. A potem Nikki i ja zawieziemy cię do miasta.

– Nie moglibyśmy pojechać od razu?

– Nie, jesteś na to zbyt zmęczona – mówił Henry, podchodząc bliżej, aż poczuła jego ciepły oddech na własnych wargach. – Brianne – szepnął, a ona zamknęła oczy. – Brianne, słyszysz mnie?

Brianne otworzyła usta, chcąc coś powiedzieć, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

A potem nie widziała ani nie słyszała już nic.



Val myślała o własnej matce. Nie o tej kobiecie, którą była teraz, złamanej i otumanionej zbyt wieloma butelkami alkoholu, ani nie tej zagubionej i niepewnej siebie kobiecie z nastoletnich lat Val, kiedy ciągle romanse męża i jej własne próby usprawiedliwiania go podkopywały stopniowo jej wiarę w siebie. Myślała o silnej i odpornej kobiecie z czasów swojego dzieciństwa, o kobiecie, która nauczyła ją słuchać instynktu i stać mocno na własnych nogach.

– Nie chcę tam dzisiaj iść, mamusiu – powiedziała kiedyś matce, gdy w wieku czterech lat została zapisana do przedszkola w miejscowym ośrodku YMCA.

– Dlaczego nie chcesz, kochanie?

– W przedszkolu jest chłopiec, który jest dla mnie niemiły.

– W jaki sposób niemiły?

Mała Valerie wyprostowała plecki i wypięła do przodu pierś.

– Mówi, że jestem głupią małą dziewczynką – oświadczyła głosem pełnym oburzenia. – Nie jestem głupia, prawda?

– Z całą pewnością nie.

– Pójdziesz ze mną i powiesz mu, żeby już mnie nie nazywał głupią małą dziewczynką? – spytała.

– Och. Jestem pewna, że przy swojej bystrości poradzisz sobie z nim sama – odparła matka.

I rzeczywiście, poradziła sobie, wracając do przedszkola i waląc tego chłopca prosto w zęby, kiedy tylko słowo „głupia” wymknęło mu się z ust.

– W szkole w przyszłym tygodniu jest konkurs „Płyniesz po życie” – oświadczyła rodzicom ośmioletnia Val. – Chodzi o zbieranie pieniędzy na cele charytatywne i potrzebuję jak najwięcej sponsorów. Zarabia się pieniądze za każdą przepłyniętą długość basenu i chodzi o to, kto uzbiera najwięcej.

– Zapisz mnie na dolara za długość – zaproponował ojciec z za czytanej właśnie gazety.

– Może jednak dziesięć? – odparła matka. A potem, z mrugnięciem w stronę Valerie: – Jak nie poprosisz, to nie dostaniesz, kochanie. Musisz sama bronić swoich spraw w tym życiu.

Mała Valerie odpłaciła się matce za zaufanie – a przy okazji zaszokowała całą szkołę – przepływając niewiarygodne siedemdziesiąt cztery długości basenu. Matka stała i patrzyła na to z dumą, a ojciec, chcąc nie chcąc, wypisał czek na siedemset czterdzieści dolarów.

I dobrze ci tak, pomyślała Val teraz. Nigdy nie wierzyłeś, że coś mi się uda. Nigdy nawet nie zwracałeś na mnie uwagi.

Jeszcze dziś pamiętała wyraz nudy wypisany na twarzy ojca. Pamiętała, jak po paru długościach basenu stracił całe zainteresowanie i poniosło go tam, gdzie atrakcyjna młoda matka Avy McAllister stała w towarzystwie kilku równie młodych i atrakcyjnych przyjaciółek, i jak większą część pływackiego konkursu spędzili na flircie i przekomarzaniach. Tylko czasem oglądał się w stronę basenu, gdzie jego córka nadal przepływała długość za długością, zdecydowana nie przerywać, dopóki nie ściągnie na siebie pełnej i niepodzielnej uwagi ojca. Przerwała – doszczętnie wykończona – dopiero wtedy, kiedy zobaczyła, że on patrzy w jej stronę, chociaż kiedy później odtwarzała ponownie tę scenę w myślach, uświadomiła sobie, że pewnie tylko zerkał na ścienny zegar. Rozumiała też, instynktem typowym dla dziecka, że nijak nie będzie stanowić konkurencji dla tamtych innych kobiet, nieważne, co osiągnie, nieważne, ile długości basenu przepłynie. Po prostu nie była wystarczająco interesująca, żeby zasłużyć na jego uwagę. Była po prostu głupią małą dziewczynką. Ten chłopiec z przedszkola miał rację.

Tamtego wieczoru poszli na kolację, by uczcić jej zwycięstwo, a ojciec większość czasu spędził na rozmowie z kelnerką. Val nadal pamiętała, jak matka go strofowała już po wyjściu z restauracji.

– Doprawdy, Jack... Musisz być tak mało subtelny? I to jeszcze przy dzieciach?

Wtedy nie rozumiała jeszcze, o czym mówi matka. Nie pamiętała też, co odpowiedział ojciec. Pamiętała jednak, że tej samej nocy obudziła się, słysząc cichy płacz matki, a kiedy zeszła do kuchni, zastała ją tam samą, przy kuchennym stole, ze wzrokiem rozkojarzonym i niepewnym.

– Mamo, co się stało?

– Nic, kochanie. Wracaj do łóżka. Jest bardzo późno. Jutro masz szkołę.

– Jesteś smutna?

– Nie, kochanie. Dlaczego miałabym być smutna? Moja córeczka przepłynęła najwięcej długości basenu i zebrała najwięcej pieniędzy w całej historii John Fisher Public School. Jestem dumna jak paw – powiedziała z uśmiechem, ocierając łzy grzbietem dłoni.

– Dumna, że tak dobrze pływam?

– Dumna, że cała jesteś dobra. Chciałabym być taka jak ty, kiedy dorosnę. Mała Valerie zachichotała.

– Wyglupiasz się.

– Uwielbiam cię – odparła matka.

– A ja uwielbiam ciebie.

– No to biegnij do łóżka. Pośpij trochę.



– A ty nie idziesz spać?

– Za chwileczkę.

Valerie nagle dostrzegła na stole butelkę i na wpół pusty kieliszek matki.

– Co to?

– Odrobina czegoś, co pomoże mi zasnąć.

– Ja też mogę trochę?

– Nie. Tobie to niepotrzebne, Valerie. Jesteś silną dziewczynką. Tak silną, że przepląnęłaś siedemdziesiąt cztery długości basenu. Zdobędziesz cały świat.

– Nie, nieprawda.

– Tak, prawda. A ja będę na to patrzeć.

Kiedy więc matka patrzeć przestała? Gdy Val miała dziesięć, trzynaście, piętnaście, dwadzieścia jeden lat? Kiedy ta odrobina czegoś pomagająca zasnąć zamieniła się w odrobinę czegoś pomagającego przetrwać dzień, a potem w odrobinę więcej i jeszcze więcej, aż stała się wszystkim? Kiedy matka zaczęła spać do trzeciej po południu, a po obudzeniu mówić bełkotliwie i potykać się o własne stopy? Kiedy zaczęła upadać, a co gorsza, przestała się podnosić?

– Proszę cię, mamó. Potrzebujesz lekarza – nalegała Val, kiedy jeszcze sama zaprzeczała temu co oczywiste, nawet osobiście umawiając wizytę, a potem umawiając kolejną, gdy matka nie pokazała się na pierwszej. – Obawiam się, że ona może mieć jakiś guz mózgu – powiedziała do ojca, który właśnie wrócił z miodowego miesiąca ze swoją nową żoną.

– Ona nie ma guza mózgu – odparł ojciec, uśmiechając się. – Ma kaca.

– Co ty wygadujesz? Przecież nie pije tak dużo.

– Przejrzyj na oczy – powiedział ojciec, skutecznie ucinając dyskusję i zamykając Val drzwi przed nosem.

– No cóż, nie powinnaś była tak go nachodzić bez uprzedzenia – upierała się siostra, kiedy Val powtórzyła jej później, co się stało. – Trzeba było najpierw do niego zadzwonić.

– Ale dlaczego miałabym dzwonić? Przecież to nasz ojciec.

– Wiesz, że nie lubi niespodzianek.

– Moim zdaniem umyka ci najważniejsze, Allison.

– To znaczy...?

– Tata daje do zrozumienia, że mama jest alkoholiczką.

– Moim zdaniem on niczego nie daje do zrozumienia. Zdaje się, że mówi to całkiem wprost.

– A ty chcesz powiedzieć... Że co? Że się z nim zgadzasz?

Allison odpowiedziała na pytanie Val wzruszeniem ramion i bezradnie pokręciła głową.

– On mnie nawet nie zaprosił do środka – poskarżyła się Val. – Powiedział mi, że są w trakcie obiadu.

– Trzeba było najpierw zadzwonić.  
– Dlaczego ty go zawsze bronisz?  
– Dlaczego ty go zawsze atakujesz?  
– Nie atakuję go.  
– Czego ty od tego faceta oczekujesz, Val? Przecież są po rozwodzie.  
– Z nami też wziął rozwód?  
– O czym ty gadasz? Nie bądź śmieszna. Nie odszedł od nas. Odszedł od niej.

– Ta „ona” to nasza matka – przypomniała siostrze Val.  
– No cóż. Ta „ona” ma spory problem alkoholowy.

Słowa te uderzyły Val jak mocny cios w sam splot słoneczny. Oczy napełniły jej się łzami.

– Przynajmniej nas nie porzuciła.  
– Czyżby? – spytała Allison chłodno.

Czy to był ten decydujący moment? Moment, który obie siostry mogłyby później wskazać jako precyzyjną chwilę, w której na piasku nakreślono linie wyznaczające pole lojalności i dokonało się nieodwracalne opowiedzenie się po jednej ze stron, moment, w którym pojęły, że straciły nie tylko rodziców, ale i siebie nawzajem?

A co to za różnica? – pomyślała Val teraz, czując, że wraca do terażniejszości. Z upływem lat w zasadzie nic się nie zmieniło. Allison nadal walczyła o aprobatę ojca, Val nadal walczyła o trzeźwość matki. I obie w tych bataliach przegrywały.

– Val? – przerwał jej ktoś, i myśli o nietrwałej rodzinie rozpierchły się na wszystkie strony. – Val, wszystko w porządku? Co się dzieje?

Val spojrzała w stronę Jennifer, przez moment zdziwiona, że ją widzi za kierownicą własnego samochodu, a potem przypomniała sobie, że sama się zgodziła na propozycję, że to ona poprowadzi.

– Nic. Wszystko dobrze. Jestem tylko sfrustrowana. Nic mi nie będzie.  
Poczuła dłoń Jamesa na ramieniu.

– No to co robimy teraz? – zapytał z tylnego, zatłoczonego siedzenia, gdy samochód przystawał na kempingowym parkingu.

– Zrobimy to, co nam kazał ten facet – odparł Gary. – Idziemy do biura, siadamy i czekamy.

– Jak długo? – Val już nie mogła znaleźć sobie miejsca. – Nie mogę tak tu siedzieć cały dzień i czekać, aż coś się zdarzy.

– Obawiam się, że nie mamy wyboru – stwierdził Gary.

– Obawiam się, że nie znasz Val zbyt dobrze – odparła Melissa, gdy wszyscy wysiadali z samochodu.

– Może Evan tu jest? – Jennifer rozejrzała się z nadzieją po parkingu,

szukając jego czarnego jaguara, ale nigdzie nie było go widać.

– Spróbuję jeszcze raz dodzwonić się do niego – powiedziała, gdy szli do biura kempingu. – No bo to jakieś szaleństwo. Dlaczego nie odbiera telefonu? Dlaczego nie odpisuje na wiadomości?

Gary przystanął.

– Pójdę, sprawdzę co z Haydenem.

– Oczywiście – powiedziała Val, patrząc, jak odchodzi.

Carolyn Murray stała za kontuarem recepcyjnym mniej więcej w tej samej pozycji, w jakiej ją tam zostawili, wychodząc. Mars na jej czole się nie zmienił. Plama po kawie na koszuli widniała nadal w tym samym miejscu. Tylko nieznaczne znieruchomienie na ich widok przekonało Val, że to człowiek, a nie drewniana figura.

– Obawiam się, że znów będziemy musieli poprosić panią o wyrozumiałość – odezwała się Val.

– Tak, słyszałam. Mike Jones dzwonił.

– Czy coś się wydarzyło? Znaleźli moją córkę?

– O ile wiem, nie. Powiedział, że będzie się co jakiś czas z panią kontaktował, więc możecie państwo posiedzieć tutaj albo przy swoich namiotach. Kiedy zadzwoni, mogę kogoś po panią wysłać.

– Zaczekamy tutaj – zdecydowała Jennifer w imieniu ich wszystkich. Widać było wyraźnie, że ostatnie miejsce, o jakim marzy, to namiot. – Czy mogę skorzystać z telefonu? – spytała, uniosła słuchawkę i wykręciła numer Evana, nie czekając na pozwolenie Carolyn. Parę chwil potem z niesmakiem rzuciła słuchawkę na widełki. – Znów poczta głosowa. Jak sądzisz, co to znaczy, że on nie odbiera?

Val nic nie powiedziała. Przychodziło jej na myśl co najmniej parę wytłumaczeń, ale uznała, że lepiej siedzieć cicho. Niewątpliwie Jennifer i tak szybko się przekona, o co chodzi, bez żadnej pomocy z jej strony.

Zresztą może on faktycznie jest zajęty, pomyślała Val, próbując oddać Evanowi w tej sprawie odrobinę sprawiedliwości. Może ten jego ostatni kontrakt naprawdę groził spaleniem na panewce, może on naprawdę pracował non stop, żeby temu jakoś zapobiec, i może naprawdę jest w tej chwili w drodze i jak wariat pokonuje zakręty i zakosy Prospect Mountain, ten szlachetny rycerz w swoim czarnym jaguarze, śpieszący, by ratować sytuację, chociaż sytuacja najprawdopodobniej rozwiąże się, zanim on tu wreszcie dojedzie.

Typowe, pomyślała. Czy nie czekała niemal dwadzieścia lat, żeby z czymś zdążył? A i tak nadal go nie było. I tak zawsze wybierał okrężną drogę.

A ona nadal czekała.

Co jest ze mną nie tak? – zastanowiła się Val.

„Jesteś tylko małą, głupią dziewczynką”, wróciła znajoma drwina.

„Na pewno nie – natychmiast skontrował głos jej matki. – Jesteś silna. Tak silna, że przepłynęłaś siedemdziesiąt cztery długości basenu. Zdobędziesz cały świat”.

Kiedy to jej świat tak się skurczył?

Val oparła się o ścianę, usiłując zdecydować, co robić teraz. Sprawdziła godzinę, potem zerknęła na zegarek jeszcze raz. Nie było nawet jeszcze pory na lunch, a ona już czuła się wykończona.

– Nie zemdleje mi tu pani, prawda? – odezwała się Carolyn zza kontuaru.

– Nie zemdleję – powiedziała stanowczo Val.

Nie słyszałaś? Jestem silna. Przepłynęłam siedemdziesiąt cztery baseny. Zdobędę świat.

– Dalej śpi? – spytał ze zniecierpliwieniem w głosie Henry, kiedy Nikki wróciła z sypialni.

– Chrapie jak prosię.

– Kurde. Ile tych pigułek wrzuciłaś jej do herbaty?

– Nie wiem. Parę.

– Miała się zrelaksować, a nie stracić film.

– No nie wiem, może następnym razem trochę jaśniej określisz, czego chcesz – odparła Nikki, usiłując opanować ogarniający ją gniew. Nigdy wcześniej nie straciła przy nim panowania nad sobą. Oczywiście on nigdy nie dał jej do tego powodów. Aż do teraz.

Aż do chwili, kiedy na scenie pojawiła się ta dziewczyna.

– Posłuchaj, nie chciałem wcześniej tak na ciebie naskoczyć – mówił. – Ale to naprawdę ważne, żeby nasze historie się pokrywały.

– A skąd ja miałam wiedzieć, że jej powiedziałaś, że to twój dom?

– A co twoim zdaniem miałbym jej powiedzieć?

– Nie wiem. Jak możesz oczekiwać, że będę coś wiedziała, jeśli mi tego nie mówisz?

– Szkoda, że nie widziałaś jej miny, kiedy stwierdziłaś, że to domek twojej babci.

– No cóż, wyprowadziła mnie z równowagi, kiedy powiedziała, że pamięta mnie z hotelu. A potem ty powiedziałaś, że chodzimy tam na kolacje. Musiałam coś szybko wymyślić.

– Do kurwy nędzy, powiedziałaś do mnie Kenny!

– Tak mi się jakoś wymknęło.

– Mogłaś wszystko zepsuć.

– Zepsuć co, tak dokładnie? Jaka to różnica, jak cię nazwę? Przecież i tak ją zabijemy... A może nie? Nie zabijemy jej?

– Oczywiście, że ją zabijemy. – Henry zirytowanym ruchem przegarnął włosy. – Tylko nie od razu. Najpierw trochę się z nią zabawimy. No wiesz. Tak jak

ustaliliśmy wcześniej.

- Tak jak ty ustaliłeś wcześniej.
- Co chcesz przez to powiedzieć?
- Kenny, proszę cię...
- Imię teraz brzmi Henry.

– Henry. Nie mamy na to czasu. Zamordowałeś pieprzonego strażnika leśnego. Wcześniej czy później zaczną tu w pobliżu węszyć. Musimy się stąd wynosić.

Henry rozejrzał się nerwowo po pokoju, zatrzymał wzrok na drzwiach do sypialni, gdzie leżała uśpiona Brianne.

- Dobra. Dobra. Pewnie masz rację.
- Na pewno mam.
- Dobra, wiem.
- No to co z nią zrobimy?
- Zabierzemy ją ze sobą.
- Co?

– Zabierzemy ją ze sobą – powtórzył, jakby naprawdę myślał, że go za pierwszym razem nie dosłyszała.

– Co ty wygadujesz? To szaleństwo.

– A dlaczego szaleństwo? Jest nieprzytomna. Wrzucimy ją do bagażnika samochodu, pojedziemy do Lake Placid, znajdziemy jakiś pusty dom letniskowy, gdzie będziemy mogli odetchnąć i się z nią spokojnie zabawić.

- A od kiedy to my się najpierw zabawiamy?
- Od tego razu. Brianne jest młoda, jest ładna. Jest podatna.
- Co to znaczy?

Uśmiechnął się pogardliwie.

Nikki może i nie rozumiała słowa „podatna”, ale zrozumiała znaczenie tego uśmiešku. Znaczył tyle, co „głupia”. Równie dobrze mógł to wrzasnąć na głos.

– Nigdy nic nie wiadomo – mówił teraz Henry. – Może nawet zdecyduje, że do nas dołączy? Moglibyśmy stworzyć, no wiesz, grupę...

O Boże, nie. Co on wygaduje?

- Znaczy co...? Nie wystarczam ci już?
- Tego nie powiedziałem.

– To daruj sobie te brednie. Ja mówię: zabijmy ją od razu i wynośmy się stąd do diabła.

– No weź, mała. Ona jest nieprzytomna. Co za przyjemność zabijać ją, kiedy jest ogłuszona?

– O wiele większa niż odsiadka dożywocia – sprzeczała się Nikki. – Mówię ci, że nie warto ryzykować. – A potem, żeby go ułagodzić, dodała: – Będą inne dziewczyny.

Na ustach Henry'ego znów pojawił się uśmiech.

– Obiecujesz?

– Obiecuję – powiedziała.

– Co powiedział? – spytała Jennifer, kiedy Val odłożyła słuchawkę starego telefonu na widełki.

– Powiedział, że dokładnie przeczesali samochód Tylera – poinformowała całą grupę Val. – I nie ma żadnego śladu, że komuś się tam coś stało. Żadnej krwi ani nic...

– Dzięki Bogu – westchnął James.

– Zła wiadomość to, że burza zmyła wszelkie ślady stóp, więc Brianne i Tyler mogą być wszędzie. Zamierzają przeszukać okoliczne lasy, ale...

– Ale? – spytał James.

– No cóż, nie powiedział mi tego, ale mam wrażenie, że znalezienie Brianne nie jest ich priorytetem. Bardziej chcieliby się dowiedzieć, co się stało z Henrym Voightem.

Przez chwilę nikt nic nie mówił, nikt nie wyrażał na głos tego, co wszyscy wspólnie myśleli. A jeśli te zniknięcia są w jakiś sposób powiązane?

– Val, czy ja mogę cię prosić na chwilę? – odezwał się Gary. Wrócił do biura kempingu kilka minut wcześniej, kiedy Val rozmawiała przez telefon z Mikiem Jonesem, i czekał przy drzwiach, aż skończy.

Val bez słowa wyszła za nim na dwór. Przystanęła na dolnym stopniu schodków, dostrzegając, że na siedzeniu pasażera białego buicka zaparkowanego parę kroków dalej siedzi syn Gary'ego.

– Wyjeżdżam już. Zabieram Haydena do Connecticut – wyjaśnił Gary, zanim Val zdążyła zapytać. – W tej chwili naprawdę niewiele możemy tu zdziałać, a ja chcę, żeby obejrzał go lekarz i upewnił się, czy nie doznał wstrząsu mózgu.

– Oczywiście. Doskonale rozumiem.

– Hayden twierdzi, że nie chce wnosić zarzutów...

Val zdusiła głębokie westchnienie ulgi.

– Bardzo, bardzo za to wszystko przepraszam.

– Ja też – powiedział Gary. A potem oboje zrozumieli, że nie zostało już nic więcej do powiedzenia. – Znajdziesz ją, Val.

– Tak, na pewno.

– Jesteś nieustraszona.

– Tak, jestem.

– Będę się odzywał – dodał.

– Nie, nieprawda – szepnęła, patrząc, jak wsiada za kierownicę samochodu, wyjeżdża z parkingu i znika z jej życia.

I nie ma sprawy, pomyślała. Mimo wszystkiego, co się wydarzyło, wdzięczna była za te wspólnie z nim spędzone chwile. Gary rozbudził w niej coś,

co wydawało się na zawsze utracone, pokazał jej, że nie tylko może być jeszcze atrakcyjna dla innych mężczyzn, ale że oni też mogą pociągać ją. Wystarczy tylko, by pozwoliła, żeby to się stało. Wystarczy tylko zrezygnować z tego wciąż powracającego snu, którym był Evan. Snu bez spełnienia, pomyślała ze smutkiem, wyobrażając sobie, że to tytuł piosenki broadwayowskiej, którą zaraz pełną piersią zaśpiewa James.

Snu, który jednak zmienił się w koszmar.

To jeszcze nie pora na kolejny sen, zdecydowała, patrząc, jak samochód Gary'ego znika w tumanie kurzu. Na razie czas się obudzić.

Val obróciła się, chcąc wejść ponownie do biura kempingu, gdy drzwi otworzyły się i na zewnątrz wyszła Jennifer, z zarumienioną twarzą.

– Co się dzieje? – spytała Val.

– Przypomniałam sobie, co mówił Henry. On ma tu w okolicy jakiś domek.

– Co takiego?

– Ten mężczyzna wczoraj, ten, który podawał się za Henry'ego Voighta, powiedział, że ma tu niedaleko dom.

– Mówił gdzie?

– Nie, tylko że to jest w pobliżu. Dokąd jedziesz?! – zawołała za Val, już biegnącą do samochodu.

Odpowiedź Val odbiła się echem od żwirowanego podjazdu i okolicznych drzew. Czekała już dość. Czas skoczyć do basenu i płynąć.

– Jadę znaleźć córkę.

– Naprawdę uważasz, że to taki dobry pomysł? – zapytał James ze swojego zwykłego miejsca na tylnym siedzeniu. – Znaczący, przecież straż leśna kazała nam nie ruszać się z miejsca i pozwolić im się tym zająć?

Val zignorowała retoryczne pytania, śpiesząc szosą i wypatrując czarnej hondy civic Tylera. Mike Jones powiedział, że stoi zaledwie kilka kilometrów za kempingiem.

– On ma rację. Może to nie jest taki dobry pomysł – odezwała się siedząca obok Jamesa Melissa.

– Posłuchajcie – powiedziała Val. – Jeśli nie chcecie ze mną jechać, w porządku. Mogę zaraz zatrzymać wóz...

– Nie zostawimy cię samej – oświadczyła stanowczym tonem siedząca obok niej Jennifer.

– Oczywiście, że nie zostawimy – zawtórowała jej Melissa.

– Ja tylko sugerowałem, żebyśmy dali znać straży leśnej, co robimy – próbował tłumaczyć James. – No wiecie, w razie gdyby potrzebne było wsparcie.

– Jestem pewna, że przy samochodzie Tylera będzie paru strażników – powiedziała Val, wdzięczna przyjaciółom za lojalność wygrywającą ze zdrowym rozsądkiem. Wiedziała, że ich zdaniem zachowuje się lekkomyślnie i nieracjonalnie, rzucając się w poszukiwania na ślepo, bez planu, nie wiedząc, dokąd jedzie i co robi, kiedy już się tam znajdzie. Wiedziała też, że mają w tym absolutną rację. Mimo to nie była w stanie siedzieć bez ruchu i nie robić nic, podczas gdy córka może być w opałach. Siedzenie i czekanie, aż coś się wydarzy, na razie do niczego jeszcze jej nie doprowadziło.

A jednak...

Powinna chyba posłuchać przyjaciół, zawrócić i jechać znów na kemping. Strażnicy na pewno przeczesywali już wszystkie domostwa w okolicy. Zresztą jeśli ten człowiek podający się za Henry'ego Voighta kłamał, mówiąc, że jest strażnikiem, to mógł też kłamać, że posiada w okolicy dom. Z drugiej strony, jeśli istotnie był właścicielem jakiegoś domu w okolicy, to na pewno lepiej byłoby pozwolić prowadzić śledztwo zawodowcom, zamiast w grupie amatorów bezładnie kręcić się w kółko jak kurczęta, którym obcięto głowy. Nie była nieustraszona, tylko głupia.

– Tam jest ten samochód! – zawołała nagle Jennifer, wskazując w stronę czarnej hondy civic, tkwiącej przodem w rowie na poboczu drogi.

– Strażników to ja tu nie widzę – powiedział James, a Val zatrzymała wóz za



starą hondą i wyłączyła silnik.

– Pewnie posłali po wózek holowniczy – stwierdziła Melissa. Wszyscy wysiedli z samochodu, czworo drzwi jednocześnie otworzyło się, a potem zatrzasnęło.

Val powoli podeszła do samochodu Tylera. Zajrzała przez okno od strony kierowcy, z nadzieją że dostrzeże córkę zwiniętą w kłębek i śpiącą na tylnym siedzeniu. Otworzyła drzwi, nie znalazła w środku nikogo.

– Wolno ci to robić? – James obejrzał się przez ramię na gęsto przejeżdżające drogą samochody.

– Raczej nie. – Val przyjrzała się wnętrzu samochodu, szukając śladów Brianne. Wciągnęła nosem stęchłe powietrze, chcąc choćby wyczuć jej zapach.

Nic.

– I co teraz? – spytała Jennifer.

Val wskazała las za rowem.

– Idziemy tam – powiedziała i ruszyła szybko, zanim ktoś zdołałby ją powstrzymać.

– Co robisz? – Nikki stanęła w drzwiach, patrząc, jak Henry przetrząsa szuflady komody w głównej sypialni.

– Sprawdzam, czy nie znajdzie się trochę gotówki.

– Przecież przeszukaliśmy już wszystkie szuflady.

– Ale może coś przeoczyliśmy. Na przykład to. – Uniósł w dłoni broszkę w kształcie motyla z czerwonymi, zielonymi i niebieskimi kryształami. – To jest już coś warte.

– To tylko śmieć, jak cała reszta – powiedziała Nikki, doskonale wiedząc, o co chodzi Henry'emu.

Grał na zwłokę. Powinni byli do tej pory już zabić tę dziewczynę. Powinni byli ją zabić i zabrać się stąd. Zamiast tego on szukał jednego pretekstu po drugim, byle tylko jeszcze się czymś zająć: najpierw musiał zrobić sobie kanapkę, potem musiał jeszcze raz wziąć prysznic, a potem zdrzemnąć się dla nabrania sił, nie tylko do mordy, ale i przed jazdą do Lake Placid. A potem postanowił sprawdzić, czy w domu nie ma wartościowych przedmiotów, czym rzekomo zajmował się w tej chwili, chociaż już wcześniej przeszukali każdą szufladę przynajmniej kilkakrotnie i pozabierali całą gotówkę, która umknęła ich uwadze przy wszystkich poprzednich okazjach. Na litość boską, stąd nawet nie można było ukraść telewizora. Jedynie ten głupi laptop, stary i na pewno niewiele wart.

W jej myśli wkradło się jakieś niewyraźne wspomnienie. Coś związanego z tym komputerem nie dawało jej spokoju i męczyło ją od samego rana, chociaż nie umiała sobie przypomnieć, co to takiego było. Jak przez mgłę pamiętała, że poprzedniej nocy, kiedy była przyćpana trawką i oksykodonem, sprawdzała e-maile Ellen. Była tam wiadomość od syna, przypominała sobie. Coś o tym, że nie może

przyjechać na jakąś głupią imprezę jesienią.

I coś jeszcze.

Coś jeszcze, powtarzała sobie, próbując odgonić natrętną myśl jak komara krążącego wokół głowy. Nieważne, to na pewno coś mało istotnego. Ważne było to, żeby dziewczynę teraz zabić i wynosić się stąd.

– Marnujemy czas – powiedziała mu, doskonale wiedząc, że właśnie to próbował robić.

Zrozumiała nagle, że on daje Brianne czas, żeby się ocknęła. Po co? Żeby mógł ją zabić czy żeby z nią uprawiać seks? I co później? Czy naprawdę chciał przekonywać tę dziewczynę, żeby do nich dołączyła? Planował stworzyć własną wesołą kompanię, która zamieszka w tych lasach jak współczesny Robin Hood, tyle że zamiast tylko rabować bogatych, będą ich przy okazji zabijać? To już prędzej jak współczesny Charles Manson, pomyślała, wspominając dokumentalny film o bandzie zabójców, oglądany niedawno na kanale E! To prawda, tamta grupa była całkiem fajna, ale ona o wiele bardziej wolała sytuację taką jak teraz, gdy jest ich tylko dwoje. Nie chciała walczyć o uwagę czy uczucia kochanka. Nie chciała się martwić tym, kto jest jego ulubienicą, ani czy nie grozi jej, że zostanie kimś zastąpiona. Chciała wrócić do tego, co szło im najlepiej: do zbawiania świata od bezużytecznych starych ludzi.

Starcy, pomyślała, spoglądając w stronę komputera. Coś na tym komputerze i związane ze starcami.

– Będziemy musieli pościerać tu odciski palców – mówił właśnie Henry.

– Możemy to zrobić po zabiciu Brianne.

– Nie – sprzeciwił się stanowczo. – Najlepsze zostawimy na sam koniec.

Chciała już zaprotestować, ale się powstrzymała. Sprzeczenie się z nim oznaczało wyłączenie dalsze opóźnienie.

– Może powinnaś pojechać po benzynę – zasugerował.

– Chcesz, żebym to ja pojechała po benzynę? – powtórzyła z niedowierzaniem, zastanawiając się, co on teraz kombinuje.

– Tak. W ten sposób nie będziemy musieli zatrzymywać się później.

– Zapomnij. Nie jadę po żadną benzynę – powiedziała Nikki. Czy on nadal miał nadzieję, że zabiorą Brianne ze sobą? Czy to możliwe, że naprawdę chciał ją oszczędzić?

– Jak sobie chcesz. To był tylko taki pomysł.

– Jeśli tak ci zależy, sam jedź po benzynę.

– To ty się tak śpieszysz do odjazdu – przypomniał jej, wzruszając ramionami i unosząc znacząco brwi. – No chodź. Czas zacząć wszystko wycierać.

– Dlaczego po prostu tego domu nie spalimy?

– No tak, świetny pomysł. A może jeszcze przy okazji damy ogłoszenie do gazety, co? Żeby gliny jeszcze dokładniej wiedziały, gdzie jesteśmy.

Nikki poczuła, że nie wiadomo dlaczego zbiera jej się na płacz.

– Dlaczego jesteś dla mnie taki niemiły? – spytała głosem małej dziewczynki, takim jak w dzieciństwie. Prawie nie poznawała tego głosu, myślała, że pozbyła się go już dawno temu.

– O co ci chodzi? Nie jestem dla ciebie niemiły.

– Owszem, jesteś. Odkąd dowiedziałeś się o tej dziewczynie, zachowujesz się... sama nie wiem... jakoś dziwnie.

– Hej – powiedział Henry, rzucając na podłogę garść koralikowych naszyjników znalezionych w górnej szufladzie komody. Korale posypały się na wszystkie strony. Powoli podszedł do niej, przechylając głowę jak psotne szczenię.

– Czyżbym wyczuwał zazdrość?

– Nie bądź śmieszny.

– Bo zachowujesz się, jakbyś była zazdrosna.

– Chcę tylko zabić tę głupią dziewczuchę i wynosić się stąd.

– Masz pewność, że nie jesteś ani odrobinę zazdrosna? – spytał żartobliwie, wsuwając dłoń pod kwiecistą sukienkę, którą miała na sobie. – Czy to dlatego tak się śpieszysz, żeby ją zabić?

– Nie jestem zazdrosna.

– I nie nosisz bielizny. – Drugą dłoń położył na jej piersi.

Nikki uśmiechnęła się.

– Miło, że wreszcie zwróciłam twoją uwagę.

– Och, masz ją cały czas, spokojnie. Pytanie, co zamierzasz z tym zrobić.

Nikki osunęła się przed nim na kolana.

– Pokażę ci.

– Czy sezon na meszki nie powinien był się już skończyć? – spytał James, klepiąc się w kark.

– Skończył się. To są muchy ślepaki. – Melissa podrapała się za uchem. Kiedy cofnęła dłoń, pod paznokciami miała krew.

– Cudownie – powiedział James. – Inna mucha na każdą porę roku.

Pochód zamykała Jennifer. Jeśli muchy jej dokuczały, nie dawała tego po sobie znać.

– Czy ktoś ma pojęcie, gdzie jesteśmy?

Val wypluła na dłoń komara, który przypadkiem wpadł jej do ust. Nie mogła się nadziwić, że ktoś może wyglądać tak ślicznie w tak niesprzyjających okolicznościach. Nic dziwnego, że Evan dał się zauroczyć.

– Strumień powinien płynąć gdzieś tamtędy – powiedziała, wspominając czasy, kiedy razem z Evanem wędrowali po tych lasach. – Moim zdaniem powinniśmy iść w tę stronę...

– Gdzie są ci strażnicy? – spytał James z pretensją w głosie. – Nie mieli czasem przeszukiwać okolicy?

– Jak mówiłam, Brianne nie stanowi chyba dla nich priorytetu. – A potem, na następnym oddechu: – Brianne! Brianne, słyszysz mnie?!

– Brianne! – zawtórowała jej Jennifer. – Brianne... Brianne!

Melissa i James podjęli okrzyki, ale mimo pięciu minut ciągłego nawoływania jej imienia nie doczekali się żadnej odpowiedzi.

– Co to jest? – spytała Jennifer, nagle przystając.

– Gdzie? – Pozostali szybko skupili się wokół niej.

– Popatrzcie, w jaki sposób ziemia jest tu ubita, trochę tak, jakby ktoś tu leżał...

– Ktoś albo coś – powiedział James. Aż się wzdrygnął i jeszcze raz zerknął za siebie przez ramię. – Może, na przykład, niedźwiedź?

– O mój Boże! – Melissa wskazywała coś kilka kroków dalej. – Czy to but?

– Co? – Val rzuciła się w stronę oblepionego błotem przedmiotu leżącego na ziemi. Chwyciła go jedną dłonią, drugą zaczęła gorączkowo ścierać zaschniętą ziemię z cienkiego, wysokiego obcasa. – To but Brianne. To jej but. – Okręciła się na pięcie. – Brianne... Brianne! Gdzie jesteś? Czy mnie słyszysz? O Boże. Gdzie ona jest? – Znów okręciła się wokół własnej osi, przyciskając znaleziony but do piersi, przepatrując wzrokiem okoliczne drzewa. – Wiem, że tam są domki. Musi być i droga...

– Jak daleko to będzie?

– Nie wiem. Może ze dwa kilometry. A może więcej.

– To ja muszę chwilę odsapnąć. – James rozejrzał się wkoło, dojrzał jakąś kłodę i ostrożnie na niej przysiadł. – Przepraszam, że taka ze mnie primadonna, ale te nogi nie zniosą już tyle, co kiedyś.

– Nie jesteś żadną primadonną. – Val usiadła obok niego. – Jesteś cudowny. – Popatrzyła na Melissę i Jennifer. – Wy też. Wszyscy jesteście.

Oczy Jennifer napęłniły się łzami. Szybkim ruchem odwróciła głowę.

Krzyk napłynął powoli, stopniowo narastał, aż eksplodowało nim całe powietrze. W pierwszej chwili Val nie mogła się zorientować, co to za dźwięk ani skąd się wziął, i dopiero kiedy zobaczyła twarz Jennifer i jej rozszerzone z przerażenia oczy, zrozumiała, że to ona tak krzyczała.

– O co chodzi? Co się stało? Co się, do diabła, stało? – powtórzyła, gdy Jennifer nie udało się odpowiedzieć.

– O Boże. O Boże.

Val zaczęła rozglądać się wkoło, usiłując wypatrzyć powód wybuchu Jennifer. A potem to zobaczyła.

– Proszę, powiedz mi, że to nie to, co mi się wydaje – wyszeptał James.

Val nagle całkowicie zaschło w gardle. Słowa z trudem wydobyły się z jej krtani, kiedy podeszła tam bliżej:

– To ludzka ręka.

– Czy to...? – spytała Melissa, ale nie udało jej się pytania dokończyć.  
– Męska ręka – powiedziała Val, przykucając i przyglądając się z bliska.  
A potem wybuchnęła płaczem. – To nie jest ręka Brianne.

– Dzięki Bogu!  
– Nie dotykaj jej – ostrzegł James. – Cokolwiek zrobisz, nie dotykaj tego okropieństwa.

– Co to oznacza? – spytała Jennifer.

– To oznacza, że natychmiast się stąd zabieramy – oświadczyła Melissa.

Val z powrotem dźwignęła się na nogi, jedną ręką nadal przyciskając do piersi but Brianne, a potem zaczęli iść, najpierw powoli, a potem szybciej i szybciej, aż wreszcie wszyscy biegli, ledwie świadomi gałęzi trzaskających im pod nogami czy chlastających ich po twarzach.

– Myślicie, że ta ręka mogła należeć do Davida Gowana? – spytała Melissa, kiedy przystanęli dla zaczerpnięcia tchu.

– Myślisz, że dopadł go jakiś niedźwiedź? – spytał James. – O dobry Boże. Coś gorszego?

– Co masz na myśli? – spytała Jennifer. A potem zupełnie jakby czytała mu w myślach, dorzuciła: – Nie, nie. To niemożliwe. Niemożliwe. – Wzrokiem poszukała u Val potwierdzenia.

Val nie musiała pytać, o jaką niemożliwość jej chodzi. Doskonale wiedziała, o czym myśli Jennifer, o czym pomyśleli wszyscy. Sama też przez cały ranek o tym myślała, od chwili, kiedy Jennifer powiedziała, że Henry Voight, którego poznała poprzedniego wieczoru, to ktoś inny niż Henry Voight ze zdjęcia wiszącego na ścianie kwatery straży leśnej.

Myśleli o mordercach z Berkshires.

Czy to możliwe, że zabójcy, o których słyszeli w telewizji i w radiu, te monstra odpowiedzialne za śmierć starszych par małżeńskich w Berkshires, przeniosły się z Massachusetts w wyżynne rejony stanu Nowy Jork? Że może i w tej chwili grasują po lasach Adirondack w poszukiwaniu nowych ofiar? Czy zabili Davida Gowana i prawdziwego Henry'ego Voighta? Czy Brianne i Tylera spotkał podobny los?

Nie, to jakiś absurd. Val skarciła samą siebie w myślach. Nawet jeśli zabójcy faktycznie są w tej okolicy, a przecież prawdopodobieństwo czegoś takiego jest wybitnie małe, to ich celem byli ludzie starzy. Czego mieliby chcieć od Davida Gowana czy Henry'ego Voighta? A już na pewno nie interesowałiby ich ani Tyler, ani Brianne.

No tak, tylko co z tym biednym młodym człowiekiem, którego zwłoki znaleziono w kawałkach – dobry Boże, w kawałkach... – w pobliżu miejsca jednej z rzezi, młodym człowiekiem, w którym policja domyślała się ofiary przypadkowej, potwornego pechowca, któremu zdarzyło się napatoczyć na miejsce

zbrodni i zapłacić za to ostateczną cenę? A co, jeśli Brianne natknęła się na podobną sytuację? Co, jeśli ona...?

Co, jeśli...? Co, jeśli...? Co, jeśli...?

Przestań, przykazała sobie Val, zanim zdążyła dokończyć tę myśl. Przestań natychmiast.

– Dobra, posłuchajcie – odezwała się. – Nie możemy pozwolić, żeby ponosiła nas wyobraźnia.

– Masz rację – zgodziła się Melissa. – Zaczynamy zbyt pochopnie wyciągać wnioski.

– Brianne na pewno nic nie jest – powiedział James, może nieco zbyt przekonującym tonem. – Kiedy się już pozbyła tych cholernych obcasów, nie miała kłopotu z wydostaniem się stąd. Pewnie już jest z powrotem na kempingu i zastanawia się, gdzie się podzialiśmy.

– Boże, mam nadzieję, że masz rację.

– Nie ma powodu do takich podejrzeń – dodała Jennifer. – Ta ręka...

– ...pewnie leży tu od tygodni – dokończył James.

– Jakiegoś biednego włóczkę pożarł niedźwiedź – dorzuciła Melissa, energicznie kiwając głową.

– Powinniśmy wracać na kemping – powiedziała do nich Jennifer. – Trzeba zawiadomić strażników leśnych, i to jak najszybciej. Trzeba im powiedzieć, co znaleźliśmy.

– Tak – zgodziła się Melissa.

– Musimy im pozwolić wykonywać własną pracę – dodał James.

– Val? – spytała Jennifer, szukając u niej wzrokiem potwierdzenia.

– Tak. Dobrze – powiedziała Val. – Okej.

Jaki miała wybór? Znalezienie buta Brianne to jedno, dowód na to, że Brianne rzeczywiście błądziła po tych lasach. To powód, żeby szukać dalej. Ale znalezienie tej ręki zmieniało wszystko. Czy to był efekt działania zwierzęcia, czy człowieka, zaczynało się tu dla nich robić zbyt niebezpiecznie. Należało natychmiast poinformować straż leśną o makabrycznym znalezisku. Trzeba pozwolić zawodowcom wykonywać statutowe zadania.

– To może wrócimy do samochodu? – podsunął James.

– To za długo potrwa – stwierdziła Val. – Tędy będzie szybciej.

– Jesteś pewna, że tam jest droga? – zapytała Jennifer.

– Evan i ja włóczyliśmy się kiedyś po tych lasach – wyjaśniła Val i zobaczyła, że młodsza kobieta aż drgnęła. Jak się okazało, z innego powodu, niż początkowo sądziła.

– On tu powinien być z tobą – powiedziała Jennifer, całkowicie zaskakując Val. – To nie w porządku, że jego tutaj nie ma.

Szli dalej w milczeniu przez kolejne dziesięć minut. Val ścisnęła but

Brianne, jakby to było jej koło ratunkowe, jakby pozwalał jej utrzymać się w pionie. I może tak jest, pomyślała, dostrzegając, że poprzez drzewa zaczyna widzieć skrawki nieba.

– Tam dalej chyba może być droga.

– Dzięki Bogu.

Po paru minutach znaleźli się na skraju długiej i krętej bitej drogi. Strumień płynął może jakieś sto metrów dalej, leniwie się wijąc, niczym wąż w słońcu.

– Co tam jest? – Jennifer zmrużyła oczy, ocieniając je dłonią, a potem wskazała ręką. – Czy to dom?

– A ja mówię, że cokolwiek to jest, ignorujemy to i wracamy na kemping – rzucił James, przypominając wcześniej podjętą decyzję.

Ale Val już skręciła i ruszyła w stronę domku u krańca drogi – z cichą modlitwą na ustach i butem Brianne w dłoni.

– Ktoś idzie.

– Co?

– Słyszałeś mnie. – Nikki przycisnęła czoło do szyby frontowego okna domku. – Tam dalej, na końcu drogi. Wygląda jak grupa ludzi.

Henry natychmiast znalazł się u jej boku i szarpnięciem za ramię odsunął od okna.

– Au – powiedziała, dostrzegając, że zmienił mundur strażnika na lepiej na nim leżące džinsy i koszulkę bawełnianą z podobizną Keitha Richardsa z papierosem zwisającym z kącika ust. Rewolwer martwego strażnika walał się na sofie, gdzie Henry cisnął go wcześniej.

– Schowaj się – powiedział do niej teraz, wyglądając przez okno. – Cholera.

– To gliny?

– Nie wydaje mi się. – Zerknął jeszcze raz za okno. – Są za daleko, żeby coś powiedzieć na pewno, ale jedno z nich to chyba Jennifer.

– Jennifer? Kim, do cholery, jest Jennifer? – Czy powinna się obawiać jeszcze jednej kobiety?

– Ta, którą poznałem wczoraj wieczorem. Ta, co dzwoniła rano opowiedzieć mi o Brianne.

– Powiedziałaś jej, gdzie nas znaleźć?

– Jasne, że nie. Nie bądź głupia.

Nikki poczuła, że cała się w środku spina. Ile razy błagała go, żeby nie mówił, że jest głupia? To on w tym tandemie był głupi, nie ona. Gdyby jej posłuchał, już dawno by ich tu nie było.

– Z kim jest? – spytała, wracając do okna.

– Nie wiem. Pewnie z matką Brianne i jej dziwacznymi znajomymi. To na pewno nie gliny.

– Która z nich to Jennifer? – spytała Nikki. Czwórka wymęczonych wędrowców zbliżała się do domu.

– A co to za różnica? Schowaj się – zarządził Henry ponownie. – Chcesz, żeby cię zobaczyli?

– Nic nie zobaczą. Są za daleko. Czy to ta z długimi jasnymi włosami?

– Nie pamiętam – powiedział, choć ton jego głosu mówił coś innego. – Mówiłem tej suce, że mają się stamtąd nie ruszać.

– Chyba mało uważnie cię słuchała.

– Jeśli rozmawiała ze strażą leśną, jeśli im powiedziała, że rozmawiała



z Henrym Voightem...

- Uważasz, że jest ładna? – spytała Nikki.
- A co to za różnica, do kurwy nędzy?
- Stąd wcale nie wygląda jakoś tak super. Jak milion innych dziewczyn.

Moim zdaniem jest dość zwyczajna.

Machnięciem ręki zlekceważył jej ocenę.

- Nikt cię nie pytał.
- Tak tylko mówię...
- Zamknij się na moment, dobra? Muszę pomyśleć.

A więc teraz każe jej się zamknąć. Nikki zagryzła dolną wargę, żeby się nie rozpłakać.

– Wygląda na to, że idą w tę stronę. Za parę minut tu dotrą.

– Cholera.

– Pójdę i zamknę drzwi.

– Nie. Nie ma sensu. Nie pójdą sobie i zamknięte drzwi ich nie powstrzymają. – Spojrzał na rewolwer na sofie.

– Co...? Zastrzelisz cztery osoby? – spytała Nikki z niedowierzaniem. – Strzelałeś kiedyś z broni palnej? A jeśli chybisz? Jeśli jedno z nich ucieknie? To zbyt ryzykowne.

– A od kiedy ty tu decydujesz? Zamknij się wreszcie i daj mi się zastanowić. Już drugi raz kazał jej się zamknąć.

– Ja tylko mówię – powtórzyła, usiłując opanować rosnący w niej gniew – że oni już tu niemal są. A straż leśna może być tuż za nimi. Jeśli wyjedziemy natychmiast, może uda nam się zniknąć, zanim tu dotrą.

Zastanawiał się nad jej słowami przez chwilę.

– A co z Brianne? – spytał.

– Co z nią? Nie mamy czasu się nią zająć. Po prostu jedźmy.

– Albo zabierzmy ją ze sobą. – Ruszył w stronę sypialni na tyłach domku.

Nikki deptała mu po piętach.

– Co? Nie. Już to ustaliliśmy.

– Zmiana planów. – Podeszedł do łóżka, na którym Brianne spała na patchworkowej kapie. Parę liści nadal czepiało się jej brudnego ubrania. – Chodź. Pomóż mi.

– Już się, kurde, rozpędziłam.

– Jak sobie chcesz. – Wziął śpiącą dziewczynę na ręce. Brianne lekko się poruszyła, ale nie obudziła.

– To jakiś obłąd. Nie mamy na to czasu. Oni lada chwila tu będą.

– No to się pośpieszmy.

– Ja nigdzie z nią nie jadę.

– Nie bądź głupia – powiedział i zawrócił do saloniku.

To już trzy razy, pomyślała Nikki. Przysiadła na sofie i zaplotła ręce na piersi. Co to było za powiedzenie? Do trzech razy sztuka? Nie była pewna, dlaczego tak się upiera, dlaczego mu po prostu nie ustąpi, jak to zwykle robiła, ale coś jednak... W tej dziewczynie było coś takiego, w sposobie, w jaki on na nią patrzył, jak się zachowywał w jej obecności... No, ale na pewno, gdyby miał między nimi wybierać...

– Jak chcesz – powtórzył znowu, na moment przystając przy drzwiach wejściowych, by sobie przerzucić Brianne przez ramię. A potem otworzył drzwi i wyszedł z domku.

– Co robisz? Zobaczą cię! – krzyknęła Nikki, choć wiedziała, że otaczające dom drzewa zasłaniają go skutecznie.

Wyobraziła sobie, jak on biegnie za domek, gdzie ukryli samochód. Usłyszała, że kłapa bagażnika się otwiera, a potem z trzaskiem zamyka. To idiotyczne, pomyślała. Ta głupia dziewczucha wszystko psuje. Powinnam była poderżnąć jej gardło, kiedy ją zobaczyłam.

I dokładnie to zrobię, zdecydowała. Jak tylko będę miała okazję. Jeśli Henry czy Kenny, czy Matthew, czy pieprzony Izmael, czy jak tam on, do cholery, chce, żeby go nazywać, jeśli on sobie wyobraża, że może mnie tak łatwo zastąpić, że może się na mnie wydzierać i wyzywać od głupich, no cóż, w takim razie wcale nie zna mnie tak dobrze, jak sądzi. Kiedy tylko zatrzymamy się po benzynę, a on wyjdzie z samochodu, żeby się wysikać, otworzę ten cholerny bagażnik i jednym ruchem poderżnę gardło idiotce.

No, to już jest jakiś plan, pomyślała, pełna nowej determinacji. Rozplotła ramiona i podparła się dłońmi na poduszkach sofy, chcąc się podnieść i ruszyć jego śladem, i nagle musnęła dłonią coś zimnego i twardego. Rewolwer, zrozumiała. Szybko zacisnęła na nim dłoń.

I to wtedy zobaczyła, że stają w otwartych drzwiach jak zbieranina uciekinierów z cyrku: ładna kobieta w średnim wieku z ciemnoblonde włosami i lekko nieprzytomnym wzrokiem, niska kobietka z grzywką, która zakrywała jej górną połowę twarzy, i w okularach, które zakrywały resztę, ubrana od stóp do głów na czarno, chudy i nieco zniewieściały z wyglądu mężczyzna o nastroszonych, pomarańczowych jak marchew włosach i na koniec Jennifer o wielkich cyckach i nogach długich do nieba. Poznała ich wszystkich jako grupę, która sprzeczała się w hotelowym holu poprzedniego poranka.

– Cześć – powiedziała ta pierwsza kobieta, zanim Nikki zdążyła się odezwać. – Przepraszam. Nie chcieliśmy cię przestraszyć.

Nikki wsunęła rewolwer do kieszeni sukienki tak, że nikt nie zauważył.

– Czego chcecie? – Zastanowiła się, gdzie podział się Henry i co robi. Czy obserwuje ich i gra na czas, czy też może szykuje się do odjechania i zostawienia jej tu samej.

– Mam na imię Val. To moi przyjaciele – zaczęła Val. – Szukamy mojej córki. Mieliśmy nadzieję, że ją widziałaś.

– Nie – powiedziała Nikki, przypatrując im się czujnie. – Obawiam się, że nie pomogę.

– To ładna dziewczyna. Mniej więcej w twoim wieku. Jakiś metr sześćdziesiąt siedem wzrostu. Szczupła, długie ciemne włosy.

– Przykro mi. Nie widziałam.

– Na imię ma Brianne – ciągnęła Val z oczyma pełnymi łez.

Ona mi tu zaraz zemdleje, pomyślała Nikki, zastanawiając się jednocześnie, czy jej własna matka kiedyś się o nią tak martwiła.

– Ładne imię – powiedziała.

– Wyglądasz jakoś znajomo. Czy my się już spotkałyśmy? – spytała ta w czerni. Weszła kilka kroków w głąb pokoju, nieproszona.

– Nie. Nie sądzę.

– Ja jestem Melissa. To James. I Jennifer. A ty...?

– Nikki – odparła niechętnie, nie chcąc wzbudzać niepotrzebnych podejrzeń. Może powinna wydobyć z nich tyle informacji, ile się da. Jak to mawiała jej babcia? Że więcej much łapie się na miód niż na ocet?

– Czy jest tu ktoś jeszcze, z kim moglibyśmy porozmawiać? – spytała Jennifer. – Może twoi rodzice ją widzieli.

– Moich rodziców tu nie ma. To domek babci – dodała, choć chyba nie musiała im udzielać aż tylu informacji. – Spędzam u niej lato.

– Jest tutaj? Możemy z nią porozmawiać?

– Śpi. Nie czuje się dobrze.

– I jesteś pewna, że nie słyszałaś ani nie widziałaś nic dziwnego? – spytała Val, ledwie trzymając się na nogach.

– Na przykład czego? – Gdzie, do diabła, jest Henry? Co on wyprawia?

– Na przykład, że ktoś płakał czy wołał o pomoc...

– Nie. Na pewno bym zwróciła uwagę na coś takiego. Nic pani nie jest? Wygląda pani trochę niewyraźnie.

– Jestem tylko zmęczona. – Valerie nagle osunęła się w drzwiach na podłogę, przysiadła na progu jak podcięta.

– Val, co ci jest?! – zawołali niemal zgodnym chórem jej towarzysze.

Nikki ukryła za grzbietem dłoni rodzący się uśmiech. W normalniejszych okolicznościach to wszystko wydałoby jej się zabawne.

– Zemdląca? – spytała, nie ruszając się z miejsca.

– Jak sądzisz, czy moglibyśmy prosić o szklankę wody? – odezwała się Jennifer, choć to było raczej polecenie niż pytanie.

Nikki szybko podeszła do zlewu i złapała stojącą na blacie świeżo umytą szklankę. Tyle czasu spędzonego na usuwaniu odcisków palców i wszystko na nic,

pomyślała, zauważając, że James głośno wciąga nosem powietrze.

– Co to za dziwny zapaszek? – spytał, gdy napełniała szklanekę wodą z kranu.

Nikki wyjrzała przez niewielkie okno nad zlewem, z nadzieją że zobaczy Henry'ego, ale dostrzegła tylko drzewa. Gdzie on się podział, do licha? Czy w ogóle jeszcze tam jest? Na pewno usłyszałaabym odjeżdżający samochód, pomyślała, zakręcając kurek i niosąc szklanekę wody Val. Jennifer natychmiast wyrwała ją z jej ręki i przytknęła do ust kobiety.

– Czy moglibyśmy na parę minut usiąść? – spytał James.

– Moja babcia śpi – przypomniała mu Nikki.

– Nie będziemy hałasować – powiedziała Jennifer.

– Po prostu mało spaliśmy ostatniej nocy i mamy za sobą parę godzin marszu – dodała Melissa. – Potrzebujemy kilku minut na złapanie oddechu.

Nikki wskazała im sofę.

– Proszę bardzo.

James i Jennifer podprowadzili nadal stąpającą niepewnie Val do sofy, a potem usiedli po obu jej stronach, jakby chcieli ją podpierać. Melissa przysiadła na oparciu sofy i przyglądała się Nikki przez te wielkie szkła w czarnych oprawkach, które nijak nie osłabiały przenikliwości jej spojrzenia.

– I co się stało z pani córką? – spytała Nikki i obserwowała Val zastanawiającą się, ile jej może powiedzieć.

– Wczoraj wybrała się na spacer ze swoim chłopakiem – odparła Val powoli.

– I nie wrócili ze spaceru. Jesteśmy zdania, że mogli się zgubić w lesie.

– A może po prostu sobie pojechali – odparła Nikki z szerokim uśmiechem.

– To cię bawi? – Głos Melissy zabrzmiał ostro. – Jej matka się zamartwia.

Jak my wszyscy.

Nikki zeszywniała, słysząc ton głosu Melissy. Mogłabym cię z miejsca zastrzelić, suko, pomyślała, czując pod palcami dłoni lufę rewolweru. Ale powiedziała tylko:

– Przepraszam. Nie chciałam, żeby to zabrzmiało tak bezdusznie. Zgłosiliście jej zaginięcie straży leśnej?

– Tak. Byliśmy dziś rano w kwaterze straży. Zorganizowali ekipę poszukiwawczą.

– A co...? Wy stanowicie straż przednią?

– Trudno tak siedzieć i nic nie robić – powiedziała Val.

– I strażnicy nie wiedzą, że tu jesteście? – spytała Nikki, usiłując odczytać wyraz twarzy Val.

Pytanie wydało się Val dziwne. Zaciśnięte wargi Melissy dały jej znać, że jest podobnego zdania. Tutaj dzieje się coś bardzo dziwnego. „Powiedz coś – Val poprosiła spojrzeniem przyjaciółkę. – Cokolwiek, tylko niech ta dziewczyna gada”.

– Masz bardzo piękną broszkę – powiedziała Melissa posłusznie. – Czy to

Eisenberg?

– Co? – Nikki opuściła wzrok na własny tors. Co ta kobieta wygaduje?

– Ta kokarda z kryształami górskimi przy twojej sukience. Wygląda jak Eisenberg.

Nikki wzruszyła ramionami.

– Czy to znaczy, że ma jakąś wartość?

– Możliwe. Musiałabym przyjrzeć się z bliska.

Nikki natychmiast odpięła broszkę i położyła ją na dłoni Melissy, a potem patrzyła, jak Melissa obraca ją w dłoni i ogląda.

– Tak, to na pewno Eisenberg. Widzisz? To jest sygnatura wygrawerowana na odwrocie.

– To ile byłoby to warte? – spytała Nikki, nawet nie zerknąwszy na sygnaturę.

– No cóż, nie wiem, czy to odpowiednia pora na omawianie...

– Jest tego więcej – przerwała jej Nikki. – Babcia ma całą szufladę tego szajsu.

– W takim razie może powinniśmy porozmawiać z babcią...

– Mówiłam pani, ona śpi. Da mi pani coś za tę broszkę od ręki?

– Twojej babci chyba by się to nie spodobało...

– Nie będzie miała nic przeciwko. Zaraz przyniosę resztę. – Nikki natychmiast ruszyła do sypialni. – Nie wychodźcie stąd, zaraz wracam. – Nagle przystanęła, a na jej twarzy odmalował się szeroki uśmiech. – I zaparzę wam wszystkim mojej specjalnej brzoskwiniowo-żurawinowej herbaty.

– Dobra, czy tylko mnie się tak wydaje, czy tutaj dzieje się coś bardzo dziwnego? – szepnęła Val, gdy Nikki znikła im z oczu. Ścisnęła w dłoni but Brianne tak kurczowo, że jego skóra pod jej palcami niemal zaczęła się rozpuszczać.

– Coś jest ewidentnie nie tak. Ta dziewczyna... – odezwała się Jennifer.

– I ten smród! – dodał James, wachlując twarz dłonią.

– Okej, dziewczyna jest wyraźnie dziwna – zgodziła się Melissa. – Ale sądzicie, że ona coś wie o Brianne?

– Zdecydowanie coś ukrywa.

– Musimy sprawdzić pozostałe pomieszczenia – powiedziała Val.

Nikki wychodziła już z sypialni z dłońmi pełnymi błyszczących świecidełek i kilkunastoma naszyjnikami niedbale założonymi na szyję. Kopnięciem zatrzęsnęła za dobrą drzwi.

– Babcia się nie obudzi? – mruknął James, zasłaniając usta dłonią.

– I proszę! – Nikki rzuciła garść broszek na stolik do kawy i nieuważnie ściągnęła przez głowę naszyjniki. – Myślałam, że to zwykłe śmieci. Naprawdę pani uważa, że są coś warte?

Val zerknęła na Melissę. Jej spojrzenie mówiło: „nie śpiesz się teraz. Przeciągaj to, ile się da”.

– No cóż, naprawdę musiałabym przyjrzeć się tym sztukom biżuterii nieco dokładniej – powiedziała Melissa. Uniosła jedną z broszek i obróciła. James wziął inną.

– Czy to ten Eisen... Jak pani mówiła?

– No cóż, ta tutaj wygląda na Coro – stwierdził James.

– To dobrze?

– A to chyba będzie oryginalna Chanel.

– Jaja pan sobie robi? Chanel? To na pewno warte kupę kasy.

– Przepraszam – odezwała się Val. – Czy mogłabym skorzystać z łazienki?

– Proszę bardzo. – Nikki z roztargnieniem wskazała przez ramię w stronę pomieszczeń na tyłach domku, całą uwagę koncentrując na biżuterii. – To tam.

– Pójdę z tobą – powiedziała Jennifer, pomagając Val podnieść się na nogi.

– To ile byście mi dali za cały ten nabój? – spytała Nikki, gdy Val i Jennifer już wychodziły z saloniku.

– No cóż, potrzebowałabym trochę czasu, żeby wszystko oszacować.

– Ile czasu? Znaczący, trochę mi się śpieszy.

– Może jeszcze jakieś dziesięć minut, mniej więcej...

– I co z tą herbatą, którą nam proponowałaś? – odezwał się James.

– Co ona robi? – spytała Val Jennifer, kiedy podeszły do łazienki. Dopiero teraz uprzytomniła sobie, że wcześniej wstrzymywała oddech. – Patrzy w tę stronę?

– Przeszła do kuchni. – Jennifer szybkim ruchem otworzyła drzwi sypialni i obie kobiety dały nura do środka.

Łóżko było nieposłane, szuflady komody otwarte, ich zawartość porozrzucana po podłodze. Wszędzie wałały się luzem koraliki.

– Boże, jaki bajzel.

– I nie ma babci.

– Brianne też nie – dodała Val.

– Zajrzyj pod łóżko – zarządziła Jennifer. – Ja sprawdzę szafę. – Szybko zerknęła na jej zawartość. – Tu są ubrania i damskie, i męskie – powiedziała, zerkając w stronę drzwi sypialni. – Więc gdzie podział się dziadek?

Val sięgnęła pod łóżko i wyciągnęła stamtąd pogniecioną męską koszulę. Do gorsu była przyczepiona mosiężna plakietka.

– O Boże. – Zaczęła postukiwać butem Brianne o plakietkę, usiłując przetrwać w myślach najnowsze odkrycie. Ta koszula ewidentnie należała do Henry'ego Voighta. Co to wszystko znaczy?

– Sprawdźmy resztę pokoi – powiedziała Jennifer, a Val upuściła koszulę na podłogę.

Obie kobiety szybko wyslizgnęły się do holu.

– Ja sprawdzę. Ty tu pilnuj – powiedziała Val do Jennifer, gdy uchyliła drzwi drugiej sypialni.

Ta sypialnia była mniejsza niż poprzednia, a słońce wpadało tu poprzez zaciągnięte oliwkowozielone zasłony. Podwójne łóżko, którego patchworkowa narzuta dopasowana była kolorystycznie do zasłon, zostało schludnie zasłane i wyglądało tak, jakby nigdy nikt w nim nie sypiał, chociaż wszystkie szuflady komody pod przeciwległą ścianą były powysuwane, a ich skromna zawartość – jakaś bielizna pościelowa i ręczniki – leżała luzem na drewnianym parkiecie. Val szybko zerknęła pod łóżko, a potem do szafy. Parę zawieszonych w niej sztuk ubrania – stara podomka, kilka par damskich spodni, wszystko o wiele dla Nikki za duże – zsunięto na bok, jakby robiąc miejsce dla innych rzeczy.

– I co? – szepnęła Jennifer, gdy Val wyłoniła się z sypialni.

– Nic. – Weszła do trzeciego pokoju, dokładnej kopii tego, z którego przed chwilą wyszła. Poza jedną zasadniczą różnicą. – O Boże.

– Co jest? – Jennifer już przy niej stała. – Co się stało?

– Brianne tu była – powiedziała Val, czując, że but córki niemal wypala dziurę w jej dłoni.

– Jak to? Skąd wiesz?

Val wskazała bez słowa na łóżko, którego narzuta była wyraźnie pognieciona, jakby ktoś na niej niedawno leżał. Było na niej pełno ziemi i zwiędłych liści.

– Jest jeszcze ciepłe. – Natychmiast osunęła się na kolana, żeby zajrzeć pod łóżko, a Jennifer podskoczyła do szafy.

Nic.

– Cholera. Gdzie ona jest? – spytała Jennifer, znów stając u boku Val.

Dosłyszały nagle szmer. Obróciły się. W drzwiach stała Nikki.

– Przepraszam. Nie mogłyśmy trafić – powiedziała szybko Val.

Nikki uśmiechnęła się.

– Herbata jest gotowa – powiedziała.

– Nie chcemy ci sprawiać żadnego kłopotu – mówiła Val, gdy Nikki prowadziła je z powrotem do saloniku i wręczała po kubku z herbatą.

– Ależ to żaden kłopot. Herbata jest owocowa – powiedziała dziewczyna. – Brzoskwiniowo-żurawinowa.

– Pachnie ślicznie.

– Proszę pić.

Melissa i James siedzieli obok siebie i popijali herbatę, grzebiąc wśród sztucznej biżuterii porzucanej na stojącym przed nimi stoliku do kawy. Val wcisnęła się na miejsce obok Melissy, z kubkiem w jednej dłoni i butem Brianne w drugiej, Jennifer zaś przysiadła na brzeжку stojącego nieopodal fotela. Val nachyliła się do Melissy, udając, że zakłada niesforny kosmyk włosów za ucho przyjaciółki.

– Znalazłyśmy mundur Henry’ego Voighta. Brianne z całą pewnością tu była – szepnęła. Wyprostowała się i dodała głośno: – Znaleźliście coś ciekawego? – Wzięła łyk herbaty, a potem drugi, czując ciepło spływającego do gardła naparu. Mimo panującego na zewnątrz upału, gorący napój sprawiał jej przyjemność, choć trącił lekką goryczką. Nie zdawała sobie nawet sprawy, jak jej się chciało pić.

– Niemal wszystko jest ciekawe. – Melissa oddzieliła kilka sznurów koralików od reszty, uniosła jeden długi naszyjnik przed twarzą Val i udawała, że go podziwia.

– Co chcesz zrobić? – mruknęła pod nosem.

– Powinniśmy chyba stąd wiać.

– Zgoda. – Melissa odłożyła naszyjnik i zwróciła się w stronę Nikki. – Tu jest kilka naprawdę niezłych sztuk biżuterii. Eisenberg, Coro, Weiss, Trifari.

– I jest jedna dość rzadka, sygnowana Coro Duette, z tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego roku – dodał James, otwierając oczy równie szeroko, jak sowy z kryształów na staroświeckich klipsach, które trzymał w ręku. – Kto by pomyślał?

Val próbowała ściągnąć na siebie jego wzrok, ale jej się to nie udało.

– No to ile by mi państwo dali za całość? – Nikki niecierpliwie przestąpiła z nogi na nogę.

Melissa zawahała się.

– Co byś powiedziała na tysiąc dolarów?

– A nie powinnaś najpierw porozmawiać z babcią? – spytał James.

– Jej będzie wszystko jedno.

– No, ale i tak... skoro jest tutaj...



– Nie ma jej.

– Wydawało mi się, że mówiłaś, że śpi – zaprotestował James.

Cholera, pomyślała Val, błagając Jamesa spojrzeniem, żeby się przymknął. Trzeba się stąd wydostać. Trzeba zaalarmować straż leśną, policję, FBI.

– No bo śpi. W pewnym sensie. – Obojętne wzruszenie ramion. – Dobra. Niezupełnie śpi. Prawdę mówiąc... Umarła. Parę miesięcy temu.

Dosyć już tego, pomyślała Val. Odstawiła kubek na niski stół i spojrzała w stronę wciąż otwartych wejściowych drzwi. Musimy stąd wiać, i to już.

– Nie mówiłam wcześniej, bo nie wiedziałam, z kim mam do czynienia, a nie chciałam, żeby państwo pomyśleli, że ja tu mieszkam całkiem sama. Tak czy inaczej – ciągnęła Nikki – ona mi zostawiła ten domek i wszystko, co w nim jest. Więc z biżuterią nie ma problemu. Możecie mi zapłacić od ręki?

Melissa spojrzała w stronę Val. Spojrzenie miała dziwnie rozkojarzone.

– No cóż. Przy sobie mam w tej chwili tylko parę dolarów.

Oczy Nikki błysnęły gniewem.

– Że... Jak to? Robiliście mnie tu w konia? Że to dla was jakiś żart?

– Nie, no skądże. Tylko musiałabym podskoczyć do bankomatu.

– Gdzie pani samochód?

– Na kempingu – wtrąciła Val szybko.

Jej córka na pewno tu wcześniej była, nie miała co do tego wątpliwości. Tak samo jak była pewna, że dziewczyna doskonale wie, gdzie Brianne jest teraz. Ale Nikki była też wyraźnie szalona, a Val wątpiła, by coś się dało osiągnąć, siedząc tu dłużej. Znalazły mundur prawdziwego Henry'ego. Mężczyzna, który go ukradł, nadal może się tu gdzieś czaić. Muszą skontaktować się z władzami.

– Posłuchaj, wrócimy do samochodu, weźmiemy pieniądze i przyjedziemy tu jak najszybciej. Możemy się tak umówić? – Podniosła się z sofy.

Melissa usiłowała pójść jej śladem.

– Nic ci nie jest?

– Teraz to mnie kręci się w głowie – przyznała Melissa.

– A ile to może potrwać, jak sądzicie? – spytała Nikki.

– Nie powinno zająć długo – odparła Val, obserwując, jak James zatoczył się, wstając. Jego pusty kubek potoczył się po podłodze w stronę kominka. Val złapała przyjaciela za ramię, zanim zdążył upaść.

– Co się dzieje? – spytała Jennifer.

– Może jego zapytacie? – odezwała się Nikki, zerkając w stronę drzwi.

W wejściu stał jakiś młody człowiek, z uśmiechem na ustach, podobizną Keitha Richardsa na koszulce i okrwawioną maczetą w rękach.

Val cicho krzyknęła, podobnym okrzykiem zawtórowały jej niemal natychmiast Jennifer i Melissa.

– O Boże – jęknął James, usiłując ustać na nogach.

– Zdaje się, że nigdzie nie idziecie. – Młody człowiek kopniakiem stopy w ciężkim bucie zamknął drzwi za sobą i wymachując maczetą przed sobą, wystąpił na środek pomieszczenia. – Wszystkim smakowała herbatka?

– To moja specjalna mieszanka. – Nikki wyciągnęła z kieszeni sukienki rewolwer.

– O Boże – powtórzył James.

– Bez przesady z tymi formalnościami. Możecie wszyscy mówić mi po prostu Henry. – Młody człowiek zaśmiał się. – Witaj, Jennifer. Miło cię znów widzieć. A ty na pewno jesteś matką Brianne – zwrócił się do Val. – Dostrzegam zdecydowane podobieństwo.

– Gdzie moja córka? Coście z nią zrobili?

– Nic. – Henry uśmiechnął się szerzej. – Jeszcze.

– Oni mają pieniądze – odezwała się do niego Nikki. – Ta suka zaproponowała mi tysiąc dolarów za całe to gówno. – Popatrzyła na Melissę, a potem na zarzucony biżuterią stolik. – Mieli właśnie jechać do bankomatu.

– Jesteś naprawdę głupia, wiesz? – W głosie Henry'ego zabrzmiała pogarda. – Prosto stąd pojechaliby na policję.

Policzki Nikki zaróżowiły się ze wstydu.

– Nie mów na mnie głupia.

– Musisz nauczyć się czytać pomiędzy wierszami, kochanie. Oni wiedzą wszystko. Nieprawdaż? – zwrócił się do Val. – Rozmawiali ze strażą leśną. Wiedzą, że nie jestem prawdziwym Henrym Voightem. A teraz już całkiem nieźle zdają sobie sprawę z tego, kim naprawdę jestem. – Przysunął maczetę do gardła Val. – Zresztą, jeśli nawet nie, to moja zabawka powinna skutecznie im to uświadomić.

– To wy zabiliście tych ludzi w Berkshires – szepnął James.

– Bingo.

– A prawdziwy Henry Voight? – spytała Jennifer.

– Nie zapomnijcie o Davidzie Gowanie – dodała z wyraźną dumą Nikki.

Val próbowała opanować nową falę łez zbierających się pod powiekami.

– Co zrobiliście z moją córką? – spytała znowu. Zaczynało jej się ćmić przed oczami.

– Jak wspomniałem, jeszcze nic. Zachowałem ją sobie... – Młody człowiek mrugnął. – Na później.

– Nie licz na to – mruknęła Nikki niezbyt cicho.

Obrócił się w jej stronę gwałtownie.

– Co mówisz? Że nie mogę już na ciebie liczyć? Czy to mi właśnie mówisz?

– Oczywiście, że nie.

Przeniósł spojrzenie na Jennifer.

– Powinnaś była słuchać, kiedy kazałem wam siedzieć na tyłku – skarcił ją. –

A zamiast tego węcycie tu i nabijacie głowę Nikki głupimi myślami...

– To żadne głupie myśli – odezwała się Melissa. – Staroświecka sztuczna biżuteria bywa szalenie cenna. Działam w tej branży, więc wiem. I mogę zdobyć dla was kasę.

– Nie trzeba, pani Magoo. Nikki jest może za głupia, żeby was przejrzeć, ale ja nie.

– Nie jestem głupia – odezwała się Nikki.

– Tak, jesteś istnym Einsteinem. A może powinienem powiedzieć: Eisenbergiem? – Roześmiał się.

A więc cały czas podsłuchiwał za drzwiami, zdała sobie sprawę Val, i cierpliwie czekał, aż dopiją herbatę. Co w niej było tak naprawdę? I ile tego draństwa sama wypła? Gdzie ukrywali Brianne?

– No to chyba czas zacząć zabawę – powiedział.

– Nie musicie tego robić – powiedział James ledwo słyszalnym głosem.

– Nie musimy – zgodził się młody człowiek. – Ale, och, naprawdę, naprawdę nas korci. Prawda, kochanie?

Gdzieś od strony drogi dobiegł dźwięk klaksonu samochodowego.

– Czekaj. – Nikki spojrzała w stronę drogi i zbladła.

– Co teraz?

– Ktoś jedzie.

Boże, proszę, niech to będzie straż leśna, pomyślała Val, nasłuchując odgłosu opon na żwirze, modląc się, żeby kawaleria przybyła im na ratunek.

– Wydaje ci się – powiedział młody człowiek, ale podskoczył do okna i wyjrzał przez zasłoniętą drzewami szybę.

Nikki miała stropioną minę i popatrywała to tu, to tam, nie koncentrując spojrzenia na niczym konkretnym.

– Nikogo tam nie ma – rzucił zniecierpliwionym tonem.

– Jesteś pewien? Pamiętam...

– Co pamiętasz?

– Że było coś... Coś na komputerze. Coś o czymś... Cholera, nie wiem...

Quakerowie? Może to oni?

– Quakerowie? Co ty, do cholery, wygadujesz?

– Coś było. Czekaj. To ich nazwisko. Quaker. Nie, jakoś inaczej. McQuaker.

Tak, to to. Fran i Wayne McQuaker kropka com.

– Fran i Wayne... O co ci chodzi, do diabła?

– Fran i Wayne McQuaker. Już pamiętam. Oni tu przyjeżdżają z wizytą.

Dzisiaj.

– Ktoś ma tu dzisiaj przyjechać? A tobie do łba nie przyszło powiedzieć mi o tym wcześniej?

– Byłam przyćpana. Przypomniałam sobie dopiero, jak usłyszałam klakson.

– Przypomniałaś sobie – powtórzył, kręcąc głową. – Kurde. Twoi dziadkowie mieli rację. Jesteś tylko małą, głupią dziewczynką.

Znajome słowa wytrąciły Val z rosnącego otępienia i rozjaśniło się jej w głowie, zupełnie jakby oberwała po twarzy.

– Pozwolisz mu tak do siebie mówić? – rzuciła ostro, wiedząc, że czas im się kurczy, że musi coś zrobić, nim będzie za późno. Może gdyby udało się ich ze sobą skłócić...

– Ktoś cię pytał o zdanie? Do kurwy nędzy, zastrzel po prostu tę sukę – polecił młody człowiek. A potem, kiedy Nikki nie zareagowała, dodał: – No, na co czekasz, kretynko? Na Gwiazdkę?

Nikki mocniej ścisnęła kolbę rewolweru i powoli go uniosła.

– Nie jesteś głupia, Nikki. Więc postąp mądrze – powiedziała Val i wstrzymała oddech, patrząc, jak Nikki powoli obraca się i kieruje lufę w stronę klatki piersiowej młodego człowieka.

Pociągnij za ten spust, modliła się w duchu Val.

– Daj spokój, kochanie – odezwał się młody człowiek tonem nagle miękkim i pojednawczym. – Wiesz, że nic takiego nie miałem na myśli. Wiesz, że cię kocham.

– A ta suka w bagażniku? Ją też kochasz?

– Ona nic nie znaczy. Wiesz o tym. Wiesz, że dla mnie liczysz się tylko ty.

– Więc nie zabieramy jej ze sobą?

– Zrobimy z nią to, co zechcesz.

– On kłamie – powiedziała Val, rozumiejąc, że mówią o Brianne.

– Zamknij się – rzuciła Nikki, obracając się szybkim ruchem w jej stronę.

Rewolwer teraz był wymierzony prosto w głowę Val.

Zatem tak mało wystarczy, żeby kobiety rezygnowały ze swojej władzy? Parę słodkich słów, nawet jeśli dobrze wiedzą, że to kłamstwa? I czy naprawdę ją to dziwiło? Wystarczyło, żeby Evan do niej powiedział: „Hej, ty”, a ona gotowa była z miejsca mu wszystko wybaczyć.

Val w tej jednej sekundzie zrozumiała, że Nikki pójdzie na ślepo za swoim mężczyzną. Na nic się nie oglądając. Że nie ma sensu próbować przemawiać jej do rozsądku. Ona nie posłucha argumentów, tak samo jak Val nie słuchała, kiedy ludzie próbowali rozmawiać z nią o Evanie. Traciła ten czas i oddech, które jej jeszcze pozostały.

Zerknęła szybko ku Jennifer, która skinęła głową tak, jakby czytała w myślach Val. Żaden piękny książę nie pojawi się tu na białym rumaku, żeby je ratować. Obie to rozumiały. Były zdane tylko na siebie.

Zadziały szybko i zgodnie. Jennifer chlusnęła resztkami herbaty w twarz Nikki, a Val z rozmachem walnęła dziewczynę w głowę butem Brianne. But trafił Nikki w środek czoła i dziewczyna runęła przed siebie. Jeszcze nie upadła, gdy

Jennifer wytrąciła jej z dłoni rewolwer, a ten potoczył się prosto pod stopy Val.

– Durne cipy! – wrzasnął młody człowiek i rzucił się na nie.

To były jego ostatnie słowa, zanim seria pocisków rozdarła mu tors, pozbawiając uśmiechniętego kpiąco Keitha Richardsa twarzy, a młodego człowieka posyłając bezładnie w stronę okna. Maczeta w uniesionym ręku zakreśliła wdzięczny łuk nad jego głową i strzaskała szybę, która rozprysnęła się na wszystkie strony. Ostre odłamki posypały się wokół jego twarzy niczym sople spadające z dachu.

Val opuściła wzrok na trzymany w dłoni rewolwer, na wskazujący palec nadal zaciśnięty mocno na spuście.

– Brawo! Brawo, Val! – wołał James gdzieś obok niej, klaszcząc w dłonie, a Melissa sennym gestem podrzuciła w powietrze niczym konfetti ścisnącą wcześniej w dłoni garść koralikowych naszyjników.

– Nic ci nie jest? – zapytała Val Jennifer, siedzącą teraz twardo okrakiem na Nikki, która wprawdzie pojękiwała, ale się nie ruszała.

– Nigdy nie czułam się lepiej – odparła Jennifer.

I wtedy usłyszały samochód zatrzymujący się na zewnątrz, potem trzaśnięcie drzwi, jedno, drugie.

W ciszę wdarł się beztroski kobiecy głos.

– Cześć! Ellen? Stuart? Hej tam?! Jesteśmy. Wreszcie dotarliśmy!

Val spojrzała w stronę drzwi na parę starszych państwa, którzy radośnie wchodzili po schodkach. Kobieta niosła w ramionach sporą doniczkową roślinę, mężczyzna trzymał w objęciach butlę szampana.

– Ellen! Stuart! No gdzie wy się chowacie? – Przystanęli i z szeroko otwartymi oczyma patrzyli na rozgrywającą się przed nimi scenę.

Val też patrzyła. I nadal tak się gapili wszyscy na siebie nawzajem, gdy usłyszeli w oddali syrenę nadjeżdżającego policyjnego wozu.

Do domu wyruszyli następnego dnia wcześniej rano.

– Jesteś pewna, że możesz prowadzić? – spytała Melissa.

– Nic mi nie jest.

Val uśmiechnęła się do trojga pasażerów tylnego siedzenia, a potem wyciągnęła ramię nad przednią konsolą w stronę pasażerskiego siedzenia, by dotknąć córki wyglądającej przez okno, z bladymi policzkami mokrymi od nieustannie płynących jej z oczu łez. Płakała tak niemal bez przerwy od chwili, gdy odkryli ją, na wpół nieprzytomną, w bagażniku samochodu Matthew Stablera.

– A ty, kochanie? Jak się czujesz?

Mimo że córka odnalazła się, jakimś cudem cała i zdrowa, i na szczęście, nie była świadkiem żadnej z tych rzezi, informacja o losie Tylera i świadomość, co by ją najprawdopodobniej czekało, gdyby matka jej nie odnalazła, i tak ją mocno przybiły. Spała niespokojnie, plecami wtulona w brzuch matki, mocno ściskając jej rękę, obejmując ją przez biodro. Kierownik hotelu gorliwie współpracował z policją stanową, a kiedy poinformowano go o heroicznej postawie Val i jej przyjaciół, którzy obezwładnili tę dwójkę seryjnych morderców, z wielką chęcią udostępnił im nocleg w tym samym apartamencie, z którego korzystali poprzednio.

Brianne poczuła, że do oczu napływają jej świeże łzy. Nie zasługuję na troskę matki, pomyślała. Gdybym od początku jej słuchała, nic z tego wszystkiego by się nie stało. Tyler nadal by żył.

– To nie twoja wina – powiedziała teraz Val, jakby czytała w jej myślach. – Nie ty zabiłaś Tylera.

– To przeze mnie znalazł się w tym domu.

– Może początkowo – przypomniała jej Val. – Nie zapominajmy o tym, co Nikki opowiedziała policji.

Nikki złożyła wyczerpujące zeznania, nie szczędząc szczegółów wszystkich makabrycznych mordów, które popełniła wspólnie z Matthew, włącznie z dokładnym opisem swoich igraszek z Tylerem tuż przed jego śmiercią.

– Popełniłaś błąd w ocenie – powiedziała Val. – Wierz mi, kochanie, wszystkim nam się to zdarza.

– Mamo, on nie zasługiwał na śmierć.

– Nie, to prawda.

Brianne wyrwał się cichy szloch.

– Zepsułam ci urodziny – powiedziała żalonym tonem, brzmiąc zupełnie jak dziesięciolatka.

Val uśmiechnęła się ze smutkiem i ścisnęła dłoń córki. Kiedy wrócić do miasta, umówi Brienne na spotkanie z jakimś terapeutą, zdecydowała i pomyślała, że jej samej też by się taka wizyta przydała.

– Powiedzmy, że udało ci się sprawić, że stały się niezapomniane.

– Święta prawda – powiedział James.

– Wygodnie wam tam w miarę z tyłu? – Val zerknęła przez ramię na Jamesa, Melissę i Jennifer.

Melissa pokiwała głową, James uniósł wysunięty w górę kciuk, Jennifer podniosła wzrok i uśmiechnęła się, a potem wróciła do ponownego odczytywania wiadomości, którą dostała poprzedniego wieczoru od Evana. Do tej pory na pewno zna ją już na pamięć, pomyślała Val, odczuwając rozczarowanie Jennifer tak silnie, jakby było jej własne. Było to w końcu odczucie doskonale jej znane.

Val patrzyła, jak hotel w Shadow Creek maleje we wstecznym lusterku. Jeden zakręt i stanie się zaledwie wspomnieniem, takim, o którego zblednięcie człowiek się modli. Bo przecież zblednie? Zastanawiała się nad tym, od nowa przeżywając wczorajsze wydarzenia, zupełnie jakby nadal się jeszcze rozgrywały. Niepowiązane ze sobą obrazy przelatywały przed jej oczyma jak migawki w świetle stroboskopu. Migawka: biegną przez las. Migawka: trzyma w dłoni zabłocony but Brienne. Migawka: idą w stronę leśnego domu. Migawka: są w sypialni. Migawka: młody człowiek staje w drzwiach.

Przez jedną sekundę ta poplamiona krwią maczeta była wymierzona w jej gardło, w kolejnej Val opróżniła bębenek rewolweru prosto w klatkę piersiową młodego człowieka.

Matthew Stabler, pomyślała, cicho obracając w ustach to nazwisko. Policja zidentyfikowała go dzięki prawu jazdy, które znaleźli w tylnej kieszeni jego dzinsów, chociaż według Nikki rzadko posługiwał się tym nazwiskiem.

Val wyobraziła sobie Nikki w źle leżącej bawełnianej sukience, podającą jej uprzejmie kubek gorącej herbaty. Nadal czuła w ustach podszyty środkiem uspokajającym posmaczek. Nadal dostrzegała ukłucie wstydu w oczach Nikki, kiedy Matthew powiedział, że jest głupia. Nadal czuła siłę, z jaką but Brienne rąbnął dziewczynę w czoło, nadal czuła nieprzyjemne wibracje płynące w górę i w dół jej własnego ramienia, kiedy kilkakrotnie pociągała za spust.

Zobaczyła oczyma duszy Nikki, nadal oszołomioną i krwawiącą, wyprowadzaną przez policjantów. Naprawdę nazywała się Janet Richardson, poinformowali Val później. Miała siedemnaście lat.

Val wiedziała, że policja nadal ma pytania, że konsekwencje tych wszystkich przejść są bardzo dalekie od zakończenia, i zastanawiała się, jak długo to potrwa, zanim cała historia trafi na pierwsze strony gazet. Niebawem reporterzy i kamery zaczną się zbierać pod drzwiami jej domu. Ciekawa była, czy do Evana już dotarły nowiny.

Jak na zamówienie, telefon rozdzwonił się w tej samej chwili w jej torbie.

– No i proszę. Wreszcie mamy zasięg. Kochanie, możesz to odebrać? – poprosiła Brianne, a ta zaczęła natychmiast grzebać w torbie matki. – Czy to twój ojciec?

– To Evan? – spytała jednocześnie Jennifer.

– To babcia – odparła Brianne i nie udało jej się ukryć zdziwienia w głosie.

Val wyjęła telefon z dłoni córki i uniosła go do ucha.

– Mama?

– Wszystkiego dobrego z okazji urodzin, kochanie – powiedziała matka. – Wiem, że się z tym parę dni spóźniłam, ale wiesz, jak to mówią – lepiej późno niż wcale.

Val odepchnęła od siebie natrętne, niewypowiedziane dokończenie: ale lepiej wcale niż za późno.

– Nigdy nie jest za późno – oświadczyła z mocą.

– No i jak się czujesz po czterdziestce?

Val roześmiała się.

– W sumie całkiem, cholera, nieźle.

– Ale jakoś inaczej?

Val pokiwała głową, oczy napełniły jej się łzami, które spłynęły zaraz po policzkach.

– A owszem, inaczej. Zupełnie inaczej.

– No cóż, dla mnie zawsze będziesz moją małą dziewczynką.

– Dziewczynką, która naprawdę tęskni za swoją matką – powiedziała Val ledwie słyszalnym głosem.

To matka nauczyła ją, że jeśli człowiek nie prosi, to nie dostaje. To matka doradzała jej, by głośno stawiała we własnej obronie, i matka ją zapewniała, że zdoła osiągnąć wszystko, czego zechce. Że nie jest głupią dziewczynką. Jeśli istotnie była tak nieustraszona, jak twierdził Gary, w dużym stopniu zawdzięczała to matce.

I chociaż Val domyślała się, że może nie zdołać jej uratować – matka była ostatecznie jedyną osobą, która mogła to zrobić – to czuła, że dłużej nie jest gotowa zwyczajnie rezygnować z niej bez walki.

Na mężów z zasady nie da się liczyć, stwierdziła, myśląc o Evanie. Mężczyźni pojawiają się i znikają, dopowiedziała, przypominając sobie Gary'ego. Matki są na zawsze.

Czy mogła powiedzieć albo zrobić coś takiego, co przekonałoby matkę, żeby zwróciła się o tak jej potrzebną pomoc? A jeśli odmówi skorzystania z pomocy, to czy Val mogłaby się nauczyć akceptować ją taką, jaka jest, i kochać mimo wszystko? Tak łatwo było po prostu użalać się nad sobą, po prostu poddać i odwrócić wzrok w inną stronę.



- Kocham cię, mamo.
- A ja ciebie kocham, kochanie.

Postanowiła skontaktować się z Anonimowymi Alkoholikami, jak tylko wróci do domu.

To będzie jej urodzinowy prezent dla samej siebie.

Jennifer opuściła na kolana kartkę z wiadomością i przymknęła oczy, nadal pod powiekami widząc schludnie wydrukowaną wiadomość, wręczoną jej przez recepcjonistkę, kiedy wrócili do hotelu.

– Pan Rowe przesłał e-mail z samego rana – wyjaśniła recepcjonistka. – Pisał, że nie może się dodzwonić na pani komórkę i że pewnie sprawdzi pani u nas, czy nie ma dla niej informacji. Prosił, żeby to pani przekazać. – Uśmiechnęła się, wsuwając krótką notatkę od Evana w dłoń Jennifer.

„Strasznie przepraszam, Jen – przeczytała w niej. – Do tej pory na pewno już się zorientowałaś, że nie dam rady dojechać do Was, i bardzo przepraszam, że byłem tak całkowicie niedostępny. Pewnie myślałaś, że znikłem z powierzchni ziemi, ale zapewniam Cię, że nawet na moment nie przestawałem o Tobie myśleć, chociaż tak beznadziejnie mi szło reagowanie na Twoje wiadomości. Wiem, że nic się nie ułożyło tak, jak planowaliśmy, i mam nadzieję, że nie było Ci z tym zbyt nieprzyjemnie, obiecuję jednak, że Ci to wynagrodzę. Mam dość tej pracy non stop. Ale dobra wiadomość jest taka, że kontrakt niemal zaklepany. Znowu dzisiaj będę cały dzień na spotkaniach, bo uparłem się, że to podpiszemy i wreszcie zamkniemy, więc pewnie nie uda Ci się mnie złapać. Najlepiej będzie, jeśli się zrelaksujesz i nacieszysz świeżym górskim powietrzem, a zobaczymy się, kiedy wrócicie wieczorem do miasta. Kocham Cię. Evan”.

Jennifer pokręciła głową. Dobra wiadomość, pomyślała, w milczeniu powtarzając te słowa, dobra wiadomość jest taka, że nie musisz się odrywać od ważnego spotkania, żeby pokonać całą drogę do Shadow Creek, by na miejscu zidentyfikować rozmaite części ciała własnej córki, byłej żony i obecnej narzeczonej, zakładając, że byś je od siebie poodróżniał. Dobra wiadomość jest taka, że wszystkie uszłyśmy z życiem. I nie dzięki tobie. To jest dobra wiadomość. A świeżego górskiego powietrza wystarczy mi już do końca życia, dziękuję uprzejmie. Teraz chcę tylko wrócić do domu.

Jennifer postanowiła, że po powrocie zadzwoni do siostry. Sprawdzi, czy nie uda im się jakoś dogadać, jakoś ustalić wspólnie najlepszy sposób zadbania o ojca. Może się nie uda. Ale z drugiej strony, kto wie? Musi przynajmniej spróbować.

Sięgnęła w stronę przedniego siedzenia i uspokajająco poklepała Val po ramieniu.

- Daj mi znać, jeśli będziesz chciała, żeby cię na trochę zmienić.
- Dzięki, na razie jest okej. – Val uśmiechnęła się we wstecznym lusterku.

Jennifer oddała uśmiech.

– Wiem.

Było tuż po trzeciej po południu, kiedy dotarli na Manhattan.

– Jeszcze tylko dwie przecznice – powiedziała Jennifer, polecając Val skrócić w prawo i jeszcze raz w prawo. – Już. To ten budynek, tam. – Wskazała w stronę piętnastopiętrowego apartamentowca z białej cegły stojącego przy południowo-zachodnim rogu wysadzonej drzewami alei. Przed wejściem czekał odzwierny w uniformie. – Nareszcie w domu.

– Mamo – zagaiła Brianne, gdy Val patrzyła, jak Jennifer wyciąga te niemożliwie długie nogi, stawiając je na chodniku. Choć raz nie czuła potrzeby wyobrazić ich sobie oplecionych wokół szyi Evana. – Patrz. Tam dalej. – Wskazała ręką przeciwną stronę ulicy, gdzie dobry metr od krawężnika stał zaparkowany jaskrawopomarańczowy mustang. – Czy to nie jest samochód Sashy?

– Jestem pewna, że tak – mruknęła Val, a fragmenty znanej układanki nagle ułożyły się w całość. Jennifer wyjmowała z bagażnika swoją podróżną torbę.

– Jennifer, zaczekaj. – Val szybko wysiadła zza kierownicy.

Ty draniu, myślała, spoglądając w stronę górnych pięter białego apartamentowca. Ty kłamliwy, wyrachowany, samolubny mały draniu. Nie możesz się powstrzymać, co?

– Coś nie tak?

Val szukała słów, którymi mogłaby powstrzymać Jennifer przed wejściem do jej własnego mieszkania, ochronić ją, nie dać skrzywdzić. Cudom nie ma końca, pomyślała.

– Co się dzieje?

– Właśnie sobie przypomniałam, że zostawiłaś samochód u mnie pod domem.

– Nie ma sprawy. Podjadę po niego jutro. Hej – powiedziała w następnej chwili, też patrząc na drugą stronę ulicy, na pomarańczowy wóz Sashy. – Czy ja tego samochodu nie widziałam koło waszego domu w dniu, kiedy wyjeżdżaliśmy?

Val wstrzymała oddech.

– To samochód przyjaciółki Brianne, prawda? Tej ładnej blondyneczki z Lululemon. – Potem długa chwila ciszy, kiedy docierało do niej znaczenie tego, co właśnie powiedziała. – O Boże.

– Może to nie jest jej samochód – powiedziała szybko Val.

– Jasne. Jakby w mieście roilo się od setek jaskrawopomarańczowych mustangów.

– Jeśli nawet jest jej, to nie znaczy, że...

– Owszem, znaczy. – Oczy Jennifer zabłysły zbierającymi się łzami. – No cóż. Jak to mówią: sprawiedliwość losu. Nic innego mi się chyba nie należało.

– Nie – zaprzeczyła gwałtownie Val. – Zaslugujesz na o wiele więcej. Obie zasługujemy. – Znów usłyszała echa uwodzicielskich szeptów Evana przez telefon,

te dwuznaczne uwagi i nieokreślone aluzje. Czy cokolwiek z tego miało jakieś znaczenie? A może jego słowa były obliczone wyłącznie na to, by ją utrzymać w stanie zawieszenia? Czyżby stanowiła dla niego zabezpieczenie na wypadek, gdyby jego obecny układ się rozleciał? Hej, ty...

Czy naprawdę działał z takim wyrachowaniem? Czy może tak łatwo się rozpraszał?

Czy to ma jakieś znaczenie?

– Naprawdę muszę iść tam na górę – mówiła właśnie Jennifer. – Za nic nie chciałabym, żeby mnie ominęły fajerwerki.

– Chcesz, żebym poszła z tobą?

Jennifer wybuchnęła śmiechem.

– Bardzo bym chciała zobaczyć minę Evana, ale chyba jednak lepiej pójść sama.

– Dasz sobie radę?

– Jasne. – Jennifer spuściła wzrok na chodnik. – Przecież mam kontrolę nad własnymi stopami – powiedziała, biorąc długi, głęboki wdech.

– Wiesz, że możesz do mnie dzwonić – przypomniała jej Val. – O każdej porze.

Jennifer nagle zarzuciła ramiona na szyję Val i mocno ją uściskała. Postały tak parę chwil, objęte, a potem powoli się od siebie odsunęły. Jennifer szybko pomachała na pożegnanie Brianne, Mellisie i Jamesowi, obserwującym tę scenę z samochodu z otwartymi ustami i opuszczonymi szczękami, a potem ruszyła stanowczym krokiem w stronę drzwi, które otwierał przed nią odźwierny. Potem obejrzała się jeszcze raz i znów pomachała.

– Powodzenia – szepnęła Val, patrząc, jak Jennifer znika w holu.

– To prawda? – spytał James, wychylając się z tylnego siedzenia, kiedy wróciła do samochodu. – Evan naprawdę zaszył się tu na cały weekend z przyjaciółką Brianne?

– To nie jest moja przyjaciółka – oświadczyła z naciskiem Brianne.

– Poza tym, na szczęście, Evan to już nie mój problem – dodała Val.

– A ja na to amen – powiedziała Melissa.

– Amen – zawtórował James.

– Amen – powtórzyła Val, włączając się do ruchu. A potem, bo tak jej się spodobała stanowczość i nadzieja nieodłączne od tego słowa, jeszcze raz: – Amen.

